A 1000

ANDRZEJ STRUG

ŻÓŁTY KRZYŻ

III

WYDANIE DRUGIE

NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA
1933

Ostatni film Evy Evard

Andrzej Strug

Gebethner i Wolff, Warszawa, 1933

Pobrano z Wikiźródeł dnia 29 października 2025

ANDRZEJ STRUG

ŻÓŁTY KRZYŻ

III

WYDANIE DRUGIE

NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA
1933

I • II • III • IV • V • VI • VII • VIII

IX • X • XI • XII • XIII • XIV • XV
XVI • XVII • XVIII • XIX • XX • XXI
XXII • XXIII • XXIV • XXV

4 — 6 TYSIĄC
DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

I

Doktór Helm nie mógł spać tej nocy. Nadszedł dzień wyznaczony przez Abbegglena i przed południem około jedenastej zjawi się on niechybnie — co z nim począć? W ostatnich dniach fantastyczny przedstawiciel dalekiej Francji prześladował go na jawie i we śnie. Zazwyczaj bywał urojeniem, widziadłem, które szczególniejszym sposobem przyczepiało się doń ze snów i nabierało jakby pozorów prawdopodobieństwa, ale chwilami jego olbrzymie tłuste oblicze i ciężkie wejrzenie oczu stawały przed nim w całej swej oczywistości i wówczas brał go strach. Pogardliwe lekceważenie, którem tak dzielnie stawiał czoło upiorowi zamierzchłej ojczyzny podczas ich pamiętnej konferencji, zawodziło najzupełniej, teraz poczciwiec Abbegglen gotów dotrzymać obietnicy — wyglądał na to. Zapamiętał jego westchnienie gdy się żegnali.

— Cóż robić... Trzeba będzie usłuchać rozkazu... Bo choć nam żal, wojna jest wojną, utopimy pana jak nic, marny to koniec kapitana Déspaix, dzielnego francuskiego oficera... Nieprawdaż, panie doktorze Helm?

„Utopienie“, czyli zdradzenie go wobec władz niemieckich była to pewna śmierć, ale nie przed tem truchlał Claude. Nie mógł znieść myśli, że Rita dowie się, że był on niczem więcej jak podłym szpiegiem i że w miłości i uwielbieniu oszukiwał ją tak haniebnie. Nie widział żadnego wyjścia, chyba uprzedzić wroga i w

obronie własnej wystosować do prezydjum policji w Berlinie bezimienne doniesienie, „utopić“ ze swojej strony Abbegglena, van Trothena, tę szelmę Gretę, całą francuską szajkę, ale to byłoby nie mniej jeżeli nie bardziej podłem, niż spełnienie rozkazu i zgładzenie starego profesora...

Wreszcie wśród nocy bezsennej nad samem ranem wpadł na szczęśliwy pomysł, a był on tak prosty, że powinien był nastręczyć mu się odrazu w odpowiedzi na wymagania i groźby Abbegglena.

Zachciało im się nowego gazu? Dobrze. Ponieważ profesor Wager nie odkrył nic nowego, on go zastąpi i da im bez trudu rzekomy „Podwójny Żółty Krzyż“. Siadł i, pomyślawszy przez parę minut, z uśmiechem uczniaka, który gotuje zabawną mistyfikację, zaczął układać referat o straszliwem odkryciu potwora z Ludwigshafen. Pisał z pamięci, szeregując znaki chemiczne, dając treściwe wskazania dla masowej produkcji owej zabójczej substancji. W dwie godziny ukończył pracę, odczytał i zachichotał na myśl, jak długo mozolić się będą jego koledzy chemicy francuscy, zanim wykryją, że najświeższe epokowe odkrycie strasznego Wagera nie daje właściwie nic nowego w dziedzinie postępu zabójczości gazów. Dobrze im tak, mają, czego chcieli...

Z wielką ulgą położył się spać, zasnął odrazu i natychmiast znalazł się w okopie pod fermą Routoire, po szyję przywalony ziemią. Męczył się i ciężko stękał, leżąc twarzą w twarz z dawnym swoim Niemcem, który pod wieczór drugiego dnia już konał. Był zmieniony, napuchły i obrzękły, już prawie nie oddychał i zrzadka podnosił

powieki, patrząc mu w oczy ciężkiem wejrzeniem, w którem wyczerpywała się uchodząca już resztka życia. Claude wyraźnie i nieomylnie czytał ostatnie myśli tego człowieka, wiedział kim jest, poznał cały jego żywot od kolebki aż do tej chwili. Zdziwiło go, że łatwo przenikał tajemnicę obcego istnienia, zapewne tak bywa zawsze, gdy się umiera... Niemiec też zna o tej porze jego dawne losy i jego ostatnie myśli — oto co mówią jego oczy.

— Zaraz stąd odejdziemy, mniejsza o nasze męczarnie i o te połamane gnaty, które po nas zostaną. Tam pogadamy swobodnie, tam niema wojny.

— O czem chcesz mówić?

— O tem coby z nami było, gdyby nas odkopali, ja wszystko wiem.

— I ja wiem.

— Widzisz, że lepiej nam rzucić podłą ziemię, niech zostaje kto chce, ja za żadną cenę...

— A wiesz poco się człowiek rodzi? Poco trwa świat?

— Jeszcze nie, niedługo się dowiem.

— Ja już wiem, ale nie zdążę powiedzieć, mąci mi się w głowie...

— Cóż takiego? Jakie to jest? Ogromna tajemnica...

— Co za tajemnica — wszystko bardzo proste, aż śmieszne.

— Tak?!

Karabin maszynowy uporczywie siecze w to miejsce tuż nad ich głowami, gradem trzaskają kule o zwalisko komina, szyją po przez żołnierza wspartego o mur. Żołnierz śpi wciąż, uśmiechał się przez cały dzień, uśmiecha się i pod

kulami. Odłamki muru pryskają im w twarze. Rozmawiają dalej.

— Znasz oficera z Genewy, tego pijaka, francuskiego dezertera?

— Pamiętam go.

— Podobny do mnie?

— Bardzo podobny.

— Nic dziwnego, bo to niestety będę ja. A ty?

— Ja?

— Ty będziesz zato Niemcem, który przyjedzie z Ameryki, pamiętasz?

— Pamiętam, tak mi przeznaczono, ale z tego nic — zaraz umrę.

— Tak najlepiej.

Obudził się dopiero o drugiej popołudniu. Więc Abbegglen nie przyjechał. Claude dowiadywał się u gospodyni, ale nikt u niego nie był, nikt się o niego nie pytał. Wyszedł na miasto. Wszystkie domy na ulicach, któremi szedł, były ustrojone chorągwiami. Na Parade Platz ogromny tłum świętował zwycięstwo, znowu sztandary stowarzyszeń, orkiestry, mówcy. Tym razem twarze się uśmiechały, oczy promieniały radością. Grzmot oklasków, okrzyki odpowiadały mówcom, którzy głosili tryumf armji i chwałę Niemiec z balkonu ratusza, ubranego kwiatami i girlandami z dębowych liści. Wynędzniałe kobiety płakały z radości, wszak to naprawdę ostateczne zwycięstwo, rozstrzygające wojnę! Rzeka Marna przekroczona, armje niemieckie coraz ciaśniej osaczają Paryż... Zaprawdę, wielkich wodzów mają Niemcy, zaprawdę wspaniałych

żołnierzy! Zamilkli sceptycy, ucichły podejrzenia i plotki, teraz nareszcie cały naród niemiecki wierzy niezłomnie w zwycięstwo i w bliski koniec wojny.

Nowa klęska Francji nie dotknęła Claude'a żywszem wrażeniem, owładla nim jakaś martwa, skostniała neutralność — wydawało mu się zgoła obojętnem kto zwycięża i kto ostatecznie zwycięży. W pewnych momentach przypominał sobie o wojnie, ale już nie myślał o niej i przeważnie o niej nie pamiętał. Obojętnie przeciekał się przez ciżbę rozradowanych tryumfujących Niemców i zmierzał w swoją stronę do Friedrichs-Parku, gdzie wysiadywał zwykle nad stawem, czekając godziny czwartej, o którejto porze zjawiał się codziennie w willi „Zyglinda". Przed teatrem na placu Schillera zauważył pana, który przechodząc sięgnął do kapelusza, ale powstrzymał się z ukłonem. Claude odkłonił mu się odruchowo — nie znał tej czerwonej, obrzękłej, kostrobatej twarzy w wielkich rogowych amerykańskich okularach.

Zaledwie usiadł na swej zwykłej ławce na cyplu stawu i zdążył zapalić papierosa, ten pan wyrósł przed nim, przystanął na chwilę zwrócony w stronę wody, poczem, mruknąwszy „morgen", usiadł na drugim końcu ławki. Claude znosił to sąsiedztwo z odrazą, domyślał się, że ów pan zaczepi go niezwłocznie, gdyż jest to wysłaniec i zastępca Abbegglena, który widać nie mógł sam przybyć. Nasłaniec jest ostrożny, bał się odwiedzić go w domu, więc łapie go na mieście, co jest również bardzo niewskazane. A zatem trzeba wracać do domu po raport o nowym gazie — niechże ich wszyscy djabli...

— Wszak to pan doktór Heim?

— Z kim mam przyjemność?

— Znamy się z Genewy, pan przypomina sobie...

— Nie rozumiem!

— Przepraszam, zapomniałem, że pan jeszcze nie mówi po francusku.

— Co znaczy jeszcze?

— No, mógł się pan trochę poduczyć przez ten czas — całe pół roku! Ja, jak pan widzi, mówię wcale nieźle po niemiecku, może nawet trochę lepiej od pana samego...

— Kto pan jest? Czego pan chce?

— Jestem tym samym nieszczęsnym Francuzem, który...

— To pan? Trudno mi pana poznać... A co pan tu robi?!

— Zmieniły mnie okulary, ale jestem tym samym kapitanem Mousson, dezerterem i alkoholikiem, a raczej siedzi obok pana były kapitan Mousson i były dezerter, a nawet były Francuz — z genewskich czasów pozostał we mnie tylko alkoholik, reszta jest odmieniona...

Claude na chwilę utonął w zamęcie, ogarnęła go niepewność, coś fantastycznie nierealnego jak bywa we śnie. Coś usiłowało ocknąć się w jego pamięci. Zakołace jak z poza zamkniętych drzwi i ucichnie.

Wnet oprzytomniał, poczuł niebezpieczeństwo, pilnował się, żeby na samym wstępie nie popełnić fatalnego błędu. Tajemniczego Francuza należało przywołać do porządku i to natychmiast, bez żadnej zwłoki.

— Co pan tu robi? — powtórzył groźnie. — Jak pan się tu dostał? Oficer francuski w Mannheimie, w głębi Niemiec? Podczas wojny?! Co to znaczy?

Osobnik prychnął śmiechem, chrząkał, krztusił się — było to wstrętne i nadzwyczaj podejrzane. Wreszcie przemówił i Claude odetchnął z ulgą, nie był to ani wysłaniec Abbegglena, ani prowokator. Francuski dezerter z Genewy był Niemcem.

— Od dziecka, panie doktorze, miałem zamiłowanie do mistyfikacji i zamłodu tępiono to we mnie, ale nie wytępiono, co mi się nawet przydało. Do Genewy byłem odkomenderowany w celach dyplomatycznych, to jest wywiadowczych, między innemi obserwowałem panią Evę Evard, która zapragnęła przybyć do Niemiec, no i szanownego pana. Bardzo pana podejrzewano, teraz mogę to powiedzieć, ktoś tam w górze uparł się, że pan jest agentem francuskim, a bodaj amerykańskim, łapałem pana jak mogłem, wreszcie musiałem dać za wygraną, a ponieważ nie było przeciw panu właściwie żadnych danych, więc nie stawiano dalszych przeszkód. Wkrótce potem wycofałem się z karjery wywiadowczej, czyli mówiąc po ludzku — szpiegowskicj, ciekawe to zajęcie nie jest stworzone dla dżentelmena. Byłem rad gdy mnie ostatecznie wyrzucono, prawdę powiedziawszy, za pijaństwo... Jakże się panu doktorowi powodzi?

— Jako tako, a cóż pan tu porabia?

— Mannheim, Heldelberg, Worms, Speier, cały ten kraj po obu brzegach Renu to moje strony rodzinne. Mam tu wszędzie ludzi bliskich, przyjacół, a raczej miałem, panie świeć nad ich duszą, bo mi ich wojna zabrała niemal co do jednego. Dwuch, że tak powiem ostatnich Mohikanów, straciłem w majowej ofensywie, obaj zapłacili głowi za

wspaniałość tego zwycięstwa. Pan jako chemik zapewne pracuje w naszem „Badische“? Obmyśla pan nowe trutki na biednych Francuzów?

Rozmowa potoczyła się swobodnie i zajmująco. Znajomy z Genewy rozpowiadał o piękności tych stron, wyliczał niezliczone gatunki win reńskich, biadał nad nieopisaną nędzą Niemiec, nad głupotą polityki sfer rządzących, nad błędami Wielkiej Kwatery, ale był najpewniejszy ostatecznego zwycięstwa, albowiem nieśmiertelny żołnierz niemiecki już przemógł wszystkie trudności, nędzę i błędy wodzów.

— Zresztą nie mogę nie wierzyć w zwycięstwo choćby dlatego, że — proszę sobie tylko wyobrazić coby z nami było, gdyby nas wkońcu sprali? Przechodzi to wszelką wyobraźnię, więc wierzę, wierzę, wierzę, bo inaczej trudnoby było wyżyć.

Claude powstał, ale nie mógł się odczepić od gaduły, gdyż musiał on dokończyć opowieści o Evie Evard, która znikła w tajemniczy sposób ale w ostatnich dniach odnalazła się aż w Paryżu, co jest najlepszym dowodem, że należała ona do niecnej szajki szpiegów francuskich, świeżo właśnie wykrytych. Generał von Sittenfeld, skompromitowany i ośmieszony, miał popełnić samobójstwo, ale wkońcu żyje, został zawieszony w funkcjach i z rozpaczy zgłosił się na front.

Na Schlossgartendamm Claude został zagabnięty niespodziewanie o imię ojca, gdyż w Worms opowiadano właśnie w tych dniach ciekawe rzeczy z przed lat trzydziestu o niejakim Ludwigu Helmie, człowieku jakimś

nadzwyczajnym, który po nieszczęśliwym pojedynku musiał emigrować do Ameryki.

Claude stropił się, zapomniał imienia ojca i pomimo rozpaczliwego wysiłku żadne imię nie przychodziło mu do głowy. Nie mógł zmyśleć czegoś napoczekaniu, boć to nieszczęsne ojcowskie imię było zanotowane w papierach, związanych z legalizacją jego pobytu w Niemczech, a nawet w księgach meldunkowych w tutejszym magistracie...

Spocił się ale wreszcie wybrnął, choć imię ojca nie odnalazło się jeszcze w pamięci. Nie odpowiadał przez sporą chwilę, wreszcie spojrzał z dobrodusznym uśmiechem w wielkie rogowe okulary.

— Pan jest ciekaw imienia mojego świętej pamięci ojca, ale ja jak dotąd nie wiem nawet jak się pan nazywa?

— Przepraszam! Przepraszam! Co za roztarggnienie... Nazywam się von Senden, porucznik w rezerwie i że tak powiem inwalida, ach panie, niestety nie tylko w wojennem znaczeniu tego słowa.

Szli dalej, pan von Senden gadał jak młyn, skacząc z tematu na temat, i wreszcie już na samem wybrzeżu na Rheinvorlandstrasse oznajmił, że pisze opowiadanie o losach i przygodach kapitana Mousson, dezertera francuskiego, które obmyślił był dla siebie w Genewie.

— Mistyfikacje to moja specjalność, dlaczegóżbym nie miał wykorzystać tego uzdolnienia w literaturze? Czemże jest w gruncie rzeczy każdy powieściopisarz? Mistyfikatorem, człowiekiem opętanym przez własną wyobraźnię. Kto wie, może mi się powiedzie w nowym

zawodzie? Ostatni czas na to, bo w ciągu całego życia wszystkie moje zawody kończyły się samemi zawodami. Spróbuję, narazie do mojej noweli nie staje mi materjału faktycznego, bo nie znam codziennego trybu życia i służby w armji francuskiej, trzebaby rozpytać jakiegoś jeńca. A dalej, wojenna gwara żołnierska... Nie wie pan, naprzykład, jak oni przezywają kucharza kompanijnego? Sierżanta? Pocztę połową?

— W tej materji jestem tyle mądry co i pan.

— Prawda, staję się roztargniony, ale ja wciąż rozpytuję wszystkich naokoło... Mam duże luki w mej noweli.

Byli już na przystani, Claude tylko czekał, że von Senden wsiądzie też na statek i przeprawi się wraz z nim na tamten brzeg, ale gdy parowczyki przybił do brzegu, zaczął się żegnać.

— Pragnąłbym od czasu do czasu...

— Owszem, z miłą chęcią, ale doprawdy jestem zbyt zajęty...

— Panie doktorze, znajdziemy jakąś wolną godzinkę... W „Goldener Pfau“ dobrze mnie znają, pan wie, na P 4, mają tam Rüdesheimera z wyjątkowego zbioru, zobaczy pan co to za cud!... Ach, jeszcze jedno, doktorze... Pan zna moją żonę, nie żyjemy ze sobą, ale pozostajemy w przyjacielskich stosunkach — czy pan ją widział w tych dniach? Gdzieś mi zginęła, od tygodnia niema jej w domu w Heidelbergu, ani tutaj u rodziców. Bardzo ruchliwe życie prowadzi moja była żonka...

— Ach, pani von Senden — nie wiedziałem, że to pańska małżonka. Raz jeden spotkałem panią von Senden

bardzo przelotnie i to już dosyć dawno...

Stateczek odbijał od przystani, w tej chwili Claude przypomniał sobie imię ojca i w zdenerwowaniu o mało się nie wyrwał i nie zawołał o tem do pana von Senden, który ku niemu wywijał kapeluszem, żegnając go najżyczliwiej.

Claude klął w duchu okropnemi słowy we wszystkich trzech językach, jakie posiadał. — Licho przyniosło tego łapacza, zdaje się, że jeszcze będę miał z nim kłopot. Zato nowinę o wsypaniu się centrali berlińskiej (więc dlatego nie stawił się groźny Abbegglen!) przyjął z wielkiem zadowoleniem, zresztą dla przyzwoitości bardzo nikle osłoniętem przed samym sobą. Poczuł przedsmak wyzwolenia, nawet nie pomyślał nad tem, że i on w dalszym biegu tej sprawy może być brzydko zaczepiony, a kto wie, może go już nawet ujawniono... Z lekką myślą patrzał w swoje niewiadome, fantastyczne jutro.

Rita przyjęła go obojętnie, była zasklepiona w sobie, milcząca, jakby chciała ukarać go, a może i samą siebie za wyjątkowy wczorajszy dzień. To go onieśmieliło i również pogrążyło w milczeniu. Siedzieli każde w swoim kącie aż do chwili, gdy w otwarte okna uderzył łomot kroków wielkiej gromady ludzi, grzmot bębnów, ryk trąb, bezładne wrzaski. Rita zerwała się i zasłoniła sobie uszy.

— Co to jest? Czemu oni tak strasznie krzyczą?

— Zwycięstwo!... Wczoraj mówiliśmy z panią o przejściu Marny.

— Marna? To już chyba raz było, ale kiedy?

— Prawie cztery lata temu.

— Pan żartuje? Cztery lata?!

— Tak jest, pani Rito, tak jest...

— A więc teraz znowu się zaczyna od początku... I jeszcze raz będziemy musieli przecierpieć nowe cztery lata... Chyba nie inaczej jest w piekle, spętała nas jakaś poczwarna wieczność... A kiedyż będzie koniec?!

— Koniec już bliski — wszyscy tak mówią.

Nagle ucichły trąby i wrzaski, tłum zatrzymał się, zaszumiał, zagadał, wielkie chorągwie zielone, czerwone, żółte chwiały się w miejscu, zaglądając do okien. Ozwał się tuż w pobliżu głos mocny, odrazu wymiótł z ulicy resztę zgiełku i zapanował wśród ciszy. W pokoju słychać było wyraźnie każde słowo. Rita w ciągu dwóch — trzech minut słuchała z cierpieniem w oczach, z odrazą, odsuwając się wciąż coraz dalej wgłąb pokoju aż wreszcie wcisnęła się w kąt za fortepianem.

—...Ale teraz, teraz, obywatele! Ciężko próbował nas i doświadczał — ale teraz, teraz, obywatele, wysłuchał naszych modłów Bóg niemiecki! W grzmocie naszych dział, w kłębach naszych śmiertelnych gazów, jak wśród piorunów i chmur na górze Synai odezwało się jego olbrzymie słowo, jego słowo olbrzymie, obywatele, do wybranego narodu! To słowo boże — to zwycięstwo! I gdy teraz, obywatele, liczymy nasze cierpienia, trudy i ofiary, to w tym radosnym momencie zwycięstwa pozbądźmy się małoduszności i otrząśnijmy się z więzów żałoby, albowiem, obywatele, widzimy jasno, że przydał się ojczyźnie niemieckiej i opłacił się stokrotnie w losach narodu każdy nasz drogi poległy! Obywatele, zaprawdę

powiadam wam, że nie zginął na marne ani jeden żołnierz niemiecki w polu! Ani jeden w przestworzu powietrznem! Ani jeden nie zginął na marne w głębinach morza!...

Rita w paru skokach przypadła do okna, wychyliła się w bezprzytomnem uniesieniu i zaczęła krzyczeć wysilonym, zrywającym się co chwila głosem:

— Nieprawda!... To kłamstwo i fałsz!... Ludzie, ludzie, nie słuchajcie go! Ten człowiek znieważa zmarłych! Ten człowiek bluźni Bogu!...

Claude chwycił ją i przemocą oderwał od okna, szarpała się z nim w zapamiętaniu, w milczeniu, z oczyma, pełnemi nienawiści. Tłum zawył, zahuczał, grudki błota, kamienie, okruchy cegieł sypały się w okna. Żelazna krata ogrodzenia od ulicy wyginała się pod parciem masy, już wywalono furtkę. Claude odciągał Ritę, a nikogo nie miał do pomocy, wiedział, że jeżeli natychmiast, nie tracąc sekundy czasu, nie stanie w oknie i jakimś cudem nie powściągnie gniewu tego ludu, to rozwścieczony tłum wedrze się, zniszczy, porozbija i podruzgoce wszystko i szukać będzie Rity. Cisnął nią brutalnie, aż zatoczyła się i padła na dywan, ale zanim dobiegł do okna, zgóry, z balkonu odezwał się drżący, ale mocny głos starego profesora.

— Bracia moi, Niemcy!... Bracia moi w Chrystusie i w narodzie niemieckim!... Darujcie nieszczęśliwej córce mojej...

Gwar głuszył jeszcze jego słowa, ale kamienie przestały padać do okien parterowych willi. Zagadano — Wager — Wager... W tłumie przeważali robotnicy i technicy z „Badische“, był to ich własny pochód, w którym powracali

z miasta, z centralnej manifestacji do siebie, do Ludwigshafen.

— Cicho tam! Spokój!

— Słuchać! Słuchać!

— Wager mówi, to jego dom!

— Wager, Wager!

— Sam Wager...

Stary profesor swemi prostemi słowy i głosem, nabrzmiałym szczerością i łzami, szybko uspokoił rozruch. Darowano winę jego chorej córce, która tyle wycierpiała, uczczono Wagera-syna, który zginął za ojczyznę. Nagórę przyszła nawet delegacja i przepraszała za nieporozumienie i za wybite szyby. Claude podźwignął Ritę, która, siedząc na ziemi, wysłuchała całej przemowy ojca. Spojrzała wystraszonemi oczami.

— Ja nic nie wiedziałam... Nie domyślałam się, nieszczęsna, że jestem warjatką...

— Nieprawda, pani Rito! Co pani znowu? Profesor tego nie powiedział!

— Niech pan nie kłamie, ja słyszałam, ojciec powiedział najwyraźniej...

— Co mówił, to mówił, jakże inaczej mógł obronić panią przed wściekłym tłumem? Toż oniby panią zamordowali! Trzebaż było coś powiedzieć!

— Panie Helm, proszę mi odpowiedzieć szczerze i zupełnie poważnie...

— Słucham panią!

— Jeżeli ktoś jest obłąkany, naprzykład jak ja... Czyż w takim razie nie mogło mi się uroić i przywidzieć, że Fell

zginął na morzu, a on tymczasem żyje? Ale w takim razie dlaczego nie było go tak dawno? Już tak strasznie dawno...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

II

Depesza pułkownika von Voss z adjutantury pierwszego generał kwatermistrza wydarła starego profesora z apatji i przygnębienia. Ocknął się i w pierwszej chwili wróciło coś nakształt zapału i nadziei... Ale wnet przemogło utrudzenie i głęboka niechęć do żyda wtrącała go z powrotem w martwe, bezczynne bytowanie z dnia na dzień, w którem czuł się dobrze, bo były w niem spokój i ukojenie jakby śmierci. Czego jeszcze od niego chcą? Zlekceważono i odrzucono jego ostatnie twórcze porywy, zarzucił pracę w końcowej najważniejszej i najtrudniejszej fazie, gdy trzeba było jeszcze paru dni wysiłku, a bodaj jednej godziny natchnienia, by zbudować substancję „K“, tak nazwaną już naprzód na cześć Kurta — odkryć formułę nieodpartej, piorunującej śmierci... Gdy twierdził, że gaz „K“ zakończy wojnę, wierzył w to niezbicie, bo jemu jednemu było wiadome, co udało mu się wydrzeć z otchłani tajemnic chemji.

Ale nie uwierzył Gaz-Departament, nie uwierzył i pierwszy generał kwatermistrz. Teraz go wzywają — za późno, nie czuł w sobie chęci ani sił do tak wytężonej pracy. Choćby się zmusił i dokonał dzieła w swojem laboratorjum, to ileż miesięcy trzeba będzie na przygotowanie produkcji masowej... Inna rzecz, gdyby nad Niemcami zawisła groźba klęski, wówczas jeszczeby spróbował, choćby miał paść z przymusu i utrudzenia, ale teraz, chwała Ci, Boże — po ostatniem zwycięstwie...

Należało niezwłocznie odpowiedzieć — wytłumaczy się chorobą, w jego wieku nie będzie to uchodziło za wymówkę. Zresztą niech pułkownik von Voss przyjedzie do niego. Osobiste widzenie z pierwszym generał kwatermistrzem byłoby dlań zbyt ciężkiem nie przez jakowąś urazę, lecz z obawy przed zbyt mocnem wrażeniem i ze wstydu za swoją starość, niewiarę i niemoc.

Zasiadł do napisania depeszy i zadumał się. Przesiedział z godzinę z piórem w ręku w starczem, bezmyślnem odrętwieniu, jakgdyby drzemiąc. Po godzinie ocknął się z postanowieniem, które było mocne i nieodwołalne, jakgdyby wcielił się weń ów dawniejszy, ruchliwy, dzielny, ów młody Wager, ten — co już było nie do wiary — Wager z przed sześciu tygodni.

„ — Będę — wedle depeszy — lipiec dzień siedemnasty — Komendantura Garnizonu — Kolonja — godzina trzynasta i pół“.

Pojechał, zostawiając Ritę pod opieką nieocenionego doktora Helma. W drodze czuł się rzeźko, wielkie zamiary nurtowały w nim, jak za najlepszych czasów. Nie upajał go już dawny, fantastyczny poemat zniszczenia, rozumował rozsądnie i niejako usprawiedliwiał się sam przed sobą, a w pewnej mierze i wobec potomności, z okrucieństwa, a raczej z fenomenalnej skuteczności nowej substancji, gdyż skróci ona wojnę conajmniej o parę miesięcy i oszczędzi setki tysięcy żywotów ludzkich. Rozumował, jak szczery humanitarysta, postawiony wobec twardego obowiązku. Pod nową podnietą substancja „K“ była już niemal gotowa w jego mózgu... Ale postanowił dać jej inny znak dla

markowania pocisków — nie wypadało wiązać tych spraw z imieniem Kurta, fanatycznego wroga wojny, który ze swoją nienawiścią żył, walczył i z nią zginął. Niechże nowy gaz zostanie w historji pod literą „R“, na cześć ukochanej córki, zdruzgotanej przez wojnę, jako symbol zemsty za jej krzywdę... Ale wnet porzucił i ten zamiar, nie licowało to z całą postacią duchową Rity, a nawet jakby jej urągało. Niechże ten nowy niemiecki bicz boży na wroga nosi poprostu znak swego twórcy, literę „W“, tak będzie najlepiej, a zresztą chyba słusznie mu się należy to niewinne upamiętnienie jego osoby.

W wagonie rozprawiano o nowem zwycięstwie, szeleściły gazety i mapy. Ożywienie, nadzwyczajne podniesienie ducha — opowiadano mnóstwo szczegółów ostatnich walk w Szampanji, piętrzyły się cyfry kolosalnych strat nieprzyjaciela, jeńców, zdobytych dział. Z chwili na chwilę oczekiwano upadku Reims. Za tydzień ma być ukończone przegrupowanie armij, które pójdą koncentrycznym marszem prosto na Paryż, a w końcu sierpnia wojna będzie zakończona. W wagonie już się kłócono o warunki „niemieckiego pokoju“, wymagania rosły z każdą stacją, pasażerów bardziej umiarkowanych zakrzyczano. Ludzie musieli sobie ulżyć za wszystkie czasy, za zgryzoty ustawicznego niepokoju, za swoją żałobę, za nędzę. Fenomenalna odmiana fortuny przeobraziła wszystkich, radowali się, ufali i wołali „hoch!“ sceptycy, czarnowidze, ci, którzy doniedawna nie wierzyli już żadnym komunikatom, którzy oskarżali cesarza, kanclerza i samego Ludendorffa, ci, co od dwóch lat wołali

o pokój, i ci, których specjalnością stały się przygnębiające plotki oraz zabójcze anegdoty o najwyżej postawionych osobistościach. Profesor Wager ochoczo poddał się ogólnej radości, w swoich zgryzotach i w osamotnieniu zdziczał i nie wierzył już w lepszy los ani dla siebie, ani dla skołatanej ojczyzny. Ożył wśród tych rozgadanych nieznajomych ludzi, wtrącał się do ogólnej rozmowy, stawał się jak oni lekkomyślnym i naiwnym. Wreszcie zdrzemnął się słodko.

Ujrzał uroczy zakątek w górach, przeczysty potok wartko mijał zielonkawe głazy spoczywające na dnie, które pod nurtem mienią się jak olbrzymie klejnoty z baśni. Potok śpiewa przędz! wnemi głosami, układa akordy, gra, jak to potrafi jedna Rita. Brzeg barwi się w słońcu przepysznem kwieciem, tchnie zapachem rozkosznym, gorącym, daleko, szeroko ściele się łąka, pośrodku samotne drzewo — rozrośnięty smrek nisko spuszcza gałęzie. Pod drzewem paru niemieckich żołnierzy a z nimi jakiś chłop w szerokich płótniakach i cienka brodata postać w czarnym chałacie do ziemi. Wszystko znajome, kiedyś naprawdę przeżyte...

Ocknął się — wszak to Kurt w Karpatach, wiesza Hucuła i Żyda...

Któryś z podróżnych poznał wielkiego Wagera, ogłosił to w przedziale, zakrzątnął się i wnet ustąpiono znakomitemu uczonemu miejsca pod oknem, ściśnięto się, żeby mu było wygodniej, uciszono się potrosze i profesor zasnął znowu. Obudził się dopiero po paru godzinach — pociąg stał w Bingen. Zrazu nie wiedział co się z nim dzieje, gdzie jest, wydzierał się z trudem z topieli widziadeł, które długo

dręczyły go we śnie. Za oknem zwarty tłum żołnierzy w hełmach, z bronią, w całein obładowaniu przepychał się kędyś w zamęcie i w pośpiechu, ponad tłumem młody oficer, stojąc na wózku bagażowym, krzyczał bez przerwy, poganiając żołnierzy.

— Schnell! Schnell! Aber Schnell!!

Szeroki otok hełmu rzucał cień na twarz oficera. Któż to? Na Boga, toż to chyba sam Kurt, to Kurt Wager już robi w Niemczech swoją rewolucję!..

Majaki tej rewolucji dopiero co gnębiły go we śnie. Było to już po wojnie, w willi Zyglinda ukrywała się przed gniewem motłochu i zbuntowanych żołnierzy jakaś wysoka persona, przebywająca w rotundzie narożnej wciąż w masce i w szczelnem przybraniu przeciwgazowcm. Niewiadomo kto to był, ale rozkazywał w domu jak pan i bał się straszliwie rewolucjonistów. Pod oknami przez Zollhofstrasse przelatywali pędem żołnierze na ciężarowych samochodach, na motocyklach, roili się pieszo, poszukując znakomitej osoby, wreszcie wdarli się do domu. Profesor pędzi nagórę, po drodze na ciemnych krętych schodach słyszy przepotężny huk, a gdy stanął w okrągłej sali drugiego piętra wszystkie okna dookoła były już wysadzone przez wybuch. Zamaskowany dygnitarz stał pośrodku, trzymając się oburącz za olbrzymią głowę i kręcąc na wszystkie strony poczwarnym ryjem filtru. Wybuch za wybuchem — chylą się, łamią się w powietrzu i padają pokolei niebosiężne kominy „Badische“, kłęby dymu, strzeliste płomienie i wnet belki i deski, stalowe wiązania dachów, rezerwoary, tysiące pocisków wylatują

wysoko w powietrze, zakreślają łuki i spadają z powrotem, rzeka Ren na całej szerokości roi się od wytrysków. Profesor Wager już czuje w powietrzu pierwsze tchnienie trucizny, na początek ledwie uchwytny, miły, rzeźwiący, nieco drażniący powiew, posmak jakby chrzanu i truchleje ze strachu, bo wie, że to nadchodzi on — dzieło i zasługa jego żywota, chluba wiedzy niemieckiej, groza i śmierć nieprzyjaciela, jego umiłowane dziecię — Żółty Krzyż...

Żółty Krzyż idzie na miasto... Z całego miasta nikt nie wyjdzie żywy, na sto kilometrów wokoło sięgnie zatrucie, wszędzie rany, kalectwa wieczne, ślepota...

Chwieje się, pada na kolana, zalewa go fala śmiertelnego oparu, która wydarła się z kolosalnych zbiorników i idzie murem na miasto w potwornem zgęszczeniu, nieznanem na żadnem polu bitwy... Dusi się, zaraz zemdleje... Wpadają ludzie w maskach i rzucają się z nożami na tajemniczą znakomitą osobę, zdzierają gumowy kołpak, maskę. Przez mgłę śmierci widzi profesor Wager, w ostatniej swej chwili poznaje — to ginie młoda nadzieja Niemiec, wódz piątej armji, kronprinz cesarski, następca tronu... Jeśli go nie rozszarpią żołnierze, zabije go Żółty Krzyż...

Okropnie naciskało na mózg senne widziadło, tak osłabł, że ledwie się trzymał na kanapie przedziału, myśli zmąciły się, a stare spracowane serce dygotało, zamierało, kłóło boleśnie. Odmieniło się w nim wszystko, wróciło najgorsze.

Pociąg ruszył dalej a on zapytywał siebie, poco wyruszył w świat, poco jedzie wplątywać się nanowo w straszliwą sprawę wojny, gdy mu bardziej przystoi pościel śmiertelna i trumna — ukojenie, zapomnienie i spokój wieczny?

Martwa, potężna, nieubłagana siła niosła go pędem przez niziny nadreńskie, mijały pola, lasy, wsie i miasta ukochanej, otulonej w żałobę ziemi niemieckiej. Nie było tu jednej chaty, gdzie nie brakłoby ojca, albo męża, lub syna. Poszli i któż wie gdzie nimi cisnął rozkaz wojny... Walczą w Turcji, w Bułgarji, we Włoszech, w Rumunji, na rubieżach Ukrainy, lub w tejże krwawej Francji... Tam trzeba szukać ich chwały, tam trzeba szukać ich mogiły. Wieluż to opłakały już i w biegu lat wojny zapomniały matki, żony, siostry? Nad wieluż płaczą właśnie dzisiaj, w tej szczęśliwej godzinie zwycięstwa? Reszta trwa w polu, bez końca toczy się ich gra. Kto wróci? Który nie wróci?

Wydało mu się, że dopiero teraz zaczyna rozumieć wojnę — nie, jej pojąć niepodobna... Raczej teraz dopiero zaczyna prawdziwie rozmyślać nad nią, on, wielki Wager, który tyle o niej przemyślał i wypowiedział tak wiele wzniosłych i mądrych słów w rozmowach i w rozprawach, w wielkich przemówieniach publicznych, w swoich pismach. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby można było postawić tezę o zbrodni i winie wszystkich ludzi, a więc i o jego odpowiedzialności za to, co od czterech lat działo się na świecie. Czyż wojnę wywołały jedynie państwa, a więc ich panujący, rządy, parlamenty, dyplomaci, wielcy generałowie? To pogląd fałszywy, nazbyt już symplistyczny, hołdował mu i Kurt w swym zaślepionym fanatyzmie socjalistycznym. Nieprawda — to cały naród niemiecki w poczuciu słuszności swojej sprawy opowiedział się za wojną.

A cóż to jest naród? Kto czuje i myśli za naród? Kto w jego imieniu pobiera wielkie decyzje? Kurt odpowiada poprostu — kapitał, burżuazja, z żądzy rynków i zdobyczy. Jego ojciec powie, że to elita społeczna, ci którzy są rozumem i sumieniem swego narodu. Elita tworzy wiedzę i kulturę, ona z pokolenia w pokolenie przekazuje najistotniejszą więź narodu, jego tradycję. Masa, te sześćdziesiąt miljonów Niemców, oraczy i zjadaczy chleba, to zaledwie surowe tworzywo, które dopiero za przykładem, pod wpływem, kierownictwem i pod władzą elity zdolne jest do odegrania pewnej roli jako część składowa narodu...

— Znana burżuazyjna teorja mięsa armatniego! Dlaczegóż ty, ojcze, i tobie podobni dygnitarze elity nie idziecie na wojnę potykać się z elitą Francji i rozstrzygać problemat dziejowy? Ciemna pogardzana masa, niegodna imienia narodu, powinna zostać w domu. A po obu stronach jest was nie tak wielu, powiedzmy przy powszechnej mobilizacji elity najwyżej po jakie sto tysięcy rycerzy, wasza wojna trwałaby krótko, kosztowałaby tanio...

To była ich ostatnia kłótnia z Kurtem w dniu pożegnania, gdy odchodził na front, żeby nie powrócić nigdy. Nigdy nie miał słuszności nieszczęsny zapalczywiec, nie ma jej i z poza grobu, ale jedno przyznaje mu teraz osierocony ojciec, oto, że nie tylko ktoś tam na szczycie drabiny społecznej winien jest wojny i za nią odpowiada, winien jest i on sam, który stoi w pierwszym szeregu narodowej elity. Nanic się nie zdały mądre racje ani żadne wykręty. I on dźwiga swoją część winy — bo czyż nie mogło wszystko obrócić się

inaczej? I on i cała jego elita przed czterema laty w dniach straszliwego przełomu wyrzekli się swojego dziejowego powołania, zdradzili je haniebnie, dali się zatopić w pijanem szaleństwie tych dni narówni z ciemną masą, pozwolili się zepchnąć z wielkiej areny. Pozostał cesarz i dwór, dyplomaci, generałowie, garść ludzi dzierżących mocno władzę. A gdzież był na tę porę genjusz niemieckiego narodu? Kędy się podział, gdzie przebywał przez całe cztery lata walki?

— Głupstwo, wszystko to głupstwo... Nie pora wszczynać spory, wypominąć przeszłe błędy, zapóźno. Niech się toczy dalej koło przeznaczenia, napróżno biadać, wdawać się. w jałowe porachunki ze swoją skołataną duszą.

Opędzał się jak mógł.

W Koblencji pociąg stał długo, czekając na spóźnione transporty wojskowe. Mijały, wlokąc się na sąsiednim torze, pod jego oknem długie wagony, poznaczone czerwonemi krzyżami, przystawały, ruszały dalej, z otwartych okien bił w jego okno prosto w twarz odór szpitalny, w upalnem powietrzu tężała ostra woń medykamentów, karbolu, formaliny, dusiło ciężkie cuchnienie wydzielin i ran. Wraz z jednym ze zwolna przesuwających się wagonów zbliżał się, nadchodził i wreszcie uderzył wprost okropny jęk bólu, zapamiętały, nieprzerwany, rozdzierający duszę. Siedzący w przedziale mienili się na twarzy, wzdychali, profesor Wäger nie zdołał wytrzymać i rozpłakał się piekącemi łzami w głuchem starczem łkaniu, za nim zachlipała czarno ubrana pani a z nią dwoje przestraszonych dzieci. Wagon nie ruszał i stał w

miejscu niemiłosiernie, jęk nie ustawał ani na chwilę. Profesor zalany łzami podniósł się, chwycił swoją walizeczkę i zamierzał kędyś uciekać.

— Nie pojadę! Wracam do domu, jestem stary, jestem chory — naco ja się komu przydam? Ale zanim się wydostał z korytarza zapchanego ludźmi, pociąg ruszył i poniósł go w świat.

Generał Ludendorff w ciągu trzech miesięcy od ich spotkania w Wielkiej Kwaterze snać podupadł na zdrowiu, gdyż zmienił się bardzo. Przygarbiła się wyniosła posągowa postawa człowieka historji, pierwszy generał kwatermistrz skurczył się jakoś, jakby zmalał. Biegające oczy w niczem nie przypominały tamtego śpiżowego spojrzenia. I głos już był inny, bez metalicznego, męskiego podźwięku, ściszony, znużony. Profesor spodziewał się ujrzeć go w całym blasku wspaniałego zwycięstwa, a spotyka człowieka jakby przywalonego ciężarem, snać ostatnie zwycięstwo kosztowało go niemało i snać jeszcze nic przyszedł do siebie po niezmiernym wysiłku. Zato był bardziej ludzki, niemal uprzejmy.

— Dziękuję panu, panie tajny radco, za przybycie na moje wezwanie... Ale źle pan wygląda, jak zdrowie? Bo my tu mamy dla pana profesora kolosalne zadanie... I bardzo, bardzo pilne! Proszę siadać...

Profesor słuchał, wytężając całą uwagę, zbierał siły, gdyż czuł w głowie przykry zamęt, powstały ze znużenia po źle, niemal bezsennie spędzonej nocy. Ale generał wykładał rzecz jasno, bardzo treściwie. Jego głos był monotonny, bez

wyrazu. Przemawiał jakby do samego siebie, jakby myśląc głośno, dzielił zdania, czynił przerwy, to znów powtarzał po raz drugi słowa i końce zdań. Brzmiało to dosyć dziwnie i nawet przykro, profesor odgadł, że generał, który codziennie dyktuje rozkazy, instrukcje, memorjały, przez proste przyzwyczajenie zachowuje widać ten sam sposób mówienia na konferencjach i w rozmowach.

Sprawa przedstawiała się osobliwie. To, co w początkach marca przed pierwszą wiosenną ofensywą było uznane przez Wielką Kwaterę za zupełnie zbędne, teraz po trzech miesiącach, po dwóch zkolei kolosalnych zwycięstwach okazuje się nietylko aktualnem, ale pilnem, natarczywie koniecznem dla prowadzenia wojny.

Nie pytając go bodaj jednem słowem o zdanie ani o zgodę, generał przeszedł wprost do rzeczy praktycznych w wykonaniu zadania, do zagadnień technicznych i organizacyjnych, do spraw finansowych, w których był bezgranicznie hojny, wreszcie do terminów, które wyznaczał w czasie w sposób stanowczy a cyfrowo absolutnie, niemal po dziecinnemu nierealny. Profesor Wager był przerażony. W tym dobitnym wykładzie, w kategorycznych zleceniach, w ich całym planie tkwiło bezmierne nieporozumienie.

Wypadało na to, że nowa piorunująca substancja, ów cud genjalnego Wagera, od szeregu miesięcy czeka tylko decyzji Wielkiej Kwatery, aby natychmiast po otrzymaniu rozkazu runąć na nieprzyjaciela i niebywałym tryumfem zakończyć wojnę. Pominąwszy olbrzymią pracę przygotowawczo-organizacyjną, dla podjęcia nowej

produkcji trzeba obmyślić i skonstruować specjalny typ aparatów fabrycznych, wykształcić inżynierów i robotników, przeszkolić kolumny amunicyjne, artylerję, lotników, formacje gazowe, korpus sanitarny, przeprowadzić szereg doświadczeń, skonstruować nowy typ maski ochronnej...

Cała ta niezmierna praca nie przekracza możliwości ludzkich, wziąwszy pod uwagę oporny, nieubłagany czynnik czasu. Ale rzecz główna i najpicrwsza, bez której gorzej niż niczem, bo absurdem będą wszystkie nadzieje i wyrachowania, wszelkie prace, przygotowania, zachody, zabiegi...

Gdzież jest owa tajemnicza substancja, ciało magiczne, cud chemji?...

Profesor Wager kilkakrotnie już chciał przerwać wywody pierwszego generał kwatermistrza swem bolesnem wyznaniem. Nie śmiał, jakgdyby ponosił winę za okropny zawód, który mu czyni. A któż zawinił, jak nie on sam? Czyżby tak zeszczętem zapomniał o ich rozmowie? Wreszcie odważył się.

— Excelencjo...

— Proszę? — generał był widocznie zdumiony, że mu ktoś przerywa.

— Chciałbym nadmienić, że wszystko co usłyszałem ma wielką wagę, ale wydaje mi się, czyli jest narazie przedwczesnem...

— Nie tylko nie jest przedwczesne, ale grubo spóźnione! Mam nóż na gardle!

Profesorowi zdawało się, że się przesłyszał o tym nożu,

więc, zająknąwszy się nieco, brnął dalej z odwagą rozpaczy.

— Wyraziłem się, że są to rzeczy nie na czasie, gdyż od trzech miesięcy zaniechałem wszelkich prac, związanych z zamierzonem odkryciem.

— Jakto — pan zaniechał? Co to jest?! Dlaczego?!

— Dlatego, że pan generał uznał moje odkrycie za niepotrzebne i odmówił mi wręcz swego poparcia!

— Tam do djabła... Nie mogłem popełnić tak grubego błędu! Pan profesor mnie źle zrozumiał!

— Panie generale, zrozumiałem zupełnie dobrze!

— Mniejsza o to. Ale teraz znalazłem się w położeniu gruntownie zmienionem i potrzebuję pańskiego odkrycia. Cóż będzie?

— A więc samo odkrycie nie istnieje, znajduje się ono coprawda w swojej fazie końcowej...

— To kończże je pan nagwałt i już! Najprostsza rzecz!

— Panie generale, w tej dziedzinie nie pomoże żaden alarm. Chemja ma swoje własne drogi i metody i każde odkrycie musi je przebyć w ścisłej kolejności. A dalej — przed jego celowem zastosowaniem, w danym razie dla sprawdzenia skuteczności działania danej substancji na organizm ludzki niepodobna pominąć ani jednego punktu z rozległej serji prób i doświadczeń, które jak w danym razie muszą zabrać bardzo sporo czasu. Dopiero...

— Więc daję panu dwa tygodnie!

— Pan generał żartuje...

— Panie tajny radco, proszę wiedzieć, że człowiek na mojem stanowisku nie ma czasu na żarty!

— Nie chciałem urazić pana generała, proszę mi

wierzyć, że do żartów i ja nie mam ochoty.

Na chwilę zapadło milczenie, generał z pewnym podziwem patrzał na krnąbrnego cywila, Wager dygotał z oburzenia wobec fenomenalnej pewności siebie i ignorancji wielkiego człowieka.

— Więc trzy tygodnie! Niech będzie miesiąc! Panie profesorze, ma pan cały miesiąc czasu! Zatem od dziś za miesiąc, a więc dnia siedemnastego sierpnia pierwsze partje pańskich pocisków mają znaleźć się na froncie. Na początek uzbroimy w nie ciężkie eskadry lotnicze. Jeżeli istotnie okaże się jak to pan zapowiadał — jak pan to zapowiadał, — że działanie nowego gazu da wyjątkowo piękny efekt, pchnę radio-ultimatum... Pchnę radio-ultimatum z propozycją... Z propozycją zawieszenia broni z pobudek natury humanitarnej. W razie odrzucenia propozycji humanitarnej lub braku odpowiedzi ze strony nieprzyjaciela następny atak skierujemy wprost na Paryż... Wprost na Paryż...

Profesor słuchał ze zgrozą tej bohaterskiej opowieści, w jego rozpaczy przemykał się ślad niewczesnego, dawno pogrzebionego zachwytu. Wszak generał Ludendorff, kierownik wszystkich armij niemieckich, stojących w polu. powtarza jego najtajniejsze marzenie, czarodziejską baśń uczonego, który całą swoją wiedzę oddał w służbę naukowemu mordowaniu ludzi.

Mogłoby, ach, jeszcze jak mogło i powinno było tak właśnie być! Aż dopiero gdy sam zabił w zarodku i zniszczył wielkie dzieło, upaja się wspaniałym eposem kataklizmu, który nigdy nie będzie miał miejsca... Była w

tem poczwarna ironja, szyderstwo losu. W starym profesorze wzbierało oburzenie za swoją krzywdę i za cios, który uderza w armję i w całą sprawę niemiecką z ręki tego naczelnego wodza. Bez wahania przerwał dalsze wywody, dyktowane tonem pedantycznym, bezbarwnym.

— Panie generale, gdybyśmy doszli byli do porozumienia wówczas przed trzema miesiącami, o tej porze zapewne nieprzyjaciel już poczułby na sobie pierwszy druzgocący efekt nowej substancji, co bez wątpienia otworzyłoby przed nami widoki, przechodzące swym ogromem ludzką wyobraźnię...

— Jakto — trzy miesiące? Profesorze, to niepodobieństwo, nie możemy czekać dalej niż miesiąc, to moje ostatnie słowo. Pan zupełnie nie zdaje sobie sprawy w jakich czasach żyjemy!

— Z pewnością, panie generale, z wielu rzeczy nie zdaję sobie sprawy i nie jest to bynajmniej moim obowiązkiem rozumieć się na wszystkiem — raczej pańskim, panie generale. Ale zato wiem niezbicie i pragnąłbym pana przekonać, że przy obecnych zmienionych okolicznościach nie wystarczyłoby mi i trzech miesięcy...

— Ależ ja panu daję nieograniczone kredyty, pełnomocnictwa, oddam panu z frontu tysiące ludzi, wszystko, czego pan żądał wówczas...

— Panie generale, nieubłagana waga momentu czasu...

— Ależ panie profesorze, proszę mnie nie pouczać o doniosłości momentu czasu! W mojej pracy codziennej siedzę w tem po szyję!

— Panie generale, czas to wielki figlarz, drwi sobie

nieraz z ludzkich obliczeń, z cyfr, nawet z miljonowych kredytów. Weźmy najprostsze zadanie arytmetyczne — jeżeli stu robotników buduje dom w rok czasu, to tysiąc robotników nie ukończy go jednak w ciągu miesiąca, ściśle w ciągu trzydziestu sześciu i pół dnia. Tem bardziej nie powiedzie się dziesięciu tysiącom robotników, gdy im kto wyznaczy na ukończenie domu termin trzech dni i sześćdziesięciu pięciu setnych — i tak dalej. Tak samo mniej więcej przedstawia się zagadnienie czasu w sprawie, o której właśnie mówimy, czyli o możliwem sforsowaniu i skróceniu moich przygotowań. Kredyty, najdalej idące ułatwienia i tym podobne czynniki bardzo i bardzo dopomogą dziełu, ale nie sprawią cudu. Proszę nie wymagać tego ode mnie. I jeszcze jedno, panie generał-kwatermistrzu, ale to już moja osobista sprawa i prośba...

Ludendorff podniósł nań znużone puste spojrzenie i profesora tknęła myśl, że on zupełnie nie słuchał i nie słyszał jego przykładu z budową domu a teraz jakby się ocknął ze snu i przypomina sobie, co zacz tu przed nim siedzi i czego chce...

Na tę chwilę wsunął się młody oficer a za nim sierżant z aparatem telefonicznym. Gdy włączyli kontakt znikli obaj, generał w uprzejmych słowach przeprosił profesora i z niezmiennym znużeniem w twarzy, z rezygnacją wyciągnął rękę do słuchawki. Ujął ją i odezwał się głosem nadspodziewanie mocnym, surowym i stanowczym, przemówił rozkazodawca, człowiek władzy.

Profesor powstał i, nie chcąc przeszkadzać w rozmowie, wyszedł na otwarty balkon gmachu komendantury. Na

placu prażyło słońce, gromadki ludzi zwijały się nagwałt z robotą, zwożono stosy krzeseł, zbijano z desek estradę, rozciągano czerwone sukno, rozwieszano na malowanych drągach girlandy z choiny, zatykano sztandary. Z bocznej ulicy z cienia już wysunął się pierwszy zastęp i wypełzł na słońce na środek placu, długim sznurem ciągnęła dwójkami jakaś szkoła, mieniąc się od chorągiewek, na estradzie ukazało się parę posępnych postaci w cylindrach. Miasto Kolonja zbierało się święcić nowe zwycięstwo, ostatnie piorunujące uderzenie w Szampanji z 15 lipca, rozpoczęte przed trzema dniami i zmierzające do ostatecznego rozbicia oporu nieprzyjaciela. Już gdzieś woddali na mieście walił głucho wielki bęben orkiestry zbliżającego się pochodu, dzieci szkolne podjęły piskliwemi głosami pieśń patrjotyczną.

Profesor Wager ze swego balkonu patrzał na to jak przez sen. Co on robi w tej Kolonji, co go przygnało tak daleko? Czyż możliwe, że przybył umyślnie, żeby rozmawiać z samym Ludendorffem? Zupełnie zaś nie wygląda na prawdę, że z nim już nawet rozmawiał i że za chwilę będzie mówić jeszcze, albowiem Ludendorff nie może być postacią rzeczywistą — jest on kategorją idealną, urojoną — to myt niemieckiego narodu w rodzaju rozmaitych panów z Nibelungów. Jeżeliby, wreszcie, naprawdę z nim rozmawiał, to cóż on miałby do powiedzenia takiej osobie? Jedno jedyne — żeby go czemprędzej odprawił i puścił do domu...

Ze wszystkich ulic wypływały większe i mniejsze pochody ze sztandarami, otoczone bezładnem mrowiem

ludzkiem, zalany słońcem plac zaczerniał od rojącego się tłumu. W utrudzonych bezsennością oczach profesora ćmiło się od tego zamętu, przymknął oczy i zadrzemał pomimo okrzyków i trąb.

Przez sen szturmowały doń wrzaski, budząc nieprzeliczone mnóstwo dziwacznych widziadeł. Gdy się ocknął i opamiętał się, gdzie jest, wydało mu się, że spał bardzo długo, na placu panowała cisza, tylko od dalekiej estrady dochodziło niewyraźne bełkotanie mówcy.

Otrzeźwił go przyjazny uśmiech adjutanta, który wychylił się ku niemu na balkon.

— Prosimy, panie tajny radco!

Odrazu spostrzegł, że pierwszy generał kwatermistrz jest mocno podrażniony telefoniczną rozmową — coś się tam widać djabelnie niebardzo udało na froncie. Twarz sczerwieniała, wypełzła na nią wściekłość. Zdawało się, że w ciągu tych dwudziestu minut rozmowy telefonicznej postarzał o szereg lat. Usiłował się uśmiechnąć, wypadło to nieszczerze i przykro.

— Cóż, panie profesorze, będziemy się dalej targować? Mogę cośkolwiek opuścić, bo widzę, że muszę. Ale kończmy, gdyż natychmiast jadę, otrzymałem właśnie z frontu... Więc?

— Obawiam się, że najniepotrzebniej zajmowałem panu generałowi tak drogi czas, gdyż powinienem był odrazu na początku wyznać, że nie czuję się na siłach podźwignąć tak olbrzymie zadanie. Starałem się przemóc, ale teraz widzę, że już nic podołam, proszę mnie zwolnić, jestem za stary, jestem chory...

Umilkł i czekał, ale pierwszy generał-kwatermistrz nie odzywał się, patrzał bezmyślnie zasępiony wgórę przez jedno z okien, jakby tam dostrzegł coś niezwykłego. Profesor spojrzał w tę stronę — przez okno z poza dachów woddali widać było cienkie ostre szczyty tumu a na nich na znak i cześć nowego wielkiego zwycięstwa wspaniale rozpostarte na wietrze dwa ogromne czarno-biało-czerwone sztandary.

— Gotów jestem przekazać pełnomocnikowi Wielkiej Kwatery rezultaty moich dociekań, dać wszelkie wyjaśnienia, oddać cały personel mego osobistego laboratorjum w Ludwigshafen oraz obiecuję w każdej potrzebie służyć dobrą radą, ale całość zadania i odpowiedzialność za nie musi spaść na kogoś innego. Gdyby mnie upoważniono do wskazania kandydatów na to stanowisko, wymieniłbym do wyboru trzech z pośród moich znakomitych kolegów, a miano...

Pierwszy generał-kwatermistrz oderwał oczy od okna, spojrzał mocno i uderzył dłonią w stół, profesor Wager urwał na pół słowie.

— Nie będziemy rozprawiali o kandydatach! Jest tylko jeden w Niemczech i na świecie — to chluba wiedzy niemieckiej, niezastąpiony i jedyny — nasz stary lew, Wager!

Profesor uczuł w oczach łzy wdzięczności za te słowa, nadchodził moment najbardziej niebezpieczny, obezwładniony wzruszeniem kto wie czy się nic zgodzi podjąć się zadania wręcz niemożliwego do wykonania.

— Dziękuję, panie generale, z głębi serca dziękuję! A

jednak nie mogę. Jestto dla mnie zupełnem niepodobieństwem. Nie mam zdrowia, nie mam sił ani dawnej wiary w siebie. I gdyby jeszcze ojczyzna stała w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa... Gdyby wisiała nad nami klęska...

— A skąd pan ma pewność, że tak właśnie nie jest?

— Teraz? Po dwóch — co mówię — po trzech kolosalnych zwycięstwach pana generała? Kiedy nasze armje przekroczyły Marnę i maszerują na Paryż? Panie generale, dajmy spokój podobnym środkom agitacyjnym... Jestem na to za stary, a zresztą znam położenie na froncie.

— Chyba pan przyzna, że ja lepiej od pana profesora znam sprawy frontu i jawne i ukryte i dzisiejsze, a zwłaszcza olbrzymie zagadnienie naszego jutra...

Profesor uśmiechał się dobrodusznie i kiwał głową, myśląc sobie — gadaj ty zdrów — ale już po chwili rysy mu stężały w tajemnem przeczuciu nieszczęścia. Pierwszy generał-kwatermistrz jakby zapadł się nagle w fotelu, jakby w jednej chwili zmalał. Zapatrzył się uporczywie wgłąb salonu w przestrzeń, w pustkę. Milczał, a gdy ich oczy wreszcie się spotkały, profesor Wager odgadł, że tam gdzieś, na dalekich polach Francji, nad tą zdobytą Marną, czy we Flandrji, czy znowu pod Verdun, czy jeszcze raz nad Somme'ą — stało się i dzieje się teraz, w tej właśnie chwili zaprawdę coś strasznego. Zwycięzca siedział przednim znękany, w jego spojrzeniu obnażało się wyznanie jakiejś okropnej tajemnicy.

Wager zląkł się, usiłował oderwać oczy od strasznej twarzy, chciał zabrać się i uciec, zanim przemówią te usta

zaciśnięte w fatalną linję. Nie chciał nic wiedzieć, błagał o litość... Naprożno, zanim padło jedno słowo, drogą ukrytą doszła doń i uderzyła jak taranem zła wieść. Stało się, nie pomoże żadna moc, ludzka czy boska — nic już nie odwoła nieszczęścia... Więc ta już ostatnia krew niemiecka, wylana w ostatniem zmaganiu się o zwycięstwo?... Wypiła ją nienasycona ziemia Francji — i nic ponadto.

Więc ta błogosławiona ulga, niezmierna, szalejąca radość całego narodu...

Generał Ludendorff wyrwał się z tępego zapatrzenia w pustkę, westchnął ciężko jak człowiek zmordowany, gdy go zmuszają nanowo podjąć przeklęty trud, i zaczął głosem bezdźwięcznym, jakby znudzonym. Zanim przemówił, rozpostarł przed sobą dłoń i spojrzał znacząco na profesora, jakby tem chciał mu objawić coś szczególnego.

— Panie tajny radco, proszę mnie wysłuchać uważnie. Na palcach jednej ręki można zliczyć tych, którzy znają całą nagą prawdę położenia. To co powiem jest ciężkie i trzeba to umieć dźwignąć. Rozważyłem, że muszę to panu oznajmić, ażeby przeciąć odrazu pańskie wahania, gdyby nie to, nigdyby pan profesor nie usłyszał ode mnie nic podobnego. Armji niemieckiej potrzeba genjusza starego Wagera — oto wszystko. Będę mówił krótko, bez wdawania się w analizę naszych działań na froncie, pomijam dużo ważnych szczegółów, nie mam zamiaru tłomaczyć się, usprawiedliwiać ani szukać winnych. Otóż obie moje wiosenne ofensywy uwieńczone zostały imponującem zwycięstwem, to prawda, ale ani pierwsza, ani, niestety, a tem gorzej i druga, nie mówiąc o ostatniej

ofensywie w Szampanji, bynajmniej nie osiągnęły zamierzonego celu, nie dały mi walnej strategicznej przewagi. Wyczerpały one do ostateczności resztę naszych sił, a niema ich czem uzupełnić.

Wojna zużyła już wszystek nasz gotowy materjał ludzki a odwodów niema i nie bidzie. Zaczyna się u nas brak zapasów, brak broni, amunicji i środków technicznych, koni, nawet materjału sanitarnego. Słowem, brak nam wszystkiego do prowadzenia wojny i tak już zostanie do końca. Łodzie podwodne zrobiły swoje, ale już w niczem nie wpłyną na zmianę położenia. Panie tajny radco, proszę wiedzieć, że do Paryża nie dojdziemy nigdy i nigdy nie osiągniemy Boulogne ani Calais. Możemy tylko jeszcze przez czas jakiś twardo się bronić, możemy trwać. Ale niebawem nieprzyjaciel odgadnie naszą niemoc i przejdzie do ataku... Ba, chcę aby pan znał całą prawdę, — nieprzyjaciel już przeszedł do kontrofensywy i to w najczulszem miejscu nowego frontu, uderzył z nieoczekiwaną potęgą na Soissons, którędy przechodzą wszystkie nasze linje komunikacyjne, prowadzące do obszarów zdobytych nad Marną... Właśnie przed chwilą otrzymałem tę przyjemną nowinę. Utraciliśmy sporo terenu, jeńców, materjał bojowy, walka trwa... Panie profesorze, proszę mi wierzyć, że nigdzie nie zdołamy utrzymać obecnych pozycyj i wszędzie zaczniemy się cofać, zużywając siły ofensywne nieprzyjaciela, ale niszcząc nieodwołalnie dzień po dniu naszą możność obronną. Świeże dywizje amerykańskie idą na nas nawałą! Oto, co nas czeka. To jest krótka prawda armji niemieckiej, cała

prawda i nic prócz prawdy! A więc jeszcze raz pytam pana, panie profesorze, i czekam, co mi pan teraz odpowie.
Profesor Wager w przedziwnym spokoju wysłuchał strasznych wieści, jakgdyby nie były one d!a nego żadną nowiną. Zaraz po pierwszych słowach przemknął jak błyskawica moment, okruch sekundy, w którym zmieściła się nieskończona masa przeżyć, zdumienie, przerażenie, ból, rozpacz, strach, okropny zawód, oburzenie na zgranych szulerów, co zaprzepaścili na marne cały los narodu, wołanie o karę na bezecnych oszustów, na podstępnych bankrutów, którzy przeszachrowali miljon niemieckich trupów i dolę nieurodzonych jeszcze niemieckich pokoleń. Wszystkie klątwy zranionej duszy, wszystkie gniewy i cała żądza zemsty godziły w tego oto wodza, wielkiego zbrodniarza, sprawcę klęski...

I natychmiast porwał się, dźwignął się jak cudem odbudowany z ruiny, jakgdyby nad nim, skołatanym i chorym starcem, stanął sam Chrystus i zleczył go słowami pisma:

— Powstań, Łazarzu, weźmij loże twoje i pójdź...

To też pierwszy generał-kwatermistrz nie czekał długo na odpowiedź, profesor powstał uroczyście, wyprostował się niemal po żołniersku.

— Panie generale, natychmiast staję do pracy, uczynię co będę mógł, a reszta w ręku Boga.

— Oto słowa, godne wielkiego Wagera! Jakby dla podkreślenia doniosłości tej wielkiej chwili dziejowej połączone orkiestry wszystkich związków i stowarzyszeń miasta Koionji uderzyły huczną fanfarę. Marsowe, głębokie

a młodzieńcze i ochocze akordy trąb grzmiały fortissimo pod jarzącem słońcem lipcowego popołudnia. Ogłaszały chwałę zwycięstwa, niosły otuchę i nadzieję, wybuchały nieposkromioną radością, nagrodą za cierpienia, żałobę i nędzę tych straszliwych lat, dźwięczały niezłomną wiarą w tryumf niemieckiego plemienia, które zaprawdę jest jedynem na świecie, gdyż w nieśmiertelnych zapasach na śmierć i życie zwyciężyło oto — cały świat!

Tłum roił się, falował, mienił się w słońcu, grzmiące okrzyki zrywały się raz po raz z tysięcy i tysięcy piersi, w których już nie mieścił się nadmiar radości. Ten tłum rozszarpałby na miejscu każdego, któryby w takiej chwili poważył się wystąpić ze słowem rozwagi lub ostrzeżenia.

Sala reprezentacyjna komendantury kolońskiej pełna była grzmiących ech, chwilami zgłuszały one rozmowę znakomitych mężów. Zamilkli, chcąc przeczekać falę trąb i wrzasków. Generał Ludendorff uśmiechał się posępnie i trząsł głową. Profesor Wager przymykał i roztwierał oczy.

— Niech trąbią, niech sobie krzyczą, niechaj się raz nacieszą — to ich święte prawo, my za nich dźwigamy ciężar losu. My dwaj, którzy znamy prawdę. Tak jest, profesorze, wiedz, że tylko cud może nas uratować...

— Jestem starym Szwabem i katolikiem, panie generale, ja naprawdę wierzę w cuda, ale one wypływają jedynie z woli i za łaską Boga, ja zrobię swoje, ale to jeszcze nie wszystko!

— Zróbże swoje, profesorze, daj nam, wynajdź coś naprawdę piekielnego, a Bóg będzie z nami. Żebyśmy za jakie dwa, bodaj za trzy miesiące zaskoczyli wroga i

zadziwili świat jakąś potworną niespodzianką, żeby na froncie i na tyłach walili się pokotem i marli jak plugawe robactwo!

— Może to być... Bardzo może. Jeżeli Bóg da, że mi się powiedzie, to będą to tak straszliwe hekatomby, że dusza się we mnie wzdryga...

— Dusza... Nie znam się na tem, profesorze, jestem żołnierzem i prowadzę wojnę. Ale dusza jest duszą, owszem, więc zostawmy ją w spokoju, przyda się na potem.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

III

Claude znał wszystkie niespodzianki psychiczne i przeobrażenia Rity, ale takiej jak dziś jeszcze jej nie widział, obserwował ją z zachwytem i z trwogą. Lipcowy dzień był przepiękny, jeden z tych, które objawiają w całej pełni nieodparty urok ziemi i życia i darzą człowieka radością bez przyczyny i bez treści, czynią zeń podobieństwo do rozśpiewanego w słońcu skowronka, do kiści bzu, ciężkiej od rosy porannej i od przepychu własnej piękności. Łaska niebios spływała na ziemię w lśnieniu słońca, ale bardziej promienne były tego dnia zielonkawe oczy Rity. Jej włosy płonęły i mieniły się w połyskach, przez twarz przebiegały uśmiechy, odmienił się nawet jej głos.

— Panie doktorze, czekałam na papa, nie mogę dziś wytrzymać w domu ani w tem obrzydłem mieście. Chodźmy gdzie daleko!

Naradzali się krótko. Najlepiej byłoby do Nonnenwald, ale za daleko od kolei... Las w St. Ilgen, — przejść leśnemi drogami do szosy i na wieczór zdążyć do Schwetzingen — niema o tej godzinie pociągu... Więc na Königstuhl, za dwadzieścia pięć minut odchodzi osobówka na Eberbach, napatrzą się z góry na nizinę zareńską, na lasy, na Heidelberg, zobaczą cudowny zachód słońca — nie, to za blisko od miasta. Miną Heidelberg — wysiądą w Neckargemünd, nie, jeszcze lepiej na przystanku Schlierbach, przejdą most i odrazu w lasy... Prędzej,

prędzej, ledwo-ledwo zdążą na pociąg.

Na dworcu, w wagonie Claude czuł się dziwnie, po raz pierwszy widział Ritę poza domem, między ludźmi, po raz pierwszy jechał z nią gdzieś w świat. Jego świętość, jego baśń poza obrębem posępnej Zyglindy wydała mu się jakby obniżoną w swym niesamowitym majestacie, spostrzegał dopiero, że jednak była również zjawiskiem ziemskiem, i mogła być do pomyślenia nawet w przedziale trzeciej klasy. Niby wiedział o tem zawsze, ale — swoją drogą, gdy na nią patrzał było to jakieś niesłychane...

I po raz pierwszy była Rita taka jak wszyscy, mówiła z ożywieniem, zachowywała się całkiem zwyczajnie, jakgdyby spadła z niej tragiczna maska. W tem był nowy urok, stała mu się bliższą, zrozumiałą i gdy przesuwały się przed nimi zielone pola, domki podmiejskie, otoczone kwiatami, wśród tej wspaniałej pogody uczyniło mu się dziwnie. Oto ona, zjawisko wręcz niepojęte, i on, który był niewiadomo kim, mytem, cieniem, fantastycznym dziwolągiem wojny — jadą sobie razem na wycieczkę zamiejską, jak dwoje najzwyczajniejszych ludzi...

Gdy po półgodzinie wysiedli w Schlierbach i znaleźli się na moście Nekaru, Claude poczuł radość życia i szczęście i zapomniał o sobie. Szybko minęli Ziegelshausen, tonące w rozkwitłych akacjach, gdzie na domach wisiały jeszcze wszędzie flagi po dzisiejszych uroczystościach zwycięstwa, i wesoło weszli w pachnący zielony cień wiośnianego lasu. Dźwięczny śmiech Rity zapełnił las zaczarowaniem i osobliwością — nigdy jeszcze nie słyszał jej śmiejącej się. Odezwała się kukułka i Rita zanuciła starą piosenkę o

kukułce w jakiejś gwarze, z której Claude nie zrozumiał ani słowa.

— Prędzej, prędzej! Stąd o pół godziny drogi jest cudowny zakątek, nagły zakos gościńca pod górę, łąka i rzeczka z wierzbami i brzozowy zagajnik, zobaczy pan — najpiękniejsze miejsce na świecie!...

Szła szybko, dobrym turystycznym krokiem, Claude zdążał za nią z wielkim wysiłkiem na swoich marnych nogach, zapamiętały one raz na zawsze okropny ucisk żelaznej szyny, którą wybuch miny zagrzebał razem z nim na całe dwie doby. Podziwiał fizyczną sprawność Rity i wstydził się swego niedołęstwa. Po drodze nie spotkali żywej duszy i ten młodzieńczy las zaczarował ich, odgrodził od reszty świata. Wszystko było dziwne i budziło zastanowienie. Claude pośpieszając rozglądał się ciekawie, był tu po raz pierwszy w życiu, a jednak mnóstwo rzeczy wydawało mu się nieuchwytnie znajome. Rita nie zważała na nic po drodze, zdążając chciwie ku czemuś, co na nią czekało w wiadomem miejscu i było coraz bliżej, co krok to bliżej. Zapomniała o swoim towarzyszu, nie zważała na to, co do niej mówił, Claude z niepokojem spostrzegał jej roztargnienie i uśmiech samotnego zapamiętałego upojenia. Co pewien czas zbaczała z drogi na prawo, na lewo i, nie oglądając się nań, znikała w świeżej zieloności, w gąszczu leśnego podszycia, a po chwili wychodziła z powrotem na drogę, za każdym razem coraz dalej przed nim. Nie mógł nadążyć, Rita zbierała kwiaty i już niosła dużą ich wiązkę. Gdy nie pokazywała się nazbyt długo, zatrzymał się i czekał, wreszcie zawołał.

Rita nie odzywała się, ale z tej strony, gdzie być powinna, doszły go z lasu stłumione głosy, ludzkie. Poszedł tam, ale już po kilkunastu krokach stanął zdumiony i nadsłuchiwał. Ostrożnie rozgarniając gęstwę leszczyny, posuwał się krok za krokiem, niebawem poprzez gałęzie ujrzał szeroką polanę, tuż na jej skraju stała gromadka ludzi a pośród nich Rita z naręczem kwiatów. Tak jest, rozmawiali po francusku — ogarnął go strach przed tą oczywistością. Zaledwie na chwilę zapomniał o sobie i był zwyczajnie, po ludzku szczęśliwy, już go dopadła w tym uroczym lesie zmora wojny, złudę doktora Ossiana Helma doścignął jego upiór i prześladowca — kapitan Claude Déspaix...

Podstarzały landszturmista, pilnujący jeńców przy robocie, nie przeszkadzał rozmowie. Francuzi, co do jednego gołowąse nikłe chłopcy, o wiele za młodzi na żołnierzy, otoczyli Ritę, gadając jeden przez drugiego, chciwie słuchali co mówi piękna pani i z zachwytem wlepiali w nią oczy. Patrząc na te świeże twarze, na kurtki, getry, rogate furażerki barwy bleu-horizon, upojony melodją mowy ojczystej, o której już niemal zapomniał, Claude zatracił się, wahał się między wzruszeniem pamięci z jakiegoś prastarego bytu a odrazą do realizmu obecnej chwili. Pomąciło się w nim wszystko.

Jeńcy prowadzili wpoprzek polany głęboki rów odpływowy ku rzeczce, która znaczyła się opodal wikliną i wierzbami, byli uwalani w czarnej ziemi, wymizerowani, ale nie bez humoru. Co chwila któryś rozśmieszył Ritę jakimś konceptem, co chwila wszyscy razem wybuchali

śmiechem, na polanie było wesoło. Claude nie rozróżniał co mówiono, wciąż tylko dobiegało doń słowo — mademoiselle. Patrzał chciwie, nadsłuchiwał, ale strzegł się zdradzić swej obecności, zanic nie wyszedłby na polanę.

Trwałoby to dłużej i bodaj bez końca, gdyby stary landszturmista nie warknął wreszcie na tę zabawę. Rita skinęła im głową, wszyscy przyłożyli dłonie do furażerek, a jeden czarny chłopaczyna, najmniejszy ze wszystkich, na pożegnanie ujął jej rękę, potrząsnął i ucałował z niejakim szykiem. Na to wszyscy wznieśli okrzyk podziwu i uznania i jak jeden ruszyli gromadką za piękną panią, landszturmista warknął znowu i chłopcy wrócili do łopat. Claude uciekał nagwałt, żeby zdążyć na gościniec przed Ritą.

— Panie doktorze! Panie doktorze! Niech pan sobie wyobrazi...

Była pod wrażeniem niespodzianki w lesie. Toż tu jeszcze dzieci! Wynędzniałe to a takie wesołe... Dopiero dwa miesiące jak są żołnierzami... Po raz pierwszy byli w ogniu i odrazu dostali się do niewoli, wszyscy są z jednej kompanji i wszyscy pochodzą z miasta Tarbes... Jeden, zupełnie malutki, powiedział jej komplement, powiedział, że teraz dopiero wie poco go wzięli w niewolę — niby poto, żeby zobaczyć taką najpiękniejszą niemiecką pannę... I każą im kopać w błocie, bardzo ciężka robota... Dlaczego biorą do wojska niedorosłych chłopców? Czyż z Francuzami już tak kiepsko?

— U was w Niemczech tak samo wybierają już rocznik 1919, zupełnie tak samo!

— U was?

— U nas, u nas!...

Rita stanęła pośrodku drogi i roześmiana, promieniejąca zaśpiewała marsyljankę, już w połowie pierwszej zwrotki przyłączył się z poza ściany zieleni zgodny chór świeżych głosów. Pośpiewali przez chwilę i Rita ruszyła naprzód.

— Bardzo mili chłopcy, ale idziemy dalej!

— Vive la belle inconnue! — Vive la plus belle dcmoiselie boche! — wydzierały się cienkie głosy.

Still! Schweigen Sie doch! An die Spaten! Ihr Donnerskerle! — zagrzmiał ochrypły bas.

— Słyszy pan?

— Słyszę...

Owładnęła nim warjacka pokusa wyznać jej natychmiast całą prawdę o sobie. Utraci ją nazawsze, kto wie czy ona go nawet nie wyda, wszak będzie to jej obowiązkiem, ale on nawet w ostatniej chwili, gdy już będzie miał na szyi niemiecki postronek, wyszepcze z uwielbieniem jej imię, a ona przynajmniej będzie wiedziała, że wolał ponieść śmierć straszną i haniebną, niż oszukiwać ją dalej. Wiedział, że byłby to czysty absurd, ale czyż nie był absurdem jego los obecny, a czemże jak nie absurdem jest on sam?

Droga poszła zakosem pod górę, odsłaniał się coraz szerszy widok, ujawnił się Nekar, heidelberska góra zamkowa i wyżyny, otaczające miasto od wschodu — Königstuhl, Bismarkshöhe, a dalej słała się aż do zanikającego wdali widnokręgu lewobrzeżna równina nadreńska. Rita stała w milczeniu, zapatrzona, słońce opadało już ku zachodowi i zaglądało jej w oczy, krajobraz

mienił się jakby falując, myliły się odległości, tu i owdzie wyrastały niepoznane i jakby nowe pasma wzgórz, kępy zarośli, osiedla, wieże kościelne.

Myślała o przesłodkim, przesmutnym dniu jesiennym, gdy byli tu po raz ostatni, czerwona kula słońca jaskrawo jak płomień przebłyskiwała z poza białych brzóz, pod nogami przenikliwym szeptem szeleściły uschłe liście. Był to może ostatni w tamtym roku piękny dzień jesieni, a dla nich był ostatnim w życiu. Nazajutrz wczesnym rankiem Fell odjechał na morze... Pamięta spędzoną w tym lesie godzinę, w każdej jej minucie były razem i jednocześnie radość i smutek.

Obejrzała się i wpatrzyła się w głąb lasu. Białe kolumny brzóz wznosiły się ku górze po łagodnem zboczu wśród bujnej trawy i kęp paproci. Słońce przesiane przez liście migotało na trawie jasnemi krążkami, panował tam zielonkawy cień i gorzkawy zapach brzozowego listowia. Wśród ciszy wilga wywodziła na różne tony swe figlarne melodje, natarczywie wciąż o coś pytając.

Claude patrzył wdal pod słońce poza wzgórza, poza Ren ku zanikającej na bezbrzeżnej nizinie linji widnokręgu — w tej stronie świata leżała podobno jego ojczyzna, stamtąd rzekomo się on wywodzi, tam jakgdyby przeżył długie lata, pracował, walczył w srogich bojach i wreszcie kiedyś powinienby tam wrócić. Co było prawdą, co urojeniem? Cóż w tej chwili jest rzeczywiste, cóż tu, na Boga, jest snem?

W tem zamąceniu nie było męki ani strachu, ani trudu myśli, któraby się miotała, aby się wywikłać z dręczącej

niepewności. Nastał w nim jakiś fantastyczny spokój, jednakowo był gotów przyjąć każde rozstrzygnięcie swojej doli i poddać mu się, gdyż taki był jego los. Niech z nim będzie, co chce — czyż to nie wszystko jedno? O nic nie zapyta więcej, przestanie nareszcie szukać ojczyzny. Jego świat jest tam, gdzie Rita...

Oderwał się od niezmierzonego obrazu ziemi niemieckiej i spostrzegł, że Rita patrzy weń uporczywie, zapewne już od dłuższej chwili. Nigdy jeszcze nie przenikały go jej oczy tak natarczywie, zagłębiały się badawczo i surowo aż do dna duszy. Czemu tak posępnie, tak nieludzko? Czego szukasz we mnie? Czem mi grozisz? Dlaczego patrzysz na mnie jak na wroga, ty chimero, nieodgadniona Rito?...

Podała mu wiązkę kwiatów i, nie spuszczając zeń oczu, uśmiechnęła się niewyraźnie, krzywo, jakby z szyderstwem.

— Proszę tu na mnie zaczekać, chcę być sama!

Żwawo pobiegła wgórę. Przemykała się między śnieżno-białemi młodemi brzózkami jak czarne widmo, zbaczała w prawo, w lewo, weszła na sam grzbiet pagórka, przeszła na drugą stronę, wróciła. Szukała czegoś zdyszana, choć wiedziała dobrze, gdzie stoi ta brzoza. Lękała się ją odnaleźć, odwracała oczy od tej strony, zbaczała, oddalała się i wciąż jak urzeczona, wracała w to samo miejsce. Biegała po lesie jak w opętaniu, modliła się do Boga, błagała pomocy, ratunku, bluźniła Bogu, szydziła ze wszystkich i ze wszystkiego i z tego, co najświętsze i najdroższe... Ścigały ją po lesie demony, upiory, straszydła, owładnęło nią szaleństwo.

Stanęła wreszcie zmordowana, bez tchu, położyła dłonie na gładkiej, pieściwej jak jedwabna tkanina korze białego młodzieńczego drzewa, długie, nisko nad ziemią płaczące gałązki muskały ją po twarzy. Tuż przed oczyma czarne litery, głęboko, dawno wycięte marynarskim nożem.

Rita — 5. X. 1917 — Fell.

Porwała ją zgroza, uciekała wdół nieprzytomna ze strachu, potykała się na pochyłości, padała, obijała się o drzewa, wreszcie upadła i nie mogła już podnieść się o własnej mocy, strach dopadł ją, zgniótł, przywalił. Resztą sił wołała rozpaczliwie w pusty las.

— Na pomoc! Hallo! Hallo!... Ratunku!...

Claude nadole siedział na kamieniu przydrożnym, usłyszawszy wołanie, zerwał się i poskoczył w las.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Gałecki](#).*

IV

Rozpróżniaczona załoga „Wagershölle“ przestała wysiadywać po knajpach i wałęsać się po mieście i okolicy, wszyscy od rana do obiadu siedzieli w laboratorjum, a potem od czwartej do ósmej wieczorem. Tak było od trzech dni na mocy zarządzeń szefa, który po powrocie z Kolonji zamknął się w swojej pracowni i nie pokazywał się nikomu, tam jadał, tam nawet nocował. Personel uczony, personel techniczny, woźni i posługacze, wszyscy trzymani byli „w ostrem pogotowiu“, jak się wyrażał profesor. Polegało ono wedle określenia doktora chemji Adlera na próżniactwie zorganizowanem pod przysięgą tajemnicy, gdy dawniejsze było jawne i zupełnie zanarchizowane. Pracownicy nie dostawali żadnych zadań ani zleceń, siedzieli bezczynnie w ciężkiej nudzie przez cały dzień boży i oczekiwali czegoś niesłychanego, na co już zgóry musieli złożyć na ręce szefa uroczyste zbiorowe zobowiązanie, że zachowają to w absolutnej tajemnicy.

Domyślano się, że stary wpadł na jakiś genjalny koncept i wykańcza go nagwałt, ale poco u licha trzyma i dręczy ludzi? Ażeby, gdy dokona swego odkrycia, bez straty jednej sekundy rozdać robotę dla bardziej drobiazgowego sprawdzenia swej tezy i niezwłocznego przystąpienia do jej technologicznego opracowania. Widywano profesora tylko przelotnie i nikt, nawet „spokrewniony z domem“ doktór Helm nie dostąpił ani jednego słowa wzmianki o tem, co wielki czarnoksiężnik przyrządza w swojej djabelskiej

kuchni na pognębienie biednych ludów koalicji.

Stary Wager w ciągu tych dni przebywał w opętaniu natchnienia sam na sani z bóstwem wszechmogącem ale opornem i zdradliwem — z demonem chemji. Zawziął się. Zapamiętał się w pracy. Olbrzymia rola, którą mu wyznaczyła opatrzność, odrodziła jego ambicję i siły. Porał się mężnie i borykał ze swojem zadaniem, którego trudności znał dobrze. Spiętrzyły się one, sprzysięgły się przeciw niemu, jakby sam nieprzenikniony los przeważał się na stronę wrogów narodu niemieckiego. Zawiodły mądre i matematycznie logiczne hipotezy, świetne rzuty myśli, zrodzone w natchnieniu po bliższem i pracowitem zbadaniu rozpraszały się w pustce. Dawny zamiar został zarzucony, gdyż teraz stary uczony mierzył wyżej i wymagał od siebie nierównie więcej, chciał przewrotu, chciał niemal cudu, ale po szeregu ciężkich zawodów poddał się i wrócił do pierwotnego planu.

Jego założenie było niezłomne, jednak, jak to wykazały doświadczenia doktora Krauzego na zwierzętach, przeprowadzone w ciągu grudnia i stycznia, nowy gaz (ówczesny „X“-Stoff), którego przeznaczenie główne dotyczyło radykalnych, szybkich porażeń wzrokowych, dawał zaledwie 7.3% nieuleczalnej ślepoty, gdy dopiero od 10% można będzie oczekiwać od nieprzyjaciela na froncie objawów masowej paniki. Badania dalsze nad podniesieniem oprocentowania w tym względzie substancji „X“ powierzy się niezwłocznie doktorowi Helmowi w zakresie chemicznym oraz paru lekarzom okulistom pod kierownictwem wzmiankowanego doktora.

Ciało lotne, oznaczone pierwotnie marką „K“, zmienioną później na „W“ było największą nadzieją i najgorszem udręczeniem uczonego. W końcowej fazie pracy, przewidując słusznie przełomową wagę odkrycia, udał się był w początkach marca do Głównej Kwatery i powrócił z wiadomym wynikiem — z niczem. A był to środek potężny, nawet w ówczesnem swojem stadjum, które dawało dopiero pół rezultatu — zakażenie krwi z przebiegiem śmiertelnym przy zranieniu lub bodaj lekkiem powierzchownem zadraśnięciu czy skaleczeniu, w tem stadjum nieprzyjaciel nie miałby wcale rannych. Jednak pierwszy generał-kwatermistrz był wówczas tak pewny zwycięstwa, że zgóry odrzucił propozycję, nie wchodząc w meritum sprawy. Ciało lotne „W“, jego znak chemiczny i właściwości pozostają tajemnicą, teraz należy je wypróbować na żywym organizmie, dokonać paru uzupełnień i poprawek i puścić w świat. Przy ulepszonej organizacji pracy za miesiąc „W“ może pojawić się po raz pierwszy na froncie, tytułem generalnej próby w działaniu masowem. Ale byłby to zaledwie wstęp.

Dopiero prawdziwe „W“, to, którego jak dotąd żadne wysiłki nie zdołały dobyć na światło dzienne z pomroki jego tajemnicy, było bronią doskonałą. Działało piorunująco, przeżerało żywe, zdrowe tkanki ciała ludzkiego, przenikało w krew i zabijało. Posiadało olbrzymią prężność, duży zasięg, szybko rozpraszało się i neutralizowało w powietrzu, minimalnie, niemal całkiem nie narażając własnych żołnierzy, którzy, wkraczając podczas ataku w teren nagazowany, znajdowaliby tylko

zwały trupów nieprzyjacielskich lub ciała wijące się w agonji, a sami wychodziliby bez szwanku. Była to broń idealna dla potrzeb ataku i takiej właśnie domagał się przedewszystkiem pierwszy generał kwatermistrz na ostatniej konferencji w Kolonji.

Profesor Wager całą siłą swej intuicji, całą wiedzą swoją i olbrzymiem doświadczeniem w chemji trucizn lotnych wyczuwał skład, strukturę, genezę i działanie fizjologiczne nowej substancji. Ale nadaremnie zastawiał na nią najsubtelniejsze, najchytrzej obmyślane sidła, krążyła nad nim swawolna i straszliwa, łudziła, zwodziła, znikała bez śladu i pojawiała się znowu, szarpiąc nerwy, dręcząc utrudzoną głowę. Pozwalała sięgać po siebie, nie dawała się schwycić i utrwalić, była namacalną, widoczną, przeniknioną nawskroś i do głębi niedościgłą chimerą, była wszystkiem i niczem. Demon chemji bronił swej tajemnicy.

Nieraz w ciągu tych gorączkowych dni profesor, zdręczony i wyczerpany doreszty, zapadał w gorzkie, beznadziejne zwątpienie. W tych złych godzinach jego wymarzone „W“ stawało się złudą przepracowanego umysłu — naukowem przywidzeniem. Pożądliwa, wciąż podniecona wyobraźnia odtwarzała plastycznie obrazy śmierci, zniszczenia, paniki nieprzyjaciela, dawała ojczyźnie druzgocące zwycięstwo, a jednocześnie nieubłagana rzeczywistość urągała marzeniu... Czyżby zestarzał się i zniedołężniał w ciągu tych paru miesięcy? Czyżby zagubił klucz do własnego odkrycia?

I znów z furją zrywał się do pracy.

Wówczas demon chemji uląkł się zapamiętałości

człowieka i chytrą, podłą sztuką zaczął mącić mu w głowie, rzucać przeszkody i zdradliwą pajęczyną oplątywać jego myśl, natężoną ku jedynemu celowi. Nasyłał nań momenty niedopuszczalnych refleksyj, żalów, wzdragań się, obaw — rozsnuwał zabójczą filozofję słabości, niegodną duszy niemieckiej. Wyobraźnia, znużona wciąż obecną przed oczami wizją pobojowiska zawalonego trupami i zawalonych trupami ulic dalekich, spokojnych miast, odwracała się w popłochu od upragnionego śmiertelnego dzieła. Stary Wager, mocny w duchu, zahartowany twórca Żółtego Krzyża, wnet otrząsał się z sentymentalnej niemocy, ale tracił godzinę, pół godziny, bodaj wreszcie jedną drogocenną minutę, którą złe, głupie myśli odkradały jego pracy.

Skąpo wydzielał sobie snu, ale i w tych niewielu godzinach spoczynku prześladowały go podstępne widziadła i truły spokój nocy. Przeszkadzał mu w pracy mały Kurt, który nigdy nie potrafił bawić się pocichu i teraz hasał po ogrodzie i raz po raz przelatywał z wrzaskiem pod oknami gabinetu.

— Kurt, chłopcze drogi, dosyć tego, dajże już spokój!...

Mały Kurt znikał posłusznie, ale zaledwie ojciec zdążył pochylić głowę nad papierami, Kurt w sekundę przeskoczył lat dwadzieścia i zasiadł na dobre, na długo po drugiej stronie biurka. Nie odzywał się ani jednem słowem, ale wciąż zaglądał w ojcowskie papiery. Było to niedozniesienia, wreszcie na zniecierpliwione spojrzenie ojca młody Kurt odpowiada bezczelnie drwiącemi oczami.

— Poco mi tu zaglądasz, kiedy nic z tego nic rozumiesz?

— A widziałeś ty kiedy, ojcze, jak ludzie zdychają od twoich gazów?

— Od jakich gazów?!

Kurt nie odpowiada, tylko znowu przeskakuje kilka lat i siedzi teraz w szarozielonej kurcie żołnierskiej i w hełmie szturmowym — ach, to już wojna! I stary ojciec bud/i się ze snu z twarzą zalaną łzami.

Ogarniała go rozpacz niemocy, jeszcze walczył, ale w nieomylnem widzeniu już nadchodziła godzina klęski... Miotał się, szarpał się jeszcze w ciągu jednego dnia i po nocy bezsennej, wczesnym rankiem wykradł się na miasto i cichaczem wślizgnął się do kościoła O. O. Jezuitów. Tam w bocznej ciemnej nawie ukląkł i usiłował się modlić. W filozoficznem znaczeniu słowa Wager był człowiekiem wierzącym. Nieraz staczał z Kurtem zażarte kłótnie w obronie wiary, ale nie miał czasu ani chęci do praktyk religijnych i w kościele nie był chyba ze dwadzieścia lat. Teraz stał w pokorze z pochyloną głową i słuchał z uwagą łacińskich słów mszy świętej, ale nic nie potrafił dodać od siebie, nie umiał przedstawić Bogu swojej prośby, poprostu zapomniał się modlić. Przymknął oczy i wzdychał, przewijały mu się po głowie obrywki różnych nabożnych wzniosłych zwrotów, ale wnet zawstydził się sztuczności tych frazesów i zaniechał dalszej modlitwy. Co robić? Jakże to ludzie się modlą? Ci, którzy tu klęczą po kątach? Ci wszyscy, co w niedzielę robią tłok po kościołach? Niepodobna bowiem, z drugiej strony, referować całej sprawy językiem rzeczowym i ścisłym panu Bogu, który jest wszechwiedzący..

Nie, dzisiaj nic z tego nie będzie, brak mu nastroju do modlitwy, brak mu skupienia. Gorąco chciał wierzyć, ale wiara nie przychodziła, ta prawdziwa, która przebija niebiosa, nie był jej godzien, zaniedbał Boga. Może dlatego nawiedziły go nieszczęścia — zginął Kurt, zginął Fell, zaćmił się umysł Rity... Za późno zgłasza się o pomoc...

Miłosierdzia!...

Już wiedział co czynić, by przebłagać Boga. Ot stojącego obok konfesjonału odchodził człek, stary jak on, z obliczem rozpromienionem, ze łzami w oczach, w ekstazie wiary. Natychmiast uklęknie w pokorze przed nieznajomym księdzem, pełnomocnikiem nieba, i uczyni spowiedź z życia, wyzna wszystko. W konfesjonale za brunatną zasłoną siedzi mądry ojciec Jezuita, z tych jezuitów, których tylko głupi Niemeyer i bezduszni formalistyczni protestanci oskarżają o wszystkie zbrodnie. Ten go zrozumie, uzna jego czyste intencje dla zbawienia ojczyzny, wybaczy mu grzechy żywota i po ojcowsku rozgrzeszy... Odejdzie pokrzepiony, nawiedzi go łaska najwyższego miłosierdzia... Przystąpi do stołu pańskiego.. Jakież to urocze... On, wielki Wager, będzie jako ten prostaczek przed obliczem Pana...

Ściszone, tęskne kwilenie organów koiło go, rozrzewniało do łez. Wraz z zapachem świec woskowych i zastarzałego kadzidlanego czadu, którym nasiąkła świątynia, spłynęły nań zatracone w niepamięci echa dalekiego dzieciństwa. Światło dnia przez ciężkie, posępne barwy witraży dochodziło tu oczyszczone od powszedniości zewnętrznego świata i usypiało znękaną głowę w zmierzchu mistycznym. Z trudem, wspierając się

na lasce i na ławce kościelnej, stary Wager ukląkł. Zbliżał się, już nadchodził moment wiary. Odbiegał, unosił się nad nim wysoko aż pod samo sklepienie, gdzie malowany Chrystus stał na obłoku i wzniesioną prawicą błogosławił maluczkim. Tam u przebitych stóp Zbawiciela, poznaczonych czerwonemi stygmatami ran krzyżowych, gasła poczynająca się ekstaza, odbijało się od nich najgorętsze pragnienie wiary, cudu.

— Chryste... Chryste...

Chrystus był nieubłagany. Odtrącał jego wzloty ku niebu. Najwyższe, nadludzkie miłosierdzie odwracało się od starego grzesznika.

— Chryste... Zważ, o co proszę i błagam...

I nagle profesor Wager odgadł, że Chrystus nigdy nie wysłucha jego szczerej intencji, ani kornych, z głębi duszy płynących modłów. Nie godzi się wzywać Go o pomoc w pracy nad odkryciem substancji „W“, w świętej sprawie zbawienia ojczyzny...

Dlaczego?! Albowiem taka modlitwa to urągowisko żywej prawdzie Ewangelji, bluźnierstwo... Ojciec Jezuita czeka nań w konfesjonale ze swoją mądrością, z rozgrzeszeniem i błogosławieństwem, ale Chrystus...

Ogarnął go zamęt. Gdzież prawda? Zmuszony, stargany zabłąkał się po ratunek aż do kościoła. Kościół katolicki w imię niemieckiego Boga w Trójcy świętej Jedynego był z nim... Chrystus — przeciw... Papież zachowuje neutralność...

Zawikłany w sidła teologiczne, odepchnięty od źródła żywej wiary, obalony moralnie, na sekundę ujrzał absurd

swego życia. Na sekundę ujrzał całą zbrodnię swych nieśmiertelnych zasług i niezgłębione bezeceństwo wojny. Otrząsnął się i powróciło wszystko dawne — powszednie, beznadziejne, niepotrzebne życie. Powstydził się swego poniżenia.

Oglądał się podejrzliwie, czy nie podpatruje go kto ze znajomych. Napastowała go myśl fanstastyczna, że Kurt drwi z niego w tej chwili. Gdzie? Skąd? Powinien być o tej porze w piekle jako bezbożnik i rewolucjonista... Ale zaliczono mu, że zginął za ojczyznę, raczej powinien być w niebie... Boże miłosierny, zlituj się nade mną — co za głupstwa przychodzą mi do głowy w takiej chwili... Uczuł pustkę w głowie i dojmujący ból w kolanach. Dźwignął się z trudem i wymknął się chyłkiem, ale w kruchcie wsunął do skarbonki dziesięć marek.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

V

Czy szczęście może być aż tak okropne?

Szczęście to sztych w samo serce, to najgłębszy ból! Z takiem szczęściem w duszy niepodobna żyć i nie warto żyć dłużej — poco? Trzeba umrzeć. Jeżeli danem jest komu doczekać godziny najwyższej ponadludzkiej miary, jeżeli wypełni się w nim rzecz niedościgła dla wyobraźni, niedowiary, gdy staje się cud, przed którym wzdrygało się najszaleńsze marzenie, to, co nie poważyło się nigdy przemycić i przemknąć nawet w sennych widziadłach — cóż pozostaje? Odejść.

Niepodobna dźwignąć ciężaru potwornego szczęścia, tego niemiłosiernego skarbu. Jak sobie z nim radzić? Co począć dalej?

Poczynać sobie uczciwie i zwyczajnie? Jak ustalono między ludźmi, jak Bóg przykazał?

A któż on jest pośród ludzi, wobec ludzkiego obyczaju i prawa? Choć nadałby sobie prawo oszukać wszystkich, choćby udało mu się nie spotkać nigdy w życiu przybłędnego widma ze starej ziemi, które stanic przed nim jak fatum i zagabnie: — Eh, Déspaix, qu’est-ce que tu fiches içi, mon vicux? — to jakże zdoła z fałszem w duszy pędzić życie obok Rity?

Claude pogodził się już ze swoim niesamowitym bytem i jakoś sobie radził, ale ten nowy piorunująco niespodziewany zalew i bezmiar fantastyczności w jego losach zdjął go przerażeniem. Chwilami zaprzeczał temu,

co się stało — ileż przeszedł urojeń, rozdwojeń, zagubień własnej istoty? Oto jeszcze jedno potknięcie świadomości, jedno więcej i tyle. Ma ku temu chorobliwą skłonność dzięki cudaczności swego położenia...

Bo czyż jest podobieństwem...

Wierząc czy nie wierząc, Claude w ciągu paru pierwszych dni po wycieczce z Ritą bez przerwy tonął i roztapiał się w ekstazie wspominania i przeżywania tamtej godziny. Obłąkane bezdenne oczy Rity, jej płomienne usta, przemoc jej zniewalających ramion, cała jej istota lgnąca doń w szalonym uścisku — były to momenty — otchłanie, całe światy, które w ciągu długich lat życia można było wielbić i rozważać w nigdy nie nasyconem zapamiętaniu.

Zaiste, nie był ich godzien, ale one uczyniły zen ponadczłowieka, półboga, który przeżył godzinę cudu, osiągnął szczyt żywota. I już go nie opuści, nie zejdzie niżej, nie da się zepchnąć ze szczytu. W popłochu duszy, wśród wahań świadomości jedno wygórowało ponad zamętem — niezłomne postanowienie utrwalić zwycięstwo, obronić swoje szczęście przed złym losem, który zawziął się na niego, związał go, opętał od stóp do głów i pozaciskał węzły.

Przeminęła niemoc duszy, udręczonej szczęściem, i obłędne pragnienie wyzwolenia w śmierci. Teraz chce walczyć o swoje, ważyć się na wszystko i zwyciężyć. Trzeba było na początek przezwyciężyć samego siebie, wyzbyć się przesadnych, przesądnych subtelności, umieć z nich zadrwić. Podjąć śmiertelny hazard o zdobycie Rity, rzucić cały los na kartę i wygrać bodaj na rok czasu, na

dwa, choćby na jeden miesiąc, a kto wie, może i do końca życia. Jeżeli uda się, że ona nigdy nie dowie się prawdy, jego kłamstwo nie będzie więcej kłamstwem, a choć szczęśliwe fatum nie zamieni go w faktyczną prawdę, to jednak...

Wkrótce przestał uciekać się do kazuistyki, do wykrętnych sofizmatów, wiedział nareszcie czego chce. Zato rozważał pilnie, na trzeźwo co począć, jak obrócić sprawę, żeby wybrnąć z trudności i zapewnić spokój swemu szczęściu. Szybko rozstrzygnął problemat swej tożsamości i problemat ojczyzny. Jest i zostanie Ossianem Helmem, Niemcem z Ameryki, który ma papiery w porządku, jak to po wielu podejrzeniach, przeszpiegach i surowych sprawdzaniach uznały wojenne władze niemieckie.

Pożegna nazawsze słodką Francję — i czyż to można nazwać zdradą? Czy, wyparłszy się ojczyzny, zaszkodzi jej w czemkolwiek? Gdy nieznany, pierwszy lepszy obywatel, nazwiskiem Claude Déspaix zostanie skreślony z ksiąg ludności Republiki, to czyż Francji zabraknie Francuzów? Wpiszą go jako „zaginionego“ między tysiące i tysiące innych. Czy nie pożałuje kiedy odstępstwa, czy nie zatęskni? Przenigdy, jego ojczyzna jest tam, gdzie Rita.

Prędzej czy później skończy się wojna, skończy się tak lub owak. Jeżeli zwyciężą Niemcy, na długo nie stanie tu noga żadnego Francuza. W razie zwycięstwa koalicji nastąpi, jak to jest przewidziane, okupacja wojskowa Nadrenji na całe lata, a więc każdy tutejszy dzień Ossiana Helma będzie niepewny. Licho nadarzy kolegów w garnizonie okupacyjnym w Mannheim Ludwigshafen, licho

nadarzy turystę francuskiego, któremu nikt nie wzbroni przejechać się Renem... Pierwszy lepszy oficer, byle jołop, którego szatan zetknie z nim na ulicy, może wydać na niego wyrok śmierci.

— Eh, Déspaix, qu'est-ce que tu fiches içi, mon vieux?

Albo mu się uda wyprzeć się w żywe oczy, albo przyjdzie zginąć... A może po wojnie II-gie Biuro zacznie gorliwie poszukiwać swego zaginionego agenta i w najlepszej wierze wsypie go okrutnie? Lepiej nazawsze porzucić ten kraj. Porozumieją się, pojadą za ocean, utoną, zagubią się w Ameryce...

Tak Claude Déspaix, człowiek chwili, cień, zawieszony na cienkiej nici gdzieś poza czasem, układał swoją przyszłość i wierzył w nią. Nanowo zaczynał żyć. Wojna przerwała jego powszedni, zwyczajny żywot, wyprawa szpiegowska do Niemiec do reszty zrujnowała i wywróciła w nim wszystko, dopiero teraz odnalazł siebie, pokochał życie. Odkrył tajemnicę swojego losu, logikę przeznaczenia. Błogosławił wojnę, swoje rany i męczarnie na pobojowisku, całą swoją dolę powikłaną i obłędną, błogosławił okrutny Żółty Krzyż, za którym go posłano w świat, żeby go tu przywiódł.

— Panie Helm, z ojcem źle, trzeba żeby pan do niego poszedł zaraz. Leży twarzą do ściany, jęczy i nic nie mówi, nie odpowiada doktorowi na żadne pytania, a dziś od samego rana nawet do mnie nie chce przemówić słowa. Straszna depresja, a przytem poczyna się w nim jakaś nieznana choroba... Gorączka...

— To z przepracowania, szef od samego powrotu z Kolonji nie wychodził z pracowni — natychmiast do niego idę...

— Niech mu pan przemówi do rozsądku, on pana tak poważa...

— Idę...

Nic ruszał się z miejsca, był przerażony.

Nic widział Rity od dnia ich wycieczki, minął tydzień, a w nim uparło się coś, nie chciał przyjść, dopóki nie będzie wezwany. Bał się ich pierwszego spotkania, nie wiedział jak się ma zachować. Po szaleństwie szczęścia, po wielkich planach na przyszłość w ostatnich dniach jęły go truć złe przeczucia. Piętrzyły się najgorsze, najgłupsze przypuszczenia, w przemądrzałych, przesubtelnych dociekaniach psychologicznych dochodził do absurdu. Tęsknił za Ritą, bo nią i przez nią tylko żył, codziennie spędzał godziny wieczorne na wałęsaniu się pod jej oknami i za każdym nawrotem stawał przed willą „Zyglinda“ i ujmował za klamkę furtki ogrodowej. Bał się wejść...

Nareszcie kartka, kilka słów — ojciec zachorował, proszę go odwiedzić...

Powitała go obojętnie, zatroskana jedynie ojcowską chorobą, ani śladu zmieszania, wrażenia, bodaj najprostszego kobiecego zawstydzenia. Nie pomogły jego spojrzenia, pytające, przerażone, błagalne, pozostawała nieporuszona.

— Rito!

— Niechże pan idzie do ojca... Niech pan idzie natychmiast!

Claude wyszedł bezwolnie, bezwiednie, jak lunatyk, zatrzymywał się, przystając na każdym stopniu schodów. Spętała go tępa zaduma o niczem, wałęsały się w nim rzeczy błahe, na wpół zatarte obrazy, jakieś niepotrzebne obrywki... Wreszcie w głowie przebłysła jasność.

— Ona wszystko zapomniała, była niepoczytalna, w obłędzie i teraz nie wie o niczem... Nowy błysk — ależ nic nie było. Przywidziało mu się — ach, pamięta, pamięta — przed tygodniem miał taki sen!. Ależ on jest chory, jest ordynarnym warjatem...

— Boże, ratuj... Któż mi powie... Uczciwie, rzetelnie... Jak to było? Czy było?! Gdzie prawda?...

W gabinecie, przytykającym do sypialni profesora, zastał doktora Schichau na ożywionej ale przyciszonej rozmowie z jakimś wojskowym. Właściwie była to kłótnia, toczona przenikliwym szeptem. Gdy wchodził, właśnie obaj panowie jednocześnie zerwali się z miejsc i, stojąc twarzą w twarz, wytrząsali sobie rękami pod samym nosem. Doktór Schichau syczał i szeplenił przejmująco, wojskowy warczał głucho, nie mogąc poskromić swego potężnego głosu.

— Ja odpowiadam za jego spokój i za życie — rozumie pan pułkownik? Za samo życie chorego! Tak jest!

— Moja sprawa jest zbyt wielkiej wagi, żebym miał znosić podobną gadaninę... Ja muszę zobaczyć profesora i wydobyć od niego pewną rzecz! Muszę i zrobię to!

— To nie nastąpi, zaczeka pan do jutra. Może jutro...

— Właśnie idę do niego. Ależ proszę mnie przepuścić!

— Panie pułkowniku, pan się zapomina!

— Panie doktorze, dosyć tych żartów!

— Proszę ciszej! Widzę, że pan nie ma pojęcia o pewnych stanach nerwowych, pan go może wtrącić w ciężką psychozę! Pan go może zabić!

— Idjotyzm! Ręczę, że stary, gdy mnie zobaczy, ocknie się z odrętwienia, a niech się tylko dowie z czem przybywam...

— Trochę ciszej, do djabła! Idjotyzm?! Dla ignoranta w mundurze wszystko będzie idjotyczne, gdy on sam...

— Więc oznajmiam panu, że przybywam prosto z Wielkiej Kwatery!

— Panie pułkowniku, oznajmiam panu, że tutaj jest moja wielka kwatera i ja jeden tu rządzę!

Pułkownik von Voss zwrócił się o ratunek do Claude'a. Przedstawił mu się i zaszeptał zirytowany. Jest starym przyjacielem domu, wspólnie z profesorem opracowali pewien wielki plan, który natrafiał na nieprzełamane trudności... Kosztowało to Wagera dużo zdrowia... Teraz, na szczęście, trudności zostały przełamane... Przywozi właśnie ze sobą, ma w tej oto tece dokumenty, które sprawią staremu wielką radość, albowiem realizują one niejako marzenie jego życia... W Kolonji trzymał się bardzo dzielnie, poprostu wyjątkowo, teraz nam się położył, do djabła, całkiem nie w porę, kiedy każdy dzień Wagera zmarnowany, to cios dla armji...

— Wszystko puszczone w ruch, a on mi się wyleguje... I jeszcze ten głupi doktór... Rita, biedactwo, nie ma w domu żadnego znaczenia... Niechże mi pan dopomoże... Czyż mam się wkońcu pobić z tym starym osłem?...

Gdy wreszcie stanęli nad łożem chorego, pułkownik von Voss westchnął w strapieniu i bezradnie rozłożył ręce. Twarz profesora zmalała, skurczyła się w drobne zmarszczki, oczy, zaciśnięte mocno jak w bólu, zapadły się kędyś pod nastrzępione brwi, nawet siwa bródka zrobiła się nikła, jak wyskubana.

— Wager, to ja, obudźno się stary, otwórz na chwilę oczy... To ja, von Voss... Spóźniłem się o dwa dni, ale załatwiłem ci wszystko, nie będziesz miał żadnych kłopotów... Masz tu pakiet z Wielkiej Kwatery, a tu rozporządzenie Ministra Finansów Rzeszy, a tu...

Na te nowiny nic nie drgnęło w zbielałej i wyblakłej twarzy, nie znać w niej było oddechu ani śladu życia. Sam doktór przestraszył się i szybko pochylił się nad chorym. Po chwili podniósł głowę i jaknajgroźniejszem wytrząsaniem pięściami usiłował odegnać pułkownika.

— Słuchajże, Wager... Wiesz, że czekać nie możemy... Jeżeli jesteś tak słaby, nikt cię nie będzie przymuszać, co trzeba zrobią za ciebie inni... Leż sobie, odpoczywaj, ale tę rzecz najważniejszą musisz mi zaraz doręczyć, bodaj w paru słowach na kawałku papieru... Albo powiedz, do kogo się tu udać... Wiesz, że bez tego nie możemy zacząć... Zapowiedział mi na odjezdnem jego ekscelencja generał Ludendorff...

Na dźwięk wielkiego imienia zadrgały i po chwili podniosły się powieki Wagera. Spojrzał na pułkownika i zatrzymał na nim oczy, niewiadomo było, czy go poznaje, czy go bodaj widzi. W jego zapatrzeniu nie było żadnej myśli ani woli, te oczy — które zdawały się widzieć przed

sobą straszliwą zjawę — wypełniał jeden jedyny strach. Po chwili chory poruszył się, spojrzał jeszcze raz, przymknął oczy i wsunął głowę pod kołdrę. Ukrył się przed widmem.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

VI

Claude znowu był codziennym gościem willi „Zyglinda“. Powróciły dawne czasy. Opieka nad ciężko chorym profesorem zbliżyła ich jeszcze bardziej i było to miłe, jakieś rodzinne. Kiedy zostawali ze sobą sam na sam, nawet w długich przerwach w muzyce lub w rozmowie, gdy cisza mówiła i marzyła za nich, byli ze sobą po dawniejszemu. Nieraz ich milczenie, napięte jak struna, gotowe było pęknąć nagle w jakimś wybuchu szczerości. Zatajona prawda wzbierała między nimi i domagała się upustu, szarpała się w więzach przemilczenia.

Była już dla obojga jawną i jasną, a nie wyraziła się ani razu w słowie, w geście, nawet w spojrzeniu. Ilekroć błysnęła między nimi błędną, niemal nieuchwytną iskierką w oczach i na ułamek sekundy zawahała się i gotowa była się zdradzić, natychmiast zarówno jej oczy i jego oczy rozbiegały się w popłochu i długo unikały siebie, oszukiwały się wzajemnie, nie odważając się spotkać. Była to gra śmiertelnie dręcząca i właśnie w tym strachu przed wyznaniem dawała tajemną niewypowiedzianą rozkosz, która czarowała opętaniem jak niepojęta ciemna otchłań.

Claude dał spokój planom na przyszłość i nie pytał co będzie z nimi obojgiem. Cokolwiek się zdarzy, nikt mu nie odbierze tajemnicy szczęścia i upojenia, które dawała każda chwila spędzona obok Rity.

Ich samotne godziny były pełne lęku, zewsząd czyhały zasadzki i pokusy. Groźną dla ich tajemnicy stawała się

muzyka Rity, szczególnem niebezpieczeństwem tchnęły fragmenty z symfonji Beethovena, gdyż ich mądrość przyzwalała na wszystko. Szczególnie ciężkie dla wytrwania w ślubach milczenia były nokturny Szopena, wabiące swoją podstępną pogodą i słodyczą, gdyż, łudząc i jakby kojąc, pchały ku szaleństwu.

Rita, wyczerpana bezsennem czuwaniem przy łożu ojca, wtuliła się w róg kanapy i z ramionami zarzuconemi za głowę, z zamkniętemi oczami spoczywała bez ruchu. Zdawała się spać, zdawało się, że czuwa i że na coś oczekuje. Cisza w całym domu, rzeźwość nocy łagodnemi falami napływa przez otwarte okna, pokój pełen szmerów i ciężkiej dusznej słodyczy lip, które zakwitły właśnie na wybrzeżu. Claude siedział tuż zboku na niskim taburecie i, gdyby śmiał, dość mu było sięgnąć, by położyć dłoń na fałdach czarnej jedwabnej powłóczystej sukni. Pogrążał się w zdumieniu, zapatrzony, jakby nie znał do głębi cudowności jej rysów, jakby po tysiąckroć nie przenikał uroku tej duszy. Dziś była jeszcze raz inna. Nigdy nie udało mu się dostrzec podobnego wyrazu ust, które chwilami rozchylały się w ledwie wyczuwalnym oddechu-westchnieniu. Nigdy jeszcze nie spoczywała tak w jego obecności, bezwładna, w sennem zapomnieniu.

— Rito, czy ty śpisz — zapytywał w swojem najcichszem pomyśleniu i lękał się, że na jego wezwanie nagle otworzy oczy i spojrzy nań — wówczas w jednej chwili przełamie się czar i moc tajemnicy. W tej samej minucie zakończy się między nimi milczenie — trzeba

będzie mówić... Bał się słów, bo czyż da się wypowiedzieć to, co ich wiąże i co ich od siebie odpycha? Jedno słowo może zabić urok wszystkiego co jest... Podziwiał wagę i mądrość milczenia, ono jedno zastąpi człowieka i dopomoże, gdy staje bezradny z całem bogactwem swej mowy, urobionej przez pokolenia poetów i zszarganej, znieprawionej, ośmieszonej w bezmyślnej gwarze uniesień miłosnych. Jakże mądrą była Rita, że od początku nie chciała mówić! Niechże milczą dalej, niech milczą do końca...

Wtem Rita spojrzała na niego. Te oczy zdawały się patrzeć naskroś niego kędyś w dal, jakby go tu całkiem nie było lub jakby był niczem, potem zapaliła się. w nich nienawiść, potem wyniosła, obrażająca pogarda. Odtrąciła go okrutnie, brutalnie i znowu przymknęła powieki, opadły ciemne rzęsy i podkreśliły bladą, białą twarz wyrazistą cechą bólu i tragizmu. Zadrgały usta i dwie łzy zaperliły się u powiek, nabrzmiały i zanim stoczyły się wzdłuż policzków, Claude przypadł do jej kolan. Trwał tak w niewiedzy o sobie, o świecie, przez jedwab sukni przenikało go ciepło jej ciała.

Czy przemówi tajemnica milczenia? Czy uczuje na swej głowie błogosławione, przyzwalające dłonie?

Stary Wager wiedział, że umiera. Parę razy w ciągu doby budził się z ciężkiego uśpienia i przypominał sobie gdzie jest, znajome sprzęty sypialni, znajome tchnienie domu oznajmiały mu, że jeszcze żyje. W takich chwilach budziło się w nim jedyne pragnienie, żeby już raz nareszcie odejść.

Nic odczuwał żadnych cierpień, ani bólów ciała, ani udręczeń myśli — wszystko to było już daleko poza nim. Nieprzenikniona zasłona niepamięci odgrodziła go od długich lat, spędzonych na tym świecie, od trosk rodzinnych, od wojny, od jego wojennych tryumfów i klęsk. Tylko w snach przewalały się jeszcze zrzadka jak ostatnie ciężkie chmury po burzy żywota widziadła przeszłości, ale on już o tem nie wiedział. Co pewien czas dochodziły do niego dalekie czyjeś głosy, przebijały się przez tuman jakieś twarze, czasami odczuwał dolegliwe ukłucie i wówczas odzywał się najcichszym jękiem. To były wymyślne ostre specyfiki na podtrzymanie życia, zapuszczane weń ręką pielęgniarki lub doktora Schichau. Te leki zatruwały jego mózg, usypiały świadomość i wolę i sprawiały w nim ostatnie niepojęte misierjum jakiegoś sztucznego niewypowiedzianego bytu, zawieszonego już poza życiem a jeszcze przed progiem nieznanych światów.

Tak wlokły się jakby poza nim dnie i noce. Nadeszła noc, gdy niewiadomo czemu o pewnej godzinie uczynił się jasny dzień i jasna dawniejsza myśl wydarła się na chwilę z omamienia. Odrazu zrozumiał co znaczy krzątanina w pokoju i domyślił się co ma nastąpić. Podbito poduszki, dźwignięto go na posłaniu, ujrzał skupione uroczyste twarze, to Rita, zacny Helm i nawet — szwagier Niemeyer, snać opuścił swoje pająki i specjalnie przybył z Hannoweru... Po drugiej stronie łóżka stoją baron von Tchben-Gerth, co jest jednak trochę dziwne, i — co za radość — Kurt! Obie połowy drzwi od gabinetu roztwierają się same, wszyscy zwracają głowy w tę stronę, a on ze

wzruszenia przymyka oczy.

— Panie tajny radco! Panie profesorze Wager! Ten generał mówi głosem donośnym, oficjalnie i uroczyście, i oburącz trzyma niewielkie safjanowe pudełko, po obu jego bokach dwaj inni generałowie stoją sztywno w postawie służbowej przy szablach, trzymając pod pachą pikelhauby, obszyte zielonkawem płótnem. Za plecami generałów tłoczy się gromada oficerów. Głos głównego generała recytuje długo i płynnie jego zasługi — Wager aż się zdumiewa — ileż ich było!... A teraz...

— Za pociski „W“, które nieporównanem swem działaniem rzuciły popłoch na armje nieprzyjacielskie... Które otworzyły nam wolną drogę na Paryż i do morza... Które rychło wymogą na rządach sprzymierzonych wrogów nasz twardy niemiecki pokój... Pan nasz i wódz, najjaśniejszy Cesarz i Król...

I Wager czuje na wynędzniałej szyi sztywną wstęgę, na piersi czuje ciężar krzyża „Pour le Mérite“. Za oknami rozlegają się okrzyki tłumu, potężna orkiestra grzmi — „Deutschland, Deutschland...“ Doktór Schichau biegnie do okien, macha rękami, przekłada coś generałom, niepokoi się strasznie, kręci się, jest nawet w takiej chwili gorliwy i komiczny, że aż wszyscy się śmieją i sam Wager się uśmiecha.

— Panie pułkowniku! Przystąpi pan do złożenia panu tajnemu radcy, kawalerowi krzyża „Pour le Mérite“, profesorowi Wagerowi, hrabiemu von und zu Abbecourt raportu w imieniu Wielkiej Kwatery Głównej!

Występuje pułkownik von Voss, dziarsko szasta piętami,

staje przed łóżkiem na baczność i zaczyna czytać z wielkiego arkusza głosem, zmąconym przez łzy wzruszenia.

— Dnia 17 sierpnia o godzinie 4.20 rano w obrębie 18-ej armji na odcinku IV korpusu, na pozycji 47 dywizji na linji frontu Abbecourt — Chauny trzydzieści baterji polowych po raz pierwszy w dziejach wojny otworzyło ogień nowemi pociskami „W“. Po dwu godzinach intensywnego nieprzerwanego ognia patrole oficerskie trzech bataljonów, po jednym plutonie w każdym, w zupełnym rynsztunku i przybrani ochronno-przeciwgazowem bez przeszkody ze strony nieprzyjaciela przecięły zagrodzenia i weszły w pierwszą linję okopów... W okopach, w chodnikach, w betonowych schronach-granatnikach ani jeden człowiek nie został nietknięty, wedle zgodnych meldunków wszystkich trzech patroli siedemdziesiąt procent obsady, pomimo że wszyscy byli w maskach, założonych prawidłowo, leżało martwe, reszta była w agonji i konała w oczach. To samo w chodnikach i rowach dobiegowych, prowadzących ku drugiej linji okopów. Wobec intensywnego ostrzeliwania pierwszej pozycji własnej przez ciężką artylerję nieprzyjacielską zajęcie odcinka odłożono do...

— Meldunek lotniczy z dnia 17 sierpnia, godz. 7.50 rano. Raid trzech eskadr ciężkich aparatów na miasto Amiens, podjęty o godzinie 4.20, dał w wyniku panikę w mieście, na węźle kolejowym, w koszarach i w obozach baraków wojskowych, tudzież w całej okolicy. Mnóstwo trupów na ulicach, na placach, na torach kolejowych, na drogach podmiejskich. Tłumy żołnierzy i ludności cywilnej

rozbiegają się we wszystkie strony...

— Radio-ultimatum niemieckiej Wielkiej Kwatery do Naczelnego Dowództwa wszystkich armij koalicyjnych, dzień 17 sierpnia, godzina 1.15 popołudniu...

Głos czytającego głuchł i cichł, wreszcie umilkł zupełnie, choć pułkownik von Voss wciąż patrzał w papier i poruszał ustami. Jego postać zamgliła się, zacierała się, znikła, nie było już w pokoju generałów, oficerów, ani Rity, ani Helma, ani szwagra Niemeyera... Ostatni, których widział jeszcze, byli to zięć, baron von Tebben Gerth, i Kurt.

— Teraz już wiesz wszystko, więc pójdź z nami, ojcze — uśmiechał się baron.

— Chodź z nami, ojcze — zapraszał Kurt — chodź i naciesz się, zaraz zobaczysz twoich Francuzów, wszystkich co do jednego, tam u nas lepiej rachują niż w waszych raportach...

Claude powracał od Rity i wszedł na most, nie wiedząc o tem, nie widząc swojej drogi, zatopiony w ekstazie. Całą jego istotę przenikał jątrzący ból, który był rozkoszą, ta męczarnia szczęścia stawała się chwilami nie do zniesienia. Wówczas rozglądał się wokoło, jakby szukając ratunku lub pytając w trwodze niewiadomego, nieistniejącego powiernika — co się z nim dzieje?

Czy popełnił wielką zbrodnię? Czy doznał niepojętej łaski, za którą również odpłacić można jeno śmiercią? Nie ufał swej pamięci, która niosła w całej świeżości

przeminioną godzinę, albowiem był to bezwątpienia ktoś inny, który jej doznał lub raczej zmyślił ją i opętał go samą opowieścią o niesłychanem wydarzeniu. Opowiadał dokładnie, nie pominął jednego spojrzenia, gestu, westchnienia, ale nie powtórzył ani jednego słowa, gdyż nie było tam słów. Ilekroć chciał się odezwać, bodaj wyszeptać jej imię, ona wiedziała to zawczasu i dłonią zakrywała mu usta. Wśród rozpętania w ciszy i w ciemnościach było to ostatnie i jedyne, co ocalało z jej wstydu...

Na moście wlókł się od strony miasta i mijał go długo odchodzący pociąg sanitarny, poznaczony olbrzymiemi czerwonemi krzyżami, ciemny i pusty, okropniejszy, niż gdyby był pełen ludzkiego cierpienia i jęku, albowiem szedł on, by zabrać połamanych, poszarpanych, konających, którzy tam daleko na zachodzie o tej porze byli jeszcze cali i zdrowi.

Wśród głuchego hurkotu pociągu nagle urwała się ekstaza jak czarująca melodja, przerwana przez ordynarny zgiełk ulicy. Claude usłyszał głos nieznajomy, zdyszany w pośpiechu. Człowiek — cień już odchodził szybko niepoznany i niebawem zmalał i znikł, zostały tylko jego słowa.

— Gardez-vous bien. On vous observe de près. Radź sobie, ja ci nie mogę pomódz! Uciekaj natychmiast, a gdy rozważysz, że nie podołasz, skacz lepiej odrazu z mostu...

Claude wsparł się ciężko na balustradzie i zapatrzył się w szarą, mętną poświatę, ścielącą się po szeroko rozpostartych wodach Renu.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Gałecki](#).*

VII

Film „Opętane Miasto“ rozrastał się szybko jak puszcza podzwrotnikowa, Eva wkońcu zabłąkała się w gąszczu ludzi i wydarzeń. Spiętrzył się przed nią chaos obrazów a można było dodać do nich drugie tyle i więcej, nienasycona wyobraźnia rodziła wciąż rzeczy nowe, czyniła odkrycia, które były coraz lepsze, coraz bardziej zdumiewające, a jednak już oddawna zbędne, gdyż i tak trzeba było z masy materjału wykreślić mnóstwo postaci, wydarzeń, symbolów. Czekał ją trud najcięższy, ograniczenie, powściągnięcie samej siebie, wybór tego ęo było niezbędne dla dzieła. Najczęściej nie mogła sobie dać rady w wyborze jednej jedynej z pośród kilku równie dobrych wersyj i wówczas oddawała rozstrzygnięcie na plebiscyt.

Madame Pelouse, pięćdziesięcioletnia zieleniarka z rue Mouffetard, oskarżona o otrucie męża, i mademoiselle Tourly, panna sklepowa, poważnie zamieszana w sprawę pomyślnego ograbienia kasy (z usiłowaniem zabójstwa), obie z zapalczywością uczęszczały do kina, posiadały gust doświadczony, opierający się na olbrzymim repertuarze stolicy. Umiłowaniem pani Pelouse były dramaty i awantury miłosne, panna Tourly wolała kowbojów, karkołomne przygody, wymyślne intrygi i zbrodnie. Obie znały wszystkie kreacje Evy Evard, a w szczegółach pamiętały je znacznie lepiej niż ona sama. Gdy powikłanie losów zetknęło je ze znakomitą gwiazdą, otoczyły ją uwielbieniem i najczulszą opieką. Obie zapamiętale

wierzyły w jej niewinność i w jakąś potworną ciemną intrygę, która doprowadziła taką osobę za kraty więzienne. Eva wzajemnie i z miłą chęcią uznawała je za pokrzywdzone przez ślepą ludzką sprawiedliwość, za ofiary złośliwości policji i głupoty sędziów śledczych. Ufała że przysięgli uwolnią je od winy i kary a republika wynagrodzi im doznane cierpienia.

— Tak, tak — potwierdzała klucznica korytarzowa madame Le Pailleur — my tu w St. Lazare nie mamy nigdy ani jednej winnej.

Żyły we trójkę poprostu, po przyjacielsku już od miesiąca. Władze więzienne otoczyły Evę szczególnemi względami. Dano jej wygodną, najpiękniejszą celę, tak zwaną w St. Lazare „celę historyczną“, gdzie przebywały pod śledztwem głośna pani Steinheil, oskarżona o zabójstwo matki i męża, oraz pani Caillaux, żona znakomitego męża stanu i ówczesnego ministra finansów, która na rok przed wojną zastrzeliła pewnego redaktora, prowadzącego przeciwko niej i jej mężowi kampanję oszczerstw i szantażu. Obie te panie, przesiedziawszy w śledztwie około roku, zostały uniewinnione przez przysięgłych, co pani Le Pailleur poczytywała za najlepszą wróżbę dla trzeciej zkolei znakomitej mieszkanki celi Nr. 12.

Eva w pierwszych dniach swego pobytu w St. Lazare spostrzegła ze zdumieniem, że tryb życia więziennego posiada swój urok. Zupełne, absolutne odcięcie za murami i kratami od świata w samem sercu tego Paryża, którego głuche odgłosy dochodziły do niej bez przerwy... Pobyt

wśród tysiąca kobiet, przestępczyń i zbrodniarek, ofiar losu lub tragicznych pomyłek sprawiedliwości, których ponure, zawikłane sprawy, będące w toku procedury śledczej, streszczały w sobie cały ogrom, odmęt i chaos utajonego życia wielkiego miasta... Nowiny i plotki korytarzowe, któremi się tu żyło, wprowadzały ją w głębokie podziemne pokłady zbiorowości ludzkiej. Eva przyszła do przekonania, że bez znajomości zamkniętego w sobie świata więzienia jej wiedza o ludziach i o świecie byłaby ułamkowa i powierzchowna. Bezwzględność dyscypliny więziennej i rygor codziennego bytu, którego regulamin doprowadzony był do śmieszności, przenosiły jej istnienie jakby w inny wymiar pojęcia o życiu.

Zresztą było to potrosze jakby niezupełnie realne — wszystko, poczynając od absurdalnego oskarżenia. Zachcenie losu, którego wyobraźnia jest wszak bezgraniczną, wepchnęło ją w świat fantastyczny.

Eva rozważnie i inteligentnie prowadziła obronę swojej sprawy, konferowała ze swoim adwokatem M-e Lourthier, protegowanym senatora Guillet-Goudona, zdumiewając świetnego przedstawiciela paryskiej palestry swoją przenikliwością i wyrobieniem życiowem. Ale narówni z zupełną trzeźwością w traktowaniu rzeczy w godzinach niejako urzędowych najchętniej oddalała się od siebie samej i, jakby zapominając o niezaprzeczonej powadze położenia, zagłębiała się w obserwację całej awantury.

Było to porywające studjum ludzi, świata, a przez poznanie ich na tle sensacyjnej afery dopiero widziała i przenikała do głębi samą siebie. Eva Evard występowała

przed nią plastycznie i objektywnie jak na jaskrawo prześwietlonym ekranie. Jej ciekawość wzrastała z dnia na dzień, czekała z niecierpliwością i zgadywała naprzód jak dalej będzie się rozwijał dramat osobliwej kobiety, rzuconej w odmęt intrygi, a jeżeli nadchodził moment strachu, był on raczej strachem widowiskowym i odczuciem artystycznem pewnych niespodzianych lub groźnych zwrotów toczącej się przed nią akcji.

Czy bohaterka podoła walce z potęgą pozorów? Z potęgą państwa, będącego w stanie straszliwej wojny i przez to zmuszonego do tępienia na ślepo wszelkich dowiedzionych czy tylko domniemanych zakusów wroga? Z potęgą opinji, zgnębionej przez świeże klęski i nadewszystko chciwej pomsty — mniejsza o to, Kto i czy słusznie lub mniej słusznie pada jej ofiarą?

Bez goryczy obserwowała obojętność lub zdradę ze strony znajomych, wielbicieli i przyjaciół, których miała bezliku, ci biedni, pożałowania godni ludzie byli wszak o tej porze tylko spłoszonem stadem, które miota się i gna naoślep pod wichrem i piorunami losu. Czyżby można wymagać od nich zimnej rozwagi lub tembardziej wierności w przyjaźni wobec widma zdrady?

Bez oburzenia i nienawiści myślała o podłej zemście generała Sittenfelda, która, choć niestwierdzona w śledztwie, była jednak dla niej oczywistą — bo inaczej jakimż cudem doszedłby do 11-go Biura jej nieszczęsny własną ręką napisany memorjał, który z całą lekkomyślnością zostawiła była w rękach generała? Zagubiła go zeszczętem z pamięci, a jednak on ją odnalazł i

wojskowy sędzia audytor major Lejard pewnego dnia wydobył go z teki i położył przed nią na stole.

...Widzów przenika dreszcz zgrozy, widmo zguby zagląda w struchlałe oczy bohaterki — klasyczny efekt filmowy...

Ze strony Sittenfelda było to haniebne, ale Eva dobrze wiedziała, do jakich granic był on zdręczony przez nią i poniżony w swych uczuciach i w swej niepohamowanej żądzy. Zemsta była jego prawem, a że wybrał właśnie tak plugawą, była to już rzecz drugorzędna i raczej wywołana okolicznościami niezależnemi od niego — chciał zabić, a gdy mu uszła do kraju wroga, nie mógł jej dosięgnąć inaczej.

Eva nawet w rzadkich, zresztą, złych swoich godzinach więziennych nie dopuszczała myśli, że może być skazaną na jakiś rok lub dwa, jak ją do tego zawczasu i bardzo oględnie przygotowywał M-e Lourthier. Dla uspokojenia rozjątrzonej opinji, jej zdaniem, wystarczyłoby najzupełniej wydalenie jej z granic Francji, co nie byłoby żadną karą, gdyż i w razie uwolnienia wyjechałaby natychmiast po ogłoszeniu wyroku. Od chwili swego aresztowania nie odczuwała nigdy i to ani razu grozy lub okropności swego położenia, słowo „Conseil de Guerre“, straszne w czasie wojny, nie budziło w niej żadnej grozy. Odczuwała jedynie zdumienie dla ślepej mocy absurdu, w który uwikłała się, absurdu całej sprawy od początku do końca. Czasami ją oburzała, czasami śmieszyła nadzwyczajna powaga, z jaką M-e Lourthier rozważał szanse sprawy, czasami zdumiewała się, widząc niezmiennie srogą minę audytora

wojskowego majora Lcjard, niekiedy zaś w toku przewlekłych godzin przesłuchiwania umyślnie drażniła go i ośmieszała, nie mogąc znieść, jak w mnóstwie niepotrzebnych, drobiazgowych i obrażających pytań, w ustawicznem osaczaniu jej insynuacjami, które były jeno stekiem głupstw, dociekał on prawdy w tem, co było tylko jednym kolosalnym absurdem, kompromitującym w najwyższy sposób powagę władz wojskowych Francji. Do pewnych granic uznawała ona, że formalistyka biurokratyczna musi traktować poważnie i z całą pedanterją nawet absurd, gdy ten wchodzi na wokandę w całym aparacie rzekomych poszlak, dowodów i dokumentów, dlaczego jednak przedstawiciel urzędu wojskowego ma być głupim, lub, co gorzej, udawać głupiego i groźnego, gdy wie, z czem ma do czynienia i na czem się to wreszcie musi skończyć? Zdawało jej się, że wszyscy jakby się zmówili, żeby dokoła jej rozgłośnej afery odgrywać jakąś komedję grozy — tragikomedję, potrzebną chyba jedynie dla uspokojenia podnieconej opinji. Czyż komedja w swym ostatnim akcie dojdzie aż do wyroku skazującego? Do tego jednak prowadziła wprost żelazna logika absurdu.

Eva bynajmniej nie miała chęci nadstawiać głowy dla logicznego przeprowadzenia tej komedji pomyłek, ale całkowite uwolnienie byłoby, biorąc rzecz z punktu widzenia artystycznego, nieszczególnem zakończeniem. Cóż banalniejszego nad szczęśliwy koniec — ów „happy end“, którego doktryna, obliczona na poklask ciemnego tłumu, psuje najlepsze filmy amerykańskie...

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Gałecki](#).*

VIII

Były podoficer nawigacyjny floty wojennej sternik Gebeschuss, wypuszczony z więzienia w Kiel oraz zwolniony z floty jako inwalida, odbywał podróż wgórę Renu w poszukiwaniu zarobku, ale dzięki drobnej adnotacji biograficznej w papierach, które zresztą podnosiły jego męstwo i wzorowe pełnienie służby na morzu, nigdzie nie mógł znaleźć zajęcia. „Oskarżony o podburzanie do buntu załogi O. J. C. M. pancernika „Friedrich der Grosse“ oraz robotników stoczni państwowej w Wilhelmshaven — trzy miesiące pod śledztwem w więzieniu wojskowem „Wik“ — zwolniony dla braku dostatecznych dowodów“. Próbował szczęścia w Wesel, potem w zagłębiu Ruhry, wreszcie zapuścił się daleko na południe i wysiadł na stacji Mannheim, gdyż miał pewne widoki na protekcję do zarządu olbrzymich, pozostających w pełnym ruchu zakładów „Badische A. und S. Fabrikation“ w Ludwigshafen.

Pani komendantowa, pani baronowa von Tebben Gerth poznała go odrazu, ale w pierwszej chwili była jakby przerażona jego pojawieniem się, na jego grzeczne powitanie zakrzyknęła okropnym głosem, jakiego sternik Gebeschuss nie słyszał jeszcze w swojem życiu.

— A gdzie komendant?!!

Gdyby wypadało, wnet zabrałby się i uciekł, bo i oczy postawiła na niego takie, jakby jej się pokazał upiór. Cóż miał odpowiedzieć? Powiedział — nie wiem, pani

baronowo, da Bóg, to chyba powróci...

— Jakto — powróci?! Co to znaczy?!...

— Z niewoli, jak da Bóg, z angielskiej...

Na to roześmiała się okropnie, ale zaraz potem już się powściągnęła, choć poprawdzie była cały czas jak niespełna rozumu. Wyłożył jej swoją sprawę i pokazał papiery, odczytała, poprosiła go grzecznie żeby usiadł, siadła i ona przy innym stoliku do napisania swojej protekcji. Pisząc, parę razy obracała ku niemu głowę i wreszcie spytała, czy nie spotkał gdzie pana lejtenanta Hasshagena, bo słyszała jakoby miał się uratować. Cóż miał odpowiedzieć? Powiedział, że, jak dotychczas, to nigdzie go nie napotkał. Na to wstała i poszła prosto do fortepianu, uderzyła obu rękami parę razy po klawiszach, ale bardzo, bardzo mocno, aż ten fortepian zajęczał okropnym głosem jak żywy człowiek. Zaraz urwała, wstała i podała mu kopertę.

— Uda się pan do kierownika oddziału mechanicznego... Pan dyrektor Duderhoff... Będzie pan przyjęty z całą pewnością.

Podziękował grzecznie i poszedł odrazu prosto do fabryk chemicznych. W pół godziny załatwił sprawę, został przyjęty na drugiego pomocnika przy motorach, a na drugi dzień przed południem już po całej hali motorów ludzie zagadali...

Ciała nie wyłowiono, poszły telefony wdół rzeki, ale mijał dzień za dniem i znikąd nie sygnalizowano, by woda wyniosła gdzieś zwłoki Rity baronowej von Tebben Gerth. Poszły, unoszone z prądem, wleczone po dnie, przystając na

zamulonych pniach, zapadając w głębokie jamy, skąd wyważały je, burząc wodę aż do samego dna, potężne śruby holowników, ciągnących barki z węglem i rudą. Kryły się po zacisznych zatokach, pod prawym brzegiem, pod lewym brzegiem i ruszały dalej, kołując na wirach, porywane przez wartkie prądy śródmiejskie obmurowanych, zwężonych koryt, przebywały szybko, tajemnie miasto za miastem — Moguncję, Koblencję, Kolonję, Düsseldorf, Wesel...

Ren niósł ją, jak tego pragnęła, ku dalekiemu morzu, ku bezgranicznemu cmentarzysku, jednemu i wspólnemu dla wszystkich, pochłoniętych przez fale... W ostatniej swej wędrówce dążyła tam, gdzie zginął był za ojczyznę niemiecką i spoczywa na wieki Fell, jej mąż, którego żywej, bolącej pamięci nie zdołała w sobie zamordować nawet za cenę zbrodni wiarołomstwa.

Claude chodził nadal doglądać starego profesora, który, jak twierdził doktór Schichau, wbrew wszelkim prawom wiedzy trzymał się przy życiu, niepotrzebnem ani jemu, ani zresztą nikomu na świecie, gdy nie było żadnej nadziei, by — kiedykolwiek mógł jeszcze dźwignąć się z pościeli i podjąć na nowo naukową pracę twórczą, tak błogosławioną dla dzieła śmierci i zniszczenia. Jeżeli był w Niemczech i na całym świecie człowiek, któremu przydał się jeszcze na coś szczątek wielkiego Wagera, to był nim poniekąd jego wierny asystent dr. Ossian Helm.

Stary, umierający Wager i ponura jak grób willa Zyglinda były ostatniemi wiązadłami, które trzymały go na świecie, w nich tliło jeszcze wspomnienie dalekich spraw życia. Jego istnienie z dnia na dzień było automatyczne i

puste, drzemiąc błąkał się po świecie, nie czując ani bólu, ani rozpaczy, nawet nudy. Gdy wysiadywał w tępej zadumie nad łożem chorego, był zarówno jak i on gotów do trumny. Obaj zdawali się liczyć czas i czekać godziny wyzwolenia. Stary Wager w pierwszych dniach po zniknięciu Rity zapytywał jeszcze zrzadka o córkę — Claude, doktór Schichau, pielęgniarka odpowiadali, że baronowa wnet nadejdzie. Potem zapominał o niej i przeważnie drzemał całemi dniami, ale wciąż nie nadchodził jeszcze sen wieczny, oczekiwany przez doktora z godziny na godzinę.

Nastąpiło beznadziejne, niepotrzebne polepszenie i Claude truchlał, co odpowiedzieć na pytanie umierającego o umarłą. Ale profesor nie pytał o córkę, w ciągu tych paru dni jaśniejszych zajęty był wyłącznie swoją chorobą, która przybierała dziwny obrót. Skarżył się na dolegliwą duszność, a gdy szeroko roztwierano wszystkie okna, jakieś przykre wyziewy przychodziły z powietrzem, zapełniały sypialnię i dusiły go. Z początku zdumiewał się, że nikt z obecnych tego nie czuje — był to zapach lekki, zaledwie uchwytny, a w istocie zdradziecki, oczywiście ulatniał się on ze zbiorników w pobliskich zakładach Badische. Domagał się, by nagwałt telefonowano do fabryki. Pozamykano okna i po półgodzinie powiedziano choremu, że z fabryki był przed chwilą telefon — dyrekcja dziękuje za ostrzeżenie, nadpęknięty zbiornik jest już uszczelniony.

Ale nazajutrz po południu, gdy tylko pokazał się Claude i gdy zostali sami, chory zaczął mówić pocichutku w wielkim sekrecie, głosem, przerywanym przez uporczywy

kaszel.

— Jakto, więc i dzisiaj nie czujesz doktór nic osobliwego?

— Doprawdy nic, profesorze! Powietrze jest dzisiaj zupełnie czyste.

— A ja się duszę!... Nie czujesz lekkiego, nawet poniekąd ożywczego śladu... Jednem słowem śladu jakby zapachu chrzanu?

— Nic podobnego!

— Ach, nic podobnego... A przecież ja tobie jednemu zawsze ufałem i wierzyłem... Postaraj się wyczuć to w powietrzu... Powiedziałem — jakby ślad zapachu chrzanu, ale Francuz powiedziałby, że to raczej coś w rodzaju musztardy... No, jeszcze mnie nie rozumiesz? Gaz moutarde?

— Ależ tak u nich nazywają nasz Żółty Krzyż... Mówią jeszcze Yperite...

— Otóż to!

— Panie profesorze, to absolutnie niemożliwe!

— Helm, niema w życiu kategoryj absolutnych! Powiedz, że jest to niezrozumiałe, a wyrażając się ściśle — jeszcze nie wykryte, ale jest to fakt!

— Może się panu profesorowi zdawać... Proste złudzenie zmysłów...

— Nie, mój drogi, nos Wagera się nie myli!

— Przecież wczoraj...

— Wczoraj uszczelnialiście zbiorniki w Badische — postąpiliście ze mną, jak z obłąkanym!... Czyż i ty, Helm, należałbyś do spisku?

Manja rozwijała się, profesor podejrzewał pielęgniarkę, fräulein Lizę, a przez jakiś czas nawet doktora Schichau, który leczył w jego domu od lat dwudziestu. Zmieniono fräulein Lizę na fräulein Huldę, ale i ta okazała się agentką ciemnych potęg, które uwzięły się zgubić Wagera, zanim odkryje swoją substancję „W“. Poza szpiegami koalicji czynni tu byli intryganci z kartelu chemicznego 1. G., którzy, zawistni o władzę, nie mogą się pogodzić z pełnomocnictwami, otrzymanemi przez prof. Wagera z rąk pierwszego generał-kwatermistrza.

Wreszcie, widząc cierpienia i strach nieszczęśliwego chorego, Claude musiał uwierzyć w niecny spisek, pogadał z doktorem i dostarczył profesorowi najnowszego modelu maski ochronnej. Wager założył ją skwapliwie i wkrótce uspokoił się, a duszność i kaszel ustały, jak ręką odjął.

Nazajutrz na całem ciele wystąpiły czerwone plamy, chory uskarżał się na nieznośne swędzenie, wiedział on dobrze, że niebawem oparzeliny zaczną jątrzyć i przegryzać skórę i że na to nie pomoże dezynfekcja ani żadne smarowidła. Podczas kłótni chorego z doktorem, Claude wymknął się, poszedł do „Wagershölle“ i zabrał z tamtejszej podręcznej kolekcji wzorowy model kompletu przeciwgazowego, okrywającego człowieka szczelnie od stóp do głów. Z trudem wciągnięto na chorego twardy brezentowy przyodziewek, w jakim wychodzą w pole patrole przeciwgazowe, gdy dla przemarszu oddziałów własnych trzeba odkazić wapnem i amonjakiem miejsca ostrzelane uprzednio i przesiąkło Żółtym Krzyżem. Wnet poznikały oparzeliny i czerwone piętna — doktór

skapitulował.

— Dobrze, wyrabiaj pan z nim, co chcesz! W masce i w takim futerale skończy daleko prędzej, a o to przecież idzie — tylko, że ja nie będę patrzał na taką okropność... Nie mogę, jak jestem starym lekarzem, który już wszystko widział w swojej praktyce... Bo to jest straszne, ale jeszcze bardziej komiczne — panie Helm, czyż pan chce, żebym się zaśmiewał, patrząc na umierającego przyjaciela?

Nadeszła godzina ocknienia.

Stary Wager dogorywał. Sapał przez swoją maskę, pocił się niemiłosiernie w brezentowej powłoce i leżał bez ruchu nakształt manekina, służącego dla pokazu przeciwgazowego, na podobieństwo poczwarnej mumji, odkopanej przypadkowo na dalekim archipelagu Australazji czy Melanezji z pod ruin grobowca nieznanego ludu, który miał swoje własne wymyślnie okropne i okrutne pojęcie i wyobrażenie o grozie śmierci.

Claude siedział nad nim cierpliwie i bezmyślnie, gdy nagle doszły doń zgóry łagodne tony, zgłuszone przez belkowanie stropu. Z paru ledwie dosłyszalnych akordów poznał „Niedokończoną Symfonję“ Szuberta...

Skradał się, nasłuchując na schodach, zatrzymywał dech w piersiach i czekał — otoczyła go martwa cisza, ta sama, którą znał naprzód, zanim jeszcze postawił nogę na pierwszym stopniu schodów. Ruszył ostrożnie nagórę z rozpaczą kłamanego złudzenia, które natrząsało się z niego. Również ukradkiem jaknajciszej podchodził do drzwi mieszkania Rity na pierwszem piętrze i zatrzymał się, nie

śmiąc dotknąć bronzowej klamki — a nuż, a nuż? Czem w istocie jest rzeczywistość? Czem ludzka świadomość, wreszcie — sama pamięć o wydarzeniach?

Nędzne te sztuki pogrążały go w poniżeniu, w którem była jednak jakowaś osłona przed ogromem nadchodzącego nieszczęścia. Ono szło! Jeszcze sekunda zamętu, jeszcze oczy mrużą się przed niem jak w burzę w mroku nocy przed oczekiwaną lada chwila błyskawicą...

Szarpnął za klamkę i zachodzące słońce uderzyło go w oczy czerwienią blasku. Oba okna saloniku były otwarte, w ogrodzie wyśpiewywała wilga tym samym głosem, to samo nęcące ku czemuś wesołe pytanie. Kiedy to było?

Wszystko stało na swojem miejscu bez żadnej zmiany, rozejrzał się uważnie i sprawdził pokolei, od fortepianu szybko odwrócił oczy — zanadto wyraźnie przypomniał mu trumnę. Chciwie popatrzył na papiery, rozrzucone na staroświeckiem biureczku, na boczną szufladkę, nawpół wysuniętą... Pod lewem oknem, zacienionem dochodzącą tu z ogrodu gałęzią włoskiego orzecha, z barokowego niskiego stoliczka jeszcze opadał na podłogę w sztywnych fałdach adamaszkowy haftowany obrus — jej wieczna, nie posuwająca się naprzód robota. W rogu pokoju staroświecka ciemnopąsowa „kozeta“ i ciemnopąsowe fotele, obrzeżone czarnem drzewem, płonęły w łunie jaskrawych promieni zachodu, cały krąg słońca odbijał się w owalnem lustrze, zawieszonem w rogu, i wypełniał pokój gorącem zarzewiem, zamętem czerwieni i głębokich cieniów. Ujrzał widmo doktora Ossiana Helma, siedzące na jego zwykłem miejscu, w tym samym fotelu, gdzie w ciągu

długich miesięcy przesiadywał całe wieczory. Przyglądał mu się. On, człowiek nieistniejący, człowiek cień, wiedział jednak wszystko o nim i o niej. Patrzał nań z urągliwem zaciekawieniem jak na wroga, któremu się przydarzyło prawdziwe nieszczęście.

— Cóż, panie Helm?

Mąciło mu się w głowie — co za drażniący blask... Odwrócił się, żeby słońce z lustra nie raziło go w oczy, ale z okna uderzyło weń prawdziwe słońce. Przymknął powieki, ogniste i zielone kręgi zaczęły płynąć w ciemnej przestrzeni, przenikały go one nawskroś i usypiającym korowodem przeciągały przez głowę. Niosły one niezliczone zjawy senne, a w każdej potwierdzało się jakieś wspomnienie życia. Szły bezładnie, mijały się ze swoim czasem, dawna przeszłość wyprzedzała późniejszą, obrazy dzieciństwa prześcigały wojnę, wśród spraw minionych przemykały się obrazy jutra, rzeczy, które mają dopiero nastąpić. Naostatku sunęły, wznosiły się i opadały dzieje niczyje, a znajome, snać przypomniane z pozaświadomego, pradawnego jakiegoś istnienia — niepojęte, a zarazem do głębi własne, było w nich, jak w starej arcysymfonji, westchnienie rozkoszy i jęk zatracenia, uśmiech szczęścia i gorzkie szyderstwo. Bladły, rzadły, rozpływały się i gasły piętna słoneczne, w ostatniem spojrzały nań i przemknęły oczy, do końca nieodgadnione.

Gdy się ocknął, słońce już dawno zaszło i w pokoju rozpostarł się zmierzch. Claude uląkł się, że w tem miejscu objawi mu się zaraz najgorsze straszydło, upiór prawdy, której zanic do końca życia nie chciał poznać. Uciekł, nie

spojrzawszy więcej.

Nadole, w hallu, gdy śpiesząc się chwytał za kapelusz i laskę, zastąpiła mu drogę pielęgniarka, fräutein Hulda, z krzykiem i z przerażonemi oczami, z załamywaniem rąk... Odsunął ją z łagodnym uśmiechem i poszedł. Wkrótce skręcił wbok i nawet w ostatniej chwili, na rogu ulicy, nie obejrzał się na willę Zyglindę.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

IX

Rumor ostatniego zwycięstwa i rozprzężenie, które oddawna już ogarnęło było centralne władze państwowe a o tej porze dotarło i do najwyższych szczytów armji, uratowały na pewien czas stanowisko generała Sittenfelda. Osobisty przyjaciel głównego agenta koalicji, kochanek Evy Evard, która opętała go intrygą, wyzyskała jego zaślepienie na szkodę Niemiec a wreszcie wymknęła mu się do Paryża, zdołał pomimo rozgłosu tych skandalów utrzymać się na stanowisku szefa kontrwywiadu.

Oczywiście kapitan Gutzner był pierwszym w cesarstwie niemieckiem, który zdobył wiadomość o uwięzieniu w Paryżu Evy Evard. Przez wydział prasowy ministerstwa wojny dał o tem skromną notatkę do prasy, gdzie jednak było zaznaczone, że oszczercze plotki uliczne związane z tą znakomitą osobistością uwłaczały zarówno jej, jak wysokim i odpowiedzialnym czynnikom państwa, które nigdy nie uchybiły swoim obowiązkom, ale związane tajemnicą służby nie mogły, rzecz prosta, — i t. d. it. d. Ta rzecz prosta przez powyższą notatkę zawikłała się teraz i stała się dwuznaczną i wieloznaczną — nieodgadnioną.

Kapitan Gutzner skromnie siedział przy adjutanckim stoliku, czekając na efekt swego posunięcia, gdy szef zaczął przeglądać poranne dzienniki. Generał wkrótce przestał szeleścić szmatami gazet i zadumał się. Wsparł się na rękach i zapatrzył się w okno, po chwili ukrył twarz w dłoniach i myślał. Kapitan Gutzner uznał, że trwało to za

długo... Czyżby generał był pod przykrem wrażeniem oczekiwanego zresztą faktu? Czy mu żal Evy? A może odezwało się przelotnie tak zwane sumienie? Zapewne uważa że notatka jest zbyt ryzykowną? Myli się, każde jej słowo jest zważone i przemyślane.

Kapitan Gutzner był dostatecznie zaprawiony w cynizmie swojego zawodu, ale jako młody człowiek niezawsze jeszcze zgadywał swego zwierzchnika. Generał zasłonił twarz rękami poprostu dlatego, że chciał ukryć przed adjutantem swoją radość a zarazem odegrać komedję poruszonego serca — służba służbą, ale, do djabła, jest się przecież człowiekiem... Wyglądało to na słabość, ale doprawdy wstyd było w tak drażliwej sprawie pominąć wszelkie ceremonje.

— Gutzner, kto redagował notatkę?!...

Kapitan nie odpowiedział, skulił się i uśmiechnął się z wdziękiem najskromniejszego winowajcy, jego niezdecydowane rozłożenie ramion mówiło — cóż robić, panie generale, robi się, co można... Tu zerknął na generała i dopiero dostrzegł w nim znamiona najwyższego zadowolenia, źle maskowane przez przesadną surowość i fałszywą melancholję, która zupełnie nie trzymała się na nieudolnie zatroskanem czole.

— Kapitanie Gutzner!

— Rozkaz, panie generale!

— Kto pana upoważnił do podobnie skandalicznego komentowania wzmiankowanego faktu! Dlaczego pan nie odwołał się do mnie? Więc ja z gazet mam się dowiadywać o wydarzeniu tej miary?

— Telefonowałem wielokrotnie, panie generale...

— Przez cały wieczór byłem w domu! Pan zapewnie zapomniał mojego numeru? Kapitanie Gutzner!

— Słucham, panie generale!

— Ta notatka jest łajdacka!

— W tym duchu właśnie ją redagowałem...

— Jest w najwyższym stopniu niezgrabna! Wypada na to, że sami zdradzamy nasze sekrety i wsypujemy oddaną nam osobę! Idjotyzm!

— Ta niezręczność jest rozmyślną, między innemi ma ona za zadanie poprzeć oskarżenie... Mam informacje, że przy niezmiernych stosunkach pani Evard jej proces może się stać czczą formalnością.

— I pan sądzisz, że ich Drugie Biuro weźmie się na taki kawał?

— Weźmie się bezwątpienia!

— Na tak ordynarną insynuację, szytą białemi nićmi?

— Białe nici bywają nieraz bardzo mocne, panie generale! W mojej notatce są one tak wyraźnie białe, że przez to samo stają się zupełnie czarne.

— To jest tylko gra słów, zwyczajny witz.

— Przepraszam pana generała... Psychika ich Drugiego Biura a więc i sądu wojennego jest nastawioną na ostrą walkę z wysokiemi protekcjami oskarżonej — ambicja zawodowa. Moją notatkę pochwycą tam z najwyższą radością i, nie przyglądając się jej zanadto, umieszczą na honorowem miejscu w „dossier“ Evy Evard.

— Jej adwokat w jednej chwili obali całe to głupstwo.

— Zgóry wiadomo, że adwokat będzie się starał obalić

pokolei wszystkie zarzuty i dowody, zresztą cóż znaczy adwokat przed sądem wojennym w czasie wojny, a do tego, gdy oni tam po naszych druzgocących zwycięstwach zdychają ze strachu i z wściekłości. Moment psychologiczny...

— Gutzner, byle tylko nie za dużo psychologji — bo przesolisz!

— Uwaga zupełnie słuszna, panie generale, o nieprzesoleniu dobrze pamiętam, więc zrobimy jeszcze tylko jedno drobne posunięcie dla uzupełnienia efektu dzisiejszej notatki, naturalnie jeżeli pan generał się nie sprzeciwi...

— Proszę!

— Puszczę jutro drugą notatkę, zresztą mam ją gotową, gdyż dopiero obie wzięte razem... Będzie to komentarz, mający za zadanie naprawić niezgrabność dzisiejszej wzmianki, coś w rodzaju „dementi“, ale dość zawiłe i w miarę głupie, jak zazwyczaj bywa w kłopotliwych sprostowaniach urzędowych... Będzie to dla Francuzów niezbitym dowodem, że nasza pierwsza notatka ze swoją straszliwą „gaffą“ zawiera właśnie czystą prawdę.

Generał rozważał rzecz w milczeniu, zachmurzył się, aby ukryć swój zachwyt, choć adjutant widział go dobrze, wreszcie nastawił głos na oburzenie, niemal na grozę.

— Ach szelma... Co to za szelma!...

— Pan generał myśli o naszej pani Grecie?

— Nie, mówię o panu.

— Bardzo mi to pochlebia, pan generał jest zbyt łaskaw na skromnego kapitana...

— Będziesz majorem, Gutzner, za dwa tygodnie przeczytasz się w dzienniku rozkazów, zapomniałem ci wczoraj powinszować.

— Panie generale... Doprawdy...

— No — no... No — no... Siadajże pan — bronił się generał przed wybuchem wdzięczności adjutanta. — I do rzeczy! Wspomniał pan o Grecie... Czy przysłała świeży raport?

— Wczoraj przybył umyślny agent łącznikowy ze sprawozdaniem ustnem, bo Greta boi się pisać, mam to zastenografowane, tylko jeszcze nie przepisane. Akcja rozwija się najpomyślniej. Wszelkie podejrzenia, tajne obserwacje i różne zasadzki na Gretę ustały, teraz mają już do niej absolutne zaufanie i zaraz po procesie pani Evard, z którym się tam bardzo śpieszą — ma być wysłaną nad Ren do Leverkuzen i Ludwigshafen dla zdobycia informacji o nowych substancjach gazowych, odkrytych jakoby przez Wagera. Wówczas i my ją zobaczymy i dowiemy się bezwątpienia bardzo ciekawych rzeczy, których nie chciała powierzyć łącznikowi. Narazie garść nowin — cała opinja jest strasznie zawzięta przeciwko pani Evard, więc adwokat, choć będzie się domagać uniewinnienia, spodziewa się jednak skazania do dwóch lat — maximum. Jego hipoteza o intrydze niemieckiej, którą uzgodnił z oskarżoną, jest już teraz w Drugiem Biurze i w ścisłych sferach ministerjalnych przedmiotem drwin jako rozpaczliwa bajda, wylęgła w wyobraźni osaczonej gwiazdy filmowej. Wysokie protekcje zawiodły, opinja nie daruje nigdy pani Evard, że ośmieliła się być w Berlinie

neutralną, opinja wierzy ślepo w jej winę i domaga się najsurowszego wyroku. Głosy prasy — ten proces powinien się zakończyć w fosie Vincennes... — Sąd ma zapomnieć o sławie znakomitego imienia... — Jeżeli którykolwiek z jej wysokich a znanych redakcji wielbicieli poważyłby się interwenjować... I tym podobne.

— Ta fosa w Vincennes... Bój się Boga, Gutzner — żebyś nie przesolił... Nie chcemy iść za daleko! Dla mnie osobiście... Dla słusznego odwetu Niemiec wystarcza, że siedzi i posiedzi jaszcze w więzieniu. Gdyby ją uwolnili, byłbym szczerze rad.

— Panie generale, muszę trochę formować ponad potrzebę, niejako na zapas, ale ja sam jestem zdania, że już osiągnęliśmy zamierzony cel.

— No, to przesada. Naprzykład obawiam się bardzo konfrontacji, wojna wojną, ale w tej ich demokratycznej republice mogą do tego dopuścić... Pan znasz Evę z ekranu? Ona zaimponuje sędziom i pogrąży naszą małą szelmę, ona potrafi tak spojrzeć...

— Wykluczone, panie generale! Greta nie jest małą szelmą — to szelma na wielką skalę, dużobym dał, żeby ujrzeć ich pojedynek przed sądem. Na Gretę nie podziałają żadne miny ani najlepsze kreacje pani Evard! Ta wytrzyma wszystko. Ale niema mowy o konfrontacji, oskarżona ani jej adwokat nie dowiedzą się nigdy, kto był głównym świadkiem!

— Ejże...

— Najlepszy dowód, że naszą Gretę zamierzają wysłać do nas z powrotem ze specjalną misją, więc nie będą jej

przecie pokazywać przed sądem?

— Cóż ona jeszcze ciekawego przysyła za tym razem? Sytuacja ogólna?

— Szczegółowy wykaz wojsk amerykańskich, wyładowanych we Francji do dnia piętnastego bieżącego miesiąca — miljon i pięćdziesiąt siedem tysięcy!

— Bluff!

— Pięćdziesiąt trzy pełne dywizje!

— A więc biorąc po dziesięć tysięcy...

— Dywizja amerykańska liczy dwadzieścia tysięcy ludzi, panie generale.

— Patrzajcie go, on musi wszystko wiedzieć... Cóż dalej? Clemenceau trzyma się?

— To on trzyma wszystko w żelaznej garści, wygadują na niego niestworzone rzeczy, nienawidzą go, a boją się... Pocichu zaś każdy przyzna, że on jeden zdoła uratować Francję i koalicję — tacy już są Francuzi.

— A Greta nie wywąchała tam kogo z ich ludzi, co się tu u nas jeszcze kręcą?

— Możliwe, ale ona ma jedną wadę, że nigdy nie melduje wszystkiego co wie, dużo zachowuje dla siebie, ręczę że i z szajki Abbegglena zostawiła sobie cośniecoś w rezerwie.

Z chwilą, gdy Eva Evard znalazła się we francuskiem więzieniu, stanowisko generała umocniło się ostatecznie. Wierny Gutzner nie zaniedbał niczego, by uratować swego szefa, a ten, udając, że nie bardzo wie o co chodzi, pozwalał na wszystko i pieniędzy nie szczędził. Dziś, gdy nareszcie przyszła upragniona wieść, nastał dla zdręczonego generała

dzień tryumfu. Ustaną plotki i ośmieszające anegdoty berlińskiego światka, a władze wyższe, sam pan minister, sam szef gabinetu wojskowego J. C. Mości poznają wkońcu jakiej miary człowiekiem jest Sittenfeld. Były to względy wielkiej doniosłości życiowej, ale czyż sama karjera daje szczęście?...

Szczęściem prawdziwem była rozkosz zemsty, pycha zwycięstwa, odniesionego w najtrudniejszych warunkach, przekroczenie granic ludzkich, przezwyciężenie niepodobieństwa. Dosięgnął ją znienawidzoną w bezpiecznem ukryciu za frontem nieprzyjacielskim, przez jej ukochanych Francuzów wtrącił ją do więzienia, wydał ją na łup sądu wojennego. Upajało go poniżenie najdumniejszej, najprzewrotniejszej kobiety, jaką znał, zdruzgotana jest jej wielka światowa karjera, odebraną jest z pod jej stóp ziemia Francji, jej jedyna ojczyzna, samo jej życie zawisło na wątłej nici przypadku, ślepego trafu, który feruje wyroki sądów wojennych w czasie wojny.

Widział swoją wyniosłą, wspaniałą Evę w nędznej celi więziennej, osamotnioną na świecie, bez wielbicieli, bez hołdowników, bez przyjaciół. Zbyt wysoko cenił jej rozum i przenikliwość, by wątpić, że wie ona doskonale i nieomylnie komu zawdzięcza swoją niedolę. Hipoteza o intrydze niemieckiej, o zemście „bezecnego Prusaka“ generała Sittenfelda za zawiedzioną miłość może być również sztuczką adwokacką, nieźle pomyślanym wybiegiem obrony — ale Eva jedna jedyna na świecie wie, że to prawda, i ona, strącona wielkość na dnie przepaści, przeklina go i musi, musi o nim myśleć, myśleć bez

przerwy, dniem i nocą.

Czyż świadomość tego nie jest rozkoszą zemsty i rozkoszą duszy nieskończenie wyższą nad realne rozpętanie zmysłów? Czyż nie obalił jej do swoich stóp? Czuje jak drży w upokorzeniu. W strachu. W męce.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Gałecki](#).*

X

— Może zrobimy przerwę na pół godziny? Pani jest zmęczoną?

— Nie czuję żadnego zmęczenia, ale jeżeli pan potrzebuje odpocząć...

— To nie należy do pani

— Wiem o tem, ale grzeczność za grzeczność...

— Nie jesteśmy tu poto, aby prawić sobie grzeczności!

— Panu majorowi przeszkadza moje dobre wychowanie? Niestety, taką już jestem...

— A więc, zarządzam przerwę na trzydzieści minut, zezwalam posłać ordynansa po herbatę i sandwicze.

— Panie majorze...

— Proszę?

— Dziękuję za łaskawe zezwolenie, ale wolałabym filiżankę kawy i parę sucharków.

— Nie jestem tu od dyskutowania, co pani woli na drugie śniadanie. O swoich gustach powie pani ordynansowi.

— Proszę się nic gniewać, sądziłam, że rozporządzenie pańskie dotyczy wyłącznie tylko herbaty i sandwiczów, wszak jestem pod jurysdykcją wojskową...

— Pani Evard, ma pani pół godziny odpoczynku, proszę się przez ten czas opamiętać. Przypuszczam, że gdy podejmiemy rozmowę na nowo, zechce pani wreszcie wyjść z roli damy światowej, która nie raczy dostrzegać powagi swego położenia...

— Ach, panie majorze... Radabym bardzo nastroić się na powagę, ale cóż, zadaje pan pytania, które mnie śmieszą... Domaga się pan ode mnie spowiedzi z całego życia... To jest mocniejsze ponad całe moje opanowanie.

Audytor wojskowy major Lejard gonił resztkami sił i już dwukrotnie w ciągu śledztwa prosił o zwolnienie go z ciężkiej służby a wzamian o odkomenderowanie na front. Odmówiono stanowczo i nakazano jaknajprędzej zamknąć dochodzenie. Łamał się pod ciężarem zadania, ta straszna kobieta poprostu pastwiła się nad nim. Nie działały na nią żadne groźby ani najchytrzejsze zasadzki, ani okazywanie dokumentów, które ją obciążały bezwarunkowo. Nigdy nie traciła przytomności umysłu w obliczu najstaranniej preparowanych niespodzianek, zachowywała spokój i całkowitą swobodę, z każdego zarzutu tłomaczyła się jasno i logicznie i tak prawdopodobnie, jakby rzeczywiście była niewinną. Gdy jej przedstawiono dowód nieodparty działania na szkodę siły zbrojnej Francji w ścisłem porozumieniu z Niemcami, nie uniosła się gniewem ani oburzeniem, lecz zaznaczyła poprostu.

— To jest zmyślone i podrobione w kontrwywiadzie niemieckim z polecenia generała Sittenfelda, żeby mnie zgubić — wiadomo z jakich pobudek. Proszę mi powiedzieć w jaki sposób trafiło to do aktów sądu wojennego armji francuskiej?

— To sprawa poufna, rzeczą sądu wojennego jest ocena dróg, któremi docierają podobne dokumenty. Oczywiście pochodzą one od osób, posiadających absolutne zaufanie władz wojskowych.

— A więc osoba absolutnego zaufania, która doręczyła ten dokument, jest na służbie niemieckiej. Proszę mnie z nią skonfrontować, mniejsza o moją sprawę, ale za jednym zamachem wykryje się jedna więcej agentka niemiecka — już ja jej dam rady...

— Dlaczego pani mówi — agentka?

— Tak sobie.

— To jednak ciekawe...

— Gdybym powiedziała — agent — pana majora zaciekawiłoby to również, jakże ja mam wkońcu mówić?

Najgorsze były oczy oskarżonej, major od pierwszego przesłuchania był pod ich opętaniem. Jasne, przejrzyste, mieniące się w zielonkawo modrym połysku, były — mniejsza o to — przepiękne, ale ich główne niebezpieczeństwo polegało na wpływie magnetycznym, jak to dla siebie po swojemu nazywał major. Z jej oczu wyzierała prawość najczystsza, uraza dotkniętej czci i niezawiniona krzywda. Pod samem jej spojrzeniem bez żadnych słów chwiały się w umyśle majora zarzuty, poszlaki, dowody. W głębokiem, rzetelnem przeświadczeniu drwił z całej historji o intrydze niemieckiej, zmyślonej przez genjalną aferzystkę, drwił, dopóki nie spojrzał w te oczy. One wywracały w nim zdrowy sąd, w ich promieniu gubił cały krytycyzm i, o dziwo, baśń o demonicznym pruskim generale zdawała mu się prawdopodobną, nawet faktycznie prawdziwą, wreszcie stawała się jedynem wytłomaczeniem i jedyną podstawą strasznego oskarżenia — Eva Evard była niewinną!

Gdy wychodził z magicznego zasięgu jej oczu, wracał

mu rozsądek i suchy zimny objektywizm zawodowca, który nie podlega wrażeniom, jeno patrzy w fakty, w dokumenty i w przyczynki zawarte w aktach — wówczas ta sama Eva Evard stawała się wyrafinowaną zbrodniarką, a dowody jej winy były więcej niż dostateczne.

Na następnem posiedzeniu powracały wszystkie wahania. Major Lejard był dość inteligentnym prostakiem, więc stwierdziwszy omamienie, któremu podlegał, unikał spojrzenia oskarżonej i przez cały czas badania starał się nie odrywać oczu od papierów. Rychło zmuszony był spostrzec, że głęboki, wyrazisty głos oskarżonej, jej dziwny sposób mówienia, zmiany i odmiany tonacji, niespodziewane zwroty w kolorycie dźwięków jej mowy, nawet lekko obcy akcent — usposabiały go dla niej przychylnie i „oskarżona Evard“, jak się pisało w protokułach, znowu stawała się niewinną ofiarą szatańskiej niemieckiej kabały, a generalny zakonspirowany „świadek“ oskarżenia, cieszący się zaufaniem i poparciem wysokich figur w Drugiem Biurze sztabu generalnego, niejaka pani Lamande, którą major przesłuchiwał parokrotnie, była wstrętną, sprzedajną kreaturą, bezczelną prowokatorką niemiecką, pozostającą na usługach obu stron i nasłaną do Paryża umyślnie, żeby oskarżyć i zgubić Evę Evard na rozkaz generała Sittenfelda.

Major Lejard, wzorowy służbista, doświadczony, zahartowany i zasłużony w wielu głośnych procesach o szpiegostwo, broniąc się od tych czarów postanowił sobie jako prostak i zatwardziały zawodowiec traktować „oskarżoną Evard“ zwysoka, szorstko i nawet brutalnie,

chcąc się tem nastawić na właściwy tor, albowiem oskarżona wedle przekonania jego bezpośrednich przełożonych oraz potężnego gniazda wtajemniczonych z Drugiego Biura była bezwzględnie winną i zasługiwała na najwyższy wymiar kary.

Teraz dopiero między podsądną a inkwizytorem zaczęła się prawdziwa wojna, Eva nie darowała mu ani jednej przyczepki, ani jednego grubjaństwa, nie przepuściła mu najmniejszego potknięcia się, żadnej niezręczności. Górując nad nim nieskończenie inteligencją i kulturą nie tylko z łatwością odpierała jego ciosy, ale parując sama zadawała dotkliwe rany i gdyby obecny przy badaniach stenograf-protokulant porucznik Gervais notował również i utarczki, staczane niejako na marginesie sprawy, zachowałby dla potomności przedziwny dokument humoru i dowcipu, wspaniałe repliki Evy, jej błyskotliwe cięcia, sztychy i ukłucia, pełne werwy i zjadliwości. Nawet ku końcowi posiedzeń, gdy przeciwnik, bity i ośmieszany w ciągu kilku godzin, był już nieprzytomny ze zmęczenia i brnął ku przerażeniu protokulanta w bezprzykładne głupstwa, nigdy nie zabrakło jej energji ani najtrafniejszego zatrutego słowa.

Majora doprowadzała do szału wściekłości spokojna odwaga Evy. Ta kobieta nie znała strachu. Gdy uparcie odmawiała odpowiedzi na pewne pytania, którym przypisywał pierwszorzędną wagę, przytaczał jej paragrafy kodeksu wojennego i przymierzał do jej winy pięć, dziesięć do piętnastu lat więzienia, a gdy to nie pomagało, napróżno pod wielu postaciami w dalekich przypuszczeniach, napomykając pośrednio, lub wreszcie uderzając brutalnie,

wprost straszył ją wyrokiem śmierci.

— Panie majorze, przypuszczam, że na sądzie wojennym będę miała do czynienia z zespołem oficerów obdarzonych pewną inteligencją, ale gdyby nawet za odmowę z mojej strony pewnych zeznań wypadało im wydać na mnie wyrok śmierci, to i w tym razie nie zmieniłabym mojego postępowania. Nie życzę sobie opowiadać panu, czy komu innemu o sprawach, które należą tylko do mnie jednej.

— Pani nie chce mówić, bo się pani boi wsypać! Pani się zapiera, pani kłamie swoim uporem! To jasne! Nie pomogą żadne wielkie miny! To milczenie zdradza kim pani jest!...

— Panie majorze...

— Co?!

— Pan krzyczy, jakbym się znajdowała na drugim brzegu Sekwany, gdy tymczasem siedzę tylko po drugiej stronie tego stołu. Czy ten krzyk nie zdradza, kim pan jest?

— Więc?!

— Nic więcej — to tylko chciałam powiedzieć.

Adwokat Evy maître Lourthier długo wahał się i węszył po Paryżu zanim na natarczywe błagania senatora Guillet-Goudona i na wciąż podwyższane kwoty honorarjum zdecydował się wziąć sprawę w swoje ręce.

Opinja ulicy i gazet brukowych była wrogą jego klijentce, zaprzyjaźnione z nią wybitne osobistości były zakłopotane i na prywatne dociekania adwokata wypowiadały się półgębkiem, bardzo ostrożnie, językiem pythyjskim. Deputowany La Frénière odrzucał wprawdzie możliwość szpiegostwa w ordynarnem znaczeniu słowa, ale

dopuszczał ze strony Evy błędne i zgubne interpretowanie pojęcia neutralności na terenie nieprzyjacielskim, co zupełnie usprawiedliwiało powszechne oburzenie opinji francuskiej i wkroczenie władz wojskowych. Sam będąc adwokatem, z ochotą podjąłby się obrony w tej sprawie, ale nie pozwalała mu na to jego wybitna rola polityczna, zresztą jest związany dyscypliną swojego klubu parlamentarnego.

— Sprawa w istocie przedstawia mi się błahą, jednak szanowny kolega musi być przygotowany na to, że sąd wojenny w tych czasach z reguły bardzo niechętnie zwalnia oskarżonego, zwłaszcza, gdy zachodzi moment dużego rozgłosu i zainteresowania danym procesem. W toku wojny zagnieździła się tam pewna doktryna, której nie chcę rozważać a tem bardziej sądzić. I jeżeli wkońcu Eva Evard dostanie rok do dwóch, to znaczy, proszę wiedzieć, że będzie to niejako stwierdzeniem jej niewinności a szanowny kolega będzie mógł śmiało uważać, że wygrał sprawę, i to jego przeświadczenie podzieli, jeżeli nie szeroka opinja, to zato cała palestra.

Przyjaciel Evy, duży finansista Gutheline, przelotny podsekretarz stanu w jednym z przelotnych gabinetów w początkach wojny, był oburzony na Evę za jej wyzywające lekceważenie opinji Francji, gdzie doznała tyle gościnności i serca.

— Oto cała jej wina, reszta alarmu to jest głupota władz wojskowych, które wszędzie szukają sprawców naszych klęsk prócz tam, gdzie oni siedzą naprawdę.

— Przyzna pan, że jej aresztowanie jest karygodnym

skandalem?

— Mecenasie, jeżeli Caillaux — sam Caillaux od pół roku już siedzi oskarżony o zdradę — wyraźnie o zdradę, panie mecenasie, to cóż się dziwić, że potrosze wsadzono naszą kochaną panią Evę? Wkońcu nic jej nie zrobią, a pan zyska dużą reklamę i niemałą przyjemność konferowania w murach więziennych z tak zachwycającą kobietą. Ale staje pan do walki z całą opinją — proszę sobie policzyć za to podwójnie a nawet poczwórnie — to bardzo bogata pani, w jednym tylko moim banku ma w depozycie na osiemset tysięcy doskonałych papierów.

Pułkownik de Girelle, „zlimożowany“ jak wiciu jego kolegów po nieszczęsnym 27-ym maja, czyli przydzielony do obozu w Limoges w stan rozporządzalności ministra wojny, człowiek złamany i zgorzkniały, zapatrywał się czarno na sprawę Evy.

— Cokolwiek ona tam wyprawiała w Berlinie, ręczę całym honorem, że czyniła to dla Francji. Ale nasze Drugie Biuro to podziemia hiszpańskiej inkwizycji, to banda łotrów, puszczonych na kraj przez nowego, pożal się Boże, ministra wojny. Ten pan terrorem i represjami na ślepo chce podnieść ducha w społeczeństwie i w armji, no i postrachem utrzymać się przy władzy. Nikt we Francji nic jest pewien dnia ani godziny. Zgroza ogarnie kraj, gdy po wojnie ujawnią się ich zbrodnie! Skażą, skażą napewno największą artystkę świata, najszlachetniejszą przyjaciółkę Francji ku radości zdziczałego motłochu, na którym opiera się Clemenceau... Jest tylko jedna droga ratunku, staraj się pan o wypuszczenie jej za kaucją, bodaj miljona franków,

Evę Evard na to stać — i niech natychmiast ucieka, do Szwajcarji byłoby trudno, najłatwiej dostać się górami do Hiszpanji. Oto moja rada, ale obawiam się jednego — że ona nie zechce uciekać, jest za dumna, nadto ceni swój honor i, niestety, zapewne zbyt ufa w przenikliwość naszych sądów wojennych...

— Więc co pan mi radzi — podjąć się obrony?

— Poradzę panu jako człowiekowi, który chce wiedzieć na co się porywa. Powiem — chcesz pan, bierz sprawę, nie chcesz — daj spokój. Ale wiedz, że adwokat, choćby gcnjalny jak, naprzykład, pan. nic nie zdoła i nic nie wskóra przed naszym sądem wojennym, jeżeli ten ma zlecenie zgóry — zasądzić! Ambicja pańska nic może tu ucierpieć, wkońcu sama Eva może się stać potężnym obrońcą swojej sprawy. Gdy stanie przed sądem, gdy się pokaże, gdy spojrzy i przemówi, to z tych dziewięciu czy dwunastu przeciętnych oficerów, stanowiących komplet orzekający, trzy czwarte może zostać do tego stopnia olśnione i porwane, że, nie licząc się z niczem, przegłosuje resztę, składającą się z siepaczy, lokajów i karjerowiczów. To moja jedyna nadzieja...

I adwokat Lourthier podjął się obrony głównie w widokach wielkiej reklamy, jaka przy tak rozgłośnej aferze bez względu na jej wynik wesprze jego osobę, tudzież dla wspaniałego honorarjum, na jakie nie bez skrzywienia przystał senator Guillet-Goudon, który otrzymał od Evy z więzienia notarjalne pełnomocnictwo dla zarządzania jej sprawami majątkowemi. Ale już po pierwszych odwiedzinach u swej klijentki w więzieniu St. Lazare uległ

czarowi Evy, którą raz tylko widział na ekranie w wielkiej stylowej szlachetnej kreacji w filmie „Cześć Kobiety“, gdzie Eva Evard również siedziała w więzieniu, stawała przed sądem, ale wkońcu zwyciężyła najczarniejsze intrygi wrogów i wyszła zamąż za swego pięknego ubogiego chłopca, który zresztą na godzinę przed ślubem został miljonerem.

Od tej chwili maître Lourthier całą energję, cały swój niepośledni talent i, rzec można, niemal całą swą paryską duszę oddał obronie.

— Maître Lourthier, pozyska pan sławę światową — podniecał go senator — albowiem twierdzę, że rozgłos, ohyda i zwycięstwo wiekopomnej sprawy Dreyfusa są niczem — twierdzę to — wobec zbrodniczej intrygi, wymierzonej przez jakąś ukrytą mafję przeciwko Evie Evard!

Eva była klijentką wysoce inteligentną ale trudną, od samego początku śledztwa obrońca napróżno błagał ją, by nie drażniła i nie ośmieszała majora, który wprawdzie nie orzeka w jej sprawie, ale od jego protokułów, od jego raportu zależy w wysokim stopniu opinja sądu.

— Zanim zobaczą i wysłuchają panią muszą przestudjować wszystkie jego papiery, a major Lejard musiałby być zaiste aniołem, żeby nie odbiła się tam jego uraza do pani. Ludzka rzecz... A dalej, czemu pani nie chce wyjaśnić mu okoliczności, dla których generał Sittenfeld znienawidził panią? Jego zemsta stałaby się dla sądu bardziej dopuszczalną, bardziej prawdopodobną, a jak dotąd sfery wtajemniczone, osławieni specjaliści z

Drugiego Biura odrzucają stanowczo wszelką możliwość podobnej intrygi.

— Brak im wyobraźni.

— Tak jest, niechże im pani dopomoże!

— Nie mogę, gdyż musiałabym wtajemniczyć ich w moją przygodę z pewnym młodym człowiekiem, o której wiedział cały Berlin, i co po mojej ucieczce było roztrąbione w gazetach. Jeżeli major chce o tem wiedzieć, niech sobie sprowadzi te gazety.

— To nie jego rzecz, to obowiązek obrony, gazety już dawno zamówiłem, tem bardziej nie ma pani powodu być tak drażliwą na tym punkcie.

— Ja nie powiem o tem ani jednego słowa — taka już jestem. Ale wiem, że jest tu osoba zaufania Drugiego Biura, moja główna oskarżycielka, która przywiozła mój osławiony memorjał oraz parę świstków sfałszowanych przez biuro kontrwywiadowcze niemieckie. Ta dobrze zna przyczyny nienawiści Sittenfelda a major napewno ją przesłuchiwał — niech się jej spyta i o to a będzie wiedział.

— Kto go wie, może się i pytał a teraz chce sprawdzić u źródła tamtą wersję... Daleko donioślejszą rzeczą jest, żeby pani nareszcie, nareszcie, droga panj Evard, wymieniła mi nazwisko owej agentki i upoważniła mnie...

— O tem niema mowy!

— Pani wytrąca z moich rąk atut niezmiernej wagi..

— Dałam panu klucz do zrozumienia intrygi...

— Choćbym ją zrozumiał, to cóż z tego, jeżeli mi nie wolno pisnąć słowa, dziękuję za klucz, którym nie mogę nic otworzyć ani go bodaj pokazać komu należy, że go jednak

mam!

— Nie mogę zawieść zaufania pewnego życzliwego mi człowieka, który mi to wyjawił w tajemnicy.

— Proszę zatem o nazwisko tego pana, udam się do niego...

— Byłby to nielojalny nacisk z mojej strony. Ten pan, który mnie ostrzegał, jest oficerem i gotówby stawić się przed sądem jako świadek.

— Ależ cudownie!

— Ale po złożeniu zeznania strzeliłby sobie w łeb — ja go znam — gdyż on zkolei zdradziłby tajemnicę, którą wydostał od kolegi pod słowem oficerskiem.

— Prawdziwy galimatjas subtelności! I dlatego pani ma przegrać sprawę! Doprawdy, chyba żaden adwokat na świecie nie miął podobnie absurdalnych kajdanów na rękach i nogach... ukutych z fikcyj, które jednak nie dają mu zrobić żadnego posunięcia, paraliżują cały jego wysiłek! To jest dziwactwo! Pani Evard, to jest fanaberja rozkapryszonej kobiety, zupełnie nie w porę i nie na miejscu!

— Panie Lourthier, to jest mój. punkt honoru! Ten człowiek był mi bardzo oddany, a dowiedziawszy się zawczasu, że mi grozi wstrętny proces o szpiegostwo, choć wierzył niezbicie w moją niewinność, błagał mnie, żebym, nic tracąc jednej godziny, uciekała zagranicę.

— Na Boga żywego!... Czemuż go pani nie usłuchała?!!

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Gałecki](#).*

XI

Claude z dnia na dzień odkładał rzecz najważniejszą, postanowienie nieodwołalne, od którego począwszy zamknie się.jego nieprawdopodobny byt, a zacznie się nareszcie coś zrozumiałego. Wiedział, że należało ratować się nagwałt, gdyż, pominąwszy tajemnicze ostrzeżenie na moście, które bardzo mogło być i przywidzeniem, pomimo stępienia i nieprzerwanej swojej zadumy, w której trwał nad jakąś pustką i nicością, zauważył kolo siebie rzeczy dziwne.

Spostrzegł od paru dni, że włóczy się za nim po mieście i za miastem jakaś niezwykła zjawa ludzka, która po kilka razy na dzień zmienia ubranie, kapelusz, twarz, wiek, nawet płeć, bo choć przeważnie bywa starszym lub młodszym panem, to jednak nieraz przeobraża się w kobietę, zawsze młodą i przystojną. Panowie w różnych odmianach zagadywali do niego, przysiadając się na ławce w Luisenparku, w Friedrichsparku, w Schlossgarten, a z jednym z nich, z siwobrodym, dostojnym jegomościem, który stracił dwóch synów na wojnie, rozmawiał przeszło godzinę na okrągłej ławeczce pod lipą w Schniekenloch i niemal się z nim zaprzyjaźnił. Kobiece wcielenia niebezpieczeństwa zaczepiały go czasami, a niezawsze umiał się od nich opędzić, poznał bliżej już trzy, brunetkę, rudą i niemal białą blondynkę, wszystkie jakby się zmówiły, natrętnie pytały go o Paryż i zdradzały się z sympatją dla Francuzów. Ich oczy czarne, piwne, niebieskie poglądały nań z niedwuznac/nem upodobaniem. Wreszcie

wszystkie trzy pokolei zapewniały go, że zrobiłyby to po raz pierwszy w życiu, ale chętnie odwiedziłyby go w jego mieszkaniu... Apatja Claude'a była bezgraniczna, przypuszczał on z filozoficzną pogodą, że lada dzień któraś z trzech panienek, prawdopodobnie najbezczelniejsza,, białowłosa Frida, która mu się właśnie najmniej podobała, znajdzie się w jego pokoju na Gontardstrasse, ale jakoś jeszcze do tego nie doszło...

Widać poczciwiec Abbegglen „rozkleił się" w śledztwie, ratując życie lub skłoniony do tego prętami gumowemi, może wsypała go Greta, która z pewnością również siedzi. Co za dziwolągi wyprawia z ludźmi wojna! Pani Greta von Senden stoi przed niemieckim sądem polowym jako agentka francuska, a małżonek von Senden, likwidując jej rewelacje, osacza go obławą cieniów, które wszystkie są emanacją jego osoby...

Claude nie miał żadnej wątpliwości, że było tak właśnie. Von Senden we własnej postaci znikł mu z oczu, ale działał bardzo energicznie, nawet demonstracyjnie. Trzeba było coś z tem począć. Uciekać!? Ale jak? Dokąd?

Wreszcie — poco?

Claude próbował obmyślać różne plany ucieczki, do Szwajcarji, do Holandji, niektóre dawały niezłe szanse powodzenia, ale wnet ich wątek urywał się i tonęły w zapomnieniu. Strach, który je improwizował, budził się na chwilę, na godzinę i znikał, gdy Claude opamiętywał się i postrzegał, że strach jako taki nie miał w sobie żadnego sensu. Jedynym strachem, jedyną zmorą, które dręczyły go w ostatnich paru tygodniach, był tylko wzgląd na Ritę, by ta

w wypadku katastrofy nie dowiedziała się prawdy, kim był w istocie swojej jej cień nieodłączny i najbliższy przyjaciel, dr. Ossian Helm — on — właśnie ten sam...

Gdy Rita porzuciła ten świat, urwał się i znikł zarazem strach przed nią, przed tem, coby o nim myślała, jakby wspominała obłędne momenty rozpaczy i zapomnienia, które ją rzuciły w jego objęcia. Rita utonęła w mrokach nicości i przekreślone zostało wszystko, co było. Albo też, gdy istnieje niepojęty tamten świat, a nieśmiertelna dusza ludzka zachowuje pamięć o ziemskiem życiu i zdobywa boską wszechwiedzę o sprawach ludzkich, pozostających na tym padole płaczu, to dusza Rity ogarnia Ossiana Heima i jego dzieje z jakiejś ponadludzkiej wyżyny, gdzie zjawiska widziane są w ich nagiej, czystej szczerości, tam nic nie znaczą i nie ważą dramaty tego świata ani nawet sama wojna — drobna okoliczność, która wytworzyła zagmatwaną zjawę Ossiana Helma i wszystko, co za tem idzie.

W każdym razie dawna zmora strachu poszła w niepamięć, a cóż innego mogło mu grozić? Parę tygodni więzienia, parę godzin sądu i stryczek — wszak w jego losie bez sensu i bez wyjścia to dobrodziejstwo! Ktoś go wyręczy w sprawie ostatecznej, na co, jak to dobrze wiedział sam, nic zdobędzie się nigdy. Zamarła jego rozpacz, zamarł ból, a wraz z tem odeszło całe życie i jego wola — niech się dzieje, co chce...

Coraz. słabiej dolegał nieszczery, jakby wmówiony mus dokonania czegoś, codzień rano, gdy się budził, czekał na niego ktoś z natarczywem pytaniem — więc?! Trzeba go

było łudzić, oszukiwać, wreszcie odprawiało się go do jutra, poczem znikał poczciwie do następnego ranka. Dzień schodził na niczcm, Claude, nie mogąc usiedzieć w domu, wałęsał się po mieście, po ulicach, po ogrodach, po kawiarniach, wlokąc za sobą cienie von Scndena. Wreszcie na Starym Rynku spotkał go samego i niemal się ucieszył.

Von Senden, jak zawsze miał zamącone spojrzenie, a choć pora była wczesna, przedpołudniowa, znać było po nim szereg kieliszków i szklanek.

— Servus, doktorze! Piękną mamy pogodę, wróciłem wczoraj z Berlina, gdzie lało przez trzy dni, flagi tryumfalnie wisiały przez trzy dni mokre jak zdechłe psy, aż wstyd było patrzeć, kiedyż, u djabła, skończą się u nas te idjotyczne uroczystości? Gdzie człowiek przyjadzie, radość i świętowanie, żeby nas za to Bóg ciężko nie pokarał... Tym razem obchodzono trzecią zkolei zwycięską ofensywę — ta jakoś nam dziwnie szybko zamilkła, a na mapie pod Reims nowe wybrzuszenie naszego tryumfu jest nikłe. Żołnierze, czyli, ściśle mówiąc, oficerowie niemieccy, opróżnili już dawno resztę piwnic szampańskich po swojej stronie i radziby uporać się do nowych pokładów, a tu halt! — Reims nie puszcza... Doktorze, a gdybyśmy tak — co za upał — wstąpili na zacną buteluńcię szampana? Pod Złotym Pawiem jest chłodno i zacisznie, tam mnie dobrze znają, piłem u nich niedawno po przyjaźni a w sekrecie pysznego zdobycznego Mumm’a, którego parę baryłek przeciekło jakimś cudem podziemnym z naszego frontu prosto do piwnic ojca Mayera. Obiecywaliśmy sobie kiedyś, że pogadamy przy szklance? Ja zapraszam... Będzie

to dla mnie zaszczyt i dawno oczekiwana przyjemność... Idziemy, doktorze! Idziemy i już! Cóż to, doktór zapuszcza brodę? Odmienia mi to pana doktora w sposób niezmiernie ciekawy...

— Nie goliłem się od tygodnia, tak się jakoś złożyło, właśnie miałem wstąpić... Pan wybaczy...

— Nic pilnego, jak pan mógł wytrzymać przez tydzień, to cóż znaczy jedna lub druga godzina? Idziemy!

Claude dał się zaciągnąć. Zasiedli w ciemnym chłodnym kącie winiarni przy ledwie uchylonych okiennicach. Szampan był dobrze zamrożony i znamionował wyborną markę i niezły wiek, po pierwszym łyku von Senden wzniósł do góry rozmodlone oczy, a i Claude, nadpiwszy ze szklanki, doznał niespodzianie wrażenia jakby błogości, w połowie szklanki zapragnął zapomnienia a, dopiwszy do dna, odkrył, że jednak doraźna, szybka pomoc czeka /dręczonego człowieka nie gdzieindziej jak właśnie w zacnej jakiejś butelce. Zrozumiał alkoholików, którymi się brzydził, i jeżeli nie z sympatją, to przynajmniej bez odrazy spoglądał w zapijaczone oczy swego kompana. Von Senden mrugnął nań porozumiewawczo, jakby odgadując jego myśli.

— Panie Helm, gdyby nam, nałogowcom, danem było pijać dowoli dobrego szampana, nie byłoby na świecie pijaków, lecz każdy z nas stałby się człowiekiem uduchowionym, szlachetnym i szczęśliwym. Genjusz gleby francuskiej wraz z jej cudotwórczemi bakterjami i fermentami zasiliłby nasze mózgi i serca i stalibyśmy się równi bogom a conajmniej naszym wrogom, Francuzom...

O Francjo! Ta krew, która się leje, ta nasza bestjalska germańska nienawiść do was to nic innego, jeno odwieczna bratobójcza zawiść Germana do Francuza, bo chciałby gruby Niemczura — ce sacré Boche — być jak oni, bo ich w duszy uwielbia, choć sam nie wie za co, gdyż u nas jest wszystko wyższe i filozofja, i muzyka, i kominy fabryczne... Tę miłość dla Francji podejmuję się odczytać między wierszami nawet w najbardziej szczujących artykułach propagandowych naszej prasy! Od stu lat i więcej zakradło się między nas potworne nieporozumienie! Panie doktorze, prosit Francja! Vive la France!!

Ta pierwsza szklanka szampana zdawała się zmobilizować naraz wszystkie trunki, które von Senden zdążył dziś wypić od rana, ale Claude widział wyraźnie, że błaznując w zapale przesadza i udaje i zmierza ku czemuś — a to było ciekawe. Uczyniło mu się lekko, niemal wesoło.

— Optymiści utrzymują, że jednak wkońcu wygramy tę wojnę, to jest zmasakrujemy Francję, zrabujemy ją i na sto lat weźmiemy ją w niewolę. Pogodzimy się wkrótce z Anglją, z Ameryką, z Włochami. Z kimże jeszcze? Dużo tego, do djabła! Więc dalej z Rumunją, z Serbją, ba, z Belgją, nawet z zasmarkaną Portugalją, która stoi na froncie ze swoimi sześciu generałami i trzema kompanjami żołnierzy, ale z Francją nigdy. Dlaczego? Gdyż zanadto ją kochamy. Nasz stosunek jest żywiołowo — rasowo — biologiczno — demonicznie miłosny! U pewnych gatunków owadów, a zwłaszcza u specjalnie namiętnych pająków — samiec dręczy samicę, akt ślubny dokonywa się

w najwyższej nienawiści, poczem niezwłocznie pajęczyca pożera samca lub odwrotnie — coś podobnego zachodzi i u nas. Nasi wojenni socjologowie udowodnili już oddawna, a choć tego dokonali, powtarzają wciąż dalej z uporem rozpaczy, że przeciwieństwa francusko-niemieckie, rasowe, duchowe i wszelkie inne są, nakazem natury, a szowiniści z katolickiego centrum dodają, że poczęły się one i trwają za wolą Boga, a zatem są nieuleczalne i wieczne. Ja, gdybym miał odpowiednie przygotowanie historyczno — filozoficzne tudzież wicie innych przygotowań, a, niestety, nie posiadam żadnego prócz mojej intuicji — podjąłbym się nietylko obalić brednie zmobilizowanych profesorów, ale dowiódłbym, że przyszłość kontynentu Europy i przewaga tejże Europy nad resztą świata należy do obu naszych narodów, związanych wieczystym sojuszem. Jakie jest zdanie szanownego doktora? O ile pan doktór wogóle słuchał mnie, gdyż, że śmiem domyślać się tego głośno, pańska zaduma dowodzi, że ma pan, że tak powiem, jakieś własne kłopoty...

— Niemcy? Francja? Poczekajmy z tem do końca wojny, a potem jeszcze z dziesięć lat, wówczas podobne idee będą mogły znaleźć pewne echo. Dziś nikt po obu stronach nie zechce o tem gadać ani nawet pomyśleć. Nikt oprócz pana jednego.

— A zatem chlubię się tem i będę czekał cierpliwie, mam czas, napijmy się, doktorze, prosit!

Claude skłonił się komuś w głębi salki, von Senden obejrzał się skwapliwie — był to siwobrody, majestatyczny jegomość w czarnym surducie i zmiętoszonych,

płóciennych spodniach, w szerokoskrzydłej, brudnej panamie, przepasanej czarną krepą. Stary pokręcił się, zajrzał w jedne drzwi, w drugie, jakby kogoś szukał i wnet wyniósł się.

— Pan go zna?

— Tak, bardzo niewiele, spotykamy się czasami w Luisenparku i tyle.

— Ależ to zwyczajny szpicel! Niech się pan strzeże!

— Czego się mam strzec? Choćby szpicel, co on mi może zrobić?

— Pan mi zaimponował, doprawdy!

— Jakto?

— A tak!

— Tak?

— Tak jest! Bo u nas wszyscy się ich boju, a kto się nie boi, ten się brzydzi. Jeżeli pan się nic boi, to musi się pan brzydzić podobnem towarzystwem!

— Ani jedno, ani drugie, zresztą może się pan mylić.

— Ja go znam i uważam sobie za obowiązek ostrzec pana — to bardzo chytra sztuka! I podlec! Jak czego nie wywęszy, to nałże swojemu inspektorowi dla dalszej karjery i tych dwudziestu pięciu marek gratyfikacji, a potem włóczą niewinnego człowieka po więzieniach, dopóki im się nie znudzi — czy pan nie wie, że jest wojna?

— A pan się go strzeże?

— Ja? A poco mi to?

— A dlaczego mnie pan każe się strzec?

— Z panem zupełnie co innego, pan jest trochę niecodziennym Niemcem, w ciągu wojny przybywa pan do

nas z końca świata i odrazu wchodzi pan za zasłonę germańskiej Izydy do gniazda najgrubszych tajemnic. Staje się pan mężem zaufania i przyjacielem domu arcykapłana wiedzy ukrytej, a nieprzyjaciel chciałby ja poznać za wszelką cenę, gdyż dzień w dzień morduje mu ona, oślepia i dusi tysiące ludzi. To jasne, że jest pan pod ścisłą obserwacją w Ludwigshafen, w Mannheim i zresztą wszędzie, gdzie pan się tylko ruszy. Dlatego pana ostrzegam przed tym starym łotrzykiem.

— Chyba się pan myli, sam pan się przyznał, że zanim pozwolono mi na wjazd do kraju, zajmował się pan gorliwie moją osobą w Genewie, dzięki czemu miałem przyjemność poznać pana, a jeżeli pan mnie raz wpuścił do kraju, to skądże teraz, gdy mnie tu dobrze poznano, mam podlegać obserwacji policyjnej?

— Mogły nadejść nowe informacje z Ameryki... Mogło się coś stać w Berlinie, w Paryżu... W sytuacjach jak pańska o każdej godzinie zagraża możliwość, że się coś stanic...

— Pan mnie podejrzewa?

— To pan jest strasznie podejrzliwy, do śmieszności! Czyż mówiłbym tak jak teraz, gdybym miał co do pana złe intencje? Czy przyznawałbym się, że śledziłem pana w Genewie i udawałem francuskiego dezertera? Przecież panby mnie i tak nie poznał, gdyż w ciągu tych kilku miesięcy zmieniłem się tak dalece, że starych znajomych przy spotkaniu muszę przekonywać, że to ja, własna żona mnie nie poznała...

— Bywają różne metody...

— O, bywają! To też, gdybym chciał wyciągnąć od pana

sekret nowej substancji naszego Wagera, która, nieprawdaż, lada dzień wyruszy już na front — inaczej zabierałbym się do rzeczy.

— A naco panu nowa substancja?

— Mogę być również agentem francuskim...

— Również?

— Jeżeli nie również, więc, powiedzmy dla odmiany — angielskim.

— I niemieckim, i angielskim?

— Z agentami wyższej marki, posiadającymi bezwzględne zaufanie swojej strony, tak właśnie bywa najczęściej, oczywiście za specjałnem upoważnieniem władzy. Ale poniektóry, choć mu nie pozwolą, puszcza się na ten proceder na własną rękę.

— I czasami się zaplątuje...

— Jeszcze jak!

— A pan, panie von Senden?

— Ja?

— Nie zaplątał się pan jeszcze?

— Owszem, ale o tem nikt nie wie.

— Ja wiem!

— Pan nie zdradzi kolegi.

— Wydam angielskiego agenta bez żadnego wahania!

— Naco? Zaco? Czyżby jeszcze za Joannę D’Arc? Zawsze twierdziłem, że sojusz francuskoangielski jest potwornem nieporozumieniem, nie mniejszem, niż wojna między Niemcami a Francją, ta wasza koalicja kłamie i urąga tradycjom pięciu stuleci...

— Jeszcze w panu pokutuje manja, przywleczona z

Genewy, że ja wciąż jestem Francuzem?

— Panie Helm, nie warto się o to kłócić, ale pan mówi — wciąż — jakby z przekąsem, otóż kto raz już miał szczęście urodzić się Francuzem, ten musi być nim wciąż — aż do śmierci, a więc i teraz — w tej chwili...

— W tej chwili jest pan pijany i plecie pan trzy po trzy!

— Nic tylko w tej chwili... Przeciwnie, od pewnego czasu staram się ani chwili nie być trzeźwym!

— Jednak za pierwszem naszem spotkaniem tutaj był pan bardziej zajmujący.

— Pamiętam, pamiętam... Postaram się poprawić...

Przy drugiej butelce von Senden po zawiłym, wielomównym wstępie o losie ludzi wojny, o niedobitych trupach i różnych fantastycznych egzystencjach, rozpoczął wielką opowieść z własnego życia. Claude miał już w głowie miły zamęt, było mu wszystko jedno, czy ten człowiek jest sobie zwyczajnym gadułą, czy też dawnym tajnym agentem, który się z nim przekomarza, czy też i obecnie jest na służbie i dybie nań właśnie teraz, czekając, aż się napije lepiej i wreszcie się z czemś wyrwie. Najciekawsze byłoby, gdyby okazał się rzeczywiście agentem angielskim lub jeszcze lepiej francuskim, jak jego żona, pani Greta, ale i w tym wypadku nie doczeka się z jego strony poufałości ani zwierzeń.

—...Idealna ta kobieta, której miłość była łaską nieba, w początku trzeciego roku wojny z niepokoju, z rozpaczy, ze zgryzoty, z jątrzącej tęsknoty za mężem, który każdej chwili mógł zginąć — oszalała. Oszalała, mówię, i ona, wierna i przeczysta jak... jak... No — jak? To się nie da

wyrazić w żadnem pięknem porównaniu — do czorta z poetycką blagą!... Słowem, zaczęła się puszczać na prawo i na lewo, objaw specyficznie wojenno-kobiecy, a raczej kobieco-wojenny, w tych czasach bardzo pospolity, niczem kokaina. Szczególniej zapadają na tę przypadłość młode wdowy i nazajutrz, po strasznej wieści lub w miesiąc, a im później, tem to wyraża się ostrzej... Nie bywa to żadna miłość, ale właśnie z pierwszym lepszym, panie Helm, z pierwszym bodaj najgorszym, który się znajdzie pod ręką. A potem z drugim, z piątym i z następnym... Wreszcie, wprost z pod Verdun — właśnie zmuszeni byliśmy po raz trzeci ustąpić z północnego szczytu Mort-Homme, gdzie straciłem trzy czwarte mojej kompanji, przybywam do domu, do Heidelbergu na dziesięciodniowy urlop... Co się z panem dzieje?! Jak pan patrzy?

Claude, nie odrywając od niego spojrzenia, w którem zaskrzepł samotny jeden jedyny niepokonany ból, cierpienie człowieka, wziętego na tortury, przechylił się przez stół i zajęczał, wyjąkał: — Błagam pana... Kimkolwiek pan jesteś... Nie opowiadaj pan swojej historji... Ja nie mogę... Mniejsza o to dlaczego... Nie mogę i już...

Von Senden milczał. Ujął go za ręce, złożone błagalnie na stole, i przyglądał mu się badawczo. Z oczu znikła pijacka mętność, czerwona, obrzękła twarz zbladła i skupiła się, stała się wyrazistą, niemal piękną — był to jakby inny człowiek. Związani spojrzeniem i uściskiem rąk badali się nawzajem. Pod naporem nowej myśli, która szukała czegoś w pomroce, jakby goniąc zagubiony sen, skurcz bólu znikał

z twarzy Claude'a. Przelotne piękno von Sendena rozpływało się w obrzękliźnie pijackiej i w czerwonych plamach, a oczy zamąciły się z powrotem.

I jeden i drugi jakby z wysiłkiem jednocześnie oderwali od siebie spojrzenie, cofnęli ręce i schowali je pod stół wstydliwie. Prysł urok jakiejś głębiny, w którą zapuszczali się coraz dalej, związani ciężarem myśli niepojętej i niewyrażalnej. Nie dokonało się między nimi misterjum porozumienia, przerwało je ich podświadome przeczucie grozy, strachu, niepodobieństwa. Ocknęli się i obaj byli zmieszani.

— Niewiadomo co, doprawdy, niewiadomo co... — bąknął jakby odniechcenia Claude.

— Jeżelim pana uraził, to bardzo mi przykro...

— Niewiadomo co... Bo nadejdzie czasami taka chwila... Taka głupia chwila...

— Ta chwila nie była głupia, ona była za mocna, nazbyt wielka! Tylko człowiek jest tak nieskończenie głupi, że nie potrafi... Ot i przeszła chwila, poszła w nicość... Nigdy nie wróci...

— Chyba się nie rozumiemy?

— Owszem, ani pan się nie myli, ani ja, to jest właśnie jedno i to samo.

— Co pan ma na myśli?

— To samo, o czem pan myśli w tej chwili!

— Więc niech pan powie wprost!

— Mógłbym spróbować, ale z tą właśnie rzeczą jest jak z jakimś zagmatwanym snem, gdy wymówi się pierwsze słowo, chcąc go opowiedzieć, sen znika lub staje się

absurdem, poprostu nie można go tknąć.

— Doprawdy, doprawdy niewiadomo co...

Von Senden zajął się nalewaniem szklanek, patrzył z upodobaniem, niemal z czułością jak szampan grał i perlił się w cienkiem szkle, które zachodziło rosą. Claude ścigał jakiś dawny sen, który przypomniał się nagle w zdumiewającem skojarzeniu z tem, co przemknęło przed chwilą w oczach von Sendena, w jego przeobrażonej, przelotnie wypiękniałej twarzy. Było to trudne, bo teraz siedział naprzeciwko niego typowy, prawy pijanica i patrzał w swoją szklankę z bezmyślnym uśmiechem.

Tamta niezapomniana twarz Niemca, konającego z nim razem w zawalonym miną okopie, przesunęła się wyraźnie jak wówczas w ową noc listopadową w przeraźliwym blasku reflektora. Ale w niedawnym śnie o tem samem była noc i, choć leżeli twarzą w twarz zasypani i mrący w cierpieniach, trzymając się za ręce, nie widział twarzy tamtego... Tamten Niemiec mało mówił, zresztą doskonałą francuszczyzną, przeważnie tylko jęczał, ten ze snu przed śmiercią wypowiadał w ciemnościach jakieś zawiłe proroctwa w rodzaju tego, coby też było, gdyby ich odkopano i wyniesiono szczęśliwie ze strefy ognia, każdego na swoją stronę... Jednem słowem, gdyby żyli dalej... Ta gmatwanina senna przypomniała się teraz, gdy opój zaczął wyprawiać swoje miny — co tu ma do czynienia von Senden? Muszę już być pijany, miesza mi się w głowie... Gdyby mnie ten łapacz zagabnął teraz, to kto wie:.. Kto wie...

I głowa Claude’a gibnęła się, ocknął się, spojrzał — von

Senden z przymkniętemi oczami w rozczulonem natchnieniu sączył szampana, pomrukując z zachwytu. Skulił się i zasnął, ale i przez sen bał się zasnąć, więc wciąż z wysiłkiem roztwierał oczy, a one wciąż zamykały się same. Tamten gadał, Claude usiłował słuchać, ale słyszał też jakby przez sen.

— Słodka glebo Francji, niechże będzie błogosławiony owoc żywota twojego... Modlę się, słowami pozdrowienia anielskiego, choć jestem protestantem, a nawet kalwinem... Ty glebo... Rozorały cię okopy i granaty, ale użyźniły cię ulewy i powodzie krwi, popioły zgliszcz i zgnilizna setek tysięcy trupów... Wpadam w styl poetycki, gdy piję twoje wino, cudowna ziemio, Szampanjo... I ja, niegodny, byłem przez jakiś czas winoroślą, utkwioną korzeniami, że tak powiem, w twojej ziemi, bardzo krótko jak na macicę winną, ale dla mnie strasznie długo, a do tego po samą szyję... Wciągałaś mnie w siebie, ziemio, ze straszliwą mocą, tuliłaś mnie jak matka dzieciobójczyni, abym wsiąkł wszystek dla świetlanej przyszłości... Ażeby kiedyś, gdy karabiny maszynowe przekute będą na lemiesze i rolnik beznogi o kulach zacznie orać, prowadząc skibę przez moją mogiłę, moja padlina weszła w zasadzony szczep winny... I tak dalej i tak dalej — aż ktoś niewiadomy dotknie, jak teraz ja, spragnionemi ustami pieniącego się puharu... Wracając do rzeczy, działo się to w końcu listopada niedalej jak zeszłego roku... Już trzeci dzień leżeliśmy po różnych dziurach w okopach francuskich, rozwalonych przez naszą artylerję, walcząc bez przerwy na granaty i w ustawicznych krótkich starciach wręcz — na noże. Francuzi nie dawali się

wyprzeć i jak zjadliwe robactwo uparcie tkwili wszędzie po lejach, po zburzonych schronach, po zakamarkach, ubezpieczali się barykadami z worków z ziemią, drutami... W nocy miano nas zluzować, ale w ciasnym chodniku na samym zakręcie spotkaliśmy się niespodzianie z oficerem francuskim — nosem w nos i chwyciliśmy się za bary. Szamotamy się, obijając się o ściany rowu, wreszcie zacząłem tracić siły i ledwie ledwie że jeszcze powstrzymywałem rękę z nożem, a ostrze łyskało mi tuż przed oczami. Było to pod samym murem z resztką komina, co nazywało się kiedyś fermą La Routoire — mówię najwyraźniej „La Rou — toi — re“ — w Szampanji, panie Helm. W tej samej Szampanji, która rodzi to wino. Prosit!

— Prosit...

— Nagle potworna siła porywa nas obu i ciska nami w przestrzeń, przez mgnienie oka miałem wrażenie, że mkniemy powietrzem, trzymając się jeden drugiego ze wszystkich sił, poczem ogarnęła mnie nicość — śmierć. Gdym się opamiętał, była już noc, spostrzegłem, że jednak żyję, ale jestem sparaliżowany, gdyż nie mogę się ruszyć, tylko w prawej ręce miałem trochę władzy. Macam dokoła ale nic mogę wymacać siebie, nie czuję nic, mam tylko tę rękę no i głowę, a gdzie reszta? Trudno wypowiedzieć strach, który mnie wówczas dławił, coś podobnego zdarza się tylko w snach. Nic nie rozumiem, umieram ze strachu, wciąż mdleję czy zasypiam i budzę się. Ktoś dyszy mi gorączką prosto w twarz, stęka, jęczy... Czyjaś ręka przesuwa się po mojej głowie, po twarzy.. Chwytam ją i odpycham z odrazą... Wymacuję hełm — hełm francuski,

pod nim mocno spięta rzemykiem kłująca niegolona twarz, nos, usta... Jego ręka ujmuje moją, już się nie boję, trzymam się mocno tej ręki jak wybawienia. On mi dopiero powiedział co się stało — jakiś kretyn niemiecki czy francuski puścił w to miejsce minę, czyjkolwiek był to strzał, był on skandalicznie krótki — zagrzebało nas po szyję... Z początku rozmawialiśmy jak ja tu z panem, panie Helm, potrosze o wszystkiem, gadaliśmy po francusku, po niemiecku w całkowitej rezygnacji i zgodzie, ale wnet święta matka ziemia zaczęła nas ściskać w swoich objęciach, dławić i dusić — nie pora była ani miejsce na rozmowy. Stękaliśmy w ciemnościach z bólu, wołaliśmy wśród wycia wichru o ratunek, zapadaliśmy na długo w milczenie, wiedząc, że umieramy. Zrzadka skostniała dłoń zwierała się i czułem jego słabe uściśnienie — Francuz wciąż jeszcze żył... Nagle natrafił na nas blask reflektora, który błąkał się po polach i po raz pierwszy ujrzeliśmy siebie — od tej chwili zapamiętałem tę twarz i nie zapomnę jej nigdy, widziałem ją znacznie bliżej, niż teraz pana. Było to w końcu listopada zeszłego roku w Szampanji, pod ruiną fermy La Routoire — i cóż pan na to, panie Helm?...

— Bardzo ciekawe zdarzenie, proszę mówić dalej. Bardzo ciekawe...

— W ciemnościach deptały po nas patrole, nad naszemi głowami toczyła się walka naoślep, a o świtaniu tuż przy nas, sięgając stopami naszych głów, znalazła się zdobycz tej nocy, trup żołnierza, przez cały długi dzień patrzeliśmy na jego szyderczy uśmiech. Przez cały dzień brataliśmy się z Francuzem, czekaliśmy śmierci, czekaliśmy pomocy i

opędzaliśmy się od szczurów. Wyły, gwizdały nad nami karabiny maszynowe, kule gradem trzaskały w mur tuż nad nami, przez cały dzień obsypywała nas ziemia od pocisków, czasami przebiegali Niemcy, uciekający przed Francuzami, czasami Francuzi, uciekający od Niemców. Nie mieliśmy sił zawołać, nie mogliśmy nawet ruszyć ręką, tylko oczami żebraliśmy o łyk wody, lub żeby nas bodaj dobito — nikt nie zwrócił na nas uwagi. Męczarnie... Mniejsza o męczarnie, bo tego się nie wypowie w żadnem ludzkiem gadaniu. Przez ten cały dzień nie przemówiliśmy do siebie słowa, ja nie mogłem i on już nie mógł, jednak od czasu do czasu roztwieraliśmy oczy i porozumiewaliśmy się oczami. Była to rozmowa dusz i zaprawdę trzeba wszystkich okropności wojny, żeby być świadkiem i uczestnikiem takiego cudu! Czytaliśmy własne myśli, nieomylnie sięgaliśmy do głębi naszych serc i nie zostało między nami nic utajonego!... W obliczu niechybnej śmierci, tak pewnej, jakgdyby się już była spełniła, prowadziliśmy naszą rozmowę, zasypani we wspólnej mogile. Gdy noże wypadły nam z rąk i leżały gdzieś tuż pod ziemią pogrzebane wraz z nami, byliśmy pogodzeni na zawsze, okropność męki zamordowała w nas wszystko co cielesne i ziemskie i niejako wypchnęła nas z obrębu i z wymiaru tego świata. Poznaliśmy zagadkę życia, tajemnicę śmierci, nudę spraw naszego pokolenia i małość wielkiej wojny światowej i dobrą szczęśliwość przyszłości, chwałę przyjść mającego człowieka i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze — wiedzieliśmy wszystko! Nasze dusze stopiły się w jedną i nikt nie był mi w życiu bliższy, nie będzie nigdy bliższy, jak ów człowiek

nieznajomy, mój brat rodzony w męce i w śmierci, ten wróg, z którym dopiero co godziliśmy w siebie nożami... Za jego zdrowie, gdziekolwiek jest, jeżeli żyje o tej porze!

Von Senden był w natchnieniu, znowu odmienił się i wypiękniał, Claude spuścił oczy przed jego przeszywającem spojrzeniem, trącili się.

— A ręka panu drży, doktorze, oh, jak drży... Szkoda tego wspaniałego wina...

Claude nie zdobył się na odpowiedź, to, co słyszał, przechodziło jego wyobraźnię i zdolność rozumienia, było niepojęte. To było wręcz niemożliwe.

Rzucił dokoła kilka płochliwych, dzikich spojrzeń, jakby chcąc się utrwalić w przekonaniu, gdzie się znajduje, czy nie śpi, czy wogóle istnieje na tym świecie.

Zaszumiało mu w głowie, staroniemieckie szafy winiarni, dębowe stoły i zydle zaczęły krążyć dokoła niego, dwóch gości siedzących opodal i stary kelner we drzwiach kołowali, obracając się zwolna jak na karuzeli, jeden von Senden tkwił na swojem miejscu i patrzał bez miłosierdzia. Wreszcie, gdy dalsze milczenie stało się niepodobieństwem, gdy każda sekunda czekania obciążała go straszliwie, Claude zebrał się na odwagę, czuł, że słabnie i że lada chwila...

— Cóż dalej? To niesłychane! Cóż dalej?

— Co dalej? Następnej nocy przyszli nasi i odkopali mnie, więc musieli odkopać i jego, mnie zabrali i donieśli szczęśliwie jeszcze przed świtem poza linję ognia — i już.

— A tamten? Co się z nim stało?

Claude rzucił to pytanie zupełnie mimowoli, żeby

cośkolwiek powiedzieć, gdyż uląkł się milczenia i milczącego patrzenia przeszywających oczu von Sendena. Rzuciwszy te słowa, przymknął powieki i ciężko wsparł się na stole.

— Co się stało z moim Francuzem? Oczywiście zostawili go na miejscu, gdzie tam było zawracać sobie głowę zdychającym Francuzem, dobrze, że go nie dobili... Zresztą, gdy mnie zabierali, widziałem jak przez mgłę w promieniu latarki, że jeszcze się ruszał... Napewno go nie dobili, gdyż, zdaje mi się, że pamiętam... Wydaje mi się, że widziałem, jak nasz sanitarjusz przytknął mu do ust manjerkę z wodą, czy z rumem... Najpewniej skończył tej nocy, bo nad ranem wziął przymrozek, a ziemia choć djablo gniotła po kościach, to jednak nieźle grzała, aż zanadto. Wreszcie kto wie, mogli go byli zabrać swoi, w listopadzie noc długa, mogli jeszcze zdążyć, zanim zaczęto prać... Albo żyje, albo nie żyje... Jeżeli skonał tam pod fermą Routoire, to Panie świeć nad jego duszą...

Von Senden wsparł się łokciami na stole i przechylił się na stronę Claude'a, jego głos odmienił się, załamał się.

— Ale jeżeli wyżył i żyje, jeszcze dzisiaj żyje i żyje o tej godzinie — to napewno teraz...

Von Senden przechylił się całkiem, zawisł nad stołem, w jego oczach, w twarzy przebiegały szybko zmienne momenty stanowczości, nakazu, wzruszenia, błagania...

— Panie Helm, jeżeli on żyje, to siedzi oto za tym stołem naprzeciwko mnie i udaje, że drzemie. Namyśla się, czy się przyznać, czy brnąć dalej, łżeć dalej przed swoim bratem w obliczu męki i śmierci... Czy też przyznać się, wyciągnąć

rękę przez ten stół i podać ją przyjacielowi, przyjacielowi, który nie zawiedzie! Nie wie, biedny, co począć wobec cudu naszego spotkania. Zamiast się cieszyć radością wielką, myśli o swoim głupim strachu...

Głos von Sendena zadrgał wzruszeniem i umilkł. Upłynęła minuta, w ciągu której Claude zdążył przerobić niezliczone mnóstwo myśli niezbędnych w tej chwili, a jeszcze więcej nanic niepotrzebnych i trwałby tak dalej bez końca, gdyby von Senden zniecierpliwiony nie walnął pięścią w stół, w jego głosie umyślnie przyciszonym brzmiał nakaz.

— Mais assez dormir, mon ami! Soyez donc sérieux...

— Moi? Je ne dormais point... Je vous écoutais...

— Nareszcie!.. Ale nie nadużywajmy twej boskiej mowy ojczystej, odłóżmy na inny raz ucztę przyjaźni.

— Co zamierzasz ze mną zrobić?

— Co ja mam z tobą zamierzać? Nic nie zamierzam! Jestem straszliwie szczęśliwy, że na ciebie patrzę... Jestem jak odrodzony... Staję się na nowo człowiekiem... Chcę być twoim przyjacielem... A ty?

— To spotkanie jest cudem... I gdyby los nas zetknął ze sobą po wojnie... Ale masz prawo zapytać, co ja tu robię — więc ci odpowiem!

— Nie trudź się, kochany! Głupiby się nie domyślił... Widać byłeś chemikiem czy oficerem gazowym, więc cię przysłali, abyś pochodził koło starego Wagera i jego kuchni — oczywista rzecz! Robiłeś swoje, mnie nic do tego, ale są inni, których to zanadto interesuje, musimy nad tem pomyśleć.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Gałecki](#).*

XII

Pod naciskiem adwokata Eva zastanawiała się potrosze nad swoją obroną przed sądem wojennym, którego data miała być wyznaczoną lada dzień i wedle przypuszczeń już na koniec lipca albo na początek sierpnia. Akt oskarżenia był gotowy i ma być jej wręczony w ciągu tygodnia. Pod tym pozorem odkładała niemiłą pracę grzebania się w sprawie, która jej obmierzła do tego stopnia, że nauczyła się o niej nie myśleć i niemal nie wiedzieć. Swoje przemówienie na sądzie, zarówno główną replikę jak „ostatnie słowo“, rozumiała jako świetne improwizacje, które nie potrzebują żadnego przygotowania. Dla ich powodzenia trzeba raczej zapomnieć o sprawie i dopiero na sądzie zabłysnąć natchnieniem i efektem prawdy, honoru, prostoty i szczerości.

Maître Lourthier był przerażony świętą naiwnością zepsutego dziecka fortuny, które zda się do końca będzie ulegało złudzeniu, że spokój sumienia i własne poczucie czystości sprawy wystarczają dla obalenia wszystkich zarzutów aktu oskarżenia, a tem samem dla wyroku uniewinniającego. Chcąc pokonać jej upór zaczął ją straszyć, gdy przedtem grzeszył raczej zbytnią oględnością, albowiem i sam podlegał jeszcze iluzjom, że sprawa, niebywale rozdęta przez szowinistyczne piśmidła brukowe i przez plotki i obciążona formalistyką sądu wojennego, w istocie jest błahą i da się opędzić wydaleniem z granic Republiki lub w ostateczności jakimś rokiem zamknięcia a i

to jedynie w skutku nastrojów opinji i rzekomych wyższych względów stanu. Te złudzenia prysły już w trzecim tygodniu śledztwa i adwokat przerzucił się do najskrajnieszego pesymisty. Odtąd jak zmora na jawie i we snach prześladował go przystrojony w girlandę paragrafów tak zwany — „najwyższy przewidziany ustawowo wymiar kary“. To też gdy Eva wyznała mu, że na tydzień przed aresztowaniem ów opatrznościowy oficer doradzał jej ucieczkę zagranicę, wyrwał mu się okrzyk zgrozy, że uparła się i została.

— Pani Evo, niech pani na rozprawie porzuci patos, natchnienie, improwizację. To dobre jeszcze dla przysięgłych, to działa mocno na publiczność, ale na pani procesie sala będzie pusta. Piękne te efekty w najsłabszym stopniu nie oddziałają przychylnie na komplet sądu wojennego, wręcz przeciwnie — to są już takie typy. Musi pani według załączonej notatki scharakteryzować swoją misję i nie opuścić ani jednego faktu, dowodzącego, że cokolwiek pani robiła w Berlinie, czy w Wiedniu, czy w Głównej Kwaterze Kronprinza, następcy tronu, miało na celu ułatwienie sobie dostępu do najwyższych źródeł informacyj. Nieszczęsny memorjał pomimo bardzo przykrych jego ustępów da się usprawiedliwić jako środek wkupienia się w zaufanie generała Sittenfelda ale pod warunkiem, że sąd wogóle uwierzy, że pani uczyniła coś dla sprawy Francji lub przynajmniej starała się uczynić. Notatki, przesyłane do Drugiego Biura za pośrednictwem van Trothena, nie dawały nic konkretnego, a główna i jedyna zdobycz pani, plan pierwszej ofensywy wiosennej,

był przedmiotem dużej wesołości w oddziale operacyjnym naszej Wielkiej Kwatery, jako fantasmagorja, podsunięta pani chyba na drwiny lub, co gorsza, gdyby nawet została potraktowana rzeczowo, zmierzałaby ona wyraźnie do wprowadzenia w błąd kierownictwa armji francuskiej, tak samo jak zupełnie inny również fałszywy plan tejże pierwszej wiosennej ofensywy, który w tym samym czasie dostał się do rąk oddziału wywiadowczego wielkiej kwatery marszałka Douglas Haig'a, co wywołało przykre i niepotrzebne tarcia. Obie mistyfikacje, znamionujące wyraźną intencję kontrwywiadu niemieckiego aby zdezorjentować przeciwnika a nawet poróżnić między sobą kierownictwa obu armij sojuszniczych, akt oskarżenia łączy z nazwiskiem pani... Oto jak zostały potraktowane usługi pani... W atmosferze takiej ich oceny niefortunny i pożałowania godny memorjał pani...

— Maître Lourthier, mam tego dość! Od faktów, od ich krytyki, od pedantycznej rzeczowości i od wszelkich kruczków, wykrętów, od żonglowania paragrafami i całej kazuistyki adwokackiej — mam pana! Niech mnie pan broni, jak pan żywnie chce, nie mieszam się do tego. Ale proszę nawzajem zostawić mi swobodę działania! Na sądzie będę mówiła jak zechcę, z patosem czy bez patosu i to co zechcę, ręczę, że pan sam posłucha tego z pewną przyjemnością.

— Czyż idzie o moją przyjemność? Pani Evo, zbliża się godzina strasznej próby...

— O, proszę mnie nie straszyć!

— Chcę panią doprowadzić do opamiętania,

przygotować zawczasu do...

— Jestem przygotowana na wszystko!

— śmiałe słowa...

— Nigdy nie byłam nieśmiałą...

— Pani liczy na swoją sławę i na swój czar kobiecy... I na przedziwną sztukę Evy Evard poruszania ludzkich serc. Czyż pani się nie domyśla, że te trzy niezaprzeczone potęgi stają się właśnie obciąż niem w naszej tragicznej sprawie, że idą przeciw pani? Masy chyliły się przed sławą i kochały pani kreacje, teraz dla tego samego są tak ślepo zawzięte. A gdzie są przyjaciele, wielbiciele, wszyscy, którzy mieli szczęście spotykać panią, cały ten dwór królowej sztuki, świta hołdownicza wielkiej artystki? Został nam wierny poczciwy senator Guillet-Goudon — jeden jedyny. Dlaczego? Niech pani odpowie!

— Psychoza wojenna, małoduszność, panika stada na dźwięk strasznego słowa — „oskarżona o szpiegostwo“.

— Nie! To gorzka niepewność, zawahanie się wiary, kryzys zaufania i w tym momencie psychologicznym wielkość artystki i czar kobiety wywołują gwałtowną reakcję buntu przeciwko przemocy opętania urokiem i jakby żądzę odwetu, zemsty za wszystkie zachwyty i hołdy... Coś w tym rodzaju, pani Evo. Procesy napozór bardzo zagmatwane i podlegające zastrzeżeniom, możnaby nad nimi długo się rozwodzić, ale w życiu jest to niesłychanie proste i odbywa się szybko, bez zastanowienia, przez odruch. I uwielbiana Eva Evard znajduje się w daleko gorszeni, krzywdzącem położeniu wobec opinji i sądu, niż ktoś nikomu nie znany. Niechże pani na sądzie nie

wywołuje widma swego niebezpiecznego przywileju, nie trzeba im przypominać zbyt jaskrawo, kim pani jest, raczej postarać się, by choć potrosze, do pewnego stopnia zapomnieli... Oto moja uczciwa rada doświadczonego człowieka. Ale wracajmy do rzeczy, rozważymy dzisiaj zkolei trzeci z pięciu kardynalnych punktów oskarżenia — zarzut, że wywołała pani lub conajmniej współdziałała z całkowitą świadomością, z rozmyślną złą wolą i perfidną premedytacją pogrom centrali naszego wywiadu na Niemcy, począwszy od aresztowania van Trothena, jego zwolnienia, osadzenia go w sanatorjum, jego samobójstwa, po czem nastąpiło uwięzienie Abbegglena wraz z p ętnastu towarzyszami według dotychczasowych informacyj, a mianowicie siedmiu agentami i agentkami drugiej i trzeciej klasy w Berlinie, dwoma pierwszej klasy w Essen i trzema pierwszej i drugiej klasy w Ostendzie, pierwszej klasy w stoczni państwowej w Kiel i wreszcie po jednym w zakładach chemicznych Bayer i Co w Leverkuzen. Losy tajnych agentur pierwszej klasy w Ludwigshafen, w Höchst, w Kolonji i tak dalej i tak dalej są narazie niesprawdzone, ale o ile przed datą procesu nadejdą co do nich niepomyślne informacje, ich „wsypa“ obarczy panią dodatkowo... Otóż ten trzeci punkt oskarżenia zaliczam do klasycznych poszlak, które opierają się jedynie na zarzutach, wymienionych w punkcie pierwszym, a zwłaszcza drugim i gdy te zostaną przez nas obalone lub bodaj poważnie zachwiane, upadnie przez to samo i on...

Prawdziwym ciosem dla Evy i momentem zwrotnym w

jej stosunku do sprawy była relacja obrońcy o wizycie, którą mu złożył kapitan Percin.

Ów oficer przedstawił mu się jako ten, który na podstawie poufnych informacyj ostrzegał oskarżoną i namawiał ją, by, nie ufając zawodnej sprawiedliwości urzędowej, schroniła się póki czas poza granice Republiki. Wzmiankowany oficer prosił o zawiadomienie pani Evard, że on, kapitan Percin, żałuje obecnie tego kroku, gdyż przekonał się, że wierząc w jej niewinność ulegał zaślepieniu, a oskarżona odrzucając jego radę snać ufała bezgranicznie i lekkomyślnie, że obciążające ją tajemnice są bezwarunkowo dobrze strzeżone.

M-e Lourthier nie uznał za stosowne niepokoić oskarżonej okrutnem i bezcelowem oświadczeniem. O kapitanie Percin oznajmił jej dopiero wówczas, gdy wyczerpał wszystkie argumenty i środki perswazji, aby doprowadzić do opamiętania samowolną i przekorną klijentkę. Szczędząc jej nerwy ograniczył się do krótkiego w paru słowach zawiadomienia o dziwnej wizycie, a widząc, jak piorunujące wrażenie sprawiła ta nowina, starał się osłabić jej efekt, rozwodząc się nad okropnym stanem psychicznym kapitana o poszarpanej twarzy, który wydał mu się kwalifikowanym kandydatem do Charenton, i zamilczał o ich długiej rozmowie. Zamilczał i o ostatniej radzie, jaką kapitan przekazał dla Evy, a którą nazwał swojem „żądaniem“ — żądał mianowicie, aby Eva, zanim spadnie na nią haniebny wyrok śmierci, co jest zupełnie pewne, ukarała się sama. W tym celu wręczył adwokatowi papierek z jakimś proszkiem, który ten, oburzony,

natychmiast w oczach obłąkanego wsypał do kominka, a nawrzucawszy papierów podpalił. Na tem się rozstali, kapitan Percin zerwał się i nie ocierając nawet łez, które mu trysnęły z oczu, wybiegł pędem z gabinetu ku zdumieniu całej kancelarji i klijentów w poczekalni.

Wedle wszelkich poszlak zwarjowany kapitan nawiedził również i senatora, bo gdy ten w ciągu kilku dni nie dawał znaku życia i adwokat zatelefonował do niego wreszcie, dowiedział się, że senator leży ciężko chory i prosi o odwiedzenie go w lecznicy. Zastał go u sióstr Misjonarek w otoczeniu pielęgniarek i lekarzy, śmiertelnie wystraszonego swoim stanem. Coś mu gdzieś tam nadpękło, nogi popuchły mu jak kłody, a choć lekarz naczelny w rozmowie z mecenasem nie uznawał tej przypadłości za rzecz prawdziwie poważną, chory gotował się do ostatniej podróży i czynił to z zaparciem się siebie a nawet z heroizmem, gdyż on, od lat trzydziestu nieprzejednany radykał, wróg kościoła i osobisty przyjaciel pogromcy kongregacji, samego Combesa, który swojego czasu puszczał policję do szturmu na zabarykadowane kościoły — zdobył się jednak na bohaterską decyzję i przez spowiedź i ostatnie sakramenty pogodził się z księżmi a przez nich z Bogiem.

Prosił pozdrowić „naszą tragiczną heroinę“ i oznajmić jej, że do ostatniej swojej godziny będzie jej wierny i że, jeżeli umrze — co może Bóg w łasce swojej zechce jeszcze odwrócić — to niech wie, że jej stary przyjaciel poległ jako żołnierz na stanowisku w jej obronie.

— Pewnego dnia o zmierzchu zjawia się u mnie

poczwara w ludzkiej postaci...

— Poczwara, co to znaczy?

— Mniejsza, kto on jest, nie wyjawię tego nikomu, aby nie zaszkodzić Evie... Stojąc na środku salonu lub latając jak warjat wzdłuż i wpoprzek, odpychając mnie od kontaktu, gdym chciał zrobić światło, wyrzucał ze siebie koszmarną opowieść... O czem, jak pan myśli, M-e Lourthier?

— Więc?

— O zbrodniach Evy Evard!

— Czy nie był to pewien oficer?

— Nie wiem, nic nie wiem! A gdybym nawet wiedział, nikt ode mnie nie wydrze tajemnicy... Słuchałem ze zgrozą i w najwyższem oburzeniu, ale nie mogłem przemówić słowa, uczyniło mi się słabo... Upadłem na kanapę, a gdy zacząłem jęczeć głośniej, poczwara zaklęła okropnie i uciekła.

— I cóż on wreszcie powiedział?...

— Nic wiem, nic nie wiem!... Był jak szatan. To nasłaniec tajnej kliki wojskowej, gdyż działalność moja stawała się dla nich niebezpieczną. Chcieli mi odebrać wiarę w Evę, chcieli mnie znieprawić, zastraszyć, kto wie — może zamordować? Mecenasie, jak podczas akcji o rewizję procesu Dreyfusa, tak samo teraz w sprawie Evy nadchodzą momenty zbrodnicze i demoniczne! Wypełzają tygrysy i szakale!

Od złej wieści zmieniło się wszystko.

Załamała się wiara w zwycięstwo prawdy, odszedł spokój. Skończyła się niepospolita przygoda, która pomimo

wszystko była jednak tylko grą, jak dotychczas w pewnym stopniu nawet zabawną.

Gdy Evę odprowadzono do celi po konferencji z obrońcą, obie jej przyjaciółki, pani Pelouse i panna Tourly były przerażone zmianą w wyglądzie i w zachowaniu się pani Evard. Wiedziały, że trzeba się nią zająć po kobiecemu, wytrącić ją z zapamiętania, oderwać te oczy od nieruchomego skamieniałego zapatrzenia w pustą ścianę, okazać jej serce, współczucie, dużo pytać, dać jej się wygadać, ale długo żadna nie ośmieliła się przemówić do niej słowa. Nazajutrz, gdy chwilowo znalazły się same w celi, panna Tourly powiedziała:

— To było tak samo straszne, jak w „Czci Kobiety“, kiedy siedzi sama jedna w celi po tem jak ta podła megera Carpechot nałgała, że Marcel ją puścił kantem.

— Tam było lepiej — zauważyła pani Pelouse — bo w dużem zbliżeniu, przez jakie dwie minuty ani drgnęła i Cała sala zamarła, a orkiestra cichuteńko, coraz ciszej, ciszej... A jak się pokazała jej pierwsza łza, to nie zdążyła jeszcze spłynąć po twarzy, kiedy na sali już płakały co do jednej wszystkie kobiety...

— To zupełnie co innego... Tam wyprawiała miny na pokaz, a łzy były z gliceryny i wszystko z muzyką, ale tu ona naprawdę, naprawdę!... Serce się w człowieku kraje, a ta patrzy, że ani przystąp...

— Dumna pani, ani do niej przystąp, hołoto...

— Do pół nocy nie mogłam zasnąć, a potem mi się przyśniło, że wszystkie trzy jak tu jesteśmy jedziemy taksówką przez Paryż, kręcimy tu i tam, zawracamy, aż na

moście Jena — jak nie huknie! Bomba z aeroplanu, czy z Grubej Berty! Ja lecę powietrzem prosto na Trocadéro, patrzę, a ją niesie już powyżej Eiffla...

— A ja?

— Pani Pelouse, dziwna rzecz, pani tom nigdzie nie widziała!

— Tak lepiej! To może znaczyć, że mnie zwolnią... Mnie się przyśnił mój nieboszczyk siostrzeniec Blaise, co zginął jeszcze pod Charleroi, bawił się z kotami, koty, też niezły znak...

— Jeżeli białe?

— Trzy były, ale dwa białe...

Eva niewiele sobie robiła z odstępstwa kapitana Percin i sam on nic dla niej nie znaczył, ale w dziwnem zdarzeniu objawił jej się jakby znak losu, cios wymierzony został ze strony absolutnie niespodziewanej. Jakby odrazu wszystko ją zawiodło... Jakby się obudziła ze snu i spostrzegła dopiero, co się z nią dzieje w rzeczy samej — naprawdę...

Urwało się złudzenie, niedowiary, że trwało tak długo! Ze zdumieniem rozglądała się po czterech ścianach celi, badała ukradkiem swoje towarzyszki, jakby dziwiąc się skąd się wzięły.

Czyż nie wiedziała od samego początku, gdzie jest? Tak, ale wszystka się naraz odmieniło, obnażyło się, stało się nielitościwie prawdziwe.

Dawniej, przed okropnym momentem, przeżytym w kancelarji więziennej, czekała u Św. Łazarza na wyjaśnienie głupiego, najgłupszego w świecie nieporozumienia, była tu gościem przelotnym, mogła się bawić absurdalnem

intermezzo, wtrąconem przez dziki kaprys wojny w jej górne wielkie życie. W istocie pozostawała sobą, zawsze tą samą Evą Evard, poprzez mury i kraty więzienia uśmiechał się do niej niedaleki dzień wolności, a dalsze jej koleje słały się bezgranicznie wzdłuż i wszerz świata, pełne rozpędu, swobody i uciechy. Teraz odarto ją z jej przewagi nad Św. Łazarzem — uczuła się zdegradowaną, poniżoną. Znajduje się na swojem miejscu, jest uwięzioną prewencyjnie nieinaczej a tak samo jak pani Pelouse i panna Tourly i tysiąc innych kobiet, zamkniętych w tym potwornym gmachu. Jej sprawa jest bardzo poważna, a los niepewny...

Obudziwszy się tej nocy po raz pierwszy poczuła całą swoją istotą ciężar więzienia. Zaczęła ją dławić, jęła się nad nią znęcać świadomość, że jest zamknięta i trzymana pod przemocą, której nic nie odwróci i nic nie ubłaga. Może szarpać za kraty i krwawić sobie palce, może wrzeszczeć w opętaniu, tłuc głową o drzwi, może się tarzać po podłodze, jak to czyniła, grając nieszczęsną cnotliwą Suzy, wtrąconą do więzienia przez intrygę niecnej macochy... W ciągu tej nocy kilkakrotnie całą potęgą woli musiała zwalczać w sobie szalony poryw rozpaczy, która domagała się ulgi, w ostatniej chwili broniło ją czuwające w niej jeszcze poczucie wstydu przed śmiesznością, bo jednak wyprawiając awantury popełniłaby plagjat — odegrałaby jeszcze raz rolę Suzy...

W ciemnościach tej nocy po raz pierwszy zaczaiło się na nią widmo nieznane — strach. Mógł to być sen, mogła być i własna myśl, która z nałogu wyobraźni artystycznej zrodziła się w kształcie fantastycznego obrazu. Grała w

karty o straszliwą stawkę z istotą nieodgadnioną, z człowiekiem czy z upiorem, przedzielała ją od niego ściana ciemności, z której wyłaniała się tylko od czasu do czasu biała kościsto-trupia ręka, rzucająca karty, ręka długo dręczy ją, wahając się, ważąc i cofając kartę... Co za obrzydły... jaki potężny strach...

W tej grze ostatnia karta nie była rzuconą, została w trupiem ręku tajemniczego partnera i od tej pory wisiała nad nią ustawicznie, wrosła w każdą jej myśl i gnębiła, nie dając ani chwili ulgi. Napróżno opędzała się od zmory i powtarzała sobie — absurd! Niepodobieństwo!

Już utraciła panowanie nad głupią awanturą, sprawa, lekceważona od samego początku, teraz brała swój odwet, osaczały ją ciężkie, groźne oskarżenia, z których wyśmiewała się jeszcze wczoraj. Dzisiaj każde z nich wystarczało, żeby ją zmiażdżyć, choć jak i wczoraj była bez winy. Trzymała się jeszcze pozorami dawnej Evy Evard, świetnem udawaniem przed zewnętrznym światem, który zresztą składał się z trzech osób, z adwokata i z dwóch towarzyszek więzienia, ale pomimo swej sztuki łudzenia nie zwiodła nikogo. M-e Lourthier nic poskramiał jej więcej, przeciwnie, zmuszony był dodawać jej otuchy, a gdy radzili w kancelarji więziennej, na górze w korytarzu drugiego piętra w celi Nr. 12 panna Tourly i pani Pelouse zgadywały na tysiąc sposobów, co się mogło stać, biadały nad nieznanym ciosem, który ugodził w ich wesołą, pogodną i tak dobrą panią Evard.

— Już tam musieli na nią wyskrobać coś paskudnego, trzymała się, póki i ją nie utrafiło w delikatne miejsce. Te

dranie z wojennego sądu — to się szastają po wszystkich dziurach, niczem szczury, ryją pod ziemią jak te krety, jakże tu co utaić, kiedy im ze strachu wszyscy służą i donoszą choć i nie z nakazu, to na amatora, żeby się tylko przypochlebić.

— Pani Pelouse, dałabyś pani spokój, ja myślę, że ją zdradził jej miły czy coś takiego, a ze sądu ona sobie kpi!

— Każdy sobie może ze sądu kpić, ale do czasu...

— Przecie wiesz pani doskonale, że ona niewinna.

— To i co? Czy to ja zakatrupiłam mojego starego pijusa? Ja też niewinna, ale jak się im w śledztwie pokręci? Jak która jędza z Mouffetard'u — niby to ich mało — naszczeka na mnie przez złość? A niech się temu aptekarzowi sądowemu pomięszają słoiki z ludzkiemi bebechami i z ekspertyzy wypadnie cudzy arszenik właśnie na mojego nieboszczyka? To i mnie niewinną zasądzą przez tę jędzę albo przez aptekarza... Niewinność przed sądem to jeszcze nie wszystko, przytem nie ma się pieniędzy na lepszego adwokata... Ja powiadam mojemu...

— Adwokata to ona ma najdroższego jaki jest w Paryżu i te parę miljonów też a i nie łatwa to rzecz skazać bez winy taką osobę, samą Evę Evard — nie to co nas z panią. Włos jej z głowy nie spadnie, jeszcze ją będą przepraszać i ona o tem dobrze wie!

— A ja pani powiadam, że z nią źle! To jej zostało ze wczorajszego dnia — śmierć jej patrzy z oczu...

Poczciwe towarzyszki, miłe kobiety, ale nieodłączne i zawsze o każdej godzinie obecne, teraz przeszkadzały Evie straszliwie. Pragnęła pogrążyć się w swoich myślach,

odzyskać władzę nad sobą. Taiła się w niej dręcząca zagadka, wszystko się w niej pomyliło, trzeba to było rozwikłać. Nadchodził dzień sądu, ileż pracy wewnętrznej trzeba dokonać do tej pory, żeby stanąć w pełni opanowania i spokoju, okazać sędziom oblicze dostojne, promieniejące prawdą, zdołać i umieć odpowiedzieć odrazu, bez namysłu na każde choćby najbardziej podstępne pytanie, nie zdradzić zmieszania, rozdrażnienia, strachu...

Widząc, co się z nią dzieje, obie niewiasty siedziały cicho jak trusie, nie śmiąc się odezwać. To ją drażniło niewymownie, a gdy je rozruszała i rozgadały się po swojemu, było znacznie gorzej. Ciążyła ich ciekawość i współczucie, wzdychania i miłosierne spojrzenia... Zamierzała prosić dyrektora St. Lazare o przeniesienie na parę dni do pojedynczej celi, ale lękała się również samotności, ciszy i długich ciemnych nocy, bała się wizyj i przywidzeń, bała się samej siebie. Mimo wszystko lepiej siedzieć razem choćby dla tego jednego, że nawet w najgorszych momentach musiała panować nad sobą poprostu ze wstydu.

Jej umysł zawsze lotny i szybki pracował teraz opornie, nie mogła skupić się na jednem, do swej nieszczęsnej sprawy musiała docierać, przedzierając się przez gęstwinę rzeczy niepotrzebnych, które uwzięły się, żeby co chwila wytrącać ją z celowego myślenia. Napastowały ją wspomnienia i odciągały daleko wstecz, w lata najszczęśliwsze, gdy pierwsze tryumfy rozniosły jej imię po świecie i gdy naraz jak w sztuce teatralnej, jak w powieści, jak w dramacie filmowym, jak we śnie zjawiły się hołdy,

wielbiciele, bogactwo...

Zanim przywykła do nadspodziewanego szczęścia, zanim wciągnęła się w swoją wielką rolę, przeżyła momenty ciężkie pod nawałą łask fortuny, z nadmiaru pomyślności.

Rozpłakała się, gdy po raz pierwszy ujrzała się w lustrze u wielkiego krawca z rue de la Paix w nowem przebraniu w przepyszną suknię wieczorową, jedną z tych, które oddawna podziwiała z ulicy w oknie wystawowem, nie śmiąc nawet o nie j zamarzyć... Pamięta chwilę bezrozumnej rozpaczy, gdy przenosiła się do nowych, pańskich apartamentów na rue Pierre Charron i musiała porzucić swoje ubogie mieszkanko na dalekim, wysokim Montmartrze, na rue Lepic, złożonem z dwóch niemal pustych pokoików na szóstem piętrze w mansardzie, z kuchenką w szafie, z krętemi ciemnemi schodami... Ileż zawodów i trosk przeżyła w tych kątach samotna na świecie w ciężkiej walce o byt, gdy bronita się przed nędzą i przed własną urodą i tysiącem pokus, by nie potknąć się w kwiecie młodości i nie utonąć wzmąconem morzu Paryża... Ileż godzin przegadała, przemarzyła i przepłakała z biednym uroczym Victorem, który wciąż nie mógł znaleźć zajęcia i rozpaczał wraz z nią nad wciąż uciekającym przed nimi upragnionym dniem ślubu...

Stanęła po raz ostatni na balkoniku, wiszącym nad otchłanią Paryża, i zapatrzyła się na ukochane miasto. Z porannych mgieł jesiennych wynurzały się ku blademu słońcu szczyty Panthéonu, Notre Dame, Buttes Chaumont, Inwalidów, Etoile, majaczyły na wzniesieniach wyspy

domów, lśniących dachów, gdy cała dolina, ośrodek, istota, serce Paryża tonęły we mgle jak za mistyczną zasłoną, która kryła tajemnicę tej godziny w losach miljona istot rojących się tam wdole, a wraz z niemi i losy jej, która patrzy na to i czeka w niepokoju i trwodze odpowiedzi na pytanie o swój dzień jutrzejszy i o to, co z nią będzie w nowem, wielkiem życiu za pięć lat, za dziesięć lat?

Nie ustępowała mgła, uparcie ukrywała się jej wróżba. Znikło słońce, napłynęły nowe tumany, znikały wzgórza, wieże, aż całe miasto zawlokło się pomroką, tylko woddali na zachodzie ukośny promień słońca, na chwilę przedarłszy się przez szczelinę w chmurach, oświetlał posępnie i złowrogo wały, czerwone mury fortu na wyniosłości Mont Valérien. Nie była tam nigdy, wydało się jej, że w pogodny dzień przed samym zachodem Paryż musi stamtąd wyglądać wspaniale w czerwonych, purpurowych pochyłych promieniach słońca... I nagle targnął nią strach przed nicością, przed bezgraniczną pustą przestrzenią, która pożarła miasto, i przed jedyną samotną wizją dalekich murów, płynących w chmurze... Otrząsnęła się jak przed widmem, odwróciła się — pokoik, pozbawiony wszystkich sprzętów, wydał się jej dziwnie ciasny, strasznie wąski i ponury, jak wnętrze trumny, na progu w półmroku stał wierny Victor, teraz już inny, jakby niespodziany i w tych dniach wielkiej fortuny jakby obcy. Za trzy tygodnie już go nie było, zastrzelił się, Eva Evard wkroczyła w swoje wielkie życie.

Nadewszystko trzeba słuchać i to słuchać ślepo w każdej

rzeczy M-e Lourthier, bez żadnych wahań i roztrząsań. Fakty, fakty i fakty! Po raz pierwszy stała się posłuszną, ze swego przemówienia, które zresztą wciąż nie było gotowe, nawet nienapoczęte, wyrzuciła lirykę, patos, gest, wyobraźnię. Chciała być posłuszną, znajdowała w tem nawet pewną ostoję i umocnienie, ale gdy myślała o swojej wielkiej mowie, złożonej tylko z operowania faktami, nie znajdowała dla siebie nic. Gdy w upadku ducha i ze strachu oddała adwokatowi swoją swobodę, została bezbronna. Nie umiałaby się wykręcać samą logiką od absurdalnych zarzutów, nie mogłaby spokojnie i rzeczowo wykładać, że haniebne zbrodnie, które w nią wpierano, polegają na nieporozumieniach i nigdy nie miały miejsca.

Czyż mogła nie odmówić odpowiedzi na pewne pytania, wkraczające w jej sprawy osobiste? Czyż po zamanifestowaniu swych wyraźnych i niezmiennych sympatyj dla Francji mogła zrzec się stwierdzenia swego moralnego prawa do neutralności jako wolna obywatelka Norwegji, kraju niezamieszanego w wojnę? Nie wolno jej było zapuszczać się w dygresje zasadnicze o istocie wojny, która rodzi zbrodnie i potworności w rodzaju jej procesu, gdzie świadczą przeciwko niej cienie i widma, postacie bez imienia i bez twarzy, którym nie może nawet spojrzeć w oczy na sądzie, rozstrzygającym o jej życiu i śmierci?

Właśnie o wojnie, o wojnie jako takiej bez związku ze swoją sprawą chciałaby mówić najwięcej, albowiem w samem pojęciu wojny leży sedno zagadnienia winy lub niewinności Evy Evard, możliwości lub niemożliwości intrygi generała Sittenfelda, który z osobistej zemsty, a

jeszcze bardziej dla ocalenia swego stanowiska i dalszej karjery może z Berlina, przez dwa fronty dyktować swoją wolę sądowi wojennemu Francji. Mniejsza o jej los, ale ofiarą absurdu wojny pada również godność władz wojskowych Francji, honor armji...

Zdaniem adwokata podobne rozważania na sądzie przynieść jej mogły tylko szkodę, nie jest to bowiem czas ani miejsce dla filozoficznych czy etycznych pouczeń, sąd jednomyślnie obrazi się za pouczenia, nie trzeba zapominać, że ludzie są ludźmi — i tak dalej... Obiecała być posłuszną, ale jej myśli pełne były wojny, zagłębiała się w kontemplacji straszliwego zjawiska, które ogarniało świat, i zapominała zeszczętem o własnej sprawie...

W ciągu czterech lat nieraz próbowała zastanawiać się nad istotą wojny, chętnie rozmawiała o tem z mądrymi ludźmi, czasami wpadały w jej ręce trudne i zawikłane traktaty, które usiłowały mierzyć i ważyć ogrom wojny, ale bujne życie nigdy nie dawało jej się skupić. Była świadkiem katastrof i przełomów, męczarni i krzywd całych narodów, czującem sercem bolała nad klęską ludzkości, ale jej wyobraźnię porywało kolosalne szaleństwo świata, dając jej rozkosz wrażeń na podobieństwo ogromnego pożaru lub powodzi, które zabijają i niszczą, ale dają oczom wspaniałe widowisko, a duszy dreszcz zachwytu. I ona, jak wielu, których wojna nie dotykała bezpośrednio, gapie wielkich wydarzeń, pożeracze gazet, domagała się na codzień straszliwych nowin, klęsk, tryumfów, hekatomb i nudziła się, gdy na kilka tygodni na frontach zapanował spokój. Wojna ją pochłaniała. Szukała po świecie jej osobliwości,

odmian, zwiedzała kraje koalicji, przypatrując się cierpieniom i wysiłkom narodów w coraz to innej postaci, w nowych warunkach, gromadziła kolekcję znajomości, informacyj, wrażeń. Aż wreszcie zapragnęło się jej z widowni przejść na scenę, przeniknąć za jej kulisy i wmieszać się między aktorów wielkiego misterjum. W dumnem przeświadczeniu, że jej wszystko wolno i wszystko jej ujdzie, puściła się w swój wielki wojaż do obozu nieprzyjaciela...

Teraz za to płaci, już wie, że nie wszystko wolno, nie wszystko ujdzie bezkarnie Evie Evard. Pokusiło ją dotknąć się zarzewia wojny, będąc widzem wielkiego pożaru, zbliżyła się zanadto do ściany ognia, z pustej ciekawości zajrzała na jedno mgnienie oka do płonącego domu — i oto doznała na sobie zemsty żywiołu... Swoją szaloną zachcianką uraziła poczwarne, potężne bóstwo wojny. Gdyby, chcąc zakosztować wojny, zakradła się do okopów i, przebrana za żołnierza, wyszła wraz z innymi do ataku, mogłaby zginąć, odnieść ranę, lub bodaj wyjść cało — w jej osobliwym wyrafinowanym wypadzie na teren wałki spotkał ją los najgorszy, jakgdyby ktoś długo wybierał i układał dla niej mękę i karę tak, jak ongiś obmyślano tortury.

Chciała dokonać czegoś wielkiego — nie zrobiła nic. Chciała oszukać Niemców — Sittenfeld haniebnie wywiódł ją w pole. Z całej duszy pragnęła dopomóc Francuzom — siedzi, zamknięta przez nich w więzieniu, i kto wie, czy nie zginie z ich ręki. I ci, i tamci mają ją za wroga.

Komuż służyła?!

Własnej fantazji, jak zawsze i we wszystkiem w ciągu ostatnich dziesięciu lat swego górnego żywota — w sztuce, w sposobie życia, w peregrynacjach po szerokim świecie, w eksperymentach miłości. Ale wojna nie znosi, by z niej czyniono sobie zabawę — oto kardynalny błąd, oto jedyna wina Evy Evard. Za to musi zapłacić, za to trzeba dać głowę...

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Gałecki](#).*

XIII

Claude i von Senden byli nierozłączni. Związała ich ze sobą jakaś fantastyczna przyjaźń, byli jak rodzeni bracia, których losy rozdzieliły w niemowlęctwie, nic nie wiedzieli o sobie, aż ten sam ślepy los po długich latach zetknął ich ze sobą i sprawił, że się poznali, przemówił instynkt krwi — jakże mogli się nie pokochać? Podziwiali w sobie nawzajem fenomen powtórnego spotkania, cudowny traf, o czem nie warto było nikomu opowiadać, gdyż niema na świecie człowieka, któryby odważył się w to uwierzyć. Ich samych przy każdem powitaniu uderzała niemożliwość tego, co się jednak stało i było niezaprzeczoną rzeczywistością. Zdumienie nad tem zawsze w nich obecne nieraz wytrącało ich ze snu i w ciemnościach nocy męczyli się w dociekaniu, czy jednak nie było to snem? Zdumienie przerywało im rozmowę, naraz zapominali o czem mówili i wpatrywali się w siebie nawzajem dzikiemi oczami, a łapiąc się na tej samej nieodczepnej myśli, wybuchali śmiechem.

Snuli plany, urządzali się w swojej przyjaźni jakgdyby zamierzali odtąd spędzić razem resztę życia, roztaczali nad sobą opiekę. Claude nie pozwalał przyjacielowi pić zanadto, i ten go słuchał. Von Senden troszczył się o los biednego doktora Helma, gdyż podejrzane figury wciąż jeszcze kręciły się koło niego, to znikając bez śladu na parę dni, to pokazując się znowu całą chmarą wszystkie naraz.

— Dziś znowu za mną łażą!

— Jakiś twardy pruski jołop kieruje tymi szpiclami, docieram potrosze i nie dziś to jutro dowiem się czegoś naprawdę. Tymczasem bądź gotów! Dobrze wyprzątnij dom, żeby przez najbłahsze niedopatrzenie, przez głupi znaczek firmy paryskiej na kalesonach, przez znaną złośliwość biletu tramwajowego, który lubi, szelma, przytaić się przez całe lata w rozprutym zakamarku w kieszeni starego palta, przez jakiś idjotyczny świstek...

— Na to zawsze jestem gotów.

— Przepatrzno jeszcze raz, zrób to dla mnie!

Jego pogląd na misję Claude'a ustalił się odrazu i to w sposób niezmiernie prosty, nie gadali o tem za dużo.

— Co było — to było, ale odtąd... Bo jednak potrosze wyglądałoby na to... Zresztą zważ, że jestem do pewnego stopnia Niemcem, więc dla spokoju naszego stosunku...

— Ależ choćby dla prostej przyzwoitości...

— Otóż to! Tem lepiej, że będziemy wobec siebie na równej stopie, obaj popełniamy zdradę względem naszych najświętszych obowiązków, ja, że nie oddaję cię w ręce policji, ty, porzucając posterunek, na który zostałeś odkomenderowany. Możemy rozumować, że przez to szkoda wyrządzona Francji i szkoda Niemiec równoważą się i ulegają faktycznemu umorzeniu. Żadna strona nie traci na niesłychanej zbrodni naszej przyjaźni.

— Swoją drogą, gdy się rzecz wyda, obaj pójdziemy na dyndus — bo u was, o ile wiem, wieszają — ja za szpiegostwo, ty za ukrywanie szpiega.

— To mamy zagwarantowane, trzymajmy się!

— Trzymajmy się, owszem... Ale ja jestem

zrezygnowany, właściwie nie mam poco żyć. Nie chce mi się.

— A ja? Oddawna już nie żyję, a od czasu, gdym zaczął nadobre pić — mniej niż nie żyję, jestem gorzej niż trup.

— Gorzej niż trup?

— Nie przesadzam, bo kto się chwali, że jest trupem, ten nic nie czuje, niczego nie pragnie, za niczem nie tęskni, jednem słowem jest co się nazywa trupem, i koniec. A ja nigdy nie zapomnę, żem kochał do szaleństwa kobietę, która przez wojnę — długoby o tem gadać — ciałem i duszą zeszła na najgorsze brudy i łajdactwo, jest w naszej służbie kontrszpiegowskiej i bodaj że prowokuje na obie strony z szatańskim cynizmem, za grube pieniądze... Nie mogę zapomnieć, że byłem pierwszym oficerem w pułku, pierwszym w dywizji, pierwszym w korpusie i pierwszym w naszej XVIII armji, gdyż posiadałem maximum odznaczeń za męstwo, wszystkie krzyże i medale, jakie tylko są dostępne dla oficera w mojej szarży. Upajałem się walką, chodziłem we chwale... Nawet tego — do djabła — nie mogę zapomnieć, że byłem dorodnym, pięknym chłopem i codziennie rano, gdy się golę przed lusterkiem, przeklinam moją zapijaczoną karykaturę i pluję sobie w pysk... Nasze spotkanie wstrząsnęło mną potężnie, byłem w ekstazie niemal przez całą dobę, rozumiesz? Tknął mnie cud... Zawstydziłem się sam siebie i postanowiłem pracować“ jak człowiek, a przedewszystkiem przestać pić jak Świnia... Tknął mnie cud — i wybuchło we mnie natchnienie. Gdyśmy się wówczas rozstali, zasiadłem do pisania, pisałem do późnego wieczora, potem, prawdę

powiedziawszy, pomimo świeżego ślubowania abstynencji, poszedłem się trochę napić i znów pisałem do wschodu słońca. Nasmarowałem spore opowiadanie o trzech franctircur'ach belgijskich w skałach i lasach nad Mozą, malownicze i okropne, a działa się to podczas przemarszu naszej XVIII armji w sierpniu 1914 roku. Są to ksiądz, któremu zburzyliśmy kościół, stary chłop, któremu spaliliśmy całą chudobę, i piętnastoletni chłopak — po rozstrzelaniu obojga rodziców... Rzecz dzieje się w okolicach Dinant, gdzie i mnie wypadło bywać czasami Hunnem, teraz wiem, co o tem myśleć, zresztą opowiadania nie puści mi cenzura... Otóż aspiracje do pióra nosiłem w sobie oddawna, lud. ie nieraz gadali, że mam talent... Jeżeli to coś warte... Jeżeli los zechce... To jedno może mnie uratować! Życie własne, prawdziwe i samego siebie, tego von Sendena, przegrałem nieodwołalnie, a nuż da się żyć fikcją? Pogrążyć się z głową w sprawach zmyślonych... Zapomnieć o sobie, a brać bodaj i rzeczy własne, choćby najtajemniejsze, niechby nawet haniebne, i przerabiać je, przetwarzać, przerzucać je na ludzi nieistniejących, wcielać się w nich, wymyślać zdarzenia, których nigdy nie było i nigdy nie będzie... Zamknąć się, zapamiętać się nazawsze w swojem własnem życiu jak manjak i wzgardzić wszystkiem, co się dzieje na świecie, samemu stać się fikcją i w tem już wytrwać do końca... Jeżeli zamierzeniu sprostam, ty będziesz sprawcą mojej nowej reinkarnacji!

Przyjaciel z zamiłowaniem odsłaniał duszę i całe swe życie, a chwilami uskarżał się, że nie spotyka żadnej

wzajemności. Claude pragnąłby ulżyć sobie i wypowiedzieć wszystko co w sobie dźwigał, ale należał do typu ludzi, którzy pomimo szczerej chęci nigdy nie potrafią przełamać twardej, nieufnej skorupy swej wewnętrznej samotności. Próbował opowiadać o sobie to i owo, ale nie mógł tknąć swego prawdziwego nieszczęścia, nie mógł się doń nawet zbliżyć.

Tamten zdawał się go przenikać, co nie było zresztą zbyt trudne, w obu miastach po obu brzegach Renu gadano jeszcze o samobójstwie Rity i zgadywano jego przyczyny, ale gdy napomknął o tem kiedyś ubocznie i najsubtelniej, zapraszając go niejako do wyznań, Claude natychmiast przeciął sprawę, chwycił przyjaciela za rękę w uścisku mocnym i serdecznym i tyle, że westchnął, nie patrząc mu w oczy.

— Daj spokój... Nigdy nie wspominaj przy mnie jej imienia...

Claude wałęsał się po galerji zamkowej, nie mogąc się skupić ani nawet zatrzymać bodaj na chwilę przed żadnym obrazem. Napastowała go nawała plam barwnych i przepędzała go z sali do sali, mąciło mu się w oczach i w głowie. Ze złotych ram roztwierały się niepojęte światy, jakby pchając się ku niemu przez mnóstwo złotych okien, któremi podziurawione były wszystkie ściany. Twarze starych portretów wpierały w niego uporczywe spojrzenia, pejzaże drażniły niezrozumiałem powikłaniem przestrzeni, aż bolało w oczach, obrazy mitologiczne, historyczne stawały się zagadką, gdzie niewiadomo było co zgadywać...

Obracał się tu jak chory w gorączce, jak ciężko pijany lub właśnie jak człek ciemny, który nigdy w życiu nie był w muzeum, a nawet nie widział na oczy dzieła sztuki.

Wkońcu spostrzegł, że od czterech lat, od wybuchu wojny nie zdarzyło mu się zabłądzić do jakiejkolwiek galerji obrazów, że myśl o sztuce plastycznej ani razu nie postała przez ten czas w jego głowie i że jakby zapomniał o jej istnieniu. Zdziczał i zgłupiał do tego stopnia, że w najwyższem rozdrażnieniu, mrużąc oczy przed blaskiem barw, wycofywał się z labiryntu sal i salek i, starając się nic patrzeć ani na prawo, ani na lewo, ucieka! od jakiegoś nieopisanie dręczącego wrażenia. W sali flamandzkiej zaczepił go natarczywem gadaniem monumentalny starzec, jego szpicel, pan Distel, który tego dnia znów wypełzł na świat i już deptał mu po piętach. Przez chwilę patrzał nań błędnym wzrokiem i porzucił go bez słowa.

W sali francuskiej skręcił w rozpędzie i, poślizgnąwszy się na posadzce, przyczaił się przed wielkim obrazem Poussina, gdzie w tłoku i w nieznośnym zamęcie plam odprawiała się orgja przed złotym cielcem — zrozumiał przed czem stąd uciekał, ostrzegło go podświadome przeczucie, ale czy udało mu się ukryć? Usłyszał tuż za sobą stłumiony śmiech, szelest sukni, owiało go tchnienie mocnych perfum. Co robić? Nie dalej jak wczoraj ostrzegał go von Senden, że jego była małżonka oddawna jest tajną agentką niemiecką. Co robić?!

— Panie Helm, czyż pana naprawdę tak pochłania stary bohomaz? Są tu lepsze rzeczy — dzień dobry panu!

Tym razem zaczęła jednak po niemiecku. Claude nie

odpowiadał, niedołężnie zbierał myśli, żeby nareszcie wiedzieć jak sobie z nią poczynać. Ogarniało go ciężkie lenistwo, niczem sen. Dał spokój wysiłkom — niech będzie co chce...

— Wracam prosto z Paryża, niechże pan przynajmniej rzuci okiem na mój kostjum od Paquina.

— Nie mam ochoty do żartów, proszę się ode mnie odczepić!

— Ach, jak niegrzecznie... A ja się mozolę, żeby pana uratować, na szczęście przyjechałam jeszcze w porę — za parę dni byłoby za późno. Co za straszliwe nieporozumienie! Proszę sobie wyobrazić...

Zdołała go zaciekawić, słuchał i bardzo uważnie. Dziwił się, ogarniało go zdumienie, nie wierzył własnym uszom...

Wreszcie obejrzał się — nie wierzył oczom.

Pani Greta von Senden zmieniła się, jakby przybrała cudzą postać, nigdy jej takiej nie widział. Świetny paryski ekwipunek nadawał jej postaci szlachetny lekki powab, o tej porze w Niemczech w czwartym roku wojny niebywały. Ale to, co w niej zdumiewało, była to zupełnie nowa maska, narzucona na twarz dawnej Grety, cyniczną, wyuzdaną, której oczy i usta odrazu zdradzały ladacznicę. Stała się dostojną, była w niej powaga, umiar, dobry ton, oczy patrzały spokojnie i uczciwie.

—....Gdy Abbegglena i towarzyszy spotkało wiadome nieszczęście, oprócz mnie, gdyż bawiłam wówczas w Paryżu, ocalał tylko jeszcze jeden człowiek z naszej centrali, właśnie najgłupszy z całego berlińskiego zespołu, na nieszczęście posiadał on instrukcje represyjne

Abbegglena, wymierzone przeciwko panu za uporczywe nieposłuszeństwo rozkazom. Indywiduum to urościło sobie władzę nad rozbitkami naszej organizacji i zaczęło działać. Ze strachu pomąciło mu się do reszty w głowie, dość, że jednym z pierwszych jego zarządzeń było karne „utopienie“ pana wobec władz niemieckich, na szczęście nawet tego nie umiał urządzić rozumnie, centralny kontrwywiad nie dał wiary doniesieniu i tylko z obowiązku i tytułem próby otoczył pana obserwacją, której pan zapewne nawet nie zauważył... Indywiduum postanowiło się poprawić i zamierzało właśnie pogrążyć pana skuteczniej, gdy nadjechałam z mojemi pełnomocnictwami i, dowiedziawszy się o całym skandalu, odwołałam instrukcje Abbegglena... Proszę mi nie dziękować zanadto serdecznie, nie uczyniłam tego bynajmniej z sympatji dla pana, ale z obowiązku służby, jako uczciwa funkcjonariuszka. Wiem, że po pewnych wahaniach usłuchał pan instrukcji i że nader gorliwie doglądał pan w chorobie starego Wagera, panu zawdzięczamy, że najgroźniejszy nasz wróg lada godzina pożegna ten świat...

— To potwarz!

— Dobrze, dobrze... Ta potwarz czyni panu zaszczyt. Uratował pan setki tysięcy naszych żołnierzy... Może pan nawet odegrał wielką rolę historyczną, przechylając szalę wojny na naszą stronę. Co za szkoda, że potomność, przechowując w pamięci imiona różnych generałów, nie będzie znała tak olbrzymiej zasługi... Skądinąd nam wiadomo, że profesor otrzymał od Ludendorffa niesłychane pełmocnictwa, co dowodzi, że jego nowe odkrycie było

faktem dokonanym i tylko dzięki jego tajemniczej chorobie, która zdarzyła się przedziwnie w porę, nie wyszło dotychczas z jego pracowni. Napewno otrzyma pan wielką nagrodę od rządu Republiki za ten czyn bohaterstwa, które jednak co do swojej istoty z przyczyn wiadomych na wieki pozostanie tajemnicą dla Francji i dla świata, dla pana ministra Clemenceau, a nawet dla szefa naszego Drugiego Biura oraz dla jego obu zastępców. Oczywiście otrzyma pan zwolnienie z posterunku na dobrze zasłużony odpoczynek, a już naszą rzeczą będzie zapewnić panu bezpieczne przekroczenie granicy, co nastąpi jak tylko dostanę od pana formułę nowej substancji wraz z wyjaśnieniami natury technicznej...

Claude poczuł jak żelazna klamra opasała mu głowę i jęła się zaciskać jakby skręcana śrubą. Zimna rozważna nienawiść ostrzegła go przed buntem, milczał. Ani jednego słowa oburzenia, ani jednej zniewagi... Magiczne słowo o możliwości powrotu do Francji olśniło go, nakazało przyczaić się. Za tę cenę gotów był na najohydniejsze poniżenie, jego inteligencja, jego wyobraźnia wyzwoliły się z pod ucisku tępej rezygnacji, był pewny, że w grze z tą kobietą nie potknie się na wyrafinowanej mistyfikacji. Ocknął się w nim dawny oficer bojowy, porwała go namiętność ryzyka, urok niebezpieczeństwa. Gdy nareszcie przemówił, miał już w głowie plan postępowania, plan walki — na oba fronty.

— Ależ proszę, całe to wielkie odkrycie noszę przy sobie...

Claude sięgnął do kieszeni. Greta powstrzymała go

ruchem wytwornie urękawiczonej dłoni i wskazała oczami na starca, który szukał czegoś po ścianach i, nieznacznie drepcząc, boczkiem podsuwał się ku nim.

— Chodźmy, ten obrzydły dziadyga nie usłuchał rozkazu, już przedwczoraj zdjęto z pana obserwację, a ten się precz włóczy. Panie Helm, proszę się niczemu nie dziwić, ja muszę wszędzie mieć dobre stosunki, inaczej cóżbym mogła zrobić dla naszej sprawy? Nieprawdaż?

— Oczywiście!

— Mój szanowny ex-małżonek z pewnością nagadał już panu o mnie niestworzonych rzeczy... Od czasu jak się rozpił, obnosi mnie po wszystkich knajpach i wygaduje na mnie przed pierwszym lepszym, a cóż dopiero przed swym najnowszym nieodłącznym przyjacielem... Niech mu pan nie wierzy, to łgarz wierutny i chorobliwy mistyfikator, często również udaje pijanego, żeby wciągać ludzi w zwierzenia, a jak pochwyci nieostrożne słowo, donosi. To stary szpicel, ostrzegam pana! Jeszcze niedawno grasował w krajach neutralnych i miał jakie takie stanowisko, ale wyrzucono go za pijaństwo i teraz trzymają go tyle że z łaski i używają do podrzędnych kawałków. Co też może pana łączyć z taką kanalją?

— Co nas łączy? Właściwie nic, ot, przyczepi! się do mnie...

— Szpicel!

— Może być...

— Napewno! I pan z nim przesiaduje z lubością, czy on dla pana taki zajmujący?

— Niebardzo, pijemy razem i tyle, wódka łączy nieraz

dziwnych ludzi.

— Więc i pan zaczął pić?

— Owszem... Tak się złożyły okoliczności...

— To niedobrze... Choć skądinąd rozumiem pana. Bardzo rozumiem... Po tem, co tu zaszło... Trzeba pana jaknajprędzej wyprawić do Francji. Niech mi pan ufa bezwzględnie, niech pan mnie słucha...

— Ależ z przyjemnością! Zresztą nie mam innej drogi do Francji, jak tylko przez pani uprzejmość...

— To mój obowiązek i spełnię go.

W zacisznym, zewsząd osłoniętym zakątku parku zamkowego Greta obracała w ręku drobno zapisaną karteczkę. Była widocznie rozczarowana.

— To wszystko?

— Tak jest! Pani życzyłaby sobie pokaźniejszego manuskryptu?

— Ależ objaśnienia, komentarze!

— Nasi specjaliści znajdą tu wszystko, co im potrzeba, chemja nie jest wielomówna. Olbrzymie odkrycia zawierają się nieraz w kilku wierszach formuł i znaków. Proszę się uspokoić.

— Dobrze. Kiedy ten nowy gaz może się pojawić na froncie?

— Należałem do komisji trzech, która miała za zadanie przejrzeć papiery profesora Wagera, gdy stan jego został uznany za beznadziejny, udało mi się w porę usunąć kartki, zawierające rezultat ostateczny, komisja musiała się zadowolnić pracami przygotowawczemi. Są tam pomysły, dociekania, hipotezy, plany przyszłych doświadczeń —

mnóstwo zagryzmolonych papierów, mogą się w nich grzebać do końca wojny...

Claude łgał umiejętnie, skromnie unikając przesady, mówił skąpo, jakby odniechcenia i właśnie teraz, gdy się dopiero co zbudził z apatji pod magją słów — powrót, Francja — udawał, że w istocie nic go nic obchodzi. Grając komedję, obserwował pilnie Gretę, widział, że pomimo wysiłku nie zdołała ukryć radości, zgadywał, dociekał, czy to radość agentki francuskiej, która zdobyła tak łatwo bezcenną kartkę na dobro Francji, na szkodę Niemców, czy też raduje się w niej agentka niemiecka, że odzyskała w tej karteczce bolesną niepowetowaną stratę, która odbudowuje siłę Niemiec, a godzi we Francję? I jedna i druga strona zapłacą jej za to ile zechce. Komuż sprzeda wiekopomne odkrycie wielkiego Wagera? Oczywiście zechce je sprzedać i jednym, i drugim, ale co wówczas stanie się z kapitanem Claude Déspaix'em, co będzie z doktorem Ossianem Helmem, gdy obaj oni składają się na ów fantastyczny twór, który tak czy owak znajduje się całkowicie w jej rękach, zależny od jej wyrachowania czy kaprysu? Przez chwilę sądził, że zgubił się samochcąc, oddawszy jej nieszczęsną kartkę, wrazie tranzakcji z Francją zależy jej na tem, aby się go jaknajprędzej pozbyć i nie dzielić z nikim zasługi pozyskania tak bezcennego skarbu, gdyż to w ogromnym stopniu zmniejszyłoby jej zapłatę. Nie tylko nie zobaczy Francji, ale da głowę na niemieckiej szubienicy, dokąd Greta zaprowadzi go tem chętniej, że za jednym zachodem sprzeda go Niemcom jako mordercę wielkiego Wagera wraz z tajemnicą, którą był ukradł, a ona odzyskała...

Mistyfikacja zawiodła — zaplątał się, zginie w każdym razie, ale czyż i tak, gdy jest ona agentką niemiecką, nie był na jej łasce od samego początku? Trzeba było siedzieć cicho i czekać co los zdarzy, a tak samochcąc przyśpieszył swoją zgubę. Wyrwał się, nie przemyślawszy do końca zawikłanego problematu, coprawda nie miał na to czasu. Przepadł marnie. Pozostaje mu jedyna pociecha, że rewelacyjny papierek, zaimprowizowany na odczepne dla Abbegglena, nie posiada żadnej wartości, po paru próbach poznają się na nim i Francuzi, i Niemcy, Greta od nikogo nie otrzyma nagrody, po takiej kompromitacji obie strony stracą do niej zaufanie. Doktór Helm zginie na szubienicy na jednym postronku z kapitanem Déspaix, a bezczelna, bezkarna Greta von Senden dobrze zapamięta, że jednak zadrwił z niej ktoś, mniejsza o to, że za cenę własnej głowy.

Odkrywszy tę marną pociechę, Claude uśmiechnął się melancholijnie, nie uszło to uwagi Grety, która również go obserwowała.

— Von Senden zapewne nagadał i panu, że jestem agentką niemiecką?

— Nic mi o pani nie mówił.

— Mówił czy nie mówił, niech pan wie, że to ohydne oszczerstwo! Nigdy nie byłam w służbie u Niemców, ale rzecz prosta, nieraz wchodziłam w konszachty z ich wywiadowcami i nabierałam ich ile wlezie, udawałam też niejedno za specjalnem upoważnieniem van Trothena. Szkoda, że ten łotr von Senden nie wie i nie dowie się nigdy komu służę, on tak ceni honor swego głupiego nazwiska... Żałuję, że nie wie i nie dowie się nigdy dlaczego poszłam

na tę drogę. Ale powiem to panu, gdyż widzę, że pan chwilami uśmiecha się dwuznacznie w sposób dla mnie całkiem niemiły... Otóż, pomijając pieniądze i to grube pieniądze, a dalej dziką rozkosz zdrady ojczyzny, rozkosz ryzyka, niebezpieczeństwa i przygód... Wie pan dlaczego? Z nienawiści do mego męża, bo mnie sponiewierał... Zato, że go kiedyś kochałam... Z nienawiści do wojny, bo sprawiła, że na froncie zdziczał i w najcięższej próbie mego życia, nie miał dla mnie serca. I tak dalej... Chciałabym, żeby pan mnie rozumiał! To moja ideologja szpiegowska, starczy ona za pański francuski patrjotyzm, jak pan swojej Francji, tak ja będę do końca wierną mojej nienawiści. Może pan wreszcie przestanie się uśmiechać?...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

XIV

Olbrzymie plakaty obwieściły obu miastom zgon wielkiego Wagera, na najwyższym ze stu kominów „Badische A. und S. Fabrikation“ powiewała kolosalna czarna płachta. We wszystkich gazetach Niemiec sążniste nekrologi sławiły zasługi jego długiego niestrudzonego żywota dla wiedzy niemieckiej i przemysłu, a zwłaszcza wynoszono pod niebiosa jego wiekopomne odkrycia i prace w dobie wojny, gdy cały swój genjusz oddał sprawie obrony ojczyzny i zwycięstwa. Napływały tysiące depesz ze wszystkich zakątków kraju. Nadesłał swe najwyższe kondolencje sam cesarz.

Nazajutrz po zgonie zostało rozwiązane osobiste laboratorjum tajnego radcy profesora Wagera, tak zwane „Wagershölle“, i przeszło w stan likwidacji, a cały personel zwolniono. Natychmiast oddział miejscowy specjalnej nadzwyczajnej komisji uzupełnień powołał przed swoje groźne oblicze chemików, techników i siły pomocnicze, wszystko co aż do tego dnia kryło się przed frontem za osłoną wielkiego imienia. Jeszcze zwłoki mistrza i szefa leżały w powodzi kwiatów w wielkim salonie willi „Zyglinda“, czekając na pogrzeb, gdy wszyscy jego byli uczniowie i podwładni do czterdziestu pięciu lat wieku otrzymali karty powołania pod broń z obowiązkiem stawienia się w ciągu trzech dni w odnośnych obozach wyszkolenia. Komisja utknęła dopiero na osobie doktora Helma, który jako obywatel Stanów Zjednoczonych nie

podlegał poborowi.

Wątpliwości i deliberacje komisji przeciął sam zainteresowany, zgłaszając się z własnej, nieprzymuszonej woli na ochotnika. Zdumienie komisji, serdeczności, owacje, grzeczności. Zaofiarowano mu różne ulgi, dwutygodniowe odroczenie, ale ochotnik Helm wyraził życzenie, by go jak najprędzej wysłano na front. Obecny przy tem wierny przyjaciel, były kapitan, inwalida von Senden, zupełnie trzeźwy i obwieszony wszystkiemi krzyżami za męstwo, wyjednał u znajomego sekretarza komisji, że amerykańskiego ochotnika wyprawiono jeszcze tego samego dnia do kadry pewnego pułku w strefie przyfrontowej, gdzie miał starych dobrych kolegów. Zaopatrzył go w listy polecające oraz w mnóstwo rad i wskazówek praktycznych, uzbieranych z doświadczeń swej bojowej przeszłości, wreszcie odprowadził go aż do Worms. Przez całą drogę wpatrywał się weń uporczywie a chwilami oczy zachodziły mu łzami, czego się wstydził, spędzając to na wódkę, która od jakiegoś czasu rzuciła mu się na wzrok.

— Na froncie mamy zastój, to dla nas najlepsza pora, uważaj, że nastały gorsze czasy i na patrole nocne nie wyznaczają już żołnierzy, ale za każdym razem wywołują na ochotnika, zgłaszają się też wyłącznie chłopcy z najmłodszego rocznika. Stawaj i ty za każdym razem! Nie trzeba cię uczyć, jak się to robi... Pamiętaj, że tylko nocą da się przekraść, gdy z obu stron wychodzą, żeby brać żywcem dla języka... Nie waż się próbować podczas ataku, ani dniem, ani nocą, bo teraz niema jeńców! Zanim podniesiesz

ręce do góry, zanim dasz się poznać, zanim zdołasz krzyknąć — swój! — już cię zadźgają. Żołnierz w ataku jest rozjuszony, więc gdy wypadnie atak — broń się, kłuj i wal, zapomnij, że to bracia Francuzi, to może się obronisz, bo inaczej rozniosą cię na bagnetach i nanic cała impreza. Boję się bardzo, żebyś nie przepadł marnie przez sentyment, przyobiecaj mi, że będziesz rozsądny!

— Masz zupełną słuszność, i ja myślałem o tem nieraz, ale nic ci nie obiecuję...

— Ot, masz...

— Może w takim momencie nie będę o niczem myślał, zapamiętam się... Ale kto wie, jak będzie... Niech zobaczę nasze mundury, hełmy, niech pomyślę... Problemat jest djablo ciężki...

— Co za idjotyzm... Żadnych problematów! Z takiemi problematami w głowie idziesz na pewną śmierć!

— Jest i spore ryzyko, ale może też się złożyć szczęśliwie... Wszystkiego niepodobna przewidzieć.

— A dalej, pamiętaj com ci mówił o ataku! Przyczaić się w jakiej dziurze, przeczekać. Udawać rannego czy zabitego można dopiero, gdy nasz niemiecki atak się załamie, i Niemcy zaczną na dobre wiać. Wtedy wal się na ziemię, ale nie wcześniej aż gdy cię minie ostatni Niemiec, bo w tych czasach nasi podoficerowie i oficerowie lubią czasami sprawdzić po drodze, czy się który nie przyczaił, — próbują delikatnie, samym końcem bagnetu i gdy taki umarły zawierci się — odrazu palą w łeb... Odczekaj aż przejdą po tobie wszystkie francuskie fale — dopiero wtedy wstaniesz i dasz się komuś poznać...

Claude ściskał mu ręce wzruszony i śmiał się z przyjaciela, który chciał wszystko przewidzieć. Ta osobliwa podróż powrotna do Francji była jego pomysłem, po wyczerpaniu i odrzuceniu wielu innych kombinacyj, nad któremi radzili długo. Trzeba się było śpieszyć, gdyż Greta również mogła się pośpieszyć z decyzją. Legalny przejazd granicy neutralnej szwajcarskiej czy holenderskiej nastręczał ogromne trudności, równając się niepodobieństwu, zresztą Greta sparaliżowałaby każdą szansę powodzenia w tym zamiarze. Wyprawa alpinistyczna przez pograniczne góry była niemożliwa przez wzgląd na nietęgie nogi Claude'a. O przemytnikach i ich tajnych punktach na granicy żaden z nich nic nie wiedział, von Senden nie miał pod ręką dobrej kryjówki ani zaufanych ludzi, gdzie można było się przechować do końca wojny. O tej porze wszystko jak Niemcy długie i szerokie było sterroryzowane pod surową kontrolą policyjną, a nadomiar nikt nikomu nie ufał i ludzie z dobrej woli szpiegowali się nawzajem. Wreszcie w toku dociekań nad sposobem ratunku von Senden, bezradny, rzucił żartem myśl, żeby pójść na ochotnika i szukać okazji na froncie w zamęcie walki.

Pomysł porwał ich swoją fantastycznością, terminowy owego dnia obowiązek stawienia się przed nadzwyczajną komisją kontrolną uzupełnień przeważył sprawę. Niebawem przestali się zdumiewać i rozwodzić nad tym planem i przeszli do szczegółów jego wykonania. Nad ryzykiem śmierci w tej podróży, co na froncie grozi, każdemu żołnierzowi, przeszli oczywiście odrazu do

porządku dziennego jako ludzie wojny i zajęli się samą techniką przedostania się na stronę nieprzyjaciela, jakby chodziło o zwyczajny manewr. Ustaliwszy, że rzecz równie dobrze może się udać jak i nie udać, z całą otuchą poszli przed oblicze komisji, a wieczorem tego dnia doktór Helm jechał już do swojej kadry.

Von Senden nie okazał zdziwienia, dowiedziawszy się że Greta jest agentką francuską, zapowiedział tylko poprostu, że ją zabije jak tylko zabezpieczy los przyjaciela. Claude uważał jego słowa za zwyczajną pogróżkę i nie zaprzątał się tem więcej. Ich pożegnanie było proste, żołnierskie, von Senden z trudem ukrywał wzruszenie, Claude patrzał nań z okna wagonu z tem samem zdumieniem, które występowało zawsze, gdy zastanawiał się nad dziką, zawziętą przyjaźnią swojego Niemca z pod fermy la Routoire:

— Będę przy tobie przez cały czas dopóki się nie przedostaniesz, od jutra zasiadam do pracy, będę spisywał twoje koleje, dzień po dniu, potem kiedyś porównamy twoją rzeczywistość z moją fikcją. Byłoby nadzwyczaj ciekawe, gdyby się te dwie powieści zgodziły ze sobą, co uważam za zupełnie możliwe. Zresztą, na miły Bóg, czyżby cudowny traf, który nas ze sobą zetknął, nie był objawem przeznaczenia? Wierzę głęboko, że wyjdziesz cało, inaczej wszystko to nie miałoby sensu... No, jazda... Dowidzenia, Claude... Pisz zaraz jak tylko... W odpowiedniej redakcji, ale tak, żebym przecie coś z tego zrozumiał... List każ wrzucić w Szwajcarji czy w Hiszpanji, czy w innych z niewielu krajów neutralnych, które jeszcze zostały nam

Niemcom na mapie świata... Jazda, jazda! Zawsze cię będę kochał i wspominał...

Pogrzeb wielkiego uczonego odbywał się z niezmierną pompą oficjalną przy udziale tłumów, jakich nigdy jeszcze me widziały Ludwigshafen-Mannheim. Obok ośmiu tysięcy robotników i robotnic, których zakłady „Badische“ wysłały w ordynku czwórkami, oba miasta wyległy na ulice i szły w olbrzymim pochodzie, odprowadzając na miejsce wiecznego spoczynku swojego wielkiego ziomka, chlubę i sławę badeńskiej Nadrenji. Tytułem rzadkiego wyjątku na specjalny rozkaz cesarza grzebano go z honorami wojskowemi, przepisanemi dla generała brygady. Grzmiały mu trąby, defilował na jego cześć bataljon piechoty ze sztandarem, przeszło sto wieńców niesiono przed jego trumną od dygnitarzy państwowych, od instytucyj naukowych, od wszystkich wyższych uczelni niemieckich, od wszystkich potężnych organizacyj przemysłu chemicznego — od samego cesarza... Wśród wieńców zwracał powszechną uwagę kolosalny krąg splecionego misternie drutu kolczastego, przekreślony pośrodku szerokim równoramiennym krzyżem ze wspaniałych żółtych róż, — na jego żółtych szarfach czarne gotyckie litery wyrażały hołd wodza naczelnego wszystkich sił zbrojnych stojących w pulu i najwyższą podziękę za Żółty Krzyż. Wieniec dźwigało sześciu żołnierzy z oddziału gazowego, dekorowanych odznakami za męstwo. Szli za trumną reprezentant cesarza delegacja Wielkiej Kwatery Głównej, dygnitarze państwowi, generałowie, rektorzy

politechnik i uniwersytetów, znakomitości naukowe, prezesi i dyrektorzy zakładów chemicznych, miljonerzy i miljarderzy wojennego przemysłu chemicznego... Nie było jeno nikogo, ktoby uronił za zmarłym łzę serdeczną, albowiem troje najbliższych zabrała mu wojna.

Gdy pochód wkroczył na most, zahuczało, zawyło sto kotłowni „Badische“, sto syren transportowców i holowników na Renie. W ciężkiej, tłoczącej duszę ponurości tych głosów odzywała się jakby straszliwa wola niszczącej złej potęgi, zawziętej na zgubę świata i ludzkości. Było w tem szaleństwo dziejowego kataklizmu, jego groza, jego rozpętana moc. Jednym tchem, nieprzerwanym, nieskończonym ciągiem wyły o pomstę miljony upiorów, oznajmiały się potwornym jękiem bólu i przedśmiertnej skargi wszystkie ofiary wszystkich pobojowisk świata, gdzie srożył się i palił, gdzie dusił i oślepiał, gdzie dręczył i zabijał cud wiedzy niemieckiej, owoc genjuszu i pracy wielkiego Wagera, otucha i nadzieja Niemiec, postrach wroga, niezwalczony, straszliwy Żółty Krzyż.

Olbrzymi orszak żałobny sunął szybko po moście, każdy z nieprzejrzanej masy uczestników przyśpieszał kroku, chcąc uciec i skryć się przed okropną rozdzierającą i oszałamiającą nawałnicą i przemocą.

Pierwszy, który przedostał się na tamten brzeg, bataljon asysty wojskowej, uciekał wgłąb miasta ze sztandarem i orkiestrą, uciekały wieńce, delegacje, duchowieństwo, aż nareszcie, gdy sześciokonny karawan, nakryty górą kwiatów, zjechał z mostu w ulice miasta, w jednej

sekundzie urwał się jak uciął huragan, który bił w tłum zza Renu od ściany kominów „Badische“, a za nim milkły bezładnie, niesfornie syreny parowców, holowników, dźwigów portowych i machin pracujących na rzece. Wśród dziesiątków tysięcy kroczących w pochodzie nie było jednego człowieka, któryby nie odetchnął z ulgą i nie otrząsał się z ciężkiego koszmaru.

Dopiero na placu Goethego von Senden dostrzegł w tłumie Gretę i przyglądał jej się z wciąż wzrastającem — zdziwieniem. Przybrana z kosztowną prostotą czarno od stóp do głów, ściągała na siebie spojrzenia swoją urodą i dostojną powagą całej postaci. Oddalała się, ginęła mu z oczu w tłumie i ukazywała się znowu, von Senden zdążał za nią jak urzeczony, ale krył się, żeby go nie dostrzegła. W jej odmienionej, szlachetnej głowie pociągało go z mocą porywu coś drogiego, co zmarło i sczezło już dawno w nim i w niej. Na sekundę zawróciły się czasy wstecz aż do wiosny życia ku upojeniu szczęścia. Owiało go tchnienie pokusy, a w niej wabił uśmiech sennego marzenia, nieprawdopodobieństwa. Otrząsał się i znowu zapadał we władzę złudy, to co czuł przeczyło rzeczywistości, pomimo że wierzył w prawdę wszystkiego, co o niej wiedział, już drgała mu w sercu żądza przebaczenia...

Uciekając od opętania, wycofał się z tłumu i zboczył do Luisenparku, przed którym przeciągał właśnie orszak pogrzebowy. W cienistej chłodnej alei wkrótce oprzytomniał i zmora rozwiała się, ale był nieznośnie rozdrażniony. Brak mu było przyjaciela, nękały go złe przeczucia i spóźnione wyrzuty, że pchnął go lekkomyślnie

z nadmiaru wyobraźni na drogę bezprzykładnej fantastycznej awantury. Ten szalony pomysł, z którego jeszcze dziś rano był dumny, trzeba było raczej użyć za temat do opowieści wojennej a nie pisać jej na skórze przyjaciela jego żywą krwią. Poniosło go natchnienie...

Klął głośno, bo teraz widział wyraźnie wszystkie racje, wskazujące na absurd całego planu, rozdrażnienie wzmagało się, brak mu było wódki, bo na prośby przyjaciela nie pił już trzeci dzień a przy pożegnaniu, porwany wzruszeniem, ślubował mu, że pić nie będzie, jeżeli nie do końca życia, to conajmniej aż do dnia, w którym otrzyma od niego nowinę o szczęśliwem przedostaniu się do swoich. Wiedział, że pijaństwo go ogłupia, poniża i zabija, wysilał swoją wolę, aby dotrzymać przyrzeczenia, a zarazem wiedział niezbicie, że prosto z tego parku czyli natychmiast pójdzie do najbliższej knajpy, a więc do Ballwega, i pogrąży się tam do późnej nocy, do zupełnego zbydlęcenia. Któż temu winien? Ta zbrodniarka, ta jadowita jaszczurka, podła szpiegówka francuska...

Zawrócił ku głównej alei i śpieszył się, już go ogarniał znajomy zamęt — plugawa pijacka rozkosz zatracenia, przedsmak upodlenia, upojenie rozpaczy. Na pierwszym zakręcie ujrzał Gretę.

Za późno było uciekać. Przechodząc ukłonił się grzecznie i zimno, a spotkawszy jej spokojne, otwarte i jasne spojrzenie, stanął, nie wiedząc co dalej począć. Greta wlot uchwyciła moment swojej przewagi i zaczęła o Wagerach, o Kurcie, o Ricie, mówiła o nich z dobrocią, z żalem, niemal ze łzam, i w oczach. I znowu wyjrzało z niej

dawniejsze, odżyło to, co nazawsze umarło... Była znużoną długim pochodem w tłumie, wstąpiła do parku odpocząć, nie mogła już dłużej podołać nudzie uroczystości narodowej, a zresztą nie znosi pogrzebów i cmentarzy od czasu gdy grzebała Ottę, swoje jedyne dziecko. Na dźwięk tego imienia pijacka twarz von Sendena skurczyła się nagle w napadzie wściekłości. Jak śmiała wspominać imię córki?! Gdy ujrzał łzy w jej oczach, zanim pomyślał, co się z nim dzieje, zanim zdołał się pohamować, zapłakał sam, załkał, odwrócił się i chciał uciec, ale Greta, nie oglądając się nań, ruszyła wgłąb parku, a on jak urzeczony podążył za nią, zrównał się z nią, i przez jakiś czas szli razem w milczeniu. Greta usiadła na ławce, on przy niej. Wpatrywał się w nią uporczywie, złudzony niepojętą odmianą w tych rysach, w oczach, w całej postaci. Wzruszał się i szydził, wspominał dawne i przeklinał ją. A nuż wśród dziwów życia, wśród poczwarnych fenomenów wojny jest jeszcze miejsce na cud... Gdyby spojrzała nań jak ongiś, gdyby podawnemu wyszeptała jego imię...

Przez jej twarz już przebiegały cienie złych uśmiechów.

— Zdaje mi się, że znowu zaczynam ci się podobać? Bardzo mi to pochlebia.

— Zmieniłaś się ogromnie, chyba ciężko ci dźwigać tę szlachetną maskę?

— Kwestja przyzwyczajenia, z początku rzeczywiście trochę mi to dolegało.

— Poco ci te komedje? Nikogo nie oszukasz.

— Oho! Gdyby mi się chciało, zwiodłabym nawet ciebie.

— Nie przypuszczam, zbyt wiele o tobie wiem, taka jak ty nie zdoła już żyć bez świństwa. Tak samo jak ja bez wódki.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza, umiałabym ja uwikłać i ciebie, wybaczyłbyś mi wszystko. Bo ja rzuciłam do djabła moje brudy i drobne świństewka, teraz idę tylko na stylowe świństwa i bardzo grube afery, stąd cala moja zewnętrzna przemiana. Gdybyś wiedział z jakimi ludźmi mam teraz do czynienia, jakie sprawy przechodzą przez moje ręce... Co za sztuki wyprawiam... Muszę więc wzbudzać zaufanie i wyglądać uczciwie, a mój poprzedni rynsztokowy powab odmieniłam na urok kobiety czystej i bezinteresownej.

— I pomyśleć, że to wszystko za pieniądze... Za pieniądze...

— Tak, pieniędzy mam dosyć. Mogę ci zaraz pożyczyć pięćset marek, tysiąc marek...

— Greto, czemu nie mówisz — franków?

— Aha, chcesz tysiąc we frankach szwajcarskich, masz rację, będzie to grubo więcej...

— Nie, Greto, mówię o frankach francuskich, w których bierzesz od Francuzów twój judaszowy żołd szpiegowski.

Pod jego wytrwałem, smutnem, znużonem spojrzeniem rychło starła się z jej twarzy duma, wyniosłość, obraza. Wybuchła wściekłością, z dostojnej pani wyjrzała, zdradziła się szczwana łajdaczka. Przyłapana broniła się bezczelnością, obelgami, potokiem paskudnych słów, pogróżkami, groziła wręcz... Von Senden nie odrywał od niej oczu, patrzał na nią badawczo, spokojnie.

—...Aha!... Sprzymierzyłeś się przeciwko mnie z tym Helmem, a wiesz kto on jest? Ty łajdaku, ty zidjociały pijanico! Niedługo się dowiesz, tymczasem wierz mu, co łże na mnie ze strachu... To chyba razem z nim szpiegujecie dla Francuzów, ale ja was obu trzymam w garści... Ja was nie puszczę! Ty śmiesz mnie oskarżać? Wiedz, nędzniku, że moje władze, że generał von Sittenfeld, szef kontrwywiadu, że nasz generalny dyrektor policji politycznej wiedzą o każdym moim kroku, o każdej mojej rozmowie z każdym Francuzem. Ja służę wiernie ojczyźnie, ja igram życiem, ja nadstawiam głowy niegorzej niż żołnierz na froncie... Czy ty wiesz ile trudu i niebezpieczeństwa kosztowało mnie zanim wykryłam, że twój kompan od butelki Helm jest szpiegiem? Czy wiesz, że to zbrodniarz, który wykradał nasze tajemnice produkcji gazów? Czy wiesz, że on spokojnie, metodycznie zatruwał starego Wagera aż go zgładził, bo i poto również był tu nasłany, a tymczasem uwodził Ritę, która wreszcie utopiła się przez niego? Wierzysz temu bezecnemu łajdakowi, boście się pokumali przy kieliszku! Ty nędzarzu, ty wstrętna zapijaczona mordo...

Von Senden wciąż na nią patrzał i słuchał, chwytając jeno dźwięki słów a nie rozumiejąc już ich znaczenia, nie dochodziły doń ani obelgi, ani wyzwiska, ani pogróżki. W głowie czuł pustkę, co chwila zalewała ją przeraźliwa jasność i co chwila gasła, pogrążając go w ciemnościach, jak w pomroce głębokiego snu. Prawa ręka grzebała niespokojnie, odruchowo w kieszeni płaszcza, naprzemian ujmując za coś mocnym kurczowym chwytem i puszczając

to, chwytając i puszczając. Nie wiedział o tem. Nic wiedział poco tu wysiaduje, poco patrzy tak uporczywie w rozwścieczone, rozełgane oczy Grety. Wiedział jedno, że nadchodzi koniec na nią, na niego i na wojnę — na wszystko, co było, jest i będzie. W nieprzeniknionej ciemności utonie blask letniego dnia, zieleń tych drzew i świetne purpurowe, białe, żółte róże, pławiące się w słońcu...

— Najlepiej strzel sobie w łeb, bo szkoda uczciwego nazwiska, które i ja noszę... Szkoda twojej sławy bojowej... Wówczas dam spokój twej pamięci, nie wywlokę twoich konszachtów z tak zwanym Helmem, przemilczę, co o tobie wiem...

— Rada jest dobra, dziękuję ci...

— Nie pora na żarty! Czy myślisz, że ja się cofnę przed czemkolwiek bądź? Von Senden, ty mi przeszkadzasz, rozumiesz? Ręka w kieszeni nie mogła już wypuścić mausera — trzymała się go kurczowo, a wielki palec igrał z bezpiecznikiem, szybko odmykał go i zastawiał.

Był to stary, nieodłączny druh w latach chwały bojowej i w czarnych dniach poniżenia i upadku. Ratował go w zamęcie ataku — ileż razy — gdy obskoczony dokoła i wzywany do poddania się, bił prosto we łby, ostatni nabój z magazynu zostawiając dla siebie... Z niego to przez litość ludzką dostrzeliwał nieraz rannego, który go o to błagał, Francuza, Anglika, Niemca, poniewierających się na pobojowisku z oberwanemi nogami, z wywalonemi wnętrznościami... Z niego to dla dyscypliny i z obowiązku służby, gdy żołnierz zawahał się w ataku, przyzostawał

wtyle i oszalały ze strachu nie słuchał i nie słyszał już rozkazu — walił wprost między nieszczęsne, obłąkane oczy... Ładował go tylko dwoma nabojami dla niej i dla siebie w ową noc, gdy ta sama Greta wyznała mu swoją zdradę i błagała o przebaczenie... Nosił go przy sobie zawsze i wszędzie, z nim pił, z nim wracał do domu w późne, straszne noce z głową pełną wódki i rozpaczy... Ileż razy dobywał go z kieszeni i chwiejącą się, pijaną ręką, zataczając się pod ściany lub leżąc w błocie osamotniony i nieszczęsny pośród ciemnej ulicy, próbował zdobyć wieczny spokój i wymierzyć sobie karę i sprawiedliwość...

Greta zamilkła, wstała i rzuciła mu wyniośle i wzgardliwie przez ramię:

— Ale pośpiesz się, nie namyślaj się za długo, bo prosto stąd idę do komendantury policji wojskowej...

Von Senden wydarł się ze swych ciężkich, mętnych myśli i spojrzał na nią zdumiony.

— Jakto? Więc ty się spodziewasz, biedna Greto, że wyjdziesz żywa z tego parku?

Ogromny, ciężki granitowy grobowiec rodziny Wagerów stał rozwarty, gotowy na przyjęcie zwłok największej chluby rodu. Z czarnej czeluści nie witały go trumny najbliższych, którzy odeszli byli przed nim, albowiem szczątki ziemskie Kurta, Rity i jej męża, barona von Tebben-Gerth, wojna rozniosła i zagubiła po przestworach świata.

Pierwszy głos z pośród mówców, którzy w czarnej

gromadzie czekali swojej kolei, ceremonjał żałobny oddał jak przystało słudze Bożemu. Podpułkownik duszpasterstwa polowego armji, ksiądz prałat Bölkow, nawiązał do słów pisma w księdze Ezechiela:

— Rozpraw dom twój, albowiem umrzesz a żyć nie będziesz!...

Rozpamiętywał długi, pracowity żywot genjalnego uczonego, który roznosił chwałę imienia niemieckiego po wszej ziemi, a choć był kapłanem czystej wiedzy, jego wiekopomne odkrycia wzbogaciły cały naród, dały pracę i dobrobyt setkom tysięcy robotników... Zaprawdę ten nie stracił na marne ani jednego swego dnia i wyzyskał żywot swój cały, albowiem wiedział zawczasu jako chrześcijanin i mędrzec, że i on umrze... Był uczonym, a więc człowiekiem pokój miłującym, ale gdy niecnotliwość wrogów narzuciła nam wojnę, natychmiast poświęcił się jej i cały swój genjusz oddał na usługi obrony ojczyzny. Wojna, okrutna dla narodu, była okrutną i dla niego jako dla człowieka i dla ojca miłującego, zabrała mu jedynego syna, który padł na polu chwały, i jedyną córkę, gdyż ta nie mogła przeboleć i przeżyć straty ukochanego małżonka, dzielnego żołnierza, którego pochłonęło morze. Ale straszliwe ciosy wojny nie odebrały mu odwagi w walce o zwycięstwo, nie osłabiły jego sił twórczych.

— Odchodzi od nas mąż znakomity przez zasługę i sławę, oraz przez to, że słuchał głosu Pana, który ostrzega nas śmiertelnych, byśmy pamiętali o ostatniej godzinie i rządzili mądrze a rzetelnie sprawami naszego ziemskiego żywota. To też Bóg natchnął go genjuszem, Bóg kierował

jego pracą zarówno w czas pokoju jak w czas wojny i gdy nad tą rozwartą mogiłą wspominamy największy czyn jego życia, który dał ojczyźnie niemieckiej broń tak wspaniałą, wiedzmy, że w onym Żółtym Krzyżu objawił się straszliwy gniew Boga, który porazi i obali wrogów naszych! Pod tym znakiem Pan zastępów da nam zwycięstwo! In hoc signo vinces, Germania!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

XV

O godzinie trzeciej po północy Paryż wyglądał jak pustynia. Po tygodniu ciężkich upałów tej nocy gwałtowna burza nawiedziła miasto. Lał deszcz, zacinał w szyby samochodu i spływał jednolitą, nieprzerwaną strugą, przełamując i zacierając wszystko po drodze. Co chwila uderzał w szyby blask latarni, oślepiał i nie dawał niczego dostrzec i natychmiast ginęło wszystko w mokrym zmroku, i znowu łyskało światło, i znowu świat gasł w ciemnościach. Gdy tylko samochód wynurzył się z bramy Sądu Wojennego, Eva chciwie przywarła twarzą do okna. Nie miała pojęcia, którędy ją wiozą, wolny świat, ten za szybą ociekającą deszczem ukochany jej Paryż odpychał wrogą ponurością, widma pustych ulic, mijanych w pędzie, widma czarnych okien ziały martwotą i grozą. Daremnie szukała czegoś znajomego w czarnej otchłani miasta, było ono już absolutnie obce i niepojęte. To, co widziała naprzemian przemykające się w strzępach blasku i to, co wnet opasywało ją jak morzem ciemności, wyglądało na podobieństwo przerażającego snu, który na tę chwilę wydarł się z niepamięci dalekiego dzieciństwa. Bezbronna i struchlała jak dziecko, marła ze strachu przed okropnością sennego widziadła, oderwała twarz od szyby, mocno zacisnęła powieki, lada chwila trysną łzy, zaniesie się w spazmie dziecięcego płaczu.

Most. Wdole ściele się czarna otchłań Sekwany. Eva czuje na sobie posępne, kamienne spojrzenia cudaków i

potworów, które obsiadły oba szczyty Notre Dame. Niewidzialne chimery, ukryte na wyżynie w ciemnościach, patrzą na nią, przez czary czarnej magji gotyckiej one już wiedzą...

Co wiedzą? Na miłosierdzie boskie!...

Gdzież jest człowiek dobry, który ją zbudzi i oderwie od zmory? I natychmiast na zawołanie zjawiają się dwaj ludzie, siedzą tuż przed nią, niemal stykają się z nią kolanami, w przebłyskach latarń ukazują się co chwila ich twarze z kamienia, znudzone i senne, pełne martwego okrucieństwa. Tuż obok siebie, po lewej stronie, czuje jeszcze jednego człowieka, ale nie odważy się nań spojrzeć. Wśród snu o pustyni, zalanej deszczem, przelatującej za oknem, i to jest snem — jeszcze straszniejszym. Ulękła się tych ludzi — gdzie oni ją wiozą?

Samochód gnał i porykiwał gniewnie, nagle zazgrzytały hamulce, dwaj żandarmi targnęli się na przedniem siedzeniu — zaroiło się od ludzi, zakapturzone olbrzymy dźwigają całe ćwierci wołów, wszędzie wozy, stosy jarzyn, tuż za szybą olbrzymie koło wozu, olbrzymi perszeron cofa się, napiera zadem na wóz, czarny człowiek z krzykiem targa go za uzdę, krzyczy szofer, ale chłopcy z gazetami zagłuszają wszystko swoim wrzaskiem, z obu stron czepiają się stopni samochodu.

— Edition spéciale!

— Une grandę espionne allemande condamnée à mort!.

— Edition speciale! Eva Evard!. Eva Evard!.

— Eva Evard!.

To o niej tak krzyczą. Samochód, trąbiąc na alarm,

przepycha się przez wozy, stłoczone wpobliżu Hal Centralnych, wreszcie wybrnął z zatoru, szarpnął i pchnął się naprzód całym pędem. Eva zbudziła się z odrętwienia, przeszyło ją jasnością i zimnem, a wszystko w niej i dookoła stało się naraz rzeczywistością. Skazali ją. I na tem koniec — śmierć.

Jak mogła zgubić o tem wszelkie pojęcie?

Maître Lourthier przez cały dzień od rana aż do północy swym męskim głębokim głosem niezmordowanie i bez litości wydzierał kartę za kartą z grubego aktu oskarżenia, tak że pod koniec została z niego tylko kupa strzępów. A gdy zagrzmiały jak fanfara tryumfu jego ostatnie wspaniałe słowa, przygotowane na sam koniec, zdarte śmiecie głupich sądowych szpargałów rozleciały się we wszystkie strony od potęgi nieodpartych słów i zasłały jak śnieg podłogę wzdłuż i wszerz całej pustej i ponurej, źle oświetlonej sali. Nienawistne twarze sędziów z godziny na godzinę zasępiały się, mieniły się, głupiały, truchlały. Okrutny, zawzięty, ongiś tak pewny siebie prokurator-komisarz rządu, wielki, otyły podpułkownik, nieznacznie, ale bez przerwy w ciągu tego dnia kulił się, chudł i malał, a jego argumenty, wypady, zaskoczenia, gromy straszliwe i paragrafy odpadały od zrębu oskarżenia i unosiły się w powietrzu jak nędzny pył od wichru, który maître Lourthier wzniecał rozmachem rękawów swojej adwokackiej togi. Sam finał trwał około dwóch godzin i był druzgocący a zarazem podniosły. Maître Lourthier — kaznodzieja. Maître Lourthier — prorok.

Wobec takiego tryumfu zrzekła się swego ostatniego słowa, albowiem w tej mowie wszystko było powiedziane i wszystko przewidziane. Prokurator natychmiast umknął bocznemi drzwiczkami na lewo i skrył się w jakiejś norze, sąd w pohańbieniu i w popłochu pchał się do drzwi na prawo. Na sali został maître Lourthier, czerwony, spocony, dyszący tryumfem, czterech żandarmów i ona — wówczas po raz pierwszy od początku rozprawy zdołała się uśmiechnąć.

...Po dwóch godzinach sąd z powrotem wkraczał na salę, ujrzała w twarzy obrońcy śmiertelną bladość, przeszył ją zimny dreszcz...

Mknie samochód, jakże się z nią śpieszą! Nadchodzi przedostatnia, nadchodzi i już przemija ostatnia chwila, gdy jeszcze, jeszcze — możliwy był cud... Czaił się po drodze w tysiącu postaci, które przelatywały, rozwijając się z przejmującym szelestem z niewyczerpanej taśmy, tryskała światłem kabina mózgu, ale snop świateł i cieni gubił się w nieskończoności mroku i puszczał wszystko na marne.

Spisek zaprzysiężonych przyjaciół... Odruch żywiołowej sprawiedliwości jakiegoś fantastycznego tłumu, który ją zna, podziwia ją i kocha... Wypadnie z bocznej uliczki, zajedzie im drogę czarna limuzyna bez świateł, zamaskowani ludzie...

— Prędzej! Na Boga, prędzej... Bo oto już, już... Ach, przecie to Dworzec Wschodni!

Samochód zwalnia, przystaje. Po obu stronach szerokiego bulwaru, na jezdni, na chodnikach zaprzężone

działa, jaszcze. Natłok czarnych koni, zlanych deszczem, czarno połyskujących armat, zamęt ludzi w ociekających hełmach, gwar, kłótnie i klątwy, okrzyki i komendy. Wszak to jeszcze ta sama wojna, która idzie swoją koleją i wciąż trwa — amerykańska artylerja ładuje się na pociągi.

Samochód, nie mogąc zawrócić w wąskim, wolnym przesmyku, cofa się, sapie i prycha, idzie wstecz, wciąż o coś zaczepia, przystaje, czarni ludzie przylepiają twarze do szyb i klną jej prosto w oczy w okropnym, niezrozumiałym amerykańskim slang'u. Znowu kameloci, ochrypłe wrzaski.

— Edition spéciale... L'effroyable trahison punie!...

— Conseil de Guerre de cette nuit...

— „La Presse", „Presse", „Presse", „Presse"!.. Edition spéciale! Eva Evard condamnée...

— „Echo"! „Echo de Paris"! „Echo"! „Echo"!... Edition spéciale!...

— Une sale espionne boche, Eva Evard condamnée à mort!...

Samochód cofa się, wydostaje się z nawały wojsk i wreszcie zawraca, skręca na prawo w nieznaną uliczkę, jeszcze raz na prawo i oto ślepy mur więzienia, koniec podróży. Nie będzie cudu.

Ale syrena napróżno trąbi i chrapie — niema dostępu. Przez całą szerokość ulicy St. Denis stoją olbrzymie wozy Czerwonego Krzyża, sparkowane w dwa szeregi. Wszędzie roi się od żołnierzy, stoją zwartą masą pod domami, kryją się od deszczu we wnękach bram, na chodnikach karabiny złożone w kozły. Żołnierze biją pięściami i kolbami w bramy domów, dobijają się do jedynego „bistro", już lecą

szyby... Klną, krzyczą, śpiewają. Tuż obok pijane głosy zawodzą, wyciągają tęsknie:

Eve I hang myself on the mapie green,
Into th' Ottawa a maple bough I'll fling...

Nie poznawała mundurów i oznak, ale poznała piosenkę — zdumiewający traf, toż to kanadyjska piechota! I serce zamiera w oczekiwaniu cudu.

...And the bough will swim down to Ottawa town,
And in Ottawa town it will drift ashore...

Oficer konwojujący rzuca rozkaz. Spojrzała nań po raz pierwszy, ale i teraz ta twarz kryje się przed nią w cieniu. Żandarm siedzący przy szoferze ogląda się, wygrzebuje się i wreszcie wyłazi. Znowu twarze przy szybie, śmiechy, samochód oblężony przez żołnierzy.

..Where my sweetheart sits by the riverside,
Waiting for good news 'bout our wedding-day.

Eva zdejmuje kapelusz, rozchyla okrycie, przechyla się do samej szyby i patrzy, patrzy... W oknie wygląda jak obraz w ramie, czyż jej nikt nie poznaje? Jednej sekundy starczy, żeby spuścić szybę i zawołać wprost w zapatrzone twarze:

— To ja, Eva Evard! Wasza rodaczka! Jestem niewinna! Jestem skrzywdzona! Francuzi wiozą mnie na śmierć — ratujcie mnie!

Kanadyjscy żołnierze patrzą olśnieni w tragiczne,

przepaściste oczy. Straszne oczy błagają, nakazują. Tylko cienka szklana tafla dzieli ich od nadspodziewanego zjawiska tej urody, niepojętego jak cud. Jedna myśl, przypomnienie, jedno mgnienie oka dzieli ich od przeniknięcia tajemnicy... Stoją zapatrzeni, zaczarowani urokiem.

— To ja! Ta sama! Wasza ubóstwiana Eva! Eva Evard, gwiazda świata!... To ja — chwała Kanady... Ileż razy każdy z was patrzał na mnie i wówczas mną tylko żył... Nieprawdaż? Który z was mnie nie kochał?... Wybawcie mnie! Ratujcież mnie!

Pod jej wejrzeniem w twarzach żołnierskich przebija się poprzez zachwyt i krzepnie skupienie myśli. Zgadują... Eva Evard, mistrzyni niemej sztuki, nie potrzebuje słów, umie całą duszę własną wywołać najaw, w jednem spojrzeniu, w jednym uśmiechu, w jednym ruchu ręki — każdy ją zrozumie. Żołnierze za szybą stoją zapatrzeni.

Nagle zgasły latarnie, świat odmienił się, w szarym zmroku stał się ponury i beznadziejnie wrogi. Rozpacz...

Przez wywalone okno do „bistro“ pchają się żołnierze, już po ulicy krążą z rąk do rąk butelki, wśród tryumfalnych wrzasków po chodniku toczy się baryłka, za nią druga i trzecia. Z ambulansów wyłażą francuscy sanitarjusze z czerwonemi krzyżami na rękawach i wnet cała ich gromada rozpycha się w tłumie pod „bistro“, Francuzi porywają baryłkę — bijatyka, Kanadyjczycy walą potężnie, już trzech łapiduchów leży w błocie, reszta uciekła. Ale jej żołnierze stoją wiernie, żaden się nawet nie odwróci na zgiełk i gwałt w stronę, gdzie naumór idzie pijatyka.

...Żandarm już wrócił, ale nie może się przepchać przez żołnierzy, którzy i z drugiej strony oblepili okna samochodu... Teraz waży się wszystko. Teraz trzeba śmiało. Evo Evard — nie trać ani jednej chwili!

Głowa żandarma w oknie, oficer spuszcza szybę.

— Rien à faire, mon lieutenant — nie dojedziemy... Wjazd zawalony bagażem, workami... W bramie ludzie leżą pokotem jak bydło, śpią... Niema jak się z nimi dogadać... Nigdzie oficera....

— Rien à faire... Madame, wysiadać! Ale prędko! No! Ruch!

W tych paru słowach wypowiedziała się tępa, chamska brutalność, jakiej Eva jeszcze nie zaznała. Porwał ją gniew, opanowany w zimnej, zawziętej nienawiści. Jak w natchnieniu łysnęła w mózgu decyzja.

Gdy wysiadała, spostrzegła w szaleństwie radości znajome twarze swoich czterech przyjaciół, którzy już zaszli z tej strony samochodu i patrzyli w nią uporczywie w jakiemś jasnowidzącem niedowiary porozumieniu.

...Wszystko jak sen! Deszcz zacinający bokiem, ten ponury świt pod murem więziennym... Lśniące płaskie hełmy, grube przemokłe płaszcze... Parne ciężkie powietrze, zapach żelaza i rzemieni, zgiełk żołnierstwa, ciasnota zatłoczonej ulicy... Od dworca Wschodniego, który był tuż, od pobliskiego dworca Północnego sygnały parowozów porykują, prześcigając się nawzajem, są to naglące wezwania do fantastycznej podróży — ucieczki w niezmierzony, wolny świat... I przemokłe resztki afiszów i obwieszczeń, zwisające w strzępach z muru więzienia... I

straszliwie niedaleka sina żelazna brama... I ta chwila, która nie da się opamiętać i nadlatuje z szalonym rozpędem — oto jest!

Wszystko jak sen...

Ani krzyk, ani najsroższe miny porucznika nie działają na tych żołnierzy, każdy z nich o głowę przerasta oficera i jego żandarmów, nie ustępują z drogi, coraz ich więcej, coraz to ciaśniej.

Nuże, Evo! Zaczynaj! Nie trać jedynej chwili...

Jeden z olbrzymów okazuje potężne zęby w uśmiechu szerokiej gęby, zagorzałej od słońca i wichrów, przedziwnie miłej w swej brzydocie. On pierwszy zagadał.

— Gdy człowiek na ciebie patrzy, to niepodobna dać wiary... Tyś służyła Niemcom?! Evo Evard, gadaj prawdę, przysięgnij!

— Przysięgam! To zbrodnia! To nikczemna intryga! Jestem niewinna!

— Tak powiadasz?

— Prawdę mówię!

— Więc cię uwolnią...

— Ha — ha!... Mnie uwolnią?! A dziś, tej nocy właśnie skazali mnie na śmierć! Bez dowodów! Bez cienia winy! Na śmierć!

— Na śmierć?! Co powiadasz? Jakto! Śmierć?!

— Tak jest! Śmierć! Obrońcie mnie! Żołnierze z Kanady! Ratujcie waszą Evę! Nie dajcie mnie zamordować!

Kanadyjczycy poglądali po sobie w milczeniu, jeden zaklął, drugi przechylił się nabok ku porucznikowi, który szarpał się i awanturował, i jednem pchnięciem ramienia

jakby odniechccnia odtrącił go, aż oficer zatoczył się o kilka kroków i całem ciałem ciężko grzmotnął o mur. Tam zajęli się nim inni i odgrodzili go od żandarmów i od samochodu. Odebrali mu rewolwer, urągali mu w żywe oczy, napróżno wściekał się, i miotał, i krzyczał.

— Trzymać ją!!

Żandarmi mocno, do bólu chwycili Evę pod ramiona, wachmistrz pchał się, napierał na żołnierzy i, rzuciwszy swego oficera na pastwę losu, usiłował utorować sobie drogę do bramy. Nie mógł ruszyć z miejsca. Wówczas szczwany wachmistrz bez namysłu zawrócił żandarmów z Evą z powrotem do samochodu. Ale i tu murem stali żołnierze — w tej grupie rozprawiano zawzięcie, czterej znajomi toczyli szybką cichą naradę...

— O Boże miłosierny, spraw cud! Ty wszechwiedzący, który znasz prawdę...

Wachmistrz zdołał w tłoku ukradkiem wydobyć rewolwer, zdołał jeszcze dać dwa strzały na alarm, w nadziei, że sprowadzi to nareszcie jakiego kanadyjskiego oficera. Już leżał w błocie, obaj jego żandarmi, podawani z rąk do rąk, zataczali się i nurkowali w ścisku, skuleni, osłaniając się od kuksańców i kopniaków, które sypały się na nich ze wszystkich stron.

Czterej wybawcy prowadzili Evę, torując jej drogę wśród ciżby, szybko wydobyli się na wolną przestrzeń i przystanęli z nią za rogiem najbliższej przecznicy.

— No, Evo Evard, dalej radź sobie sama.

— Boże cię wspomagaj, śliczna pani, my już dla ciebie nic nie możemy więcej zrobić.

— Nie znamy miasta, nie znamy języka...

— A i względem tego, że nie możemy w tym wypadku zdezerterować...

— Choćby co, to nas wnet wyłapią w tem mieście. W Paryżu nie to co u nas w Atabasca czy w Assiniboia...

— A masz przy sobie pieniądze?

— Nic nie mam, zabrali mi wszystko w więzieniu.

— No, chłopcy, wyładuj jeden z drugim co tam masz przy duszy! Żywo! A ty, pani, nie bój się, nadstaw swoje piękne rączki, nie będzie tego tak zanadto wiele...

Wtykali jej — funty, dolary, franki w papierkach, w srebrze, w bilonie. Patrzyli poczciwie, figlarnie, wesoło odwalając ten byczy kawał. Dawali jej dobre rady.

— Niech się pani skryje w jaką mysią norę i nie wyłazić na świat aż do końca wojny. Panią każdy na ulicy pozna, wezmą i złapią! Rozumie pani?

— Rozumiem!

— Ma pani gdzie taką dziurę?

— Znajdę!

— Ma tu pani pewnych ludzi?

— Jednego wystarczy! Najlepiej żeby taki co wie był sam jeden jedyny...

— Albo jaka baba morowa, co to słowa nie piśnie choćby ją krajali...

— No, dosyć na dziś! Chłopcy, odmarsz!

— Jakże ja się wam wywdzięczę, dobrzy, dzielni ludzie... Niechże Bóg...

— Niema za co... Niema za co...

— Nie płacz, szkoda pięknych oczu...

— Jeżeli ocaleję, napiszcież do mnie, żebym wiedziała, komu winnam życie! Zaraz po wojnie we wszystkich gazetach Kanady ogłoszę gdzie będę... Chcę wam się wywdzięczyć... Napiszecie?

— Napiszemy! Napiszemy, jak wyjdziemy cało z tej wojny...

— Byleśmy nie trzaśli kopytami — napewno damy znać!

Zza węgla ozwała się trąbka, po trzykroć przegrała sygnał wesoło, dziarsko, rozgłośnie.

— Chłopcy! Zbiórka!

— Uciekaj pani! Wal! Nie czekaj!

— Trzymaj się, Evo Evard!

— Nie daj się!

Żołnierze ruszyli biegiem i znikli za rogiem, Eva poszła szybko wzdłuż mrocznej, pustej ulicy. Byle dalej od tego miejsca... Boże, daj pół godziny czasu...

Rozkosz wolności, błogość istnienia co chwila rwał i niszczył strach przed pościgiem. I co chwila coś ją ostrzegało, by nie dawała wiary wszystkiemu, co się z nią działo przed bramą więzienia. Gdzież jest prawda?

Jak we śnie plączą się pod nią nogi i więzną w czemś lepkiem, jakgdyby chodnik był nie z tafli betonowych, lecz z rozrobionej gliny, napróżno wysila się, żeby uciec jaknajprędzej z tej strasznej pod więziennej ulicy, zatacza się, ślizga się, a choć się strasznie śpieszy, martwe czarne domy, które chce minąć, zdają się stać w miejscu... Jest w niej coś co ją zdradza, jakaś zatajona przekora igra w niej ze śmiertelną grozą położenia. Przystaje przed wystawą nędznej perfumerji i stara się w półmroku poczynającego

się dnia odczytać napisy na pudełkach i flakonkach..

Prędzej! Prędzej! Odrywa się i biegnie, bot się obejrzeć za siebie, biegnie, gwałtownie traci siły — jeszcze kilka kroków i schroni się, przycupnie przed pościgiem jak obłąkana w zamkniętej bramie domu w płytkiej wnęce, gdzie niema żadnego ukrycia. Wie, że to nanic, ale boi się wybiec, nawet wychylić głowę i spojrzeć w ulicę. Wie, iż się gubi, że lada chwila zaalarmowana policja na motocyklach, na samochodach ze wszystkich komisarjatów Paryża zwali się całą obławą i osaczy dzielnicę St. Lazarc, wie, że jest już w sieci, a mimo to przystaje, dobywa z torebki lusterko...

Otrząsa się z obłędu, ciska lusterkiem o ścianę domu i wypada z bramy na ulicę. Po kilkunastu krokach staje jak wryta, spostrzega, że biegnie z powrotem w stronę więzienia. Zawraca i zlana polem, z zamętem w głowie pędzi, a modna wąska suknia nie da rozpuścić kroku, pęta ją w biegu jak w kajdanach...

Zbacza w pierwszą ulicę, patrzy na tabliczkę — rue Martel, zbacza w następną — rue des Petiles Ecuries, a dalej rue Richer, rue de Provence... Gdzie teraz? W prawo? Na lewo? Poprzez deszcz i mgłę widzi straszną zjawę — dwóch zakapturzonych policjantów na rowerach wysuwa się z poprzecznej ulicy — nie widzą jej, znikają...

To ją otrzeźwiło. Zbiera myśli — gdzież się podziać? Przesuwają się ulice, adresy, odmęt ludzi, wszyscy się jej wyrzekli i zarzekli. Przeklęte wyższe towarzystwo, domy dygnitarskie, salony polityczne i artystyczne... Tam na próg jej nie puszczą, oddadzą w ręce policji podłą zbrodniarkę,

agentkę niemiecką, nawet jeżeli ktoś z nich wierzy jeszcze w jej niewinność, ten gdy ją ujrzy, odżegna się od niej jak od upiora i ze strachu sam przed nią ucieknie z własnego domu. Jeden poczciwy schorzały senator Guillet-Goudon możeby ją nawet ukrył i przechował, cóż kiedy jak ją zobaczy, to z tego strachu poprostu zachłyśnie się i umrze.

A ten inny, stary jej świat, poeci, malarze, aktorzy filmowi, ich żony, kochanki, modelki? Cyganerja z Montparnassu, ci z Lilas, z Café du Dôme, z La Rotonde, z Lavenue? Nocne marki z lokalów i szynków Montmartru, pierwszoplanowi autorzy rewelacyjnych nowości i manifestów literackich, Salonu Niezależnych oraz balów des Quat'z'Arts? Chodzić o zmroku i próbować, pytać po wszystkich pracowniach na Campagne Première, na Huyghens, na Delambre, na Grande Chaumière? Przecież ona nie może się pokazać w żadnej kawiarni... Gdzie ich teraz szukać po tylu latach? Została jedna Yvonne Arbey, wierna i pewna, bo ta drwi sobie ze wszystkiego, taby ją przyjęła i ukryła, gdyby nawet wierzyła, że ratuje agentkę niemiecką. Ale Yvonne jest osóbką lekką i strasznie gadatliwą, zwłaszcza gdy się upije, co jej się zdarza czasami — czasami, czyli codzień, ta zresztą z samego snobizmu i ze zwyczajnej babskiej próżności szeptałaby każdemu pod największym sekretem...

A musi, pod grozą śmierci musi znaleźć natychmiast jakiś kąt bodaj na jedną dobę, choćby na kilka godzin, żeby odpocząć i opamiętać się, zebrać myśli i postanowić co począć dalej. Była zmordowana tym czwartym zkolei dniem sądu, była zdruzgotana wyrokiem, a teraz

bezprzykładna, fantastyczna łaska wybawienia wyczerpała ostatnią resztkę jej sił. Chwiała się na nogach, w głowie miała pustkę a w pustce kołował wir niepotrzebnych myśli, wspomnień, odmęt bałamutnych obrazów bez żadnego sensu.

Szła i szła, zbaczała w coraz to inne ulice, nie zważając kędy idzie. Gdzieniegdzie spotykała ludzi samotnych, już śpieszących do swojej wczesnej pracy, zaturkotał wóz piekarski, roznosicielka mleka stukała po bruku sabotami, dzwoniła pękami butelek. Biegały za żerem szczury między kubłami i blaszanemi skrzyniami, które wystawiono już przed każdą bramą. Tu i owdzie obdarty nędzarz z workiem na plecach już grzebie w śmieciach... Rozjaśniało się, deszcz ustał.

Eva wsparła się o mur i odpoczywała, dysząc ciężko. Wszystko przepadło, cud wybawienia poszedł na marne. Nietylko nie wiedziała gdzie się podziać, ale nie mogła dalej postąpić kroku, tu już zostanie, wnet ją pochwycą na tej nieznanej ulicy — nędzny koniec... Koniec i kres, gdyż owładła nią zabójcza leniwa obojętność na własny los. Jej fatum nie da się oszukać żadnym wybiegiem, poco się dręczyć? Odwlec na parę godzin, na parę dni to co i tak musi się wypełnić? W wyobraźni jakgdyby poza nią mnożyły się nieprzeliczone możliwości ratunku, przebiegały setki, tysiące epizodów, walcząc ze sobą o lepsze, licytując się zawzięcie — chaos obrazów, a wszystkie jasne, zupełnie realne i niezawodne, zdumiewała ich prostota. A zdaleka już kusiła opowieść o szczęśliwych, spokojnych czasach po wojnie, gdy wyjdzie najaw

pohańbiona prawda i przywróconą budzie cześć Evy Evard.

Napróżno uśmiechała się wizja dobrej przyszłości, Evie zdawało się, że w jej życiu dawno przeminęło już i to, tak, uratowała się, przeczekała wojnę w ukryciu, przeżyła rozgłośną na cały świat i na wieki niezatartą w czasach sprawę swej rehabilitacji. Z powrotem stała się bożyszczem wszystkich narodów kuli ziemskiej i znowu odegrała mnóstwo filmów... Minęły lata, teraz jest starą, bardzo starą, dawno zgasły uroda i sława i sama chęć do życia i oto stoi nad grobem — jakże śmiesznem byłoby żałować życia, tęsknić za chimerą ponownego bytu...

Usypiała, w nieprzemożonym bezwładzie dawała się osnuwać najsubtelniejszej przędzy, roztapiało się w niewiedzy jej utrudzenie, przesłoniły się strachy i zmory. Po kilku minutach, może po paru sekundach ocknęła się i odrazu jak w ostrem świetle ogarnęła całą okropną rzeczywistość. Nie ulękła się, poznała w sobie dziką moc i gotowość do walki. Wiedziała, że zwycięży, niebezpieczeństwo czyhające wszędzie bodło wolę, zaciekawiało. Co będzie?

Rozejrzała się na prawo, na lewo i ruszyła śpiesznie, jeszcze nie wiedziała kędy się obróci, nie traciła czasu na rozważania, całą istotą wyczuwała bliskość dzielnicy St. Lazare, oddalić się jaknajprędzej, zaszyć się głęboko w puszczę Paryża... To ją gnało naprzód i naprzód, ale zarazem coś ją prowadziło z ulicy na ulicę, kazało zbaczać, kołować i wracać, była w tem ręka Opatrzności czy podświadomy instynkt, w jej poddaniu się i posłuszeństwie tkwiła wiara, niemal pewność, że w labiryncie ulic znajdzie

dom, gdzie ją przygarną, że spotka na swej pokrętnej drodze niezawodnego przyjaciela, że zajdzie coś niewiadomego, ktoś nieznajomy zastąpi jej drogę, poda rękę, wybawi od śmierci. Wszystko stawało się możliwe, ale odpędzała miraże i pochopne zgadywania wyobraźni, które przebiegały nad nią jak pasma dymu i znikały, dając miejsce wciąż nowym widziadłom, cudacznym, prostym, niewiarogodnym, możebnym.

Otrząsała się z tego, bojąc się przeszkodzić tajemnym siłom, które wzięły ją w opiekę, starała się nie myśleć o niczem, na skrzyżowaniach swoich dróg odwracała oczy, żeby nie spojrzeć na tabliczkę z nazwą ulicy. Pragnęła nie wiedzieć gdzie jest i zabłąkać się w splątanej sieci miasta, w tem cały ratunek, albowiem już raz w życiu zbawiło ją to przed pościgiem gorszych i zajadlejszych od policji morowców z Mont-Rouge, którzy gonili za nią z nożami, żeby ją ukarać za zdradę; puściła się naoślep i już bez sił, bez wiedzy wpadła na schody w nieznajomym domu i na któremś piętrze zastukała do jakichś drzwi. Było to w obrazie „Koniec Cri-Cri, Wilka z Mont-Rouge“, ostatnim z głośnej serji „Czarny Węzeł“.

Czekała natchnienia. Gdzie, na jakiej ulicy, do którego domu zadzwonić? Może to już? Może właśnie tutaj? Ach, nie omylić się... Jak odgadnąć?...

...Pod górę musiała zwolnić kroku — ciężko... to wyglądało na którąś z ulic wiodących na Montmartre. Rue Blanche? Rue de Clichy? Pigalle? Wszystko jedno! Byle prędzej, prędzej!

Światło w narożnej kawiarence, naoścież otwarte drzwi,

w drzwiach wymizerowany garson, siny jak nieboszczyk, wygarnia za próg kupę śmiecia, obrzucił ją zgasłem obojętnem spojrzeniem, ale i ten na jej widok pomruknął coś i niejako się ożywił, w martwej twarzy zajęknęło się coś w rodzaju uśmiechu.

— Aleś zmokła... Napićby się czego, co? Biorąc pod uwagę, że ma się przy duszy tych parę susów...

— Ach, pić! Szklankę wody, na miłosierdzie boskie!

— To można i bez miłosierdzia, ale na tę porę lepiejby coś gorącego, kawa już jest.

— Kawa?! Co za szczęście!

Eva chciwie piła, parząc sobie wargi, wiedziała, że gubi się samochcąc, ale nie mogła opanować pragnienia. Gubi się, bo traci czas, gubi się, bo garson ją zapamięta i gdy niebawem nadlecą łapacze i spytają — a kogóż tu mają pytać jak nie jego — odpowie — tak, dopiero co była taka, piła kawę...

— Jeszcze jedną, prędko!

— Tak ci pilno? Przecie wracasz do siebie z roboty? Interesy podle, co? Chyba jedne te Angliki, Amerykany... Przynajmniej względem tego się przydadzą, bo tak... Niech ich morowa zaraza, zaprzedali nas sk....syny! Na froncie giną sami nasi.

Przyglądał jej się z upodobaniem, pochrząkiwał, podrygiwał, usiłował być dowcipnym.

— Odrazu widać, że się zaznało lepszych czasów... Prawdę rzekłszy, do djabła, szkoda cię na takie życie. Ja ciebie, mała, znam, ale dawno nie bywałaś w naszych stronach, gdzie cię nosiło?

— Wyjeżdżałam...

Stary garson stał nad nią i przyglądał się jej coraz natarczywiej.

— Poczekajże, skąd ja ciebie znam? Pamiętam bardzo dobrze... Poczekajże, byłaś „na stałą“ tutaj w Monico? Nie?

— Nie, ja w tych stronach nie robiłam, ja z Quartier.

— W zakładzie?

— Nie, ja na własną rękę, chodzę nocami po kawiarniach.

— Nie o to idzie. Mnie się widzi, że się koło ciebie obracała jakaś gruba awantura... Jednem słowem, jakieś historje? Stałaś w gazetach — i to nie raz. No, nie?

— Przywidziało ci się, stary. Dajże mi teraz Amer Picon, ale z lodem.

— Lodu już niema, nie wiesz, że to lato? Za jaką godzinę przywiozą, posiedź sobie, pogadamy. Postawię ci Pipermentu z sodą, to prawie starczy za lód. Przyznaj się, nie było cię tu z rok albo i dwa ale ja ciebie pamiętam, oho — takiej się nie zapomni. Nie było cię, bo chyba całkiem poprostu posadzili cię i już. Cóż, w tem niema wstydu, przydarzyło się i tyle. Dawno cię wypuścili?

— Dzisiaj.

To powiedziawszy Eva chwyciła za syfon, napiła się ciepłej wody i zerwała się od stolika, szybko zapłaciła i, nie czekając na resztę, nie słuchając rozgadanego garsona, wybiegła na ulicę. Było pusto, przez ten czas gdy siedziała w kawiarence zmroczyło się, naparły chmury i wśród ciszy miasta zawarczał gdzieś daleki pogrzmot. Wracała burza.

Kawa dała pokrzepienie, parę minut, spędzonych z

poczciwym obcym człowiekiem, na rozmowie o niczem, w dziwny sposób podniosło ją na duchu, przerwał on jej straszliwą samotność. Teraz trzeba było nagwałt uciekać przed nim, oddalić się, zagubić ślad. Kluczyła po zaułkach, kierując się w lewo, wciąż w lewo, na rogach ulic poglądała na tabliczki, ale nic jej nie mówiły żadne nazwy, nie wiedziała gdzie jest. Gdzież się podziała opatrzność, tajemna moc opiekuńcza?

Co chwila oglądała się za siebie, targał nią niepokój, zza każdego rogu ulicy wyzierało niebezpieczeństwo, wszędzie czaiły się zasadzki. Ulękła się samotności i pustki, nigdzie nikogusieńko, tylko ona jedna, nadjadą rowerzyści, odrazu ją zaczepią, odrazu poznają. O ileż łatwiej byłoby zagubić się w tłumie, a ile jeszcze godzin musi się przewlec zanim zaroi się miasto... W tłumie zawsze może się ktoś nadarzyć, który ją pozna i właściwie każdy ją może poznać, ale chyba nikt nie da wiary własnym oczom. Za dnia lepiej zniknąć w tłumie, niż tułać się na bezludziu, nie będzie dolegał ten okropny strach. Ale zanim doczeka dnia...

Iść! Iść! Żadnego myślenia!... Wszystko na potem... Byle jaknajprędzej, byle jaknajdalej... Niespodzianie wyszła na niewielki placyk na skrzyżowaniu kilku uliczek — rue de Moscou, rue de Tourin, rue de Pétrograd — była w tych wszystkich miastach, gdzież ona znajduje się teraz? Umykała z niebezpiecznego rozdroża pierwszą ulicą na lewo, wciąż na lewo. Rue de Bern, bywała i tam — szła dalej. Owionął ją czad węglowy, znalazła się na dziwnym moście zawieszonym nad pustką, wdole tory kolejowe, kilka parowozów dymi zawzięcie. Od szerokiego wiaduktu

w sześć stron świata nakształt gwiazdy rozchodzą się ulice — rue de Londres, rue de Vienne, rue de Madrid...

Ogarnęło ją nagłe zaćmienie, porwała ją zawierucha czasów, utonęła w odmęcie miast, nie wiedziała gdzie jest teraz — jednocześnie była wszędzie. Przymykała i roztwierała oczy w zdumieniu, wszak to co widzi przed sobą to Londyn...

Nie, to Edynburg... Nie, Wiedeń... Prędzej już Berlin... Chicago? Detroit?... Chyba Hamburg. A jeżeli właśnie Paryż? Napewno nie Paryż...

Myliły się lata, podróże, epizody, krajobrazy, wydarzenia, przygody, spotkania, twarze ludzkie prześcigały się nawzajem. Zatraciła się w chaosie spraw przeżytych. Kiedy było to? Kiedy tamto? Gdzie? Wirowała w jej mózgu mapa świata nakrapiana miastami, pokrajana rzekami, siecią linij kolejowych, barwami granic, a wszędzie widziała siebie — bujne życie Evy Evard. Co się działo dawniej? Co później? Co jest teraz? Gdzież ona nieszczęsna znajduje się w tej chwili? Co to za wiadukt?

Lokomotywa przelatująca wdole ryknęła przeraźliwie i znikła, tuman zjadliwego dymu zamącił wszystko przed oczami. Eva zakrztusiła się, gwizd maszyny obudził w niej tajemny strach, niepojęty co do swej przyczyny, potworny, nagi strach, ten który chwyta i dręczy w snach i! zimnym potem zlewa nieszczęsnego człowieka. Z głuchym zdławionym krzykiem Eva usiłowała się obudzić. Chwyciła się rękami za poręcz, głęboko wdole sunęły niezmiernie długie wagony poznaczone na dachach czerwonemi krzyżami. Krzyże uciekały pod wiadukt, było ich

nieprzebrane mnóstwo, ale ona wiedziała, że obudzi się z koszmaru, że zbędzie się strachu dopiero wtedy, gdy przesunie się ostatni. Próbowała je liczyć, ale myliła się wciąż, krzyże zwalniały biegu, ustawały, a strach potęgował się i trząsł nią, trząsł poręczą wiaduktu, za którą trzymała się z całych sił, a wokoło świat dygotał z trwogi. Nareszcie koniec, wybawienie! Ale trzy ostatnie ledwie ledwie wlokące się krzyże zatrzymują się tuż pod nią. Odrywa się od poręczy i ucieka, po kilku krokach strach osadził ją pośrodku wiaduktu. W którą stronę uciekać? Z rozpaczą zbiera rozlatane myśli a strach gnębi serce, przenika zimnem. Ulice rozszczepiają się, jest ich coraz więcej, wieloramienna gwiazda zwolna zaczyna się obracać wkoło niej — to ją zdumiewa, pochłania najzupełniej i strach urywa się nagle jak ból. Osłupiałemi oczyma patrzy na świat kołujący i wreszcie odgaduje wszystko — wybucha śmiechem — toż to dobrze znajomy trick filmowy, sama go wymyśliła, a wszystko co się z nią dzieje to z „Opętanego Miasta“, jestto obraz koszmarny, gdy bohaterka błąka się i miota po Paryżu, uchodząc przed zemstą wrogów!

Odetchnęła z ulgą, gdyż wie, że zaraz wszystko minie, za chwilę bohaterka przeobrazi się, wejdzie w następną rolę i okaże się w postaci wielkiej damy, a tej nikt nie będzie ścigał, ta nie ma najmniejszego powodu do strachu. Nastąpi dalszy ciąg i wypadnie jej być tancerką w „Olimpji“ i pokochać na jedną noc ubogiego garbusa za to właśnie, że go nikt nie chce, a potem zkolei będzie zakonnicą, otoczoną niebiańskiemi wizjami, przez które przedzierają się i dochodzą aż do niej okropności prawdziwego życia.

Zakonnica porzuca swój klasztor, wychodzi na ulicę i wypełnia na sobie ofiarę odkupienia, poddaje się dobrowolnie męce i ohydzie świata.

I tak dalej...

Wreszcie koniec, ostatnie akordy orkiestry, tryskają światła, na widowni ruch i zgiełk, przez tłok tych co wychodzą przepycha się nawała nowych widzów, pryska ułuda i oto prawdziwy świat — ulica.

Eva budzi się — opodal stacja metro z napisem „Europę“ — już wie, gdzie jest, to w pobliżu Gare St. Lazare! Straszne imię zdjęło ją nowem przerażeniem, cofnęła się i uciekała z powrotem. Znowu przez placyk na rozdrożu, upstrzony nazwami wszystkich miast świata, przemknęła się i zboczyła w lewo. W tem miejscu po raz pierwszy poczuła w sobie spokój. Jeszcze nic nie osiągnęła, wisi na włosku, ale wszak dokonała się w jej losie rzecz olbrzymia — reszta należy do niej. Czyżby nadaremno stał się cud? Niepodobieństwo! Myślała o sobie z otuchą, z przenikliwą świadomością, budziła się w niej zawziętość walki... Nie poddawać się opętaniu strachu! Odpędzać złe momenty!...

Nowa ulica szła pod górę, zdawała się prowadzić chyba w kierunku bulwaru Batignolles... Batignolles to już daleko od przeklętej dzielnicy, tam odetchnie, doczeka piątej rano — pierwszego pociągu kolei podziemnej...

Gdzie pojedzie? Prosto do Yvonny, nie ma wyboru, posiedzi u niej do zmroku, prześpi się, coś tam uradzą... Pierwsze poranne pociągi są natłoczone ludźmi pracy, zatroskane to, niewyspane, kto na nią zwróci uwagę? Utonie w ścisku, dojedzie szczęśliwie. Przerazi Yvonnę,

zaklnie ją na wszystkie świętości... Co dalej? O tem nie pora myśleć.

Niepokoiły ją poranne dzienniki z wieścią o ucieczce, nie chciałaby znaleźć się na mieście w tej nie tak dalekiej godzinie, gdy miljony płacht rozsypią się po ulicach, kiedy to każdy przechodzień, zaledwie rzuci okiem w swój egzemplarz, już zacznie się rozglądać i szukać Evy Evard, skazanej tej nocy na śmierć i porwanej z pod samej bramy St. Lazare przez zamaskowanych agentów niemieckich albo przez samego djabła. Niczyje nerwy nie zniosą takiej próby, zdradzi się sama... Chyba że cenzura wojenna utai do czasu rzecz całą, stając w obronie powagi władz wojskowych, a puści wiadomość dopiero wówczas, gdy wielka zbrodniarka zostanie schwytana — prawdopodobnie tak się właśnie stanie.

Stanęła — zadrżała — zawahała się, zdaleka zgóry zjeżdżali dwaj policjanci — cykliści, powiał od nich dech śmierci... Czy już o niej wiedzą?! Zebrała wszystkie siły, bo ktoś nałożył jej na plecy niezmierny ciężar. Dźwigając go szła na ich spotkanie. Wiedzą... Nie, nie wiedzą...

— Cóż to, mała, wystawili cię z budy na taką psią pogodę?

— A gdzie parasol? Podnieśno wyżej kiecki!

Eva w odpowiedzi uśmiechnęła się z zacięciem zawodowej ulicznicy i pokazała im język. Przejechali — nie wiedzą... Ale kiedy skończą objazd, zastaną w swoim komisarjacie alarm i natychmiast przyjdzie im do głowy... Prędzej, prędzej...

Z bocznej uliczki wysunął się jegomość w

wielkoskrzydłej, zmiętoszonej i brudnej panamie, siwobrody, zrudziała peleryna zwisała mu z pleców i wlokła się za nim po ziemi. Człeczyna otarł się o mur, stoczył się na środek jezdni, zawrócił szerokiem kołem na chodnik i popędzany pochyłością podreptał wdół niedołężnym starczym truchcikiem. Chlipał głośno, stękał, coś bełkotał, gadając do siebie. Z opuchłej twarzy upstrzonej ceglastemi plamami sterczał nochal, obnażający w purpurowych gruzłach i sękach bezwstydną demonstrację pijaństwa. Z pomętniałych oczu dwiema strugami spływały łzy i tonęły w skudłanej brudnosiwej brodzie.

Pijak stanął przed nią, wytrzeszczył oczy, rozwarł gębę, peleryna rozpostarła się jak skrzydła na wzniesionych ramionach, w jednem ręku trzymał butelkę, w drugiem zmiętą szmatę gazety. Eva chciała go obejść bokiem, ale stary zastąpił jej drogę. Jego ciemne krzaczaste brwi i zmarszczki na czole były w ciągłym ruchu.

— To ty, Evo?... Jesteś tu?... I to naprawdę? Stoisz przede mną?... We własnej osobie?...

— Pan się myli, proszę mnie przepuścić, ja pana nie znam.

— Żmijo! Ty mnie nie znasz?! Popatrzno lepiej, przyjrzyj się własnemu dziełu, Evo Evard...

Poznała go. Chaudois żyje, jeszcze się nie zapił... Wielbiciel, nieudolny naśladowca i rzekomy przyjaciel Verlaine'a... Odwieczny pijak i typus, pośmiewisko Montmartre'u i Montparnasse'u, tak zwany „le vieux sabot de Verlaine" — przezwisko, którem się chlubił. Czepiał jej się za starych czasów, pisał ody i litanje na jej cześć,

wyprawiał jej awantury publiczne, powielekroć prany przez przyjaciół Evy, obnosił się ze swoją tragedją po wszystkich szynkach i burdelach, wreszcie symulował samobójstwa. Potem, gdy Eva poszła wgórę, napastował ją niezliczonemi listami a czasami zjawiał się osobiście i był wyrzucany za drzwi. Nie widziała go od kilku lat. To spotkanie teraz właśnie wydało jej się nieprawdopodobnie fantastyczne i jakieś złowrogie, choć było oczywiste, że Chaudois od wielu, wielu lat, wojna nie wojna, lato czy zima codzień tak samo o tej porze wraca do swojej nory. — Dlaczego on? Dlaczego nie ktoś inny a właśnie ten tragiczny błazen zaszedł jej drogę?!

Ślepy traf w tej postaci wydał jej się mocno podejrzany, podobne zastarzałe wspomnienia, epizody bez sensu, pokraczne twarze przemykają się w czadzie, w chaosie snów, poprzysięgłaby w tej chwili, że duszny, zadeszczony świt, czarna chmura, od której idą głuche pogrzmoty, trwoga w, sercu i gorączkowy popłoch, spadzista ulica i sam ten Chaudois — byty to sprawy znajome, już raz przeżyte czy przyśnione... Czyż może powtórzyć się na nowo coś podobnego w życiu a nawet we śnie? Nie — spotkanie z Chaudois nie wydaje się prawdopodobne...

— Widzisz płaczę... Czyż może być coś bardziej rozdzierającego serce jak płacz starego, samotnego człowieka?

Qu’as-tu fait, ô toi que voilà
Pleurant sans cesse.

Dis, qu’as-tu fait, toi que voilà
De ta jeunesse?

— Codzień, wracając do siebie nocą czy nad ranem, zlewam łzami rozpaczy bruki tej ulicy... Ale teraz płakałem nad tobą, okrutnico, potworze bez serca, ty najukochańsza na świecie, tragedjo mego zmarnowanego życia, bóstwo ty moje... Skazali cię, o Boże sprawiedliwy, Boże miłosierny... Na śmierć... Na śmierć...

Chaudois zaszlochał, zatrząsł się, stękał i charczał, jego pokraczna maska skuliła się i skurczyła się obrzydliwie, jakoś po błazeńsku cudacznie, Eva zaczynała przypuszczać, że on wszystko udaje. Małpuje sam siebie a w istocie kłamie bezczelnie, on tylko udaje, że jest, bo w istocie niema go chyba wcale. Ale takie przywidzenie jest przecie niepodobieństwem! Zresztą, kto wie...

Nagle zaszeptał jej ktoś prosto w ucho zdyszanym, świszczącym oddechem.

— Uciekaj! Nie trać ani sekundy! Uciekaj! To podstęp!

Odskoczyła wbok na jezdnię, ale widmo Chaudois skoczyło również i zagrodziło jej drogę obu ramionami i szeroko rozpostartą płachtą peleryny.

— Stój, Evo!! Poczekajno jeszcze — skazali cię winną czy niewinną, w to nie wchodzę, bo to głupstwo... Wiesz ty za co zginiesz?... Nie wiesz?! Za moją krzywdę! Nemezis cię dosięgła... Niechże cię do końca ścigają i szarpią Furje... Ty chimero... Ty Salome!... Ty Circe, któraś mnie, poetę, zamieniła w cuchnącą świnię... Nie! Nie ujdziesz mi — poczekajno jeszcze, Evo Evard... Wysłuchasz mnie, te moje

słowa wypalam ci na czole rozpaloncm żelazem!... Te okrutne słowa napisałem, gdy po raz pierwszy poniżyłem się i wyciągnąłem rękę po nędzny datek... Do człowieka, którym pogardzałem... Słuchaj! Musisz wysłuchać!

Comme lui je pleure sans cesse,
Comme lui, suçant de l'absinthe.
Puis, plein de douleur sainte
A l'aube je vais à la messe

Vieux, sale, abject, toujours soûl
Je pleure et chante, tendant ma main —
Deux sous pour un vieux poète!
(Oh, misérable loque humaine...)
Deux sous pour l'héritier d'un roi trépassé,
Pour le vieux sabot de Verlaine...

— Zejdzie mi pan z drogi? Pan jesteś pijany, pan jesteś warjatem...

— Tak, jestem warjatem! Warjatem, i do tego pijanym... Mógłbym cię tu na miejscu zamordować! Ale przebaczam ci w imię Chrystusa — Evo, rozstańmy się w zgodzie — daj mi sto franków...

Na starą twarz wypełzł bezczelny, obleśny uśmiech, ale wnet zgasł, oczy stanęły w słup.

— Poczekaj, Evo Evard!... Jeżeli cię skazali tej nocy... Rzecz szczególna... Więc... Więc co tu robisz o tej porze?!!

— Nic nie robię, bo to nie jestem ja!

— Nie jesteś sobą? Kłamstwo!

— Osoba, o której pan mówi, jeżeli naprawdę została skazaną...

— Fakt! Fakt! Oto gazeta!!

— Dobrze, więc o tej porze ta pani siedzi zamknięta w więzieniu i już. A zatem nie może tu z panem rozmawiać.

— Prawda... Święta prawda...

Stary ruszał gwałtownie brwiami i zmarszczkami na czole, wpatrywał się w Evę i nagle w pijackiej twarzy objawiło się i zastygło śmiertelne przerażenie. Nie spuszczając z niej oczu cofał się, zadrgały mu szczęki, zastukały zęby.

— A... Aa... Zgiń, przepadnij, maro przeklęta! Exorciso te!... Jeszcze raz to samo... Hallucynacje... Matko najświętsza, ratuj!... Znowu delirjum... Po raz trzeci... Tego nikt nie wytrzyma... Kyrie eleyson! Kyrie eleyson! Zdechnę gorzej niż potępieniec... Gorzej niż wściekły pies!

Uciekał z krzykiem, pędził wdół ulicy, gubiąc pokolei pelerynę, panamę, butelkę, gazetę. Eva szła pod górę w ciężkiem zamroczeniu, spływało ono od czarnej chmury, która sunęła na miasto z głuchym pomrukiem, z przebłyskami czerwonych łun. zerwał się zimny wicher, sypnęły kulki gradu i zatańczyły ochoczo po bruku. Zrobiło się ciemno, jakby noc zamierzała powrócić, aby osłonić ją przed ludźmi i dać jej czas. I burza jest bardzo w porę, sprzyjają jej wszystkie żywioły...

Oto plac. Pod daszkiem narożnej kawiarni schroniła się przed burzą garstka ludzi, dwaj robotnicy ze skrzynkami narzędzi, jarzyniarka ze swoim dwukolnym wózkiem, pachnącym cierpko marchwią i pietruszką, śmieciarz z

wypchanym workiem, dwie dziewczyny uliczne. Jakiś stary obdartus w czerwonym szaliku i w sabotach na bosą nogę napróżno usiłował zapalić maleńki szczątek papierosa, oparzył sobie wargi i klął — Eva drgnęła, poznała go natychmiast, jego wspomnienie wydarło się z odmętu czasów i stanęło jak żywe, wydało jej się, że to było wczoraj. Grad już siekł mocno, przenikliwie terkocąc po blaszanym daszku, błysło i natychmiast trząsł pierwszy piorun, jedna z dziewczyn pisnęła cienkim głosem, zieleniarka przeżegnała się porywczo. Eva znalazła się na pustym moście Jéna ze starym w czerwonym szaliku, czas we mgnieniu oka cofnął się wstecz aż do zeszłej jesieni — wieczór, mgła, czarna rzeka... Dopiero teraz zrozumiała, czego jej wówczas zakazywał pijany jarmarczny wróżbita.

Ogarniała ją zgroza. Znowu trzask pioruna. Szerokiemi falami obijają się pogrzmoty o mury miasta, w kawiarni dźwięczą szyby, wśród zamierającego huku peroruje z patosem znajomy głos. Maître Lourthier miażdży nieudolną intrygę i zwycięża sędziów, wyłamuje kraty więzienia, roztwiera przed nią wolny świat, przywraca życie... Zdaleka aż z pod St. Lazare dochodzi odgłos trąbki — czterech kanadyjskich żołnierzy biegnie przez plac zasłany gradem, znikają za rogiem... Pod daszkiem zjawia się policjant, otrzepuje się z kaszy gradowej, zsuwa z głowy kaptur, spojrzy i zaraz ją pozna... Drga pod nogami ziemia, pod ziemią toczy się żelazny huk — piąta rano — to jej zbawienie, pierwszy pociąg!

Wypada na plac, okrąża pomnik, co krok poślizguje się na twardych ziarnach gradu, tuż stacja metro z napisem

„Clichy“... Z otworu schodów wyroił się tłum ludzi, z tłumu sterczą bagnety, pokazują się hełmy, wąsate twarze, białe odznaki żandarmów. Szaleństwo rozbiegartych myśli...

Nie zawahać się! Nie przystanąć! Iść prosto na żandarmów, przepchać się przez nich i schować się pod ziemią, nikt jej nie zaczepi, nie poznają...

Poznają! Uciekać ze wszystkich sił... Nikt jej nic dogoni... Będą strzelać, ale żaden nie trafi... Coraz ciemniej, wraca dobra noc... Biegnie całym pędem, już wie co zrobi, tuż w pobliżu jest cmentarz, skryje się w olbrzymiem mieście grobów, nikt jej nie znajdzie, tam ustaje wszelka władza i przemoc, i ludzkie bezprawie, i ludzkie prawo, umarli przyjmą skazaną na śmierć jak swoją, umarli wezmą ją między siebie, umarli ją osłonią...

Nagle poślizgnęła się w całym rozpędzie i rozbija się o bruk, chce się dźwignąć, ale już jest spętana, nie może się poruszyć — koniec.

Drgają bezsilne ręce, nogi, ogarnia ją sen, ciemność. Jak przez ścianę słyszy stłumione głosy, ktoś ją dźwiga z ziemi — to dobrzy, dobrzy ludzie... Niosą ją, tupocą, szepcą zdyszane oddechy... Dobrzy ludzie ją ratują... Oni ją ukryją, oni jej nie wydadzą...

Ale boi się otworzyć oczy... Czuje na wargach chłodny brzeg szklanki, zapach wina, wypija chciwie parę łyków... Czyjaś ręka głaszcze ją po głowie, przesuwa się pieszczotliwie po spotniałem czole, łzy serdecznego wzruszenia, łzy wdzięczności tryskają z pod zaciśniętych powiek... Szepce — dziękuję, dziękuję — ostrożnie roztwiera oczy...

Rozpływają się w nicości cmentarne drzewa, które jeszcze przed chwilą przemieszały się zielenią gałęzi poza czerwony mur. Przestrzeń ulicy zwarła się w ciasne cztery ściany, powała chmur obniżyła się zdumiewająco, tuż nad jej głową wisi rażące żółte światło. Nic nie rozumie, przymyka i roztwiera oczy...

Dwie zapłakane twarze — madame Pelouse i mademoiselle Tourly, a tam ich dwa łóżka... A to — krata w oknie.

— Pani Evard, kochaneczko... Nie bój się... Uspokój się, nic ci nie będzie...

— Paniusiu złota, napewno cię ułaskawią, to wiadomo, wiadomo... Pan prezydent podpisze, podpisze zaraz jutro, może nawet dziś jeszcze... To pewne, murowane... Jakże może być inaczej? Pan doktór mówił, sam pan dyrektor mówił — pani Le Pailleur słyszała na własne uszy, ona wszystko wie, prawda siostro Melanjo?... Siostro Melanjo?...

— Pani Evard, módl się... Pojednaj się z Bogiem, moja córko... Wszystko jest w ręku Boga...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

XVI

W trzy dni od wyruszenia z zakładu kadrowego w Kolonji Claude po raz pierwszy usłyszał daleki pogrzmot dział.

Jego baon marszowy, przeszkolony, uzbrojony, wyekwipowany, w nowych płaszczach, w nowych butach dołączył do pułku rozłożonego w barakach, namiotach i kwaterach na wpół spalonej wsi jako rezerwa pierwszej linji. Bataljon, skompletowany z ludzi wypoczętych, odpasionych, świetnie zaopatrzonych, dziarsko i hucznie wkroczył do wsi ze śpiewem, z piszczałkami, jak hufiec panów między nędzarzy przetrzebionego pułku, obdartych, wyniszczonych, o spojrzeniach zgnębionych i zdziczałych, świeże mięso armatnie, świeża krew zasiliły pułk macierzysty, który w resztkach i niedobitkach wycofano na tyły z rzezi ciężkich walk odwrotowych z nad Marny. Pułk był źle notowany w dywizji i znajdował się pod specjalną obserwacją, jako że dwie trzecie jego strat wypadało na „zaginionych bez wieści“ czyli poprostu na jeńców.

Natychmiast po rozkwaterowaniu baonu marszowego zaczął się zawikłany proces wzajemnej transfuzji wpływów między nowymi przybyszami a ludźmi z pułku. Gawędy, gromadne dysputy bojowopatrjotyczne przy piciu w kantynie, oficerskie pogadanki propagandowe, opowiadania z kraju, opowiadania z frontu, pewne nowiny, zdradzane na osobności w pustem polu zdala od podoficerów, tajemne zwierzenia, szeptane we cztery oczy po nocach lub w

zacisznych zakamarkach wsi, ścierały się ze sobą i po paru dniach pewne podniesienie ducha, które jednak przybyło wraz z bataljonem, nie tylko nie udzieliło się nikomu na miejscu, ale opadło i w tych, którzy je przynieśli z głębokich tyłów. Po paru dniach wszyscy zrównali się w niedoli żołnierskiej, jedni z ostatecznego wyczerpania, drudzy zaś zepsuci spokojem i bezpieczeństwem na tyłach ze strachem i z odrazą uprzytamniali sobie, że oto na nowo jeszcze raz wkraczają w zasięg śmierci. Zdążyli już o niej zapomnieć wśród dostatków i wygód po szpitalach i domach ozdrowieńców z podarunkami, z kwiatami, z hołdami, z patrjotycznemi paniami, skąd ich wreszcie wygnano z powrotem w krwawe pole.

Dopiero w nieprzerwanych dniem i nocą westchnieniach, w grzmotach, wstrząsach działowego ognia w częstszych lub rzadszych, dalszych i bliższych, swoich i obcych Claude jakby się ocknął i postrzegł w sobie, co zamierzał, na co się ważył. Zda się dopiero teraz uwierzył, że to, co widział i przeżył w ciągu ostatnich kilku tygodni, było naprawdę rzeczywistością. Tamten czas wspominał mu się w zamgleniu, dni owe od wyruszenia z domu i ostatniego pożegnania z von Sendenem przebiegały bez ładu, splątane w jeden kłąb, nie trzymając się porządku dat, wszystko działo się równocześnie, zaczęło się i zamknęło zdumiewająco szybko w jednej jedynej chwili, jak bywa w snach. Przez ten cały czas przebywał pogrążony w ciężkiej zadumie o jakiejś sprawie nierozwikłanej a natarczywej i dopiero teraz odgłosy armat, a nocą tajemnicze łyskania ognia, wystrzelające co chwila zza horyzontu, ostrzegały

go, że dolegliwa sprawa domaga się ostatecznego rozstrzygnięcia...

Lada moment, dziś, jutro pułk będzie poderwany na alarm i pchnięty na pozycję. Dla nich obu rozpocznie się wielka próba. Da Bóg, że w decydującej chwili rozstaną się po ludzku tak jak teraz w zgodnem porozumieniu mieszczą się do czasu w jednej osobie. Ta trzecia postać nie posiadała oblicza ani imienia i była widmem człowieka a raczej abstrakcyjnem pojęciem, czuwała jednak pilnie, jak dobrze zmontowany precyzyjny mechanizm nad ochotnikiem armji niemieckiej, szeregowani piechoty Ossianem Helmem, by w niczem nie przekroczył swej roli, a tamtego (kapitana Claude'a Déspaix) trzymała gdzieś w zamknięciu, by we własnym dobrze zrozumianym interesie nie przeszkadzał w wielkiem zamierzeniu.

Szeregowiec Helm szybko i łatwo odbył skrócone przeszkolenie, śpiewał wraz z kolegami patrjotyczne i swawolne piosenki żołnierskie, wraz z kolegami włóczył się w wolnych godzinach po mieście Kolonji i nie gorzej od innych nie unikał piwa, kabaretów i kina.

Pewnego wieczora w nadprogramie wyświetlano szereg obrazów, które, jak głosił napis, zdobyto na Francuzach podczas ofensywy wiosennej w Pikardji. Były to sceny z etapów armji francuskiej, prace saperów przy odbudowie mostu na Sommie, tysiące samochodów ciężarowych, przerzucających rezerwy pod Verdun, rewja czternastego lipca zeszłego roku i tym podobne. Ochotnik Helm po raz pierwszy w życiu ujrzał nieprzyjaciela i był wstrząśnięty do głębi — sam sobie był winien, czemuż nie chodził do kina

w Ludwigshafen ani w Mannheim, gdzie nieraz pokazywano podobne rzeczy? Ogarnął go zamęt, ktoś obcy (ten drugi) wydzierał się z niego nagwałt, dopiero osoba fikcyjna, regulująca zawikłane stosunki, musiała wkroczyć między nich z całą energją, mechanizm, który się był na chwilę zająknął, zaczął działać i konflikt załatał się i poszedł w zapomnienie.

Przed samym odmarszem na front zapowiedziano przybycie jakiejś znakomitej osoby na przegląd bataljonu. Żołnierze zapamiętale pucowali buty, smarowali rzemienie, czyścili broń, regulaminowo ładowali plecaki i torby, oficerowie, podoficerowie truchleli ze strachu i ze swojej strony straszyli, denerwowali żołnierzy i mordowali ich „parade-marszem“, niczem za najlepszych dawno zapomnianych czasów pokojowego koszarowego „drillu“. Bataljon klął, podciągał się i zgadywał — może to dowódca armji? Może Hindenburg? A może sam we własnej osobie Ludendorff? Kaprale, sierżanci, nawet feldfeble nic nie wiedzieli, oficerów nie śmiano pytać — tajemnica...

Gdy trzy kompanje, ustawione w niepokalanych dwurzędach, zamarły na komendę „Bataljon baczność! Bataljon w prawo patrz!!“ — i w dwóch chwytach, w dwóch pochrzęstach sprezentowały broń, sześćset głów, jednem targnięciem odrzuconych w prawo, pojęły dopiero, co za zaszczyt spotyka ich zwyczajny marszowy baon. Cesarz odebrał raport i przeszedł wzdłuż frontu, poczynając od prawego skrzydła. Żołnierze wytrzeszczali oczy na monarchę, wstrzymując dech, gdy ich mijał, i odsapując głęboko, gdy poszedł dalej. Co kilkanaście kroków cesarz

zatrzymywał się na kilka sekund i ostrym, zachrypniętym głosem rzucał parę pytań, patrząc groźnie niewiadomo na kogo, kędyś wdal w przerwę między głowami żołnierzy. Czasami odpowiadali mu jednocześnie dwaj żołnierze z pierwszego szeregu i jeden ztyłu, czasami nie odpowiadał żaden. Cesarz nic czekał, aż się który namyśli, i ruszał śpiesznie i sztywno dalej z ruchami nakręconego manekina, za nim gromada świty.

— Z jakiej prowincji pochodzi?

— Prowincja... Prowincja... Miasto Ulm, Wasza Cesarska Mość.

— Ma żonę, dzieci?

— Gdzie ranny?

— W brzuch, Wasza Cesarska Mość!

— W kolano, Wasza Cesarska Mość!

— Gdzie ranny, pytam?

— Na Szmendendam, Wasza Cesarska Mość!

— Kiedy dekorowany? Za co?

— Grudzień 1916, za Werden-Suwilfort.

— Zadowolony ze wszystkiego?

— Tak jest, Wasza Cesarska Mość!

— Dawno kapralem?

— Trzy lata miesięcy trzy, Wasza Cesarska Mość!

— Kiedy dekorowany?

— Za kampanję karpacką, Wasza Cesarska Mość!

— Ma jakie życzenia?

— Niech odpowiada jak ojcu!

— Jestem jeszcze wyczerpany, Wasza Cesarska Mość! — Wydobrzeje na froncie!

— Ten to zuch! Morowy chłop! Ma ochotę prać Francuzów?

— Tak jest, Wasza Cesarska Mość!

— Anglików?

— W dubelt, Wasza Cesarska Mość!

— Dobrze, mój synu!

— Gdzie utracił oko?

— Lombardsyde, Wasza Cesarska Mość!

— A drugie oko?

— Jeszcze nie, Wasza Cesarska Mość!

— Pytam, czy dobrze widzi?

— Niedobrze, Wasza Cesarska Mość!

— Jak trzyma broń? Czemu tak drży?

— Ciągle mnie febra trzęsie, Wasza Cesarska Mość!

— Na froncie się rozgrzeje, tam teraz gorąco.

— Kiedy dekorowany? Za co?

— Za bitwę pod Marasesti, Wasza Cesarska Mość!

— Z Mackensencm dobrze było?

— Tak jest, Wasza Cesarska Mość!

— Kiedy dekorowany? Gdzie? Za co?

— ...

— Odpowiadać, kiedy pytam!

— W biodro nawylot, Wasza Cesarska Mość!

— Za nic, Wasza Cesarska Mość!

— Głupi jeden i drugi?

— ...

— Nad jeziorem Narocz, Wasza Cesarska Mość!

Ochotnik Helm stał w drugim szeregu na lewem skrzydle trzeciej kompanji i czekał bezmyślnie na koniec tej parady.

Ale gdy znienacka z poza hełmu stojącego przed nim żołnierza uderzyło weń ostre spojrzenie pustych i martwych, jakby wyżartych oczu cesarza, struchlał. Zaszumiało mu w głowie, karabin zadrgał w kurczowo zaciśniętych rękach. Ujrzał w tych oczach, w starej zaskrzepłej twarzy taki bezmiar niedoli i rozpaczy, że struchlał ze zgrozy w swem sercu niemieckiem. To widmo cesarskiego oblicza niosło w sobie znamię przegranej wojny, nieomylne piętno niewoli i zagłady nieszczęsnego narodu. Cesarz pytał o coś żołnierza, który go krył w pierwszym rzędzie. Cesarz się roześmiał głosem zgrzytliwym, jakby drapiącym po szkle, a wszystkie twarze świty rozciągnęły się w uśmiechu. Ochotnik Helm ujrzał w zmarszczkach tej śmiejącej się twarzy, w wyszczerzonych zębach, świecących złotem, w zmrużonych oczach, patrzących prosto w niego, okrutną nienawiść i szyderstwo.

Dlaczego?! Zaco?!

Cesarz go odgadł. Poznał wroga. Pod spojrzeniem pomazańca bożego, monarchy z łaski Boga, stał się cud, w jednej sekundzie znikł i rozwiał się doktór Ossian Helm i oto stoi o jeden krok przed władcą Niemiec kapitan Claude Déspaix, szpieg francuski, odkryty i złapany.

I gdyby cesarzowi Wilhelmowi przyszło do głowy zapytać go o byle co, o coś stereotypowo-najgłupszego, nie zdołałby odpowiedzieć nic innego jak jeno —

— Tak, to ja...

Takie i tym podobne momenty zdarzały się jednak w tej osobliwej powrotnej drodze do ojczyzny fantastycznego kapitana Déspaix’a. Pomimo całkowitego z pozoru

zrównoważenia i świadomości swego celu i jego oczywistej prostoty, czaiła się w nim zawsze gotowość do jakiegoś szaleństwa. Nie za każdym razem mógł się otrząsnąć z napadów zdumienia nad swoim losem, prześladowały go najgłupsze podejrzenia, dochodził do tego, że w dziwnej przyjaźni von Sendena podejrzewał jakąś djabelską machinację, to znowu budził się czasami w nocy i rozważał głęboko, czy ów cały von Senden i wszystkie wywodzące się z niego brewerje nie są jednak jego własnem przywidzeniem?

A dalej przelotne ale ciężkie rozdwojenia... Oczywiście taki był stan jego nerwów, ale nerwy, na które się wszystko spędza, toż to tylko puste słowo. Słowo — obłąkany, słowo — manjak, słowo — warjat — są też zaledwie znakami, które mają pewien sens dla zdrowych, gdy ci mówią o tak zwanych chorych nerwowo, ale sam dotknięty obłędem kategorycznie odrzuca ludzkie orzeczenie i broni swego prawa do własnego rozumienia rzeczy. Musi bronić nowego świata, który mu się odsłonił, i jego prawdy przeciwko uroszczenom i złośliwości wrogich sił sprzymierzonych. Nie daje wmówić w siebie, że to co widzi i czuje w sobie, czem żyje, do czego dąży — to tylko chore urojenia. Nie może się nic buntować, kiedy go wezmą w obroty lekarze. On ma słuszność przeciwko całemu światu.

Claude nieraz pogrążał się z głową w tajemny własny świat, ale wynurzał się po chwili, po godzinie i zawsze wracał szczęśliwie do rzeczywistości i sam nazywał te momenty przelotnem zamroczeniem. Jeżeli się dał ponieść urojeniu, jeżeli go dręczył potem strach przed obłędem, to

mijało to szybko. Ale teraz, w ostatniem swem zamierzeniu, gdy zbliżał się koniec fantastycznego żywota kapitana Claude'a Déspaix, i kiedy znajdował się już na ziemi francuskiej i dość było przebyć dwie linje okopów, aby nawiązać zerwaną łączność z dawnym ludzkim bytem i stać się z powrotem sobą — ogarniała go tajemna trwoga. Z niej rodziły się wahania i niebezpieczne pokusy. Niepokoił go zawczasu i napełniał strachem ów moment szczęścia, gdy uniknąwszy cudem tysiąca śmierci, czyhających nań w każdym francuskim pocisku i w każdym francuskim żołnierzu, stanie wreszcie cało i zdrowo po tamtej stronie między swoimi i zrzuci ze siebie larwę Niemca. Co on będzie robił w odzyskanej ojczyźnie? Jak będzie żył? Poco?

Zagubił rację własnego istnienia, zatracił gdzieś zeszczętem dawną swoją postać i nie mógł już odnaleźć samego siebie. Dalsze istnienie nie było mu potrzebne, żadna wyobraźnia nie dopuszczała odrodzenia w nim chęci do życia, do świata, do słodkiej Francji, do umiłowanej wiedzy. To wszystko od dawien dawna zabrała mu wojna.

Gdy szedł na swoją awanturniczą wyprawę na zdobycie tajemnicy Żółtego Krzyża już był inwalidą, zrezygnowanym rozbitkiem. Dopiero później odżył.

We wrogim kraju, w obcem mieście, pod maską szpiega, niczem podły złodziej, ukradł cud i zapamiętał się w szaleństwie szczęścia, zdobytego zdradą. Za to poniósł karę straszliwą i dźwiga na sobie jej pamięć i hańbę. Stoczył się na samo dno niedoli, odpadł od życia, od świata, od siebie samego i stał się ruiną ruiny, nie potrafił nawet zginąć, jak przystało człowiekowi — był gorzej niż niczem.

Za sprawą niepojętego porządku zdarzeń, w wyniku odmętu krzyżujących się zagmatwanych linij, ich węzłów i skrętów, z nieodgadnionych dróg i nawrotów tysiąca tysięcy trafów, które hasały w chaosie przestrzeni, gdzieś kiedyś, w jednym momencie, w jednym i tym samym punkcie niezmiernej ziemi...

Stają przed sobą dwa upiory, dwóch nieznajomych, dwóch wrogów, zagrzebanych ongiś w jednym grobie. Umierali, patrząc sobie twarzą w twarz i obaj umarli, i obaj ożyli i spotkali się wkońcu i poznali jeden drugiego. Historja zmyślona, urojona w obłędzie, niedopomyślenia, niedowiary — historja prawdziwa...

To go zdjęło przerażeniem, oszołomiło zachwytem, to go wytrąciło z martwoty a nie dało sił, by mógł ożyć, wrócić do własnego życia. Myt, sen, nieprawdopodobny przyjaciel Niemiec, z którym godzili w siebie nożami w ciasnym chodniku okopów, zawalonym trupami, — ten go uwiódł. Ostrzegł go i ratował z dzikiego powikłania intrygi, oblókł go w mundur niemiecki i wyprawił w pole, pożegnał i pobłogosławił... Nie dał mu się opamiętać, nakazał żyć.

Jakże to będzie? Claude z dręczącą pustką w duszy i pustką w głowie gotował się powitać ojczyznę. Poco? Naco?

Nic z tego. Przeczuwał, chwilami wiedział niezbicie, że jego dziwne sprawy na tym świecie dobiegają końca. Zginie. Czemu aż tak wymyślnie, tak dziko, tak śmiesznie? Czy nie lepiej było wówczas, zaraz, natychmiast pójść do owej ławki w parku miejskim na końcu Schwanthaler Allee, gdzie znaleziono jej kapelusz, rękawiczki, torebkę z kartką i

pogrążyć się wślad za nią w wody Renu?

Rzadko budziła się opieszała wyrozumowana ciekawość, zgadująca — co też z nim będzie naprawdę w niecofnionej, nieubłaganej rzeczywistości, która tak samo drwi z zamiarów, z nadziei, z żądzy życia, z żądzy śmierci, jak i z rozpaczy ludzkiej i z tępej pustej bezwoli.

Będzie, co ma być. Niech rozstrzyga los jako chce.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

XVII

Nazajutrz po wyroku o Evie Evard zagadali wszyscy na obu półkulach świata. W klubie „Trzech Oceanów“ w Port Adelaide (Zachodnia Australja) zbierano podpisy pod protestem przeciwko wyrokowi, w Tokio duszono się w ścisku i dziesięciokrotnie przepłacano miejsca na wznowionym ad hoc jej filmie egzotycznym „Lilitha, uśmiech Hedżasu“, w Miami, w Bostonie, w San Francisko, w Los Angeles, w New Yorku, w Chicago, w Detroit, w Milwaukee i w innych miastach poranne wydania wszystkich dzienników koncernu Hartmana ukazały się w żałobnych obwódkach, a już kolo południa wybito szyby w odnośnych redakcjach, zaś w Scranton i w Salt Lake City zdemolowano doszczętu lokale redakcyjne i drukarnie, a wszędzie prano Niemców.

Ani jeden teatr świetlny nie odważył się w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie wznowić jakiegokolwiek filmu z agentką niemiecką, a pozytywy wszystkich jej najgłośniejszych kreacyj były już w drodze, ekspedjowane nagwałt do krajów centralnej i południowej Ameryki, gdzie agencje filmowe od granicy Meksyku do Punta Arenas domagały się natarczywie Evy Evard, przystając zgóry na każdą cenę. W Buenos Aires miała miejsce wielka manifestacja uliczna, gdzie na placu Libertad we wzburzonym tłumie zetknęły się ze sobą wszystkie warstwy społeczne stolicy Argentyny i wszelkie jej rasy i odmiany, wielbiące Evę Evard. W Kairze, w Suezie, w Port Said

dowództwo wojsk angielskich zamknęło na tydzień wszystkie teatry świetlne, w całych Indjach dla uniknięcia demonstracyj policja opieczętowała odnośne taśmy. W Manili na Filipinach policja amerykańska rozpędzała zbiegowiska Hiszpanów, wrzeszczących — Precz z Francją! Niech żyje Eva Evard! W Szanghaju, w Nankinie pospólstwo domagało się Evy Evard i rozbijało teatry świetlne, które mimo woli i chęci nie były w stanie zaspokoić ich natarczywości. W Madrycie, w Genewie, w Kopenhadze, w stolicach państw skandynawskich dzienniki poranne i wydania wieczorne spierały się o Evę, godząc się na jedno, że wielka artystka winna czy niewinna będzie oczywiście ułaskawioną, a po wojnie powszechna amnestja zwolni ją z więzienia.

Na szerokim świecie, dokąd wojna nie sięgała bezpośrednio, imię i losy Evy Evard na kilka godzin, na jedną dobę wygórowały nad wszelkie sprawy dnia, nawet ponad komunikaty z placu boju.

W Paryżu komentarze prasy do wyroku były naogół skąpe, zaledwie parę szczególnie zacietrzewionych dzienników nacjonalistycznych splunęło na skazaną jadem i żółcią, reszta podawała wstrząsający fakt, nie wyrażając ani żalu, ani zadowolenia Pierwsze dni wielkiej ofensywy sprzymierzonych na Soissons i pierwsze oddawiendawna tryumfy zagłuszyły echa nieszczęsnego dramatu. Wśród niezliczonych wielbicieli Evy Evard, w zaprzyjaźnionych domach, które niegdyś w lepszych czasach ubiegały się o nią, unikano rozmów i rozważań w tej sprawie nad wyraz drażliwej, a zresztą bezprzykładnie zagmatwanej,

bezprzedmiotowej, przesądzonej już ostatecznie w wyroku, od którego w toku wojny niema i nie może być odwołania.

Mówiono tedy o czem innem, a było o czem — nazajutrz po dniu święta narodowego, gdy pod Łukiem Tryumfalnym zgromadziły się wszystkie co do jednego okryte chwałą sztandary, naczelne dowództwo armij sprzymierzonych rozpoczęło generalne natarcie, otwierając ostatnią, końcową, za tym razem już nieodwołalnie decydującą fazę wojny, na samym wstępie uwieńczoną osiągnięciem linji Pernant — Neuilly — Saint-Front — Torcy i zdobyciem dziesięciu tysięcy jeńców i trzystu dział. Niemcy na terenie zajętym nad Marną i za Marną, zagrożeni w swoich komunikacjach, które wszystkie prowadziły przez Soissons, zmuszeni będą do Spiesznego wycofania się z pod Château Thierry, gdzie skupiała się ciężka groza, wisząca nad Paryżem od fatalnych dni zaskoczenia majowego, owego tryumfalnego „Friedenssturm“, który miał zmiażdżyć przeciwnika i wymusić twardy niemiecki pokój. Teraz, w dwa tygodnie po rozpoczęciu kontrofensywy armij sprzymierzonych, odrzucono nieprzyjaciela za rzekę Vesle, front został skrócony o pięćdziesiąt kilometrów, a zagrożony Paryż był ostatecznie uwolniony od zmory najazdu, 35.000 jeńców, 630 dział, 200 miotaczy ognia, 3.000 karabinów maszynowych oraz nieprzebrane zapasy i materjały bojowe wpadły w ręce zwycięzców. W tych walkach po raz pierwszy w wojnie Amerykanie uderzyli w wielkiej stopięćdziesięciotysięcznej masie, fortuna wojny odwróciła się od Niemców.

Szał radości ogarnął Paryż i Francję i nikt nie zaprzątał

sobie głowy Evą Evard, albowiem w tych dniach właśnie dostrzeżono po raz pierwszy od początku wojny wizję nadchodzącego cudu — koniec wojny. Naczelny wódz armij sprzymierzonych marszałek Foch powiedział wyraźnie: „Rok 1919 będzie rokiem rozstrzygającym wojny“.

Maître Lourthier, choć śmiertelnie zmordowany trzydniowym procesem i zmiażdżony wyrokiem, zdobył się na ostatni wysiłek energji i już nazajutrz w godzinach porannych od pełnomocnika swojej nieszczęsnej klijentki senatora Guillet-Goudon’a uzyskał podpis na czeku, który wyrównywał trzecią i ostatnią ratę jego honorarjum. Nie potrzebował żałować swego pośpiechu, gdyż w godzinę później chory senator pod wrażeniem okropnej wieści stracił przytomność. W tych strasznych dniach na nim jednym i jedynym nie zawiodła się Eva, cóż kiedy właśnie umierał...

Poranne dzienniki niemieckie podały grubym drukiem krótką agencyjną depeszę o wyroku, wszelkie komentarze zostały wzbronione przez cenzurę wojskową. Wrażenie tej wieści było w Berlinie nikłe i przelotne, wszyscy zagłębiali się w rozważanie skąpych słów porannego komunikatu z frontu.

— Nasze bohaterskie armje, formacje wszystkich szczepów niemieckich, od trzech dni stoją w ciężkich walkach na prawym brzegu rzeki Vesle. Linja rzeki Vesle będzie utrzymaną.

Struchlałem! oczami biegano po mapach, powtarzano obce nazwy miast, miasteczek, wsi, przysiółków, lasów,

strumieni, rzeczułek, wzgórz, zlanych krwią niemiecką. Zgadywano tajemne istotne znaczenie i rozmiary klęski, ukrytej w suchej stylizacji komunikatu. Po świeżych tak hucznie obchodzonych zwycięstwach, po całkowitem osiągnięciu celów i zadań wiekopomnego manewru, uwieńczonego mianem „Friedenssturm“, jeszcze raz straszliwy zawód, oto znowu roztwiera się otchłań niedoli. Nieludzki wyrok francuskiego sądu wojennego? Skazanie Evy Evard, przyjaciółki Niemiec? Nikt się tem nie przejmował w Berlinie. Ciężka troska zgłuszyła tę wieść tak samo, jak ogrom radości pochłonął ją w Paryżu.

Tego dnia major Gutzner długo oczekiwał na swego szefa i, drżąc z niecierpliwości, promieniał nieposkromioną żądzą pierwszego, najrozkoszniejszego spojrzenia w jego oblicze. Co się dzieje w duszy generała? Jak on to będzie maskował? Co powie? Może w zaciszu gabinetu o drzwiach wyłożonych wojłokiem odegra z nim we cztery oczy komedję westchnień, żalów, nawet rozpaczy, bodajże nawet łez — i na tem poprzestanie? Czy zamknie się wraz ze swoją zbrodnią w oficjalnem kłamstwie? A może zamierza jakiś krok niedopuszczalnie szlachetny, fantastyczny, niemożebny i w rezultacie bezcelowy i będzie wymagał, żeby go wzywać do opamiętania, zaklinać w imię armji, cesarstwa i zwycięstwa, żeby wyczyniać z nim gesty i komedje, gadać w ciągu całych godzin, zanim sam uzna, że tego dosyć i że czas dać się ubłagać, przekonać i w rezultacie nic nie zrobić...

A zresztą, kto go wie...

Zważywszy, że w grę wchodzi kobieta niegdyś kochana a i obecnie conajmniej potężnie pożądana — wszak pobudką do całej intrygi nie było nic innego jak żądza zemsty za owe moskalątko... Jednak idzie tu o śmierć i życie istoty tak sławnej, tak uroczej i wspaniałej... Czyżby nawet takiego człowieka mogła nawiedzić nerwica uczuciowa lub histerja tak zwanego sumienia? Ciekawe, ach, jakże ciekawe...

Czekał i zawczasu bawił się jak przed podniesieniem kurtyny na nadzwyczajnie zapowiadającem się przedstawieniu. Co tam teatr, generał jest tak rasowym aktorem — kto wie, czy majora Gutznera nie zaskoczy tym razem jakaś prawdziwa niespodzianka? Nie, major Gutzner nie da się złapać na żadne frazesy i miny. Ale gdyby, gdyby naprawdę — co zresztą jest minimalnie prawdopodobnem — trzeba odrazu przeciąć histeryczne skrupuły.

Po pierwsze, o tem co było nikt żadną miarą i przenigdy się nie dowie! Pewność absolutnej tajemnicy uśmierza nawet najsubtelniejsze sumienia. Trzecia osoba, szelmowska Greta, już nic biedaczka nie powie — co za strata, co za ulga! A major Gutzner zapomni, już zapomniał o wszystkiem, major Gutzner doprawdy nie wie o niczem, najwyżej zostanie między nimi odrobina, cień zawstydzenia. Generale, jakiż może być wstyd przed wiernym Gutznerem? Głupstwo — a przytem żadnych aktów, ani skrawka papieru, ani jednego marnego świstka o tem co było, żadne archiwa po wieki wieczne nie zdradzą tajemnicy. Gdyby nawet kiedyś po wojnie we Francji jakimś humanitarystom, figurom, masońskim, cnotliwym i

wpływowym starcom, histerycznym babom zachciało się szarpać wyrok sądu wojennego i przywrócić do czci pamięć Evy Evard, to niechże im ktoś znajdzie na szerokim świecie głównego świadka oskarżenia, demona perfidji niemieckiej, madame Lamande, Bertę Siems, Lolę Geisler i tak dalej, i tak dalej, niech ją ściga przez wszystkie pseudonimy angielskie, francuskie, niemieckie, przez wszystkie fałszywe paszporty aż do autentycznej Grety von Senden, a ta właśnie nie żyje i już. Czy ją będą exhumować?

— Panie generale, ś. p. pułkownik Szwarckoppen, attache wojskowy ambasady niemieckiej W Paryżu z końca zeszłego stulecia, do samej śmierci bawił się kolosalną tragifarsą „dreyfusjady“, która przez dziesięć lat trzęsła Francją, a którą wywołał niechcący przez swoją mistyfikację z osławionym „bordereau“. Jednak racja stanu sprawiła, że nie przyszło mu nawet do głowy wyznać prawdę i ratować nieszczęsną ofiarę tego kawału kapitana Dreyfusa, skazanego gorzej niż na karę śmierci.

Zresztą, panie generale, Evę Evard z pewnością ułaskawią... Z całą pewnością.

W Ouchy, w cienistej alei platanowej dwaj przyjaciele siedzieli na swojej ławce i patrzyli wdal poza błękitną równię jeziora na brzeg francuski, na białe domki Evian les Bains, które zdawały się stać na wodzie i drgały, mieniły się w rozpalonem powietrzu. Ogarniał ich urok pogody i spokój, słodycz błogosławionego zacisza ziemi helweckiej. Obaj schorzali, kalecy, o nerwach starganych, o duszach w

bezwładzie, na zawsze związanych przymusem zaparcia i wyrzeczenia się ludzkich radości, zamiarów, nadziei — kiedyż i gdzie jak nie teraz, tutaj — winni byli rozpłynąć się w błogości spoczynku po stokroć zasłużonego, pogrążyć się w cichej niewiedzy o dalekim obcym świecie? Zapomnieć o ponurej nocy, która zawarła się nad ludzkością i dręczy ją, dławi i zabija okropnym koszmarem bez wytchnienia i bez końca... Oderwać się od czasu, oddać się chwili, powierzyć siebie słońcu, temu lazurowi wody, lazurowi niebios... Darować krzywdę swego kalectwa i dziękować Bogu za zachowanie życia, za te ocalone oczy, które ogarniają piękno dnia, przestwór i krasę świata.

Rozmowa dawno się urwała, raczej kłótnia — nie dalej, jak przed dwoma miesiącami Eva Evard siedziała razem z nimi na tej ławce... W przelotnem spotkaniu, w pustej rozmowie o niczem dała im chwilę, która w nich została pełna uroku, niezapomniana. Potem jak piorun wieść o niewiarogodncm oskarżeniu — więzienie, sąd, a dziś... Nie wierzyli oczom. Kapitan Kunert rozpłakał się, major Darbois klął sądy wojenne, domniemywał jakąś potworną brudną intrygę, wreszcie napomknął, że Eva Evard, kobieta o kulturze francuskiej, kobieta honoru, kobieta genjalna a do tego niezależna i miljonowo bogata, jest wyższą ponad haniebne oskarżenie, jakoby służyła Niemcom.

Od tego się zaczęło. Kapitan Kunert był urażony.

— Zapewne tkwi w tem jakieś potworne nieporozumienie, ale skąd hańba? Cóż byłoby haniebnego, gdyby, powiedzmy, Eva Evard rzeczywiście służyła sprawie niemieckiej? Ideowo, bezinteresownie...

— Niemcom?!

— Czyż to niemożliwe?

— Absurd!

— Więc już nikomu na całym świecie nie wolno mieć współczucia dla nas? Dla narodu o wielkiej kulturze, na który zawzięły się wszystkie potęgi, aby go zagłodzić, zniszczyć? Czyż właśnie w osobie Evy Evard, szlachetnej, niezależnej nie mógł zbudzić się żywiołowy szczery odruch, gdy znalazła się w Niemczech i na własne oczy ujrzała całą naszą niedolę i bohaterstwo?

Od słowa do słowa. Zapaliła się kłótnia, rozgorzała i w pewnej chwili, gdy już padły rzeczy niecofnione, urwała się. Tym razem nacierał kapitan Kunert, zazwyczaj tak powściągliwy, wybuchła w nim niespodzianie twarda niemiecka zawziętość. Nie mógł inaczej, dzisiaj nie mógł żadną miarą, albowiem dziś właśnie stało się oczywistem, że tocząca się od dwóch tygodni walna rozprawa o zwycięstwo, druga bitwa nad Marną skończyła się klęską Niemców, w dzisiejszym komunikacie sami się przyznają, że zostali wyparci, zagnani aż za rzekę Vesle.

Poszło im o Evę Evard, którą uwielbiali obaj, a w istocie...

Nic — żadnym wysiłkiem duszy, żadną mądrością niepodobna wznieść się ponad wojnę — jest zbyt potwornie ogromną.

Teraz milczą. Już ich rozdzieliła śmiertelna nienawiść, jakby cudem w jednej chwili odbudowały się między nimi linje okopów, najeżone bagnetami, usadzone gniazdami karabinów maszynowych, pełne miotaczy min, miotaczy

ognia, granatów, gazów. Poszły wniwecz filozofja pacyfizmu i zbratanie w przyjaźni.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

XVIII

Szaro-brudna ciasna cela Nr. 12, zatęchłe sklepione korytarze, schody o stopniach wyżłobionych przez pokolenia, pusty brukowany dziedziniec, otoczony ze wszystkich stron murami, z których martwo patrzały niezliczone zamaskowane okna, — stały się za tych dni jedynym światem Evy, ostatnim obrazem życia, było to wszystko co jej zostało, nie miała nic pozatem. Jej — świat skurczył się i zaskrzepł na zawsze w starych murach St. Lazare.

Zgasł, zmilkł i przestał istnieć Paryż, który nic dalej jak wczoraj jeszcze opasywał więzienie rojowiskiem ludzkiem, ruchem, gwarem i zgiełkiem, niezmiennie i wiernie dochodziło tu do niej jego potężne tchnienie, jeszcze wczoraj czuła swoją więź i wspólnotę z ukochanem miastem a przez Paryż z Francją, z Europą. — z całym obszarem świata.

Jeszcze wczoraj żelazna brama St. Lazare prowadziła wprost na ulicę, gdzie odrazu roztwierało się bujne, wolne życie. Teraz otoczyła ją niezmierzona pustka, zimny martwy przestwór. Myśl, pragnienie, wyobraźnia nie wybiegały już poza więzienie, tu się zawarła, tu się zgubiła cała — wiedziała że stąd nie wyjdzie żywa i do życia, nie wyjdzie inaczej jak jeno w ów dzień niedaleki — jutro, pojutrze, za tydzień — na miejsce egzekucji. Tuż za bramą St. Lazare czekała na nią śmierć.

Towarzyszki więzienia jedna przez drugą przysięgały jej,

że będzie ułaskawioną, poczciwe kobiety były kategoryczne i niezachwiane, jakgdyby posiadały tajemne informacje z kancelarji Prezydenta Republiki lub z Głównej Kwatery generała Pétaina, ale oczywiście nic opierały się na niczem, jeno na swojem dobrem sercu. Klucznica korytarzowa madame Le Pailleur jako osoba poniekąd urzędowa była już znacznie powściągliwszą. Zakonnica oddziałowa siostra Melanja ufała miłosierdziu boskiemu, które nie ma granic. Lekarz więzienny odwiedzał ją dwa razy dziennie z bromem, z kroplami, z proszkami, które Eva odrzucała z pogardą, gdyż czuła się zupełnie zdrową, doktór unikał najlżejszego napomknienia o wyroku, a dyrektor St. Lazare i jego zastępca wogóle przestali się pokazywać.

Maître Lourthier wpadał codzień bodaj na dziesięć minut, opowiadał szybko i mętnie o swoich niezmordowanych zabiegach, ale wystrzegał się łudzić Evę wygórowaną nadzieją. Oczywiście, nikt nic nie może zaręczyć... Wszystko jest najzupełniej możliwe... Opinja nie jest bynajmniej bezwzględnie wrogą, gazety milczą — to dobrze. Gorzej, że wśród ludzi paryskich zapanowała dziwna obojętność dla sprawy... Czas wyjątkowo niepodatny dla jakichkolwiek zainteresowań natury idealnej, wrażliwość stępiona, brak odruchów serca... Wszystko porwane przez ostatnią ofensywę i nieprzytomne z radości. Logicznie biorąc byłyby to nastroje idące raczej w kierunku pomyślnym dla sprawy, ale w rzeczy samej tak nie jest. Właściwie jest inaczej a w istocie całkiem nijako... Osobistości wpływowe nie dadzą się pociągnąć nawet do platonicznej bodaj manifestacji, choćby w postaci złożenia

swego podpisu pod petycją protestującą nie przeciwko wyrokowi śmierci jako takiemu, lecz przeciw jego wykonaniu w zastosowaniu do kobiety... A szeroka opinja, jeżeli wogóle o jakiejkolwiek opinji można mówić w czasie wojny... Wygląda to, jakby nazajutrz po wyroku wszyscy zapomnieli o Evie Evard i o tem, co ją czeka...

Zresztą za każdym razem czas schodził im na bezpłodnem ugadywaniu się o podanie prośby o ułaskawienie. Bez tego dokumentu, twierdził maître Lourthier, nie było mowy o planowych staraniach w sferach miarodajnych, zredagował on to pismo zaiste po mistrzowsku, z całą precyzją i subtelnością prawną, ale z całkowitem uszanowaniem godności ludzkiej petentki. Eva odmówiła wręcz i wytrwała przy swojem. Jej uporu nie przezwyciężyły żadne argumenty, błagania, ani widmo strasznej śmierci, które maître Lourthier wysuwał w ostateczności ze łzami w oczach głosem zdławionym.

— Pani do końca dba o zachowanie swego stylu... Pani Evo, ten styl szkodził sprawie przez cały czas śledztwa a dobił panią na sądzie. Gdyby nie ta wieczna wzgardliwa, obrażająca wyniosłość, która zdradzała się, może nawet pomimowoli, w każdem pani słowie, i w milczeniu, i w każdem spojrzeniu...

— Dobre ma pan pojęcie o poziomie moralnym tych tak zwanych sędziów...

— Są ludźmi i tyle! Nawet ten znienawidzony przez panią komisarz rządu przy sądzie wojennym nie jest wcale złym człowiekiem.

— A czemże on jest?

— Jest sługą ślepej machiny, rozstrzygającej w trybie naszej potwornej procedury wojennej, tem bardziej nie trzeba było go drażnić.

— Ślepa machina!... Potworna procedura!... I uczciwi ludzie, oficerowie godzą się służyć obmierzłemu aparatowi do mordowania niewinnych ludzi... Nie! Wśród tych dziewięciu nie było ani jednego uczciwego człowieka! Podłe sługusy! Soldateska! Nie wierzyli moim najszczerszym wyznaniom... Traktowali mnie jak ordynarną sprzedajną zbrodniarkę... Sponiewierali mnie... Nie słuchali co mówię, bo wyrok mieli zgóry napisany... Dobrze! Jestem zamordowana i na tem koniec — nie będę nikogo prosiła o łaskę!

W ciągu tych dni w najgłębszej tajności swej duszy Eva pogodziła się ze śmiercią, postrzegła, że nie chce żyć. Stało się to w nocy, gdy ocknęła się z ciężkiego, obrzydłego snu, który natychmiast uleciał w nicość, zabierając ze sobą całą swoją treść, całą pamięć o nieprzejrzanym chaosie koszmarów, o nieznanych, dręczących ją ludziach, o absurdach i cudactwach raczej śmiesznych, gdyby nie potworny strach, który wychynął nagle z czadu sennego jak żywa zmora i zaczął pastwić się nad nią. Dygotała, miotała się po łóżku, nawpół obudzona i musiała krzyczeć, wrzeszczeć, wołać ratunku, ale jakaś ręka zdusiła ją za gardło...

Z korytarza dobiegał zduszony gwar, ciche ostrożne kroki wielu ludzi... Zbliżają się, nadchodzą...

Zapatrzyła się osłupiałemi oczami w drzwi, gdzie przez szczelinę w okrągłem zasuwanem okienku przebłyskały z

korytarza okruchy światła. Ucichło... Stoją za drzwiami... Jeszcze sekunda, jedna jedyna, ostatnia sekunda — i szczęknie zasuwa, stuknie głucho jak cios maczugi w czaszkę... Już nie zobaczy w roztwartych drzwiach straszliwej gromady, która przychodzi ją zabrać, sam ten szczęk zasuwy zabije ją i będzie koniec — co za szczęście!

Nie wchodzą. Stoją. Czekają...

Ostatni wstrząs strachu — obudziła się. To był jeszcze sen. W rozkosznem jej odpocznieniu była nietylko ulga po dręczących majakach, z doświadczenia tego snu zrodziła się przedziwna jasność i wiedza, najgłębsza mądrość człowiecza, najwyższa i ostateczna — jasnowiedza. Jakgdyby naraz zrozumiała wszystko co niepojęte. Jakby pradawnym instynktem, który od miljonów lat zatracił się w plemieniu człowieczem, odczuła tajemny cel bytu i życia, zdawało jej się, że już umarła — i rozważała w zdumieniu jasną prostotę śmierci... Oderwała się od wszystkiego i uleciała w niesłychaną dal jakby ku gwiazdom, w zawrotnym pędzie obejrzała się za siebie, została za nią nicość, marność, pustka i wizja świata — już z tamtej strony. To w niej zostało.

Rankiem pani Pelouse i panna Tourly spostrzegły w niej uderzające zmiany, oczy pani Evard zdawały się pomijać to co było koło niej, patrzały kędyś wdal, zaczęła się nareszcie uśmiechać, stała się podawnemu miłą i rozmowną, ale dziwnie roztargnioną. Zdawała się nie słyszeć co do niej mówiono, czasami jakgdyby nie dostrzegała co się dzieje wokoło. Tego dnia po raz pierwszy nie zechciała zejść do kancelarji więziennej na konferencję z adwokatem, choć

przychodziła po nią z perswazjami starsza siostra Melanja, a potem był doktór Bourcier, wreszcie sam pan dyrektor.

— Maître Lourthier mnie dręczy, muszę trochę odpocząć, a i jemu się należy choć dzień wytchnienia. Jeżeli już chce koniecznie, niech przyjdzie jutro, nie — pojutrze. Choć właściwie niema poco.

— Pani Evard, to co chcę powiedzieć jest może zbyt twarde... Nawet okrutne, ale moim obowiązkiem... Pani Evard, proszę się opamiętać! Pojutrze? Boże miłosierny... Pojutrze może być już na wszystko za późno!

— Tem lepiej, panie dyrektorze.

I z pogodnym uśmiechem patrzała w jego struchlałe oczy. Wszyscy, którzy z nią mówili, adwokat, władze więzienne, towarzyszki celi, posługaczki, zakonnice i nieznajome współmieszkanki St. Lazare, spotykane na podwórzu w godzinach regulaminowej przechadzki, wszyscy mieli te same oczy struchlałe, jakgdyby była widmem zza grobu, upiorem. Z początku i jej udzielała się zgroza bijąca z ludzkich twarzy, teraz ją to niemal bawiło. Nikt nie przeczuwał, nie dopuszczał przewrotu, jaki się w niej dokonał, niktby nie uwierzył, że nie lęka się śmierci i nie żałuje życia, że jest pełna ciszy. Nie jest jej źle ani dobrze, w jej stanie ducha nic nie znaczą ludzkie miary.

Żałowała, że nie zdoła wypowiedzieć w zrozumiałych słowach wielkiej przemiany, która się w niej dokonała, chciałaby uspokoić i pocieszyć swoje kochane towarzyszki, które przebywały w stanie ciągłego przerażenia i nie rozmawiały z nią inaczej jak przez łzy. Proste, prawdziwe słowa — chcę ponieść tę śmierć, bo straciłam ochotę do

życia — były dla nich niepojęte jak zresztą dla każdego człowieka, który trzyma się życia i ma je za najwyższe dobro. Jej rezygnacja jest rodzajem wyrozumowanego, na trzeźwo uplanowanego samobójstwa, tylko forma jego byłaby nieco dziwaczna, nawet w pewnym stopniu niebywała. Zamiast własną ręką pospolicie odebrać sobie życie, czeka aż powali ją salwa plutonu egzekucyjnego zapewne w fosie zamku Vincennes. Nie jest to bynajmniej kaprys artystki o rozwichrzonej wyobraźni, jak mógłby ktoś powiedzieć — poprostu tak się wszystko samo splątało i złożyło.

Jej odraza do świata, w którym pędziła swoje uśmiechnięte, głośne, górne życie, zbudzona przez gorzki zawód wzrastała z dnia na dzień w więzieniu podczas śledztwa. Poznała pustkę i fałsz środowiska, gdzie od dziesięciu lat królowała wśród hołdów. Przyjaciele, wielbiciele, zaprzyjaźnione domy, mizdrzący się, podrygujący dygnitarze, histerycznie rozkochane damy, prasa uniżona i aż do obrzydliwości przypochlebna, wielkie recepcje na jej cześć, bankiety...

Cóż to było?! Sen? Urojenie?

Nikt nie okazał jej serca, nikt nie zaufał, nawet nie spytał po ludzku o prawdę. Odepchnięto ją od wszystkich drzwi jak zapowietrzoną, choć jeszcze nie ciążyło na niej żadne hańbiące podejrzenie, a potem, gdy dostała się do więzienia, opinja napiętnowała ją na długo przedtem zanim skazał ją sąd — co za ohyda... Oto świat, który stworzył i wywyższył Evę Evard, okrył ją sławą, obsypał zaszczytami i bogactwem — niechże się zapadnie w mrok i nicość, aby

ustał wreszcie ten haniebny smród obrzydzenia, którym jej każą oddychać. Trzeba uciekać, uciekać, a niema zakątka ziemi ani najdzikszej puszczy, ani takiej wyspy zagubionej na oceanie, gdzieby jej nie dosięgła pamięć niezawinionej krzywdy i odraza do świata. Nie wyżyje Eva Evard z tym ciężarem w duszy — trzeba umrzeć.

Nieposkromiona, zawzięta ekstaza buntu przeciw; wszystkiemu co jest pchała ją ku śmierci.

Szło swoim zwykłym trybem szare życie celi Nr. 12. Eva prosiła swe towarzyszki, aby nie mówiły ani słowa o niej i o wyroku, niech jej nie żałują, nie zawodzą — niech będzie między niemi jak dawniej, a kiedy to nie miało skutku, gdy nadal siedziały osowiałe, gdy po parę razy na dzień bądź jedna bądź druga wybuchały płaczem, zapowiedziała im, że choć je tak lubi, choć bez nich będzie jej ciężko, zażąda przeniesienia do samotnej celi, jeżeli nie przestaną jej dręczyć. To w pewnej mierze pomogło. Eva zaprowadziła z powrotem głośne czytania i na tem przeważnie schodził im dzień.

Madame Pelouse czytała rozwlekle i uroczyście, recytowała z przejęciem, w djalogach zmieniała głos i deklamowała jak na scenie. — Prędzej, prędzej, pani Pelouse, nam tu nie trzeba kazania ani Odeonu — popędzała ją niecierpliwie mademoiselle Tourly. A sama, gdy na nią przyszła kolej, leciała, trzepała, połykając słowa, i żwawo przewracała kartki, cała pochłonięta i rozjątrzona ciekawością co będzie dalej. Czytały „Les Misérables“. Eva zwolniła się od głośnego czytania, słuchała lub nie słyszała, leżąc na łóżku albo zapamiętale godzinami chodząc pięć

kroków tam i z powrotem w jedynem wolnem miejscu pode drzwiami.

Obrazy nędzy, krzywdy, bezeceństwa świata, okrucieństwo prawa i bezbronność cnoty, bezkarna podłość mocnych i cicha wieczna niedola maluczkich, staroświeckie wspaniałe bojowe tyrady Wiktora Hugo... Jego wiekuiste postacie, które ongiś trwożyły, chwytały za serce i zaludniały jej dziecięcą wyobraźnię jeszcze w Mapie Greek w samotnej izbie, pachnącej świeżem smolnem drzewem, wśród pisku, zgrzytu, jęku i wycia pił na tartakach — tragiczny Jean Valjean, święty biskup Myriel, męczeńska Cosette, potworny służalec prawa Javert... Ożyli z niepamięci lat i jednym skokiem przebyli czas od jej dzieciństwa ponad splątaną gęstwiną wydarzeń, zawodów, tryumfów, łez, radości, jej dziwnych kolei, mnóstwa ludzi, rozmaitych jej dróg, wszystkich stolic świata, ponad jej fenomenalną karjerą, ponad szczęściem i sławą, ponad wojną — i oto znowu są przy niej w ostatnich dniach żywota na dnie niedoli, zmiażdżonej przez nieludzkie prawo wojny, przy niej, odepchniętej przez ludzi — nieszczęsnej, zaprawdę godnej pióra ich nieśmiertelnego twórcy.

Z początku słuchała ze wzruszeniem, później często gubiła wątek i odchodziła we własne myśli, losy bohaterów, obrazy, zwroty fabuły, znajome imiona, znajome niespodzianki powieści snuły się poza nią, gasły i wynurzały się jak opowiadanie, które słyszy się we śnie. Odgradzało ją ono jak zasłona od prawdziwego świata, od czasu i miejsca. Nic jej nie przeszkadzało rozważać w sobie

rzeczy nowe, trudne, niewyrażalne, które wzbierały i mnożyły się dokoła jasnej, prostej prawdy o nadchodzącej śmierci. Nietylko już się była pogodziła ze śmiercią, ale pożądała jej całą swoją istotą i gdyby stał się cud — nieprawdopodobny akt łaski, lub gdyby generał Pétain, wódz naczelny armij francuskich, nie zatwierdził wyroku — byłby to dla niej okropny cios. Wrócić do życia? Do więzienia na długie lata, może na zawsze? A choćby umorzono karę i roztworzono przed nią bramę St. Lazare... Cóżby poczęła, wypchnięta przemocą cudu na tę ulicę St. Denis, z powrotem między ludzi?

Na tę myśl otrząsała się z odrazą, świat ją przerażał swoją pustką, swoją bezbrzeżną nudą. Jużby nie zdołała żyć na nowo. Jest złamana, nawpół zdruzgotana, zabita.

Nie!

Raczej przekroczyła granice ludzkie, wyszła już poza wszystko co jest z tego świata. Dostąpiła najwyższej mądrości. Poznała prawdę o życiu i śmierci człowieka.

Bywały chwile, gdy już odczuwała niewysłowione tchnienie idące stamtąd. Zdarzały się mgnienia jak błyskawica, których tysiąc zmieściłby się w jednej sekundzie, przenikliwe, niedozniesienia rozkoszne momenty objawienia i ekstazy w obliczu otchłannej tajemnicy. Wabiło ją niezwalczonym czarem, porywało i wchłaniało w siebie Wielkie Nieznane.

W tydzień po wyroku Eva z przymusem i z nudą pomyślała wreszcie o pewnych sprawach ostatnich. Obyczaj czy obowiązek a raczej konwenans, który w

śmiesznych rzeczach ludzkich miesza się do wszystkiego, nakazuje skazańcowi w obliczu śmierci pisać ostatnie listy, pisać swą ostatnią wolę, by zarządzić tem, co zostaje po nim na ziemi. Pełne powagi są słowa Pisma — rozpraw dom twój, albowiem umrzesz a żyć nie będziesz — ale cóż ona ma do rozprawienia?

Nie ma nikogo bliskiego, kogo chciałaby pożegnać. Zostawia spory majątek bez spadkobierców — cóż ją obchodzi, co się z nim stanie? Niech się o to kłopocą inni, ona już zakończyła swoje ziemskie sprawy. Wreszcie zmusiła się i napisała parę słów serdecznych do senatora, bądź co bądź był on jedynym na świecie, który do końca pozostał jej wierny. Zmusiła się tego dnia jeszcze raz i sformułowała jednak w kilku punktach swoją ostatnią wolę głównie przez wzgląd na miłe dwie towarzyszki i na zacną klucznicę, którym trzeba było zostawić jakiś dowód pamięci. Pani Pelouse i pannie Tourly wyznaczyła po 50 tysięcy franków, po 25 tysięcy klucznicy, zacnej pani le Pailleur, dwum aresztantkom — posługaczkom korytarzowym i wreszcie siostrze Melanji. Pociągnęło to za sobą dalszy mus pomyślenia, co uczynić z resztą. Ufundować jakąś szlachetną instytucję? Obarczyć tem któregoś ze znakomitych humanitarystów Europy? Oddać te parę miljonów prezydentowi Wilsonowi na użytek jego głośnych utopij wszechludzkich? Zapisać na odbudowę katedry w Reims czy bibljoteki w Louvain? Nie chciało jej się nad tem rozmyślać.

Wreszcie za sprawą przelotnego wspomnienia — upalny dzień, cień platanów, bezmiar błękitu wody i błękitu nieba,

śnieżne szczyty Dent du Midi, pokreślone płatami śniegu... Napisała — poza powyższemi legatami zostawiam cały posiadany przeze mnie majątek w kapitałach, papierach, akcjach, w nieruchomościach i ruchomościach do rozporządzenia panu Darbois, majorowi armji francuskiej oraz panu Kunert, kapitanowi armji niemieckiej, którzy są obaj internowani w Lozannie jako ciężko okaleczali na wojnie i których łączy wzajemna przyjaźń. Im obu powierzam obmyślenie należytego użycia niego zapisu na cele pomocy i zaopatrzenia dla wyjątkowo dotkniętych inwalidów wielkiej wojny bez różnicy narodowości.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

XIX

Pewnej nocy w trzecim tygodniu pobytu w szpitalu wojskowym von Senden ocknął się ze snu i długo rozglądał się po sali, zastawionej szczelnie tapczanami. W mętnym półzmierzchu-półświetle jedynej oszczędnościowej żarówki potrosze dostrzegał, potrosze tylko wyczuwał dookoła siebie mnóstwo śpiących ludzi. Sapali, charczeli, pojękiwali, co chwila zagadał któryś przez sen. Różne głosy odzywały się corazto z innego kąta, jakgdyby na sali toczyła się osobliwa rozmowa, padały po dwa, trzy słowa pełne znaczenia, które starczały za długie wywody, w pojedynczych zdaniach i w strzępach zdań wypowiadała się tajemna wspólnota tych ludzi, czasami rozlegał się krzyk, wybuchał śmiech, padało jakieś kategoryczne pytanie i po pewnym czasie, jakby po namyśle z drugiego końca sali ktoś na nie odpowiadał na hybił trafił, rzekomo bez sensu, ale Von Senden odgadywał wlot ukryte znaczenie każdego słowa i w skupieniu chciwie podsłuchiwał.

Okrzyki, westchnienia, śmiechy, łkania, skargi, przekleństwa, modlitwy, pytania i odpowiedzi układały się w jego głowie nakształt znaków tajemnego pisma, które wnet odsłoni się przed nim, gdy tylko wprowadzi w ten chaos swój własny klucz, wiadomy jemu jednemu. Zasłuchany macał obok siebie na stoliku przy łóżku, szukając papieru i ołówka, gdyż słowa i zdania, pytania i odpowiedzi a szczególnie ich kolejność zaczynały się gubić w pamięci. Ręka szperała między gratami, przewracała

buteleczki, ale on już zapomniał o papierze i ołówku. I tak w pogwarze uśpionych warjatów zaczynał rozumieć, o co im głównie chodzi.

Do skołatanych głów dopiero nocą pod postacią widziadeł sennych dochodzi do głosu utracona świadomość, a nawet więcej — nawiedza je mądrość, która jest nie z tego świata. Całemi dniami wygadują brednie i urządzają awantury jak ostatnia hołota, irytują, śmieszą, a nadewszystko przeszkadzają i nudzą w sposób okropny.

Zato sny, które ich nękają, muszą być niezmiernie ciekawe, bo jeżeli sny normalnego człowieka bywają najczęściej bez sensu a nieraz wręcz obłąkane, to u nich zjawy senne sięgają najgórniejszego stopnia obłędu, gdzie roztwiera się już jakaś otchłań objawienia, przewyższająca wszelki ludzki rozum. Szkoda, by ta wiedza gubiła się w pustce i marnowała się dla ludzkości. Kto uratuje z niej bodaj cząsteczkę, wykradnie święty ognik z pałającego słońca boskiej mądrości, dźwignie się z nędzy ziemskiej ku ponadczłowieczeństwu... Von Senden, trapiony bezsennością, podsłuchiwał gorliwie po nocach i gromadził fantastyczny materjał.

Sam w sposób wyrafinowany symulował obłęd. Pisał memorjały i skargi do władz szpitalnych, do ministerstwa, do Wielkiej Kwatery Głównej, raz nawet puścił się na zażalenie na imię samego cesarza.

Zaco go trzymają między warjatami? Domagał się sprawiedliwości i kary za zabójstwo żony, jeżeli samosąd nad agentką nieprzyjacielską wogóle może być karalny. Za swój czyn jest całkowicie odpowiedzialny, jest w pełni

władz umysłowych. Uprasza o bezstronną ekspertyzę. Jest nałogowym alkoholikiem, co nie znaczy, żeby miał być koniecznie obłąkanym. Uprasza o przeniesienie do więzienia, tem bardziej, że przebywanie z warjatami przeszkadza mu w pracy literackiej i opóźnia pojawienie się wielkiego dzieła, które w pierwszym swoim tomie wskaże jak zakończyć zwycięsko wojnę, w drugim — postawi zasadnicze tezy, na których mają się oprzeć warunki trwałego pokoju, wreszcie w trzecim i ostatnim da Konstytucję Federacji Europejskiej, która odrodzi świat. I tak dalej...

Nie miał jeszcze ani jednego momentu, w którymby pożałował swego strzału do Grety w Luisenparku. Nie zamierzał jej bynajmniej karać za zdradę ojczyzny, ani mścić się na niej za własne krzywdy — o tem teraz jakgdyby zapomniał. Sprawa uczyniła się bardzo prosta — musiała zginąć, albowiem groziła, że wyda policji doktora Helma, co obaliłoby cały plan ratunku przyjaciela i zniweczyło wyjątkowy eksperyment, którego wyniku oczekiwał z najwyższą ciekawością.

W głowie krążyły mu pomysły licznych powieści, ludzie nieistniejący błąkali się w jego wyobraźni całemi gromadami, szukając przydziału do przyszłych utworów. Wybierał z pośród nich różne osobliwości, szeregował je, przegrupowywał, wyznaczał im role, wybierał dla nich dolę lub niedolę, dawał im bajeczne karjery, pogrążał w nędzy, rozpieszczał i krzywdził, kazał im się miłować, nienawidzić, rodził ich, wychowywał, żenił i uśmiercał.

Czuł się pogodnie i zdrowo, pomimo że oddawna nie

widział kropli wódki.

Uroiło mu się, że spotkanie z rzekomym Ossianem Helmem było jednym z wielu niedocieczonych celów tej zawieruchy światowej i wypełnieniem jego przeznaczeń. Że zabójstwo Grety uwolniło go od udręczeń i dawnych upiorów i obmyło go ze wszystkich brudów żywota. Teraz poczynał się w nim jakgdyby nowy byt, odrąbany radykalnie od wczorajszego dnia i od wczorajszego von Sendena, ex-bohatera, bankruta i pijanicy, który wałęsał się po świecie niewiadomo poco. Na progu swego nowego istnienia był pełen otuchy, nawet radości, ileż wybitnych czynów czeka nań, a wszak poza nim nikt ich nie dokona!

Najpierwsze dzieło to odkrycie tajemnicy wojny, nieprzeniknionej dla najtęższych umysłów świata, nic mówiąc już, pożal się Boże, o wodzach i głównych kwaterach, o panujących cesarzach i królach, ich Kanclerzach i ministrach, o prezydentach wojujących republik i ich demokratycznych parlamentach. Te naczelne czynniki wojny zbyt są zaprzątnione mordowaniem się wzajemnem, lizaniem swoich ran oraz fabrykacją kłamstw, mających za zadanie osłonić ich przed odpowiedzialnością za cudzą krew przelaną i za własne kolosalne błędy. Filozoficzni czy ewangeliczni moraliści, socjologowie — pacyfiści o wielkich imionach, siedzący w zaciszu państw neutralnych, zbyt są przytłoczeni uczonością tudzież własną szlachetnością, by mogli spostrzec żywą prawdę wojny. Zresztą, brak im odwagi, jedni nie śmią porwać się przeciwko histerji i zdziczeniu opinji całego świata, a reszta poprostu po ludzku boi się omylić w ocenie zjawisk i w stąd

płynących proroctwach. Najlepsi z nich milczą, pomniejsi w licznych broszurach, artykułach, wywiadach produkują swoje gorzkie żale i górnolotne frazesy. Wypadało, że ktoś inny musi ich zastąpić. Któż to będzie?

Von Senden nie uląkł się ogromu zadania ani nawet własnej wielkości. W zażaleniach do władz pisał o swoich wielkich zamiarach z perfidną intencją umocnienia kogo należy w przeświadczeniu, że jest obłąkanym manjakiem, bo tak mu wypadało z wyrachowania jako symulantowi, który chciał uniknąć sądu i kary, ale wiedział doskonale, że znajduje się w pełni zdrowia intelektualnego, a od niejakiego czasu ma w sobie poczucie z dnia na dzień wzrastającej genjalności. Jakto — aż tak? No tak.

Tajemnica wojny nie da się ogarnąć odrazu w proroczej wizji ani w godzinie twórczego natchnienia, nie da się wyrazić w paru tezach i w tyluż artykułach broszury. Czuł ją w sobie całą swoją istotą jak matka w łonie dziecię przyjść mające i wiedział jak każda matka, że trzeba długiego czasu i zmagania się ze sobą w cierpieniach, by wypełniło się misterjum stworzenia nowego życia. Zanim to się dokona, należy w szeregu prac, wypadów w głęboki teren wojny, przeprowadzić badania jej dzikich ostępów, zagłębić się w nią jak w mroki puszczy straszliwej i mylnej, krążyć, błądzić, wracać i powracać, aby wreszcie dotrzeć do jej ukrytego jądra i wydrzeć jej tajemnicę.

Napisze mnóstwo opowiadań — studjów, gdzie da upust swej nieokiełznanej wyobraźni, ale wśród jego fikcyj i ludzi zmyślonych nie będzie literackiego ozdabiania i pogłębiania faktów, czyli wewnętrznego fałszu — od tego

są inni, zawodowi poeci, ongiś mistrze gęsiego pióra a obecnie watermana lub maszyny do pisania, w istocie zawsze ci sami, z powołania i z tchórzostwa unikający prawdy, dotknięci fobią rzeczywistości. Von Senden nie będzie u nich szukał wzorów, nic zaimponuje mu żadne głośne imię, bo każdy z mistrzów natychmiast potknie się i nakryje się nogami, niech się tylko zapędzi na zdradliwy teren wojny.

Von Senden, chwała Bogu. nic umie pisać, von Senden nie wpadnie w słowochwalstwo kunsztu literackiego ani w inne zalety obowiązujące i nałogowe w tym wysokim zawodzie. Słowem, początkujący pisarz von Senden nie zbłaźni się jak tylu innych, którzy się porywali ze swojem piórem na wojnę — albowiem ten von Senden dobrze wie, co nie przystoi i czego nie wolno, gdy się zamierza opisywać rzeczy wojny, sprawy potworne w swojej dzikiej prostocie.

Na początek — powiastki o warjatach wojennych. Przyszło do tego z woli przypadku, który wtrącił między nich autora. W czwartym pawilonie na obu piętrach mieściło się dwustu osiemdziesięciu oficerów, prawe skrzydło zajmowali furjaci i niebezpieczni, lewe porażeni zupełnym idjotyzmem, pośrodku olbrzymia większość, kategorja tak zwanych spokojnych, nieuleczalnych, zatwardziałych w obłędzie. Wśród nich sporo osobników niezupełnie pewnych, poszlakowanych o symulację, pozostających pod obserwacją, a między nimi von Senden.

Porucznik Frolick, sąsiad z prawej strony, lotnik, wrzeszczał po nocach, gdyż co noc i to po parę razy śniło

mu się niezmiennie, że spada zestrzelony, i co gorsza nie może nigdy spaść i skończyć z udręczeniem, a lecąc wdół pali się żywcem. Von Senden z litości zwykle go budził, ale nieraz pozwał mu się męczyć, wsłuchując się w zdławiony ryk istoty palonej żywcem. Dawało mu to niejakie pojęcie o ostatnich sekundach człowieka przed samą śmiercią, pozwalało z samego natężenia i barwy krzyku wnioskować o ciekawym momencie, gdy to człowiek krzyczy jeszcze, choć właściwie już nie żyje. Porucznik Frolick dopiero od sąsiada dowiedział się, że jego nazwisko w języku angielskim oznacza — wesoły, swawolny. Wyznał, że był takim od urodzenia i nie stracił humoru na wojnie, aż dopóki dla urozmaicenia sobie monotonnej służby w piechocie nie przeniósł się do lotnictwa — wspaniała broń! Ale gdy po wyszkoleniu i wielu lotach wywiadowczych wysłano go po raz pierwszy z bombami na Paryż...

Dnia onego, gdy z dwóch tysięcy metrów tuż przed wschodem słońca ogarnął oczyma ogromną zjawę miasta, zapomniał na długo, chyba na kilka sekund rozkosznych i straszliwych i o swoich bombach, i o wojnie... Opętał go przedziwny sen, a śnił go młody malarz, który śpi w swojej pracowni — o tu, tu właśnie na ulicy Campagne Premiere, którą widać najwyraźniej jak odchodzi wbok od szerokiego pasma bulwaru Montparnasse... To on sam, ten z przed wojny, wesoły i swawolny, zakochany w sztuce, w Paryżu i w swojem rudowłosem anielskiem djablęciu, które śpi teraz w jego ramionach... Widzi siebie i ją, widzi każdy sprzęt pracowni, zasmarowane płótna, na wszystkich ścianach akty, studja, martwe natury, łamigłówki kubistyczne i

kartony do wielkiego dzieła „Dziewiąta Symfonja“... Na stole wśród przerozmaitej rupieciarni w bretońskim garnku gałązka kwitnącej jabłoni, powiew poranny wydyma zasłonę okna ciemno zieloną w białe koła i chwieje tekturowym modelem Bregueta, zawieszonym u stropu...

Na huk motoru Nini otwiera szeroko swoje skośne zdradzieckie oczy, zrywa się, podbiega do okna, jest naga, smukła, nikła jak trzynastoletni chłopiec.

— Will! Prędzej!! Aeroplan!

Z wyżyny dwóch tysięcy metrów wyraźnie widzi ją w oknie, w ciągu czterech lat nic się w niej nie zmieniło. Porwał go gniew, szał... — Kto śmiał zająć jego pracownię? Kto mu zabrał kosooką Nini?! Kto mu odebrał ukochanie jego duszy — Paryż?

I ocknął się. Mocno chwycił za stery, nacisnął pedały, motor zawył i aparat frunął stromo ku górze, Paryż zaćmił się niebieskawą mgłą. Co chwila przed nim, za nim, na prawo, na lewo, pod nim, nad nim wytryskały białe, okrągłe, kuliste obłoczki szrapnelów. Czerwony krąg słońca wyjrzał ku memu zza horyzontu, ale Paryż tonął jeszcze w cieniu. Łzy zaszkliły się w oczach i przeszkadzały patrzeć, łzy rozpaczy za młodością i szczęściem, za tem co minęło i sczezło, zabite przez wojnę. Nie zważając na ogień bateryj przeciwlotniczych, obniżył się i jeszcze raz okrążył miasto. Szczęśliwie dotarł do linji niemieckich a bomby powyrzucał gdzieś po drodze — on miałby bombardować swój Paryż?

Pięciokrotnie przeżywał ekstazę lotów nad Paryżem, widział go o świcie, o zachodzie słońca, oglądał go

spowitego w mgłę, oglądał go w całej wspaniałości w przezroczu pogody i w fantastycznych wycinkach, połaciach i smugach poprzez przerwy między chmurkami. Napawał się rozkoszą, promieniał szczęściem, krążył i krążył nad miastem, igrał ze śmiercią. Ani razu ani jeden pocisk nie padł tam z jego ręki.

Przyszedł czas na ciężkie trzymotorowe aparaty niszczycielskie, ładowne pociskami do tysiąca kilogramów, już nie wyjeżdżał sam. Odtąd, gdy docierali do granic miasta, gdy z wyżyny dostrzegał srebrzysty łuk Sekwany, mosty, Notre Dame, Panteon, Sacré Coeur na wzgórzu Montmartre'u, Are de Triomphe, kopułę Inwalidów, za każdym razem bądź uszkodzenie motoru, bądź zamulenie dopływu benzyny, oliwy, bądź rozluźnienie linek sterowych zmuszało go do Spiesznego odwrotu, a dla ulżenia ciężaru i możności ratunku potężne bomby padały byle gdzie, nigdy ani jedna nie uderzyła w Paryż.

Wreszcie jego raporty wydały się podejrzane w bazie odnośnego centrum lotniczego, wpłynęły tajne zaskarżenia ze strony towarzyszących mu kolegów obserwatorów i of, cerów niszczycieli. Pewnego razu po powrocie z nieudanego raidu na Paryż natychmiast po wylądowaniu przeprowadzono ścisłe badanie motorów, sterów — wszystko było w porządku. Porucznk Frolick, postawiony przed komisję śledczą, wyznał prawdę.

On ma bombardować Paryż, to dojrzałe dzieło sztuki, świętość kultury, ukochanie wszystkich narodów świata? Nie. Zato podejmował się nieopisanie ciężkich lotów na Londyn, na Lizbonę, na Turyn, Medjolan i Rzym. Ze

spokojem manjaka, z żelazną logiką obłąkanego, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły przedsięwzięcia, planował lot za ocean, na New York, na Washington i domagał się jak łaski, żeby puszczono jego właśnie na pierwszy próbę — i prosił najposłuszniej ale stanowczo, żeby go więcej nie wysyłano z bombami na Paryż, bo on się tego nie podejmie.

Było to tak niesłychane, że tylko jeden z członków komisji był za przekazaniem sprawy sądowi polowemu, orzeczono, że porucznik Frolick jest obłąkany. Lekarze znaleźli w nim nieuleczalny spokojny obłęd w skutku dawnego szoku od wybuchu miny oraz dwóch kontuzyj, nadaremnie protestował, upierając się, że jest zupełnie zdrowy.

Sąsiad z lewej strony, miczman floty wojennej Stier, oficer telemetrysta na krążowniku bojowym I. C. M. Derfflinger, zwarjował w toku bitwy pod Jutland-Skagerrack. Zachowywał się spokojnie, nawet ospale, ale co noc w snach przeżywał na nowo jedyne w dziejach wojny wiekopomne i krwawe, nierozstrzygnięte i nanic nie przydatne żadnej ze stron walczących, wielkie starcie głównych sił morskich, w którem zarówno niemiecka ’Hochseeflotte jak i brytyjska Grand Fleet każda sobie przypisywały zwycięstwo. Von Senden ani razu nie zdołał wyciągnąć go na opowiadanie, miczman Stier wymawiał się, twierdząc, że w końcu rozprawy już nocą doznał jakiegoś porażenia, które odebrało mu nazawsze pamięć o sławnej bitwie i dopiero później z opisów uczestników, umieszczonych w gazetach, oraz z opowiadań pozostałych przy życiu kolegów z Derfflingera a także ze snów,

dręczących go po nocach, dowiedział się szczegółów wiekopomnego zdarzenia dziejowego, w którem sam brał udział. Von Senden nie wiedział co o tem myśleć, lekarz dr. Joos również kręcił głową na takie „porażenie“. Zato nocami sąsiad gadał chętnie i bodaj aż natrętnie majaczył na głos o zapomnianych okropnościach. Były to potargane strzępy opowiadań, wrzaski przerażenia, komendy, meldunki o uchwyconych odległościach, jęki, płacz... Rzucał się we śnie, aż żelazne łóżko chrzęściało pod nim, dygotał, szczękały mu zęby i to wieczne — boję się, boję się, boję się — gdy raz w nie wpadł, powtarzało się bez końca od szeptu do krzyku w niezliczonych, targających za serce odcieniach i tonacjach. Rzadko wstawał z pościeli, nic nie czytał, do nikogo się nie odzywał, wylegiwał się, godzinami patrząc w sufit, był tak dalece pozbawiony woli, że w ciągu całych dni nic mógł się zdobyć na to, żeby sięgać po jedzenie, które stawiano mu na stoliku przy łóżku, i wówczas sąsiad karmił go jak małe dziecko.

Von Senden nie dał się uwieść pozorom, ale długo nie mógł go na niczem przyłapać, coprawda niezawsze miał go na oku, gdyż godzinami włóczył się między ludźmi po wszystkich piętrach pawilonu dla swoich studjów, a resztę dnia spędzał w zacisznym pokoju swego przyjaciela doktora Joosa, gdzie mu nikt nie przeszkadzał w pracy literackiej. Aż pewnej nocy podpatrzył, udając śpiącego, jak miczman, obejrzawszy się dookoła, upewniwszy się, że sąsiad z prawej strony naprawdę śpi, wydobył z pod poduszki gruby blok notatkowy i zaczął pisać jak każdy prawą ręką, w której rzekomo stracił władzę. Oho...

Następnej nocy powtórzyło się to samo, von Senden umierał z ciekawości. Miczman pisał bardzo krótko, najwyżej pięć minut — kilka słów, parę wierszy, kładł blok z powrotem pod poduszkę i zasypiał. Von Senden nie mógł już wytrzymać — ten scichapęk, ten cwaniak spisuje swoje sny! Gdy miczman zasnął i wśród jęków, zgrzytając zębami, zaczął przeżywać swoją bitwę — najostrożniej, z powściągliwością ale i bezczelną odwagą zawodowego złodzieja wsunął mu rękę pod poduszkę, z braterską czułością uspokajał nieszczęśliwego, pomrukując ciepłe słowa otuchy i współczucia...

Poczem odwrócił się do niego plecami, zachrapał i, wsłuchując się w każdy oddech śpiącego, rzucił się na notatnik.

— Aforyzmy symulanta wojny światowej. Bardzo tajne! Odkrycia zrodzone podczas boju w dniach 16 — 17 kwietnia 1916 w wieży pancernej „Berta“ na krążowniku bojowym J.C. M. Derfflinger. Prawdy objawione we snach. Domysły. Bruljony przyszłości. Varia.

Gorączkowo, ostrożnie przewracał kartki, szukał zapowiedzianych rewelacyj, czytał pobieżnie, w pośpiechu, parę razy prychnął ze śmiechu i tak dobrnął do końca, ostatni „aforyzm“ z datą dzisiejszej nocy (z przed godziny) brzmiał:

— Na powszechnym konkursie szpiegów najwyższa nagroda podłości należy się temu, który podsłuchuje i okrada śpiących.

Von Senden przywarował, skulił się, przysiągłby, że w tej właśnie chwili miczman Stier, który przyczaił się tylko i

udaje że śpi, porwie się na niego z pięściami... Nie! Więc conajmniej drwi z niego na potęgę i za plecami pokazuje mu język...

Miczman spał, ale oddychał podejrzanie miarowo i spokojnie. Ochłonąwszy, von Senden zaczął od początku i czytał uważnie.

...Kiedy płoną ogniem pancerne płyty stalowe — to wiadomo, że pali się minium, kiedy pożoga przerzuca się na amunicję i dwudziestocentymetrowe pociski buchają płomieniem a nie eksplodują, jest to kwestja gatunku prochu, ale jak się widzi, że woda pali się w płóciennych wiadrach, przygotowanych do gaszenia pożaru, dopiero się wie, co to jest bitwa morska.

...W niepokoju, tęsknocie miljonów żon i matek za miljonami mężów i synów, w ich rozpaczy po stracie ukochanego zawiera się kolosalna masa potencjonalnej energji nerwowej, puszczonej na marne. To samo w strachu miljonów żołnierzy na polu walki, na morzu i pod wodą, w powietrzu i pod ziemią... W męce i bólu miljonów rannych na pobojowiskach i na stołach operacyjnych... W cierpieniach miljonów kalek, oślepłych, bezrękich, beznogich, przetrąconych, oszpeconych... W poniżeniu i poniewierce miljonów jeńców... Mędrcy i fachowcy! Pomnóżcie utraconą masę energji przez cztery lata wojny i zastanówcie się nad możliwością akumulowania i wykorzystania tej siły nieskończenie wielkiej przez odpowiednią psychotechniczną aparaturę. Co za otchłanne absurdalne marnotrawstwo! Przyszła wojna temu zapobiegnie.

— Modlitwa żołnierza o szybkie zakończenie wojny.

Gdy krew się leje,
Bóg płacze, djabeł się śmieje.
Niech ci się zgodzą
Bądź spokojny —
Bo jak się zgodzą
Nie będzie więcej wojny.

. . . . . .

— Święty Boże, Panie nasz,
Daj już pokój światu!
We krwi brodzim aż po pas,
Zabrakło granatów!

. . . . . .

— Mam ja w niebie piękny łup,
Djabłu w piekle ciasno...
Pogadałem z potępionym
Uczciwie i jasno:
— Kończymy tę głupią wojnę!
Stanęła ugoda.
Ale nie chcą Vickers, Krupp,
Ansaldo i Skoda.

. . . . . .

I rzecze Pan
Do Schneidera, do Armstronga:

— Bellum breve, ars longa —
Kujcie miecze na lemiesze,
Pokojem świat ucieszę!
— Pokój?!
Dajże Pan spokój!
Mamy czas, nam się nie śpieszy.

...Lejtenant Truthahn spalił się żywcem w wieży pancernej, naprawdę wyglądał potem jak ogromny pieczony indyk. Odfotografował go na miejscu miczman Zabel na pamiątkę dla nieutulonej wdowy jako ostatnie zdjęcie nieodżałowanego bohatera.

W gazetach napisali
Poległ na polu chwały,
Zato mu córy Renu
W Walhalli..... dały.

Gdy szczęśliwie dobrnęliśmy do Kiel i miczman Zabel wywołał i skopjował kliszę, okazało się, że tłem fotografji są rozwieszone na drabince stalowej nawet z pewnym gustem girlandy i festony z flaków, nerek, serca, prawej dłoni i jeszcze z pewnego szczegółu anatomicznego... Wszystko to należało niegdyś do starszego kanonjera, nazwiskiem Jurisch. Całość tworzyła obraz, na jaki nie zdobyłby się stary Wiertz, ani nasz Sascha Schneider

...Na dwa nasze naczelne hasła w tej wojnie — Nach

Paris! i — Gott strafe England! — Wilson w ostatniej chwili dopisał piętnasty paragraf — Niemcy mają dostarczyć Francji miljon protokularnie sprawdzonych, zdrowych chłopów dla odbudowy zniszczonych terenów w naszej cztery lata trwającej drodze do Paryża oraz dla reperacji ludnościowej, a w szesnastym i ostatnim paragrafie domaga się wydania Anglji całej naszej floty, ale — wyręczając niemieckiego Boga — z nieodzownym warunkiem przyjęcia zarazem na służbę angielską wszystkich naszych admirałów i kontradmirałów dla pokarania dumnej Anglji.

...Rozkaz dzienny do armji i floty w dniu urodzin Jego Cesarskiej Mości.

Cesarz na was patrzy
Jak z loży w teatrze.
Z nim wszystkie germańskie bogi.
Gdy bohater zdechnie
Cesarz się uśmiechnie,
Bo każdy żołnierz mu drogi.
Kompanja pokotem
Gnije popod płotem —
Nie pomogły żadne maski.
Pancernik już tonie,
Cesarz składa dłonie
I bije trupom oklaski.

...Prezes Międzynarodowego Towarzystwa Czerwonego Krzyża zmuszony jest ogłosić niebawem, że największa śmiertelność w szpitalach wszystkich państw walczących panuje na oddziałach symulantów w skutku nadmiernej gorliwości lekarzy wojennych.

— Jedyną rozrywką żołnierza na wojnie jest strach przed śmiercią, inaczej wszyscy wyzdychaliby z nudy.

— Epitaphium — Epitalaphium (na nutę: „Historja zwyczajna, choć nieobyczajna“...).

Walczył z Francuzami,
Z Anglikami, z wszami,
A gdy już miał dosyć
Nakrył się nogami.
Trzasnął kopytami
I odwalił kitę,
Zostawił w żałobie
Kochaną kobietę.
Miesiąc się bawiła
Swym męczeńskim wieńcem,
A gdy miała dosyć
Puściła się z jeńcem.
Spała z Francuzami
Z Anglikami.....

Von Senden czuł się doskonale wśród nieszczęsnej zbieraniny, on jeden jedyny tutaj przytomny na umyśle. Był w przyjaźni ze wszystkimi, był powiernikiem nawet

najbardziej skrytych, zdziczałych samotników, opętanych manją prześladowczą. Słuchał z ciepłem zainteresowaniem, z dobrocią i z całą powagą absurdów, pokracznych opowieści i zwierzeń o monstrualnych tajemnicach, nigdy nie zabrakło mu cierpliwości ani taktu. Nic go nie zdołało zaskoczyć, nie zdziwił się ani uśmiechnął, usłyszawszy coś przechodzącego bezmiarem absurdu wszelkie granice dopuszczalne nawet dla warjatów. Nie było w nim przymusu ani udawania i koledzy wyczuwali doskonale, że to człowiek szczery, kochano go. Niejeden był zazdrosny o jego przyjaźń i zaufanie, stąd wynikały przykre zajścia, czasami bójki. Von Senden szczerze podziwiał obłąkaną umysłowość, usiłował dociec jej dróg, zwłaszcza odwaga, bogać wo i otchłanne głębie warjackiej wyobraźni zdejmowały go zachwytem. Gdy się już dobrze wżył między nich, miewał sam momenty nawpół obłąkane, z czego dokładnie zdawał sobie sprawę.

Przypuszczał, naprzykład, że społeczność czwartego pawilonu, wyrzucona poza nawias wojny, w porównaniu z tem, co się dzieje poza murami szpitala w kraju i na froncie, jest światem raczej normalnym, zrównoważonym i rozumnym, gdy tam odgrywa się w najlepsze kolosalna tragifarsa masowego obłędu. Tu było spokojne zacisze wśród huraganu, wysepka mędrców na oceanie zawziętej głupoty świata, boska obojętność na absurdy, zagadki, powikłania wojny i na sam jej koniec i wynik, nad czem biedziły się i truchlały głowy sześćdziesięciu miljonów Niemców.

Trzej zapamiętali szachiści, z których dwaj grali po

całych dniach a trzeci był kibicem obserwatorem i doradcą, żyli w najzupełnej harmonji, chociaż major Demeling dowodził, że wojna nigdy się nie skończy, kapitan Ulken uważał to za obłęd, gdyż wojna skończyła się 1 listopada 1914 roku pokojem w Paryżu, a lekarz podpułkownik von Nicken, któremu pod Ypres urwało prawą rękę, uśmiechał się na to pobłażliwie, gdyż wiedział to co i każdy człowiek przy zdrowych zmysłach, że w tych czasach wogóle nie było na świecie żadnej wojny, a to co gadali w szpitalu, były to dziwolągi warjatów. — A gazety? — Gazety mogą być też wydawane przez warjatów. — Jakto, wszystkie co do jednej? Niemożliwość! — Niemożliwe? Sąd bardzo powierzchowny, prawdziwie nicmożliwcm jest dopiero to, co warjaci z gazet wyplatają o rzekomej wojnie. — Panie podpułkowniku, a pańska prawa ręka? — To całkiem inna historja...

Von Senden umiał wznosić się na stanowisko niezależne od kurzawy tak zwanych faktów, dopuszczając wielokrotność równoczesnych rzeczywistości, wyłączających się nawzajem, nie sprawiało mu to żadnego kłopotu. Jeżeli istota bytu i świata pozostaje niepojętą dla umysłu, który operuje tylko jej mętną wizją i przeinaczonem wyobrażeniem jej objektów i spraw, przesuwających się w ciasnem polu jego widzenia, więc prawd o życiu jest tyleż, co wizyj indywidualnych i żadna nie jest gorsza ani lepsza, to oczywiste — a wojna w istocie swej jest sprawą nazbyt fantastyczną, by w pojęciu o niej i w relacjach o jej wydarzeniach można było polegać jedynie na tem, co się jakoby dzieje, choćby się samemu bywało w

jej piekielnym odmęcie i to jeszcze jak...

Najżałośniejsze odpadki wojny, warjaci, ugodzeni w ową niematerjalną abstrakcję, w tak zwaną duszę, o której niewiadomo czy istnieje jako taka, byli wyparci i na zawsze wygnani z życia i jako wywołańcy ludzkości wyzbyli się ludzkich właściwości, zalet i przywar, przyzwyczajeń i przesądów, nakazów i zakazów. Zrywali wszelką więź z dawniejszym światem i zamykali się każdy w sobie, czyli we własnem wyłącznem widzeniu i pojmowaniu spraw ludzkich. O tej porze wojny nagromadziło się ich w Niemczech tysiące i dziesiątki tysięcy, nieinaczej było w innych krajach walczących. Odliczywszy z tej masy gruby odsetek na prawdziwych co się zowie warjatów, beznadziejnie i bezpłodnie zagmatwanych w mroku majaczeń i chorobliwych odruchów — reszta była godną uwagi i pilnej obserwacji, albowiem w tych czasach nie gdzieindziej, lecz między nimi właśnie pokutuje najtajemniejsza prawda wojny, wyrugowana z dusz przez gromadne omamienie, przez dzikie, żywiołowe, nierozumujące instynkty stadne i przez potężną nieodpartą tresurę narodową, państwową i społeczną, która normalnego obywatela państwa trzyma jak w kleszczach od dzieciństwa do grobu. Ta prawda, świtająca w potarganych mózgach, w zranionych duszach obłąkanych żołnierzy, pomimo całego szaleństwa indywidualności dzielących każdego z nich od reszty, jest w swojej istocie jedną i tą samą dla wszystkich, jest prawdą absolutną i powszechną. Unosi się ona ponad świadomością nieszczęsnych posiadaczy tajemnicy. Jest jedną i wspólną dla obłąkańców

obu stron walczących, gdy przestali już być dla siebie wrogami.

Jak ją wydrzeć? Von Senden nawet się nie pokusił o przeprowadzanie ankiety lub rzeczowych, celowych dochodzeń, gdyż odrazu wpadł na jedyną właściwą drogę — nie spał po nocach i podsłuchiwał. Nieraz cała noc schodziła mu na niczem, na słuchaniu steku głupstw bez sensu i znaczenia, nieraz z bałamutnego chaosu słów wyławiał okruch, ślad, cień poszukiwanej prawdy i przechowywał go jak skarb, gromadząc wyborowe przyczynki w swoim specjalnym notatniku. Miał ich pod ręką cały szereg według najróżniejszych pomysłów i problematów i strzegł ich zazdrośnie, nie broniąc jednak zaglądać do nich czasami lekarzowi zakładowemu, który bardzo interesował się jego natężoną pracą umysłową. Von Senden wiedział co robi, poprostu chciał utwierdzić głupiego doktora w przekonaniu, że jest naprawdę obłąkanym i dopiął celu. Doktór ze szczególnem zajęciem odczytywał co parę dni dalszy ciąg fantastycznego dziennika, prowadzonego przez oficera francuskiego kapitana Claude'a Déspaix, który uciekał z niewoli przez front, zaciągnąwszy się jako ochotnik do niemieckiej armji. Doktora pochłaniała niesamowita fabuła opowieści, ale sam pomysł uznawał za płód obłąkanej wyobraźni.

Karty polowe od przyjaciela dochodziły go co parę dni, były skąpe i nijakie, wkońcu ochotnik Helm uskarżał się na wyczerpanie i lękał się, by go nie odesłano do szpitala.

—...Chciałem okazać hart i męstwo — a tu masz... Byłaby to w mojem położeniu tak haniebna farsa... Śmiej

się, przyjacielu, ile wlezie i to za nas obu, bo ja nie będę ci mógł wtórować. A teraz... Nie wiem nawet jak zacząć o tragicznem wydarzeniu w Luisenparku, o czem dowiedziałem się z gazet, spóźnionych o dwa tygodnie — przerzucono nas daleko, jesteśmy w ciągłym ruchu i poczta goni nas po świecie. To też od ciebie nie miałem dotychczas ani słówka i czuję się bardzo osamotniony, nie mam pojęcia gdzie się znajdujesz i co się z tobą dzieje w następstwie wiadomego faktu...

Von Senden był oburzony, mijały dwa tygodnie od czasu, gdy tak zwany Helm wyprawiony został w pole z kadry w Kolonji z bataljonem marszowym. Nie wiedział gdzie znajduje się jego pułk, ale armje są w odwrocie na tylu odcinkach frontu, że niepodobna, aby aż dotychczas nie dało się znaleźć dogodnego momentu. Jego kapitan Claude Déspaix też nie dokazał jeszcze cudu, ale spisywał się lepiej — nie tracił czasu, już w dziesięć dni po przybyciu na pierwszą linję notował w swoim dzienniku:

...Na patrolu nocą zabłąkałem się w lesie. Przespałem resztę nocy pod stogiem. O świcie obudził mnie patrol francuski — trzech żołnierzy z podoficerem. Wracamy ku swoim. W pięknym zakątku na polance w cieniu bratamy się, żołnierze zachwyceni, wielkiemi łykami popijamy ordinaire. — Ale wina to u Boszów nie dają? Już nie zdążyłem odpowiedzieć, od tyłu z gęstwiny wypadli Niemcy. Podoficer miał rewolwer pod ręką, zdążył raz strzelić. Na nieszczęście głupi trafił — roznieśli ich wszystkich na bagnetach. Na polankę wychodzi z lasu pluton w linji tyraljerskiej. Cudem uwolniony płaczę z

radości. — Znowu czuję się Niemcem. Byłem Francuzem przez niecałą godzinę.

...Odwrót na całym odcinku naszej armji, ale pułk nie ma kontaktu z nieprzyjacielem. Żniwa, nigdzie nie widać koni, do wozów wprzęgnięte na postronkach gromady kobiet. Pułk przechodzi przez jakieś miasto. Sklepy puste, ludzie obdarci, wynędzniali z głodu patrzą na nas w milczeniu, we wszystkich oczach radość.

...W nocy przerwali nas na lewem skrzydle, teraz ich kawalerja wyprzedziła nas i idzie przed nami, pułk rozwinięty frontem do przerwy. Muszę się czemś odznaczyć, zgłosiłem się na ochotnika na głęboki nocny wypad.

...O świcie pierwsze starcie — trafiliśmy na czarnych, obskoczyli nas ze wszystkich stron. Bronimy się i ja kłuję bagnetem na prawo i na lewo niegorzej od innych. Żadnej możności porozumienia. W nocy postawili mnie na straży jeńców — trzy godziny stałem przy drzwiach w izbie pełnej oficerów. Leżą pokotem na słomie i gadają. Dziwnie osobliwie działa na mnie melodja mowy francuskiej. Uroiło mi się — (zapewne z niewyspania — trzecia noc na nogach) — że rozumiem każde słowo. Niewiele brakowało a wmieszałbym się do rozmowy, coś mnie kusiło, coś mnie pchało — było to jak przez sen. Ale przyszła zmiana.

Początkujący autor przerabiał w wyobraźni wszelkie tarapaty, jakie tylko mogły a więc powinny były nastręczyć

się jego bohaterowi. Namnożył tego odmęt, dzień po dniu kapitan Déspaix bądź zbliżał się do swego celu, bądź oddalał się, odpychany przez nieprzewidziane okoliczności. Okoliczności bywały dziwne, niesamowite, upiorne, okropne, wreszcie i komiczne... Czy nie przesolił w nadzwyczajnościach? Rutyna żołnierza ostrzegała go, że takie rzeczy odbywają się daleko prościej. Zapewne, ale gdyby w literaturze opisywano ludzkie sprawy zwyczajnie, tak jak się one dzieją naprawdę, to nie byłoby właściwie żadnej literatury. Czytelnik domaga się od powieści właśnie tego, czego w życiu nie widzi i czego w życiu nigdy nawet nie bywa. Brnął dalej.

Wreszcie sam miał tego dosyć i chciał już skończyć, oczywiście z wynikiem pomyślnym. Déspaix miałby zginąć? Właściwie powinien był zginąć i to sto razy, ale niebawem zdrów i cały znajdzie się wśród swoich Francuzów, to się zrobi.

Wyobraźnia ponosiła go.

Dalej, po całej tej wojnie — w Paryżu. Café de la Paix, siedzą razem, smokczą absynt, wpatrzeni w siebie przez stolik, sami nie wierzą w to, co przeżyli. Będzie to ich czwarte spotkanie, a dopiero pierwsze, które można uznać za ludzkie, czyli dopuszczalne w prawdziwem życiu. Tamte, zwłaszcza dwa — w Genewie i w Mannheimie, były wręcz niemożliwe, wykluczone. I cóż z tego? Są faktem. Każdy zbieg okoliczności w ludzkich spotkaniach to rzecz przypadku i już, tak się mówi dla ordynarnego uproszczenia, gdy tymczasem każdy traf zawiera w sobie otchłań mistyki. Cóż to znaczy? Oto, że ich losy sprzągł

ktoś i związał — dowodem tego (niechno to ktoś inaczej wytłomaczy!), jest fakt, że podwinęła się tu jeszcze Greta i na własną zgubę wpakowała się między nich... Dziwotwór zrodzony z czadu wojny wchodzi ze swoją intrygą między dwie postacie w realizmie spraw ludzkich niejako urojone! Na dobitkę tych dwoje byli szpiegami, bo tak się to nazywa, a i on sam, gdyby go nie wyrzucono za pijaństwo, byłby również szpiegiem do dzisiejszego dnia...

Znowu zdumiewający traf! Tylko traf, nic więcej? I zaledwie, jak się to mówi, — zdumiewający? Nie — wolne żarty...

Zagłębił się w dociekaniach nad zagmatwanym splotem wydarzeń, które wszak nie urwały się jeszcze. Kto wie, co ich czeka dalej? Wszystko, co z nimi było, sprawiła wojna, ona to napisała pierwszy akt ich wspólnej doli, okopy pod Bois de Colombe, ich walkę na noże i wspólny grób. To nie epizod, jaki na wszystkich pobojowiskach tej woj ty mógł się powtórzyć conajmniej już z tysiąc razy pomiędzy przeciwnikami. Nie. To był ich prolog. Teraz — przerwa przed aktem drugim, zmiana dekoracji z wojny na pokój zabierze sporo czasu i da swoje nieodgadnione możliwości sceniczne, wreszcie w którymś roku, w pewnym dniu, o pewnej godzinie uderzy gong i znowu podniesie się zasłona.

Dekoracją będzie Berlin lub Paryż, a może poprostu tylko rozmównica w więzieniu i to znowu w tem samem mieście Mannheim, na wypadek, jeżeli jednak sąd pomimo wszystko nie uzna go za niepoczytalnego i wpakuje go na jakie pięć lat, uwzględniając jego bohaterstwo, czyli

wszystkie zbrodnie na froncie, alkoholizm, no i szpiegostwo Grety na rzecz wrogiego mocarstwa w czasie wojny — czego prawdopodobnie nigdy nie zdoła jej dowieść, tem bardziej, że wywiad niemiecki, broniąc siebie, będzie dobrze bronił swojej wybitnej agentki. W tym wypadku kapitan Déspaix niezawodnie pośpieszy odwiedzie go w więzieniu jak tylko ustalą się stosunki pokojowe. A jeżeli go nie odwiedzi, jeżeli poprostu zapomni o nim? Więc niech lepiej zginie...

Nie, nie zginie, choćby miał zapomnieć. Wówczas on sam przypomni mu o sobie i to bez urazy — wszak kochał go, nie pytając o wzajemność, jego zadaniem będzie zdobyć uczucie zimnego, zamkniętego w sobie Francuza. Zdobędzie go, dowiedzie mu — na co narazie zabrakło czasu — że przeznaczenie związało ich ze sobą. Wyzna mu, że przez niego i dla niego zamordował Gretę. To wystarczy, a w ostateczności...

Objawi mu niesłychane odkrycie, którego dokonał, choć zaprzysiągł sobie trzymać je w wiecznej tajemnicy. Pewnej nocy spadło nań w nieomylnej wizji, w natchnieniu na granicy snu i czuwania, gdy — może po raz setny — zapuścił się wyobraźnią w niezgłębiony fenomen ich przeznaczenia — zdumiewającej wspólnoty losów, za której sprawą odnaleźli się w oceanie ludzkim, wzburzonym przez huragan wojny...

Niema na świecie człowieka, któryby mu uwierzył. Ale Déspaix uwierzy, gdy mu powie na początek z całą ostrożnością, że posiada dużo danych...

Że sprawy najogromniejsze, wszechludzkie obok tysiąca

przyczyn objektywnych, rzeczowych mogą mieć i prawdopodobnie miewają jeszcze jedną przyczynę ukrytą, mistyczną, mającą swoje źródło w trzeciej potędze wielkiej magji, o której mało kto wie, ale jej niezwalczona władza rządzi światem... Déspaix może nie wierzyć w magję i drwić sobie z jej rzekomych potęg, jak zresztą każdy rozumny człowiek, ale na początek puści się wielką magję jako hipotezę wstępną, przygotowawczą. Różnemi sposobami trzeba go oswoić z zagadnieniem. Skąd się wzięła reformacja wraz z Lutrem? Dlaczego była wielka rewolucja francuska? A Napoleon? Dalej — wielka wojna światowa, rewolucja bolszewicka... Na dnie wszystkich przewrotów w dziejach ludzkości tkwią drobiny niedostrzegalne dla rozumu, pozornie ultra mikroskopowe co do swego znaczenia, w istocie zaś o wadze gatunkowej wprost niezmiernej. Więc...

Von Senden żałował, że nie ma pojęcia o wyższej matematyce ani o filozofji, ani zresztą o żadnej innej dyscyplinie wiedzy poza swojem rzemiosłem żołnierskiem, które nazywają szumnie nauką wojenną. Nic nie ułatwiało mu przekazania drugiej istocie swojej zaiste niesłychanej idei lub choćby zamącenia jej ostrości analogjami naukowemi lub w ostateczności bodaj jaką taką terminologją. Cóż, trudno...

Teologja w ciągu stuleci uzbierała i skatalogowała w oficjalnem credo sporo dowodów istnienia Boga i operuje niemi na użytek tych nielicznych, którzy dla umocnienia swej niezupełnej wiary radziby dotknąć rozumem sprawy niepojętej i wkońcu ani wierzą, ani wiedzą, ale — ludzka to

rzecz — z tą parodją dowodów jakoś łatwiej im dźwigać brzemię wielkiej tajemnicy. Trudno, nie równać mu się z teologami, trzeba natchnąć Déspaix'a wiarą. Gdy go poprosi serdecznie a da mu trochę czasu do namysłu, kto wie, może i uwierzy...

...Że wojna światowa wraz ze wszystkiem, czego już dokonała i co zdoła jeszcze nabroić, ze wszystkiem, co pociągnie za sobą w nieobliczalnych następstwach na całe pokolenia...

Tu się nieco zająknął — czyżby się przestraszył objawionej mu prawdy? No, von Senden, tylko śmiało!

— Widzisz, Claude, po długich rozmyślaniach, po wielu wahaniach, przyszedłem do niezłomnego przekonania, że cała ta wojna zaczęła się tylko poto, żebyśmy się z tobą spotkali. No i już. Dziwne, co?...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

XX

W Provins, w zacisznem miasteczku, dalszem od frontu niż sam Paryż, dokąd wczesną wiosną przeniosła się była Główna Kwatera Naczelnego Dowództwa armji francuskiej, wykurzona z Compiegne przez zapęd ofensywy nieprzyjacielskiej oraz przez groźne raidy eskadr niszczycielskich, w wielkiej pustej sali dawnych koszar dragońskich, gdzie wszystkie ściany pokryte były płachtami map, odrysowanych w skali 1:100, za stołem, założonym stertami papieru w szarych kartonowych teczkach, siedział głównodowodzący armjami francuskiemi Północy i Północnego Wschodu — generał Pétain.

Zgarbiony nad stołem z piórem w ręku dymił cygarem i siedział w swoich papierach, ślęczał, odrabiając pańszczyznę zaległości za całe trzy dni. Papiery, szare teczki, pliki memorjałów, wykazów, raportów, odwołań, korespondencji, dyspozycje, rozkazy, zatwierdzenia, potwierdzenia, konfirmacje, minowania, dymisje, odznaczenia, awanse, dekorowania, pochwały, cytacje, nagany, skarcenia, kary... Ponaglenia, targi, polemiki...

Nieprzyjemności z Paryża, z Ministerstwa, z Izby Deputowanych i nieprzyjemności ze wszystkich odcinków frontu. Wszystkie sprawy wielkie, małe, miłe, niemiłe lub poprostu nudne, wszystkie i każda z nich przybierały wkońcu postać kartki papieru, kilku kartek, zeszytu lub całego naręcza papieru z załącznikami, dokumentami, tablicami cyfr, spisami setek nazwisk, wykresami

graficznemi, mapami, z zaopinjowaniem całej drabiny hierarchicznej i z Bóg wie czem jeszcze.

Wzdychał, pomrukiwał, czasami zaklął po żołniersku, czytał pilnie lub szybko przewracał kartki maszynowego pisma, podpisywał i odkładał, podpisywał i odkładał. Stos szarych teczek po lewej ręce obniżał się niechętnie, stos po prawej urastał raczej teoretycznie, gdyż winien był tak się zachowywać, ale czynił to całkiem niedostrzegalnie.

Zegar wskazywał już dziewiętnastą, za pół godziny już tu będzie stary pan, ten się nie spóźni, nie da mu bodaj dziesięciu minut wytchnienia. Z czem też przybywa dzisiaj? Generał nie spodziewał się po tej wizycie wiele przyjemnego — dzisiaj nie był nawet ciekaw nowych intryg i plotek paryskich ze szczytu Olimpu, omglonego tajemnicami stanu, ani kąsających zjadliwych sarkazmów starego szydercy, ani jego nieporównanych dowcipów.

Dziś chciałby nadewszystko odpocząć — ot, zaraz kazać zaprzęgać i łagodnym truchcikiem pojechać polnemi drogami wślad za tem słońcem, chylącem się ku zachodowi, między płaskie pagórki, pachnące świeżem ścierniskiem, usiane stertami, kępami zarośli, pokreślone smugami zieleni — koniczyny, kartofli, winnic... Zobaczyć na własne oczy, przekonać się, że została jeszcze na świecie odrobina prawdziwego życia, że, pomimo wszystko, pracuje ktoś na polach Francji, że jest gdzieś niesplugawiony zakątek świata, bez ruin, zgliszcz i rozstrzelanych lasów, bez okopów, bez chmur żołnierstwa, bez wycia pocisków, bez rannych i trupów, bez punktów opatrunkowych i przyfrontowych cmentarzy... Bodaj na

jedną godzinę — do djabła — zapomnieć o wojnie...

Na dzisiaj nic z tego. Generał postawił jeszcze jeden podpis, odrzucił wiązkę papieru, wstał, przeciągnął się, zaklął, ziewnął. Wszystkiemi czterema oknami pchał się uroczy, pogodny świat, senne sielskie tchnienie płaskowzgórza La Brie, ruiny twierdzy średniowiecznej, kwadratowa, prarzymska wieża Cezara, bizantyjska bazylika św. Kiryaka, a wszędzie smukłe topole, wystrzelające ponad niskie dachy miasteczka...

Generał opadł z powrotem na fotel, wsparł się na rękach, przymknął znużone oczy i przemordowana pracą, skołatana troskami głowa zaćmiła się na chwilę w półsennem zapomnieniu. Ogrom rzeczy, której przewodził, ciężar odpowiedzialności za straszną grę o zwycięstwo, nawał spraw trudnych i natarczywych, które wisiały nad nim, czekając decyzji, cały jego byt górny, wspaniały i męczeński — wszystko zamąciło się w nim, oddaliło się i zagasło. Chwila żołnierskiego snu, owe napoleońskie trzy minuty oderwania się od rzeczywistości pokrzepiły go znakomicie. Ocknął się raźnie, bodaj, że nawet z pewnym humorem.

— Aha... Dobrze... Słuchajno, Rene, co tam masz dziś na obiad? Lada chwila nadjedzie nasz Tygrys, masz gotową antylopę, ale na surowo a jeszcze lepiej żywą?

— Z antylopą trudniej, panie generale, możnaby dać na pożarcie panu ministrowi pięciodniowe jagniątko... Zresztą nasz Tygrys, jak to tygrys, z pewnością sam sobie wybierze, zgóry przypuszczam co, jeszcze jednego podpułkownika i to dobrze dyplomowanego i z paru cichych majorów —

dałby Bóg, żeby nie mnie... Wszystko w Provins drży, panie generale!

— No nie! Tego już nie! Obżarł się za ostatnim razem.

— Tygrys szybko trawi, panie generale, to nie boa constrictor, tygrys znów głodny, w dowództwach i sztabach na froncie przetrzebił już zwierzynę, teraz mu się zapragnęło szlachetniejszego mięsa — z Głównej Kwatery... Już on nam nie daruje tych pięciu dywizyj kawalerji, zwolnionych z rezerwy na strajki w zagłębiu St. Etienne, kiedy nie było czem załatać dziur majowych na froncie. Biada nam...

— Ależ sam tego żądał! Jako prezes gabinetu! Są dokumenty!

— Więc teraz, jako minister wojny...

— Nie płacz, René, nie pójdziesz ty jeszcze na rzeź, ani narazie żaden z naszych... Jak będzie trzeba, sam was porozganiam, młodszych na front, starszych do Limoges. Ale niedoczekanie jego... Niech nawet nie próbuje, bo się pokłócimy, jak go szczerze lubię. Wszak co tu długo gadać, to jest morowiec...

— Ba! Ten potrafi obsztorcować człowieka...

— Co tam człowieka, to potrafi i kapral, ale Paryż? Ale obsztorcuj pan parlament? A kto dał szkołę Anglikom? Teraz się mocno zabiera do Amerykanów — jak on tego nie zrobi, to nikt nie zrobi i rzecz nie będzie zrobiona... Człowiek opatrznościowy! Człowiek wielki! Ale wara mu wtryniać nosa w moje domowe sprawy, bo, do starego djabła, ja odpowiadam za każdego z was!

Gdy szara olbrzymia maszyna, furkocząca sztan darkiem

ministra wojny, wypadła za Porte de Charenton, pan prezes Rady Ministrów odetchnął głęboko i zagadał.

— Prawda, generale, że tu odrazu inne powietrze? Został za nami cały smród paryski, swędy parlamentarne, stęchlizna prasy, owczy cuch tak zwanej opinji... Bezwstydne fetory strachu, przegniłe śmietniki plotek i całe kloaki podłości i intryg... W tem siedzimy po uszy — jakże ja nienawidzę tego miasta, i gdyby nie to...

— Że pan prezydent je tak kocha — nieprawdaż? Słucham, panie prezydencie...

— Człowiek często przywiązuje się do własnego udręczenia, ma się na starość i pewne nałogi, ale pokaż mi pan takie drugie miasto...

— Nie pokażę, zanic nie pokażę! Bo niema drugiego Paryża na świecie — jak od dwustu lat stwierdził to plebiscyt wszystkich narodów na kuli ziemskiej, a dziś w toku wojny powtórzy to, zgrzytając zresztą zębami, nawet każdy kulturalny Niemiec, który nas nienawidzi a musi podziwiać! Mądre miasto! Mężne miasto! A do tego miłe i pomimo wszystko co się dzieje teraz — wesołe... Wesołość przy pracy, wesołość w kłopotach, pogoda ducha nawet w nieszczęściu, to najświetniejsza cecha żywotna naszej rasy...

— Niechże pana djabli... Wydaje mi się, że pan popełnia plagjat... Bo ja sam to chyba kiedyś powiedziałem, może nawet napisałem, ale to było bardzo dawno...

— Dawno, dawno, kiedy to z nami było nader krucho — jednem słowem w końcu maja tego roku, panie prezydencie...

— Ha — ha — ha! Niejedno się gada, jak trzeba. Niejeden dowódca, kiedy mu żołnierze zaczynają wiać, wmawia w nich bohaterstwo, czasami to pomaga...

— Ale teraz zaczyna być dobrze, więc pan prezydent już wymyśla — wszystko w porządku.

— Na froncie, owszem, ale tam u nas w przeklętym Paryżu... Jakto?! Dużo ja widziałem w mojem życiu, już mam nerwy nie z żywych tkanek ale niczem mosiężne druty telefoniczne... Ale kiedy Mandel wręczył mi wczoraj stenogramy zeznań tych panów... Jakto?! Nom de tonnerre! Mogę znieść jeszcze głupie ceremonje z takim Caillaux — w każdym razie siedzi i będzie siedział do końca wojny... Ale bronić wyraźnego zbrodniarza? Odciążać go za wszelką cenę, bodaj za cenę honoru? Dlaczego? Bo był ministrem spraw wewnętrznych i zna pewne rzeczy przykre i różne świństwa. I kto, kto?! Ribot!... Viviani!... I Briand — ten Arystydes... Zapowiadam panu zgóry, że jeżeli Wysoki Trybunał Senatu poważy się... Nie, to niemożliwe — bo z dwóch strachów strach przede mną przeważy w tych przegniłych senatorach...

— Pan minister spraw wewnętrznych czuwa...

— Ignace robi co może, ale, niestety, nie wypada mu zagrozić aresztem panom członkom Wysokiego Trybunału... Mówię — niestety...

Generałowi pomimo całej jego sztuki i chytrości nie udało się odwrócić uwagi premjera od rzeczy przykrych, które na kilka godzin winny były pozostać za nimi w tym Paryżu, od którego oddalali się z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Celem wycieczki do Provins było

właśnie wyrwanie go z ciężkiej atmosfery spraw aktualnych, aby wypoczął choć trochę przed jutrzejszem posiedzeniem Izby Deputowanych, które nie zapowiadało się zbyt przyjemnie.

— Co pan sądzi, jak też będzie jutro o tej porze?

— Pogoda murowana. Dla wojny w pełnym ruchu jeszcze kilka takich pięknych dni...

— Generale, proszę skończyć z tą rolą niańki, doskonale pan wie, o czem mówię.

— Nie wiem, nie wiem, panie prezydencie, ale napewno nic się nie zmieni, pańska osoba jest dla Francji...

— W pewnym stopniu dla Francji, owszem...

— I dla naszych sojuszników, i dla zwycięstwa...

— Ale nie dla szachrajów z Palais Bourbon! Jeszcze przed dwoma tygodniami było to niedopomyślenia, bo się bali i żaden się nie wyrwał zwalić mnie i objąć władzę w niepewnej koniunkturze, ale teraz, gdy się weszło na dobre na drogę do zwycięstwa, nie zabraknie w Izbie apetytów, żeby skorzystać z wyników cudzej krwawej pracy. Do łatwego zawsze dużo amatorów, bo w dodatku te kretyny wyobrażają sobie, że dalej już będzie łatwo, więc huzia na starego Clemenceau!

— Logicznie biorąc, powinno być odwrotnie.

— Parlamentarna logika często bywa właśnie odwrotna do zdrowego sensu.

— Panie prezydencie, w najgorszym razie większość ma pan absolutnie zapewnioną!

— To mi wiadomo, ale jaka większość? Nie mogę przecież poprzestać na formalnej, Mandel mi się przysięga,

że conajmniej dwie trzecie Izby będzie za mną — to byłoby jeszcze do przyjęcia... A jak nie...

Premjer zamilkł, zasępił się, krzaczaste brwi na sunęły się na oczy, zwarły się szczęki, drobne pospolite rysy oblicza, zwanego „mongolskiem“, skupiły się i jeszcze zmalały. Przekrzywił nabok swoją starą wymiętoszoną kapelusinę, jakby się chciał odgrodzić od szefa swego gabinetu ministerjalnego i milczał uparcie. Generał pokusił się raz i drugi nawiązać rozmowę, wreszcie dał spokój. Wydobył swój blok i przeglądał punkty spraw pilnych, które ułożył sobie jako pretekst do spotkania ministra wojny z głównodowodzącym armjami francuskiemi.

— Do uzgodnienia:

Zmiany personalne w Głównej Kwaterze (lepiej odłożyć).

Odstąpienie 15 tysięcy koni dla gen. Pershinga.

Sprawa tanków „Renault“ i tanków lekkich C-2.

Zapowiedź rządu włoskiego odwołania 40 tysięcy robotn ków włoskch, zatrudnionych na drugiej i trzeciej pozycjach frontu armij francuskich.

Alarmujący artykuł w „le Matin“ — „Urlopów, dla żołnierzy francuskich“!

Ponaglanie komisarzy inspekcyjnych o surowsze i szybsze wypychanie na front dokowników ze szpitali, z komend garnizonowych i ze sztabów.

Rozwiązanie zbędnych komitetów i komisyj specjalnych, zniesienie wysokich synekur tyłowych.

Przyśpieszyć przeszkolenie nowych formacyj gazowych ze względu na zapowiedziane już na koniec grudnia

pierwsze dostawy masowe pocisków, wzorowanych na niemieckim „Żółtym Krzyżu“...

I tak dalej — materjału jest więcej niż sporo, może da się coś załatwić konkretnie, a jak nie, niech sobie przynajmniej pogadają, zjedzą razem obiad, stary się wyskarży, wysobaczy, ulży sobie, a głównodowodzącemu też nie zaszkodzi jak się trochę rozerwie, przecie się nawzajem lubią.

Od samego progu zaczęło się wesoło, jakby przyjechał w odwiedziny sąsiad do sąsiada na szczerej i dalekiej wsi nagadać się, zjeść sutą kolację i wypić parę butelek dobrego wina.

— Dobry wieczór, panie generale, przyjechali handlarze końmi, może nareszcie ubijemy interes?

— A gotówka, panie prezydencie?

— Dolary, czyste dolary, płaci Ameryka, ja jestem tylko pośrednikiem, zwyczajnym faktorem.

— Cóż robić, kiedy mnie samemu brak koni, żniwa, zwózka... Mogę odstąpić mego własnego wierzchowca i tę parę cugowych, razem trzy sztuki.

— Trzy konie?! I to jest coś, ale mnie trzeba piętnaście tysięcy...

— Piętnaście tysięcy koni?! Pan prezydent wyobraża sobie piętnaście tysięcy koni, zmasowanych na jednem miejscu, gdzieś w polu?

— Broń Boże, proszę ode mnie tego nie wymagać, całkiem sobie nie wyobrażam, ale generał Pershing inaczej nie ruszy pełną siłą.

— Niech sobie kupi gdzieindziej... A czemu nie

przywiózł własnych?

— I przywiózł ze sobą, i nakupował gdzie mógł, nawet w Hiszpanji, ale trochę mu zabrakło.

— To się nazywa trochę...

— Trzeba dać, panie generale, trzeba dać i to natychmiast... Jeżeli chcemy, żeby nieprzyjaciel nareszcie poznał na sobie całą siłę Ameryki i żeby przemordowany żołnierz francuski poczuł nareszcie pewne odciążenie. Jeżeli rzeczy i ludzie nie dadzą się odmienić, trzeba ich brać jakimi są, Amerykanie to uparte łby i formaliści, Pershing pali się do walki, ale nie zacznie dopóki jego ostatni żołnierz nie będzie miał przyszytego ostatniego guzika, a tu idzie nie o głupstwo, bo o konie, czyli o artylerję...

Generał Pétain namyślał się, mówiono dalej p Amerykanach o czerwcowej konferencji w Chaumont i minister wojny przypomniał o piśmie już wysłanem do prezydenta Wilsona przez generała Pershinga wspólnie z ambasadorem Stanów Zjednoczonych, gdzie ustalono żądanie, by Stany Zjednoczone zobowiązały się terminowo do przerzucenia przez ocean całej reszty swoich sił, by doprowadzić na wiosnę liczebność wojsk amerykańskich we Francji do dziewięćdziesięciu pełnych i zaopatrzonych dywizyj, czyli do miljona ośmiuset tysięcy, do dwóch miljonów żołnierzy.

— Mało...

— To jest minimum, mamy czas, zażąda się więcej, termin, jak wiadomo, ustalono na kwiecień 1919.

— To zbyt późno, przed miesiącem mocno nastawałem na to, bo, panie prezydencie, mówiąc między nami,

jesteśmy straszliwie wyczerpani, wszak robi się przygotowania do pobrania tej jesieni rocznika 1920... Serce się kraje, wiemy obaj jak wygląda nasz osiemnastoletni Francuzik...

— Sprawy serca odłożymy nabok i wytrzymamy. Wytrzymamy i już! Zresztą kto wie? Nikt tego nie wie, ale wojna może się skończyć i wcześniej, idziemy ku zwycięstwu.

— Ku zwycięstwu stawiamy dopiero pierwsze kroki. Trzeba za wszelką cenę — a to nas będzie grubo kosztować, panie prezydencie, po pierwsze — utrzymać w ręku inicjatywę, a powtóre i znowu za wszelką cenę — utrzymać charakter wojny manewrowej, ruchomej wojny w polu, jedynej, która jest godna żołnierza i wodza! Nie dać się z powrotem wepchnąć w okopy! Jeżeli to się nam uda...

— Uda się! Do wszystkich djabłów musi się udać! Będziem ich gnać bez wytchnienia przez całą Francję!...

— To się zobaczy.

— Ja już to widzę!

— Ja nic nie widzę i nie zobaczę, dopóki nie dojdziemy do sławetnej linji Hindenburga, mamy co do ich umocnień własne informacje, to musi być coś straszliwego, na tej linji możemy utknąć i zagrzebać się w okopach na całą zimę. Niemcy w obronie są djablo twardzi.

— Mogą zmięknąć. Co my o nich wiemy? Tyle co Ludendorff o naszych żołnierzach. Obie strony — mają tysiące szpiclów, olbrzymie biura informacyjne i wydają na to miljony, ale kto zdoła wymierzyć stopień odporności obcego żołnierza, ten jego taK zwany fachowo „le moral“?

— Więc nie liczmy na rychły upadek ducha u Niemców, o duchu w armji, walczącej czwarty rok, nic się nie da powiedzieć zgóry. Mogą się nadarzyć bardzo dla nas miłe ale i niemiłe niespodzianki. Od roku, od masowych buntów, które nas zaskoczyły w VI-ej armji, mam tu u siebie w Głównej Kwaterze cały wydział, który zajmuje się badaniem tej mistyki, moi oficerowie jeżdżą po całym froncie, po etapach, zakładach na tyłach, po szpitalach, czytają listy żołnierskie, podsłuchują, prowokują, szpiegują, wypatrują, co dwa tygodnie mam o tem generalny raport, a codzień mnóstwo papierków meldunkowych. I cóż? Wiem aż za dużo, ale właściwie nic nie wiem, bo wymyka mi się istota rzeczy i pozostaje nieuchwytną, a więc stopień, granice, kres wytrwania żołnierza i moment, gdy się to może u nas fatalnie załamać.

— U nas? Ani na chwilę tego nie dopuszczam! Wytrzymają.

— Panie prezydencie, proszę mi wierzyć, że znam dolę i niedolę żołnierza w kolejach tej wojny i dziś, gdy za kilka dni zaczniemy piąty rok jej trwania... Piąty rok! Przechodzi to ludzkie pojęcie, ale jest to fakt niezbity, niezbity, choć niedowiary. I żołnierz wytrzymał!

— Wytrzyma do końca!

— Otóż to jest dla mnie straszliwą zagadką — dlatego właśnie, że wchodzimy w piąty rok wojny. Czas hartuje człowieka, ale czas go również zżera, nie przypadkiem ustaliła się znana terminologja wśród naszych, pożal się Boże, teoretyków, obłąkana idea d’une guerre d’usure — wojny na zużycie, oczywiście sił fizycznych i moralnych u

przeciwnika... Zapomniano, że sami zużywamy się również, mała rzecz... Ja o tem pamiętałem i pamiętam. Wiem, że trzeba się śpieszyć i walczyć z rozpędem, z całą zajadłością, ale wiem zarazem, że teraz właśnie trzeba dziesięć razy pomyśleć, zanim się zażąda od żołnierza więcej ponad jego możność i ponad nieodzowną konieczność położenia. Tylko przy zachowaniu najwyższej oględności pod tym względem zdołamy osiągnąć zwycięstwo.

— Panie generale, jak panu dobrze wiadomo nic mieszam się nigdy do działań wojennych, ja tylko organizuję siłę kraju i przez to pracuję dla zwycięstwa... Ale powiem po swojemu, prosto z mostu, że nie spodziewałem się usłyszeć podobnych słów od naczelnego wodza armji francuskiej! Oględność w końcowej fazie wojny? Kiedy trzeba korzystać z każdej godziny czasu i gnać nieprzyjaciela, nie dając mu chwili wytchnienia? Kiedy trzeba rozwinąć w armji do najwyższego maximum psychikę ofensywy? Nie oglądać się na nic a przeć naprzód i naprzód...

— Panie prezydencie, przez całe cztery lata popełnialiśmy straszliwe błędy. Po wielokroć nadużyliśmy bez koniecznej potrzeby, nieraz poprostu lekkomyślnie i ponad wszelką miarę krwi żołnierza i jego odporności moralnej i fizycznej i jeżeli nie opamiętamy się teraz, jeżeli nie wyciągniemy nauki z dawnych zaślepień, to przyszłość zemści się na nas z całem okrucieństwem dziejowej Nemezis. Ostrożnie, panie prezydencie! My, ludzie końca wojny, zarówno wodzowie jak mężowie stanu, będziemy sądzeni z naszych błędów bez porównania surowiej, niż

nasi poprzednicy, którzy zaczynali wojnę...

Od słowa do słowa. Premjer pierwszy podniósł głos i po paru ironicznych replikach, które go rozdrażniły, zapomniał się i grzmiał niczem z trybuny Izby Deputowanych lub Pałacu Luxemburskiego, ale wnet pokrył go potężny, przywykły do komendy w polu głos generała, który nie tak dawno jeszcze dowodził pułkiem piechoty, a w, dniu wybuchu wojny był komendantem brygady.

W parku dwaj oficerowie, siedzący w altanie nad stawem przy stoliku zasłanym papierami, dobytemi z teczki podróżnej przez szefa gabinetu ministra, chwilami przerywali pracę i uśmiechali się, nadsłuchując pogrzmotów kłótni, które przez otwarte okna dochodziły od pałacyku.

— Już się sczepili...

— Ciekawa rzecz, o co za tym razem...

— Zapewne pan minister znowu zażądał głowy któregoś z nas.

— Nic podobnego, pułkowniku, nie mieliśmy w dzisiejszym programie żadnych spraw personalnych.

— Pan minister nie daruje swego, nie zapomni o pewnym tutejszym zbrodniarzu z naszego III-go Biura i jeszcze o kimś drugim... Cóż, minister ma takie informacje...

— Wszelkie informacje idą przeze mnie, jeżeli pan pułkownik daje mi do zrozumienia...

— Boże zachowaj, panie generale, nie miałem na myśli nic podobnego, chciałem tylko powiedzieć, że nasz generał

jest szczególnie drażliwy na jakiekolwiek interwencje w obsadzie personalnej Głównej Kwatery.

— To zrozumiałe, ale proszę wejść również W położenie ministra, który posiada wyraźne uprawnienia...

— Korzystanie z urzędowych uprawnień w sprawach tak wyjątkowo subtelnych, to rzecz miary i taktu.

— Sądzę, że pomimo nader natarczywego nacisku ze strony opinji daliśmy wraz z ministrem dowody niesłychanej powściągliwości w tej mierze. Pozwolę sobie przesłać panu stenogramy pewnych powiedzeń Izby...

— Dziękuję, miałem je w ręku. Żałuję, że przy naszych osobliwych jak na wojnę obyczajach nie możemy pociągnąć pewnych oficerów w czynnej służbie a naszych podkomendnych, których na czas sesii jako deputowanych chroni nietykalność.

— Cóż robić, Francja jest republiką.

— Ach tak?...

— Tak, tak, panie pułkowniku.

Przemówili się zlekka i natychmiast przybrali ton rzeczowy i wrócili do spraw konkretnych. Przekonywali jeden drugiego, targowali się, uzgadniali decyzje pierwszorzędnej wagi w imieniu swych szefów, rządzili wojną. Od czasu do czasu nadsłuchiwali — głosy nie wzmagały się już do krzyku, ale znać było, że kłótnia trwa.

— Możeby im jednak przerwać? Chodźmy, generale...

— Póki tam głośno, to niema poco, jak nastąpi cisza zupełna, — to zaraz trzeba będzie iść. W istocie lubią się nawzajem, a kto się teraz nie kłóci? Kłótnia dowodzi, że stosunki są zażyłe, koleżeńskie, ludzkie, najgorsza to zimna

poprawność. Z marszałkiem Fochem nigdy się nie kłócą, to niedobry znak, stosunki są bardzo subtelne, trudne... Nieraz bywa nam z nim ciężko... Marszałek Foch...

— Za pozwoleniem, pan mówi — marszałek?...

— Ach, to wielka nowina, w tych dniach wódz naczelny armij sprzymierzonych będzie mianowany Marszałkiem Francji.

— To bardzo, bardzo pięknie!

— Dekret już gotowy, jest to wyłącznie nasze dzieło. Pan premjer, zwany despotą i Tygrysem, nie chowa w. sercu urazy, jest sprawiedliwy.

— Tak jest! Tak jest! Wspaniały gest... Ale przy okazji pozwolę sobie zapytać — proszę tego źle nie zrozumieć — pytam poprostu, jak żołnierz żołnierza... A mój generał?

— Otrzyma w najkrótszym czasie Médaille Militaire, to podpisze już nowy marszałek, ale zrobione oczywiście znowu przez nas z panem premjerem.

— To dobrze. Dobrze, panie generale, dziękuję serdecznie, a na resztę poczekamy, nieprawdaż?

Pracowali dalej.

Zapadał zmierzch. Ogrodnik, który sterczał Z wędką nad stawem, ziewnął potężnie i na to jak na sygnał ukazał się drugi osobnik, również w słomianym kapeluszu. Ogrodnik oddał mu wędkę, pomruczeli coś do siebie i nowy rybak stanął na nocną zmianę — jeden z posterunków tajnej straży nad Główną Kwaterą. Pod altanką przesunęła się garstka jegomościów w hełmach i z karabinami, szli gadając i plącząc krok, jak który chciał, i pomimo uniformów i broni w niczem nie przypominali żołnierzy, —

to najstarszy rocznik wojsk terytorjalnych, tak zwani „Terribles“ rozstawiali nocne warty. Nad drzewami na seledynowem niebie już migotała pierwsza gwiazda. Gdzieś w dali odzywała się jeszcze ostatnia wilga.

Wkońcu generał Mordacq, szef gabinetu ministra wojny, zwyciężył pułkownika Duchene, szefa gabinetu głównodowodzącego armij francuskich i wydarł mu z gardła przyrzeczenie piętnastu tysięcy koni dla Amerykanów. Powstali, generał zbierał papiery i wpychał je do teki.

— Jakoś tam u nich zanadto cicho?

— Całkiem cicho — już się poobrażali, chodźmy!

— Ech, z tymi starymi...

Milczeli już od dziesięciu minut, premjer szybkiemi, drobnemi kroczkami przebiegał gabinet, generał siedział za biurkiem i, żałując pewnych słów:a nie wiedząc jak wybrnąć, zaczął w rozdrażnieniu przewracać w papierach, które ze stołu w biurze Głównej Kwatery już przywędrowały tu za nim do domu, aby mu uprzyjemnić dodatkowo parę godzin nocy.

Żeby ktoś, do djabła, zastukał do drzwi... Żeby jakiś przyjemny telefonogram od której z armij, stojących w ogniu...

Wstać, objąć go wpół i poprostu przeprosić starego? Niema za co, ale bądź co bądź jest to jego minister i głowa rządu, wreszcie jest gościem...

Premjer biegał, złościł się i odgrażał, zawzięcie ruszał wąsiskami. Zapomniał narazie o całej zwadzie i sczepił się ze swymi jutrzejszymi przeciwnikami w Izbie, przeszywał

ich sarkazmami, gnębił, straszył, wreszcie oszołamiał wielkiemi słowami, które nawet w tej epoce na niejednego działały jeszcze w pewnym stopniu. Generał manifestacyjnie szeleścił papierami, chcąc bodaj czemkolwiek przerwać ciszę. Ujął pióro, podpisał to i owo i czekał, pochrząkiwał w tonacji wyraźnie pojednawczej i nieznacznie podpatrywał rozbieganego gościa — nic z tego, stary się zawziął.

Nareszcie.

O tem można zagadać, sprawa sensacyjna — zwyczajna szara teczka jak tysiąc innych. Orzeczenie sądu wojennego. Motywy wyroku. Protokuł śledztwa. Protokuł przewodu sądowego. Dokumenty obciążające. Tezy komisarza rządu. Tezy obrońcy. Memorjał obrońcy, złożony naczelnemu wodzowi armij francuskich. Sprawozdanie specjalnej sekcji sądów wojennych i polowych przy Głównej Kwaterze. Jednogłośne zaopinjowanie sekcji — brak jakichkolwiek danych rzeczowych lub formalnych do rewizji wyroku. Wszystko w porządku. Wreszcie gotowy, wypełniony formularz, orzekający zatwierdzenie wyroku — data dzisiejsza — puste miejsce na podpis naczelnego wodza.

Generał z piórem w ręku zagadał dobrodusznie, po przyjacielsku, tak, jakby kłótnia nie miała wcale miejsca.

— Ciekawa sprawa, mam tu właśnie na stole Evę Evard...

— A tak, słyszałem, skazali ją w zeszłym tygodniu, a teraz przyszło to do pana... To jest typ! Ach, te tajemnicze damy o niepewnej narodowości, szwędające się między walczącemi stronami po krajach neutralnych, wszędzie ich

pełno... To są prawdziwe hieny wojny. Nie można się od nich opędzić, a niezmiernie trudno którą złapać i wsadzić, wszędzie mają wysokie stosunki, drwią sobie z wywiadowców i z kontrwywiadowców, hasają po świecie, żerują tu i tam, i na nas i na tamtych, bezczelnie i bezkarnie... Więc jak się nareszcie da pochwycić którą trafem — jedną na sto — to niechże już taka pani zapłaci godnie...

Premjer zagadał chętnie i z ożywieniem, rad, że generał przerwał milczenie — i on chciał się pogodzić.

— Cóż mówią w Paryżu? To osoba poniekąd znakomita? Bardzo znana w świecie...

— Jakoś nie mówią. Spodziewałem się licznych interwencyj, ta szelma kokietowała wielu nader wpływowych panów z parlamentu, z prasy, ale jakoś nikt nie przychodził, nie potrzebowałem nikogo wyrzucać za drzwi. Coprawda był jej adwokat, ale tego załatwili beze mnie. Zapewne zajechał i do Provins?

— Był, ale mnie nie zastał, siedziałem na froncie, zostawił jakiś papierek.

— Adwokat, jak to adwokat, ale wogóle nikt się za nią nie ujął. To znamienne. Gazety nie wypowiadają się. Opinja jest jednomyślna. Nasze sądy wojenne od czasu afery Dreyfusa odzyskały zaufanie kraju, kosztowało to — ha-ha-ha — trochę zachodu, ach, co to za dawne czasy... Było się nieco młodszym, panie generale... Ja staczałem homeryckie boje z soldateską o Dreyfusa, o Picquarta, o Zolę, a pan, jako młody porucznik...

— Już kapitan!

— Więc młody kapitan Pétain kupował wówczas złotą szablę honorową dla...

— Owszem, pamiętam. Dałem na składkę dziesięć franków.

— Co się też dzieje teraz z taką szablą, panie generale?

— Zapewne kupił ją za grube pieniądze jaki Amerykanin...

— A może spoczywa w tajnem muzeum Action Française... Do tych jeszcze lepszych czasów, gdy zostanie uroczyście z orkiestrą i sztandarami zawieszoną na ołtarzu w kościele Inwalidów?...

— Panie prezydencie, proszę się spytać którego z tych panów — ja ich nie znam...

Obaj roześmieli się jednocześnie, pokiwali głowami, popatrzyli na siebie, jak stare kute wygi. Prcmjer zaczął jakąś anegdotę z epoki Afery, generał słuchał z upodobaniem, czekając z gotowym do wybuchu śmiechem na efekt końcowy. Odruchowo umaczał pióro w kałamarzu, osadzonym w szczątku niemieckiego szrapnela z pod Verdun. Naśmiawszy się, zmarszczył nagle brwi, skrzywił się, ale pewną ręką położył podpis. Nakrył podpis bibułą i walnął w nią pięścią, zamknął szarą teczkę i odłożył ją nabok.

Załatwione.

— Opowiem panu anegdotę o pańskim szanownym przeciwniku, tfu — o pańskim poprzedniku, panie premjerze.

— Kłóciłem się i z nim, ale to porządny człowiek i dobry profesor matematyki. Jak on wszedł do naszych

bohaterskich dziejów jako premjer i minister wojny — to inna rzecz. Nieporozumienie historji, zwyczajny kawał...

— Otóż, gdy po buntach żołnierskich zaczęły się sądy polowe, nie miałem chwili spokoju, telefony, telefony, interwencje, łzy, błagania, wreszcie groźby. Nagwałt napoczekaniu rosły legendy o hekatombach, o okrucieństwie Głównej Kwatery, o osławionych „morts de Châlons“. A naogół na parę tysięcy oskarżonych zostało skazanych na śmierć tylko stu pięćdziesięciu trzech — a ile wyroków wykonano? W to właśnie nikt z nas nie wierzy i nie uwierzy nigdy — zaledwie dwadzieścia trzy!... Wreszcie pewnej nocy o godzinie drugiej budzi mnie dyżurny adjutant — pan minister wojny przy telefonie. Wyłażę z pościeli bez wielkiego humoru — o co idzie? — Na siódmą rano wyznaczona egzekucja.. Prosty żołnierz... zamieszany w awanturę... pobił oficera... Ale to żołnierz wyjątkowy, żołnierz, który... Który i który... Istotnie był to żołnierz osobliwy, Alzatczyk nie wzięty jeszcze do wojska przekrada się przez linje niemieckie, pan rozumie, co to znaczy? Zuch, morowiec. Zaciąga się u nas na ochotnika i walczy jak anioł, jak djabeł, dwa razy ranny, kilkakrotnie cytowany w rozkazie pułku, raz w rozkazie korpusu — znakomitość... Oczywiście dekorowany Krzyżem Wojennym, Legją Honorową, wreszcie Medalem Wojskowym. Sąd połowy długo się namyślał — ale, na Boga — rozbrojenie i pobicie oficera w czasie wojny o sześć kilometrów od pierwszej linji... Wyrok zatwierdziłem, ale teraz ten telefon... No i cóż, musiałem zrobić panu ministrowi tę przyjemność...

— Obaj panowie zawiniliście grubo, panu Painlevé, jak we wszystkiem, tak i w tem, przysługują okoliczności łagodzące, ale generał Pétain...

— Już się poprawił pod pańską władzą, panie ministrze.

— Widzi pan, ja w tych sprawach nie zawracam panu głowy nawet o głowę tak pięknej zbrodniarki jak Eva Evard...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

XXI

...Eva, zaczytana w cudownej książce, zapomniała, że dawno minęła godzina wpół do jedenastej, dopiero łomotanie w okno i dudniący głos starego François, stróża nocnego, wyrwał ją z oczarowania. Zrywa się natychmiast i przekręca kontakt, podbiega do okna i otwiera małą szybkę, woła w mroźną noc:

— Przepraszam, panie François, bardzo przepraszam! Zapomniałam... Proszę nie meldować w fabryce! Bardzo proszę nie mówić ojcu...

— Przedwczoraj było to samo, dlaczego ty mała wysiadujesz po nocach? Głupia, może spać a nie śpi... Stary zapłaci karę...

— Już nigdy — przenigdy, dobry, kochany panie François!...

Urwał się czar cudownej książki, zgasły ukochane i nienawistne, dobre i złe postacie, ktoś przeciął ich niesłychane losy, wyrwał ją z nadziemskiego upojenia. Obrzydły dziadyga zepsuł jej wszystko. Teraz jej się wydaje, że nie warto było śmiać się i radować ani płakać i rozpaczać nad tą książką — cóż, to tylko książka, a ludzie w niej zmyśleni...

Ogarnia ją pustka, smutek i znajomy strach przed samotnością, nagle za wyją, zajęczą piły tartaków, stroiąc się w akordy, rozłamując się w zgrzyty, prześcigając się nawzajem, piejąc, jęcząc, zawodząc na sto głosów. Zapomniała o świecie, zapomniała o piłach, pochłonięta

książką. Jodłowa pusta izba dźwięczy furją pił, zajadle żrących drzewo. Na wspaniale wzorzystych szybach, skutych mrozem, łuna świateł od tartaków iskrzy się brylantami — jest to piękne, ale strasznie złe. Wnet po kątach zaczną wzdychać duchy pokutujące, tajemne strachy już gotują się opuścić swoje nory pod podłogą, będą wyciągać ohydne cielska przez wąskie dziury i pełzać dokoła izby, przewalając po skrzypiących deskach wężowe, ciężkie, miękkie, oślizgłe skręty... Eva skacze do łóżka, nakrywa się z głową, dygoce, modli się, zatyka uszy. Tuli do siebie cudowną książkę i usiłuje snuć dalej przerwaną opowieść, po swojemu prowadzi dalej i spiętrza intrygi, wymyśla przygody, niespodzianki, po swojemu rozstrzyga losy tamtych ludzi, ratuje i nagradza nieszczęśliwych, bez miłosierdzia karze zbrodniarzy. W zapamiętaniu nie wie, kiedy usypia, a powieść z mnóstwem ludzi, z ich sprawami, z radością, z bólem, ze łzami wchodzi za nią w sen. Ale przez sen czuwa i wyczekuje, pamięta, że to dziś czwartek — ach, żeby nie przespać...

...Piękny, rycerski Marek hrabia Duvernois ją kocha, nie zimną, zdradziecką Adę i Eva gotowa polecieć za nim na koniec świata... Może nareszcie przyjedzie dzisiaj, zahuczy z oddali rozpędzony express i tuż przed jej chatą zazgrzytają hamulce, to Marek nakazuje zatrzymać pociąg w Maple Creek, on wszystko może. Zastuka w szybę i Eva wybiegnie na mróz, obejmą ją mocne ramiona... Za chwilę pociąg ruszy, rozpędzi się, porwie oboje, zostanie za nimi i zginie Mapie Creek z ponurą puszczą jodłową, z wiecznem wyciem pił, z surowym ojcem, z pustką, z nudą, z

beznadziejnem udręczeniem. Jednego żal, że zostanie tam mogiłka matki, drogiej, utęsknionej, najukochańszej mateczki, której dobroci ani pieszczoty nigdy nie zaznała, gdyż matka umarła przy jej urodzeniu. W Quebec rozpościera się przed nimi olbrzymi czarowny świat, w porcie już czeka wspaniały parowiec, w szczęściu, w zapamiętaniu miłości przebywają Atlantyk, a pewnego poranka wdali brzeg. Europa. Francja — Paryż, miasto czarów...

Hukają belki od mrozu, piszczą, gwiżdżą wściekłe piły, mała Eva śni o szczęściu. Marek hrabia Duvernois obwozi ją po obcych krajach, wszędzie wszyscy ją lubią, kochają, uwielbiają, tonie w bogactwie i zbytku, nikt nie ma równie wspaniałych sukien, ani takich klejnotów. Ale nadewszystko jego miłość... Napróżno stękają po kątach dusze pokutujące, napróżno tajemne larwy pełzają po izbie, czternastoletnia hrabina Eva, gdy jest przy swoim Marku, niczego się nie boi, nawet ojca.

Za oknem przechodzą robotnicy z dziennej zmiany, wracają z szynku, śpiewają —

Zanim się powieszę na zielonym klonie
Rzucę ja w Ottawę gałązkę klonową.
Popłynie gałązka do miasta Ottawy
I w mieście Ottawie przybije do brzegu...

Znajoma piosenka wciska się w sen i przejmuje ją smutkiem, i słowa, i melodja są pełne goryczy. Dlaczego nie wszyscy ludzie są szczęśliwi jak ona? Dlaczego świat jest tak źle urządzony?

Bo tam na tym brzegu siedzi moja luba,
Czeka na wiadomość o terminie ślubu...

I hrabina Duvernois, sama tak szczęśliwa, płacze nad cudzą niedolą. Co za okrutna piosenka, dlaczego ludzie tutejsi tak często ją śpiewają? Kto ułożył melodję, od której kraje się serce? Czemu ktoś musi zadać sobie taką okropną śmierć? Co uczyni biedna narzeczona, gdy gałązka klonowa opowie jej o strasznem nieszczęściu? Dziwna historja, i tej piosenki możnaby ułożyć całą książkę, ale byłaby ona bezbrzeżnie smutna. Eva widzi bujną, zieloną gałązkę jak płynie rzeką Ottawą, długo odbywa swoją złowrogą podróż, aż prąd wody doniesie ją do miasta, a gdy dojdzie do rąk narzeczonej, tamten już będzie dawno zasypany w mogile...

Zdaleka nadchodzi głuchy, żelazny łomot pociągu, czwartek, godzina pierwsza w nocy minut piętnaście, Canadian Pacific Express, który przebywa niezmierny kraj od oceanu do oceanu, przez śnieżne góry, przez dzikie puszcze, przez pokrętne doliny wielkich rzek, przez prerje, bagna, pustynie piaszczyste, przez tysiąc wsi i miast — o tej godzinie przelatuje przez Mapie Creek, dziś nadjeżdża nareszcie jej ukochany Marek, Marek hrabia Duvernois.

Eva wyplątuje się z pajęczyny snów, zrywa się...

— Kto to?

Nad jej łóżkiem stoi wysmukła postać. Na tle zamarzniętej szyby, mieniącej się brylantami, w różowej łunie świateł, bijących od tartaków, wyraźnie rysuje się jej głowa, nieznajoma. a droga, obca, a jakby najbliższa i rodzona... Evę ogarnia strach, ale już płyną łzy serdecznego wzruszenia.

— Matko...

Canadian Pacific nadbiega, huczy, zagłuszając jęki pił, izba drga, dźwięczą szyby, Eva całą duszą wydziera się z opętania, by porwać się i wybiec na spotkanie czarownej zjawy, i całem sercem lgnie do matki, która nareszcie, nareszcie nawiedziła ją zza świata...

— Córko moja, biedna, biedna Evo...

Canadian Pacific przelatuje czarną masą, rozświeconą szeregiem okien, które w pędzie zlewają się w jeden pas. Ogromny, nieznany, tajemny, kuszący świat roztworzył się na sekundę i zatrzasnął się z powrotem, uciekł, zgasł.

— Evo, Evo...

Nieśmiałe, wierząc i nie wierząc jeszcze, przygarnia się do mateczki, tuli się do niej, czuje na głowie jej rękę, usypia cicho ze łzami szczęścia. Matka ją błaga, matka zakazuje marzyć o innym świecie, ostrzega. Opowiada baśń o biednej dziewczynie, córce drwala, która wydarła się z nędznej jodłowej chaty i dala się porwać żelaznemu potworowi w dalekie obce kraje. Lepiej niż książka snuje opowieść o przygodach i kolejach dziewczyny w ogromnym Londynie, w ogromnym Paryżu. Dola i niedola

małej Evy, nędza, bezlitośni ludzie, podli, podstępni opiekunowie, ciężka praca, rojne, bogate ulice miast, gdzie można zemrzeć z głodu niczem w dzikich bezludnych puszczach Saskatchewanu, czy w górach Calgary, czy w śniegach i lodach Yukonu lub Mackenzie...

— Umarli wszystko wiedzą — nie ufaj, córko, szczęściu, bo z wielkiej fortuny pochodzą również nieopisane nieszczęścia... Ludzie są źli, zawistni, co los dał zawsze gotowi zepsuć, splugawić, odebrać. W bogactwie, we sławie nie ma się prawdziwego przyjaciela ani szczerej miłości. Łatwo upaść z wyżyny...

Eva słucha, oczarowana, o losach swoich, a zarazem widzi wyraźnie każdą rzecz, każdy rok, każdy miesiąc, każdy swój dzień, choć przemykają szybko, szybko, niczem Canadian Pacific za oknem.

A teraz...

...Umarli wszystko wiedzą — nadchodzi dzień i nieszczęście spada jak grom z jasnego nieba... Potworna krzywda woła o pomstę do Boga, ale milczą, odwracają się od niej przyjaciele, wielbiciele, wszyscy — zostaje sam na sam ze swojem nieszczęściem i czeka, czeka w niemej zgrozie, we łzach i rozpaczy na pewną godzinę, godzinę straszliwą...

Eva dygoce z przerażenia, płacze, tuli się do matki, przysięga najświętszemi słowy.

— Pamiętaj, Evo, pamiętaj, córko jedyna, sieroto... Pamiętaj, dotrzymaj przysięgi, umarli wiedzą, co będzie...

Warczą, szczękają, brzęczą, jęczą, zawodzą i wściekają się piły tartaków. Potrzaskują, pohukują na mrozie tramy

jodłowe, pękające po składowiskach. Dusze pokutujące cicho płaczą po kątach i straszą, larwy czołgają się w ciemnościach i straszą. Czai się jakaś okropna godzina — gdzież jesteś, matko, matko...

Ktoś stuka mocno, gniewnie — czy ojciec wraca nadspodziewanie z roboty na Cypress Hills? A światło pali się znowu!... To stary François bije pięścią w okno i klnie...

Jeszcze przed sekundą jego futrzana czapa rysowała się wyraźnie przez oblodowaciałe szyby... Piły umilkły, tartaki stanęły — cisza... — Zaraz, zaraz zgaszę, dobry panie François...

Już poszedł. Poszedł i zabrał ze sobą okno, zabrał wszystko... Niema okna... Nic niema... Wysoko pod stropem przygasa, czerwienieje i rozświetla się znowu żarówka. Za drzwiami krzątają się, szepcą, zmawiają się jacyś ludzie...

. . . . . .

Samochód wytoczył się za bramę St. Lazare, przed więzieniem było pusto, ulica St. Denis jeszcze spała, skręcili w lewo, minęli kordon żandarmów. Na pustym bulwarze wzięli odrazu pełny pęd, w perspektywie ulicy na prawo przemknęła fasada Dworca Północnego.

— Nie do Vincennes...

Nie obchodziło jej nic, było jej wszystko jedno, gdzie to się dopełni, ale wolała nie tam, gdzie od początku wojny tracą wszystkich szpiegów. Jaskrawe, upalne słońce zalewało miasto, w zamkniętej limuzynie uczyniło się

duszno, za pierwszym zakrętem dognali i prześcigali długo ogromną kolumnę wozów Czerwonego Krzyża, sunących wolno — ranni...

— Czyby nie można otworzyć okna, brak mi powietrza. — Jeden z żandarmów na przcdniem siedzeniu spuszcza szybę.

— Nie zechce pani wypić wody z winem? — pyta doktór.

— Nie, dziękuję, doktorze.

Boulevard Rochechouart... Montmartre, dzielnica szalonych nocy, w ostrcm słońcu poranka wyglądała brudno i nikczemnie. Gaité Rochechouart... Trianon... Cigale... Folles Pigalle... Lune Rousse... Quat'z'Arts... Chat Noir... Moulin Rouge... Tandetne, dziwacznie przystrojone fasady bez cienia smaku, krzyczące afisze, sterczące na pokaz instalacje do efektów świetlnych demonstrowały płaską brzydotę tych miejsc, niewiadomo czemu słynnych na cały świat. Pokryli się przed światłem dnia aktorzy i bywalcy „świętego wzgórza", dzielnicy rozpusty i pijaństwa, dziewczyny uliczne, garsoni, sutenerzy, rajfurki, śpiewacy kabaretowi, rycerze nocy — brud, plugastwo i nędza Paryża. Rozjechali się goście, stoją opuszczone miejsca nieczyste, obnażone w całej brzydocie, czekają nocy, gdy znowu zapłoną światła, zamigocą iskrami barw, odurzą i okryją szych i szalbierstwo. I dziś znowu jak co nocy zaroi się tu od ludzi, gdy ona o tej porze...

O tej porze co z nią będzie?...

Zwarły się kurczowo szczęki, spazm chwyci za gardło. Zaszumi w głowie — ciemność — jasność, ciemność —

jasność... Samochód mknie, zaraz będzie koniec — to dobrze, dobrze, dobrze...

Otrząsnęła się na wspomnienie ostatnich chwil w więzieniu — oficjalne figury, pożegnania, formalności, mnóstwo jakichś obcych ludzi, natrętny doktór ze swojemi flaszeczkami, klęczące zakonnice szepcą modlitwy, maître Lourthier, ubrany czarno jak na pogrzeb, nawet z cylindrem... Nuda i przymus, wszyscy patrzą na nią ze strachem, z bezczelną ciekawością, jak też ona się zachowa, z ukrywaną a tak jawna radością, że to ona zginie, a nie oni — oni zostaną... W ostatnich chwilach zmuszono ją, by pamiętała o każdym swoim ruchu, o każdem słowie, o każdem spojrzeniu, wytrzeszczają oczy, patrzą, patrzą, jak Eva Evard idzie na śmierć... Idzie na rzecz straszliwą, przechodzącą wszelkie pojęcie, a gromada gapiów dręczy ją, szpieguje... Już nic gorszego jej nie czeka — teraz koniec. Samochód mknie — prędzej, prędzej!

Park Monceau. Chciwie patrzy na przelatujące drzewa, główna brama... W głównej bramie stary pan rozwija gazetę, nawet nie spojrzy na samochód, to ją u bodło jak zniewaga, jak krzywda. Jakże ona nienawidzi ich wszystkich — tych ludzi... Jak piękne są stare drzewa — już znikły.

Mijają dwa zatłoczone tramwaje... Stacja métro, spod ziemi wybiega gromada ludzi, życie idzie swoją koleją. Gdy jej nie będzie, nic się nie zmieni, to samo będzie jutro o tej porze i pojutrze, i za rok i zawsze, wiecznie, ludzie umierają, a świat zostaje, życie trwa. To dobrze, że razem z nią nie ginie wszystko... Dobrze, bo już zostały poza nią

udręczenia śmierci, żal za życiem. W głowie jasno, lekko, pusto — ani jednej myśli. Ale prędzej, prędzej...

Fortyfikacje... Szeroka, nieznajoma ulica, przerwy w szarych kamienicach, małe domki, parkany, ogrody, pałacyki, fabryki, składy... W oknie pierwszego piętra młoda kobieta, roześmiana, promieniejąca szczęściem, zapamiętale obcałowuje półnagie niemowlę z podkulonemi różowemi nóżkami... Znowu skurcz chwyta za szczęki, zaszumi w głowie. Eva ratuje się, pyta głosem pewnym.

— Panie majorze, gdzie to będzie? Chyba teraz już można...

— Owszem, można, zaraz będziemy na miejscu. Jedziemy na fort Mont Valérien.

— Mont Valérien... To gdzieś wysoko, na wzgórzu?

— Sto sześćdziesiąt dwa metry.

— Nad Paryżem?

— Nad Paryżem niecałe sto.

Wiedziała, że jedyny jej ratunek w tem, żeby mówić, mówić bez przerwy, rozmawiać z byle kim, z majorem, z doktorem, z żandarmami, siedzącymi na przedzie, gadać o byle czem, o niczem, pytać, pytać o wszystko, inaczej... Załamie się w niej resztka uporu i wstydu, by dociągnąć do końca i w ostatniej chwili nie ulec... Nie czuła strachu, była spokojna i rozumiała, co się z nią dzieje i co ją czeka, ale siły ją opuszczały, jeżeli osłabnie, jeżeli popadnie w omdlenie, będą ją wynosić z samochodu, będą ją cucić i potem powloką nawpół żywą. Eva Evard nie wystawi się na urągowisko swoim sędziom i katom oraz tej hołocie, co przybiegła na widowisko i już tam na nią czeka...

Tam będą żołnierze, żołnierze wielkiej wojny, zbratani ze śmiercią, którzy wyszli z boju i do boju wrócą i może wszyscy co do jednego zginą... Eva Evard musi im śmiało patrzeć w oczy i będzie, będzie patrzeć śmiało, gdy ją wezmą na cel... Jest gotowa zginąć godnie, nawet z brawurą, nawet z uśmiechem...

Szczególnie okropną była słabość w nogach, zupełne odrętwienie, czy zdoła wstać, pójść o własnych siłach?! Ręce jej drżały, zdjęła ją niemoc i obezwładniające uczucie jakby głodu... Bodaj jeden łyk wody, bodaj jeden kęs chleba... Doktór więzienny trzyma w pogotowiu termos, doktór na nią patrzy, czemuż teraz nie zapyta? Czemuż bez pytania nie odkręci blaszanego kubka, nie naleje i nie poda jej się napić? Nie chciała go prosić — uważanoby to za upadek ducha, zwłaszcza ten major, od którego aż zieje nienawiść i pogarda...

Mówić, gadać, pytać — coś ją skuło w krtani, zdławiło, w gardle sucho, w ustach sucho, usiłuje coś powiedzieć, nie wie co... Chce powiedzieć — co za piękny czas... Chce powiedzieć coś nadzwyczajnego, to właśnie, co wypada w takiej chwili, żeby zapamiętali i powtarzali później... Nic nie przychodzi do głowy... Rozglądać się, uważać na wszystko po drodze — poco? Bo to już po raz ostatni w życiu. I cóż, że ostatni raz?

Patrzeć, patrzeć, zaprzątnąć się czemkolwiek, żeby owładnąć sobą, żeby nie myśleć o osłabieniu, oderwać się od siebie, zapomnieć się bodaj na jedną chwilę, niemoc zaraz przeminie, to nie żadna słabość, tylko strach przed nią, pusta wyobraźnia...

Ostatni zakręt, niezmiernie szeroka aleja, na rogu kościół, tu jeszcze nigdy nie była, co to za przedmieście? Przymknęła oczy i usiłowała ujrzeć plan Paryża, zgadywała — Puteaux? Clichy? Levallois-Perret? Chciała przypomnieć sobie, którą bramą przejechali pas fortyfikacyj. Plan miasta zamajaczył splątaną siecią ulic i znikł, pod powiekami w czerwonej nicości płynęły skośno ku górze jeden za drugim, jeden za drugim piękne zielone kręgi, postanowiła nie otwierać oczu aż do chwili, gdy staną na miejscu, tak będzie lżej, nie chce już na nic patrzeć i nic widzieć po drodze, świat przestał dla niej istnieć, cokolwiekby ujrzała, domy, ulice, tramwaje, ludzi, drzewa — są to rzeczy niepotrzebne, a to wszystko jej przeszkadza, musi, musi, bodaj w ostatniej sekundzie dopóki jeszcze będzie żywa, musi, musi i inaczej być nie może — odgadnąć w sobie coś najważniejszego, wyobrazić sobie najgłębszą i jedyną istotę wszechrzeczy, skupić się w nadludzkim wysiłku i sięgnąć poza świat, poza swój byt i zanim zginie śmiercią, pojąć samą śmierć, inaczej — inaczej nie potrafi umrzeć...

Każdy potrafi, gdy mu wsadzą w żywe ciało dwanaście kul, tak, ale człowiek godzien jest, aby przed samym końcem, tuż nad mogiłą, dano mu czas i możność opamiętania się i pokonania w sobie ślepej woli do życia, aby zdobył się na moc i mądrość i wyrzekł się wszystkiego, aby sam zapragnął śmierci i z dobrej woli w ostatniem jasnowidzeniu umarł w sobie zanim go zamordują... Każdy skazany, nawet największy zbrodniarz, wart jest paru ostatnich chwil spokoju, to jego święte prawo, albowiem

taki koniec przerasta potwornością wszelkie postacie śmierci, przed skazańcem wykonawcy sprawiedliwości są obarczeni najcięższym grzechem, przed nimi winni są wszyscy ludzie...

Jako odkupienie za swój własny grzech, dają mu księdza, pociechę religijną, słowa biblji, ostatnie sakramenty, ksiądz po swojemu jedna go z Bogiem, ale nikt nie pojedna go ze śmiercią, jeżeli on sam temu nie podoła, bodaj na jedną sekundę przed końcem... Chamstwo nakazane z urzędu, sponiewieranie człowieka w jego ostatnich chwilach bezduszną oficjalnością odbiera mu wszelką możność wniknienia w siebie i najsłabszy cień nadziei, by przed targnięciem stryczka, przed spustem gilotyny, przed trzaskiem salwy, bodaj na jedno mgnienie oka jego dusza zdręczona strachem zaznała przedśmiertnego ukojenia.

Nie, nie, nie!! Nie wolno zamordować skazańca w poniżeniu i męce z drgającemi oniemiałemi wargami, z duszą pełną bydlęcego wycia. Jak to uczynić? Nikt nie wie, na to niema sposobu w ludzkiej mocy, więc wyrok śmierci jest tylko zbrodnią, a kara śmierci... Nie, na to czem ona jest — niema słowa w ludzkim języku.

Strzępy, bezkształtne okruchy myśli przemykały przez głowę w popłochu, w pośpiechu, jak przeganiane wichrem. Nie, już niczego nie zdoła w sobie uchwycić, za późno... Zginie nie swoją śmiercią, zejdzie z tego świata jak inni, jak bodaj wszyscy...

Miała czas, miała przed sobą odmęt czasu. Myślała, rozważała, biedziła się ze sobą, dręczyła się, truchlała, wyrzekała się życia, otwierał się przed nią największy sens

wszystkiego, wpadała w ekstazę, wznosiła się do jasnowidzenia, chwytała rytm niepojętej harmonji świata i wszechświata i wówczas spływał na nią boski, pozaludzki spokój — godziła się ze śmiercią.

Teraz znowu nic nie wie... Nic nie wie... Nic... Więc dać spokój wszystkiemu, już nie czas, za późno, za późno... I myśl utknęła, urwała się, jak gdy człowiek usypia. Usypiały ją zielone kręgi, niewyczerpane, ciągłe, sunęły pod powiekami pochyło wgórę, rodziły się, przepływały i ginęły...

Gwałtowny zakręt rzucił nią na majora, doktór, siedzący z lewej strony, chwycił ją pod ramię.

— Przepraszam...

Wypowiedziała to odruchowo i mimowoli otworzyła oczy — jechali wybrzeżem Sekwany, po prawej stronie ciągnęło się pasmo wody, zadrzewiona wyspa, po lewej domki, ogródki, domki, ogródki... Jakto, jeszcze? Zdawało jej się, że spała bardzo długo, ogarnęło ją zdumienie, jakieś ciężkie podejrzenie — gdzie ją wiozą? Nagle w oknie na błękicie nieba za rzeką wysoko ponad domami, straszliwie wyraźnie, straszliwie blisko wyrosła potężna masa zieleni, jasne smugi trawy, spalonej od słońca, po zboczu pochyło wspina się droga, zarośla, wielkie drzewa, na szczycie załamania murów, szary kamień, czerwone cegły... Zmrużyła oczy, zacisnęła powieki z całych sił, zasłoniła twarz rękami. Splecione ręce latały jakby niemi ktoś potrząsał, chcąc ją zbudzić.

— Nie, nie — ja się przecież nie boję...

Odjęła ręce i śmiało spojrzała w okno, ale wizja fortu

znikła, zakryły ją domy. Owładła nią zdumiewająca, niewiarogodna pospolitość powszedniego dnia, ludzie krzątali się po ogródkach, nad brzegiem stały zwykłe postacie z wędkami, na wyspie między drzewami, pomimo wczesnej pory, piastunki już toczyły swoje wózki... Niecodzienne były chyba tylko te okna z potrzaskanemi szybami w jednym domku, w drugim, w trzecim... I cała jezdnia — zasłana jak kobiercem jesionowemi i klonowemi liśćmi i gałązkami... I ludzie, którzy śpieszyli kędyś w tę samą stronę, samochód wciąż trąbił, mijali ich całemi kupami...

Przed kawiarenką z wybitemi szybami człowiek w fartuchu dobywał z wozu bloki lodu — na ten widok targnęło nią straszliwe, żrące pragnienie... — Niech się dzieje, co chce, daruję swoją całą krzywdę, śmierć za szklankę wody z lodem... Niech jej dadzą minutę czasu, żeby mogła wypić spokojnie, a potem śmierć... Niepodobieństwo... Niepodobieństwo...

Niepodobieństwo, ale samochód nagle hamuje się, zgrzyta i staje — na tarasie kawiarni garson kręci się między stolikami, strzepuje pył... Na miłosierdzie boskie... Wody...

Policjant.

— Co jest?

— Niema przejazdu...

— Jakto niema?

Dwaj żołnierze bez kurtek, z zakasanemi rękawami, w skórzanych fartuchach wybiegają z kawiarni — saperzy.

— Dziś w nocy była Gotha, panie majorze — prosto w

willę i w ulicę, dom rozniosło, pięciu trupa, reszta ranni, dziura na cztery metry...

— Torpila stokilowa, uprząta się, panie majorze.

Major krzyczy na szofera, klnie, nie krępując się, patrzy na zegarek. Wybucha.

— Idjotyczne porządki... Zas.... tajemnice, nikt nie ma wiedzieć, gdzie upadło... Po jakiego djabła, pytam się?!...

— Właściwie, panie majorze, jest pewien sens, Niemcy wedle wiadomości z gazet mogliby rektyfikować cel.

— Doktorze! Doktorze! Pan mnie będzie uczył — toż to nie z działa, ale przyszło z powietrza! A choćby z działa? Czy to nie brak w Paryżu szpiegów. którzy bez gazet natychmiast im doniosą? Zawracaj! Żywo! I pełny bieg! Pierwszy most na lewo — marsz!!...

Olbrzymi samochód gubernatorstwa wojennego obozu warownego miasta Paryża z trudem wykręcał i nawracał na wąskiej ulicy nadbrzeża, człowiek z bryłą lodu na ramieniu znalazł się na chwilę tuż pod oknem, Eva panowała nad sobą, żeby nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć lodu... Nie wytrzyma, poprosi doktora o łyk wody, to takie proste... Nie.

Na tarasie kawiarni gruby, czerwony jegomość w słomianym kapeluszu „canotier“, zsuniętym ze spoconego czoła, z błogością z zamkniętemi oczami wychylał jednym tchem szklanicę żółtego płynu, o Boże, to cytronada... Zrobiło jej się mdło, słabo... — Panie doktorze...

Nie!

Wóz cofał się i dopiero na rogu najbliższej uliczki zdołał wykręcić i wjechał między wille i domki. W oknie,

obrośniętem wspaniałym pnączem rozkwitłych glicynij, stała kobieta w czerni, zapatrzona w coś osłupiałem! oczami, nie widziała przejeżdżającego samochodu, który zabrał całą szerokość uliczki, nie widziała nic, patrzyła w swoje nieszczęście. Major zarechotał grubym śmiechem. Eva spojrzała nań zdumiona, major odwrócił się, ale ona uchwyciła wlot jego myśl, nieomylnie, w jego własnych słowach, tak jakby ją był wypowiedział głośno.

— Ha — ha... Niemcy przedłużyli życie swojej agentce o całe piętnaście minut, zawsze to coś...

Porwał ją gniew, ale nagle jakby jakąś rzecz nową i niesłychaną odkryła, że major jak i ci inni, to znaczy — wszyscy, poprostu wierzą w jej zbrodnię, dlatego są dla niej tacy — nienawiść opadła.

W ogródku od strony ulicy stały szeregiem, przerastając wysokie druciane ogrodzenie, rozkwitłe malwy o zadziwiających, tajemniczych barwach, ich niezgłębione piękno żegnało ją westchnieniem żalu, na świeżo spryskanych kwiatach i liściach jeszcze świeciły krople wody jak łzy. Za malwami na wąziutkiej dróżce kucharka rżnęła kurczę, już dwoje kurcząt rzucało się po piasku, rozwłócząc krwawe plamy. Dwie smukłe ozdobne młode topole były złamane wpół — od wczorajszego wybuchu... Pies wilk brzęczał łańcuchem i ujadał na nią, wspiąwszy się na płot... Młody żołnierz, zmizerowany jak cień, wyjrzał z okna i zapatrzył się na nią w trwodze, snać ją poznał, jego oczy załatały między majorem a żandarmami, było oczywiste, że — zrozumiał... Chciała mu przesłać swój ostatni uśmiech, ale nie zdążyła i nie zdołałaby nawet, na

ustach, na policzkach uczuła sztywność, jakby cała jej twarz już zastygła. Przysięgłaby, że ten młody żołnierz wierzy w jej niewinność, on to wie niezbicie, dlatego, że nosi na sobie piętno śmierci — znać, że i on umiera...

Wydostali się z wąskiego zaułka, zakręt, szeroka aleja, ściana wspaniałych drzew, wjechali w cień.

— Teraz jazda! Jazda na złamany łeb!

— Panie majorze, — obrócił się wachmistrz, siedzący przy szoferze — możnaby skrótem przez Puteaux...

— Walić dookoła magistralą, w tych uliczkach można najechać czort wie na co, minąć się trudno...

Od zadrzewionego obszaru wionęła świeżość sierpniowego poranka. Wszak to tyły Lasku Bulońskiego... Nie, to już na samym skraju Lasku — Jardin d'Acclimatation... Za oknem przelatywały i znikały kępa akacji, żywopłot, łączka, staw. Zaraz za tym stawem aleja, ta sama, gdzie szydziła z kapitana Percin, gdy ją błagał, żeby uciekała... Nie mylił się, gdy wierzył w jej niewinność, dobrze on wiedział, co znaczą sądy wojenne... Mniejsza o to, co mu się stało potem... Mniejsza o niego, i o nią, i o resztę, i o wszystko... Koniec — koniec — koniec... Ach, niechże już prędzej... Prędzej! Prędzej!!...

Samochód zawył, rozpędził się i gnał, drzewa znikły, szeroka aleja, most, woda, wyspa, woda, rozległe, lśniące od słońca puste skrzyżowania wielkich dróg, tory kolejowe, na lewo wyrasta na niebie zielona masa fortu i zapada się, znika... Zimny dreszcz, zimny pot... Eva broni się, nie chce krzyczeć, kładzie rękę na ustach, zaciska usta... Więc to naprawdę, naprawdę... Wiedziała niezbicie, że nic się nie

stanie, nic nie pomoże... Ale gdy nadchodzi ostatni moment oderwania od życia, własna śmierć nikomu nie mieści się w głowie, i ona nie będzie wyjątkiem, umrze nic nie wiedząc, jak każdy, jak wszyscy — poco się dręczyć?

Przeleciała nad nią sekunda nicości, sekunda absolutnej ciszy i jednem błyskawicznem cięciem odjęła jej ból, żal, strach. Odpadła krzywda, nienawiść. I samotność, w której się zawarła duma i sprawiedliwy gniew.

Poco miałaby jeszcze żyć, może w późne lata?... Przeżyć młodość, urodę, sławę... Być starą?... Otrząsnęła się, było to bardziej niepojęte, niż chwila śmierci, która po długiej pogoni teraz ją właśnie dościga. Eva Evard, walcząca ze starością, ze śmiesznym kobiecym uporem i broniąca się sztuką maskowania zmarszczek i siwizny?

Absurd!

Jej śmierć jest również absurdem, ale ginąc za chwilę, umiera u szczytu sławy w pełni urody. Umrze piękną, uroda ją przeżyje, jeszcze ją ujrzą na chwilę wszyscy, którzy tam czekają na jej śmierć... I w tafli okna ujrzała drgające, niejasne widmo swej postaci, oczy widma i jej oczy związały się w tajemnem, ostatniem porozumieniu.

...To już za miastem — pole, wąska polna droga nieznacznie wznosi się pod górę... Zakręt — i na pół świata, do pół nieba rozpostarł się tuż-tuż ogrom wzgórza i fortu, znajome płaty spalonej trawy, krzaki, kępy drzew, czerwone i szare mury. Skręcili i pod okapem samochodu, za plecami żandarmów utaiła się wizja Już nie zbudziła dreszczu, nie przerażała i nagle, jak prąd niepowstrzymanego wichru, porwała ją ku sobie.

Mont Valérien...

Codziennie patrzała na wzgórze i twierdzę z wyżyny Montmartre'u, z mansardy na piątem piętrze na rue Lepic w czasach głodu, w latach nędznego dorobku i w ów dzień niezapomniany, gdy po raz ostatni żegnała ubogą izdebkę, odchodząc za uśmiechem fortuny, w swoje szczytne losy. Spoglądała z wyżyny na obraz miasta, gdzie za swoją pracę znosiła ciężką biedę, gdzie nagabywały ją bunty i pokusy, gdzie z poza każdego rogu każdej ulicy czaił się na nią brud, gdzie natrząsało się z niej bogactwo... Pomimo wszystko, wbrew wszystkiej swojej niedoli zapamiętale kochała Paryż, jego bezmiar, jego głębię, czar tajemny jego tchnienia. I oto doczekała swego dnia, Paryż, miasto cudów i tajemnic, miasto bez miłosierdzia nad ubogim i uciśnionym, nagradza ją za wytrwanie w bezrozumnem bez nadziei ukochaniu...

Ale wówczas, w godzinie radości i szczęścia cały przestwór miasta zasnuł się mgłami, czekała długo napróżno, a gdy zamierzała już odejść, nagle z kłębowiska oparów wynurzyło się w czerwonej łunie zachodzącego słońca jak wyspa na morzu samotne wzgórze — Mont Valérien. Czemuż zadrżała wówczas? Czego się ulękła? Zapłakała, zasłoniła oczy ze strachu. Ze strachu? Przed czemże? Przed swojem szczęściem...

Dopiero teraz poznała straszliwy znak wróżebny, widmo jej niecofnionego przeznaczenia. Tak być musiało, ku temu szła, nie wiedząc, poprzez bujne swoje życie, a teraz wypełnia się nakaz losu, tu na tem wzgórzu czeka ją wyznaczony kres i koniec.

Zapadła w mrok i w ciszę, osunęła się w głębię wieczystego spokoju, jakby ją zasypano ziemią i przywalono głazami. Nie zazna już strachu, nie rzuci ludziom ani jednego spojrzenia, nie zawoła pod lufami karabinów, że jest niewinną, aby to usłyszał cały świat — nie było już świata...

Mijali czarne baraki, składy, minęli plac musztry, gdzie po zdeptanej trawie pełzali rekruci w linjach tyraljerskich, gdzie w powietrzu latały ćwiczebne granaty. W cieniu wiązów szła walka na bagnety, nad samą drogą stała spoczywając kompanja w maskach i dwieście par ogromnych, okrągłych szklistych oczu, dwieście wydłużonych ryjów jak na komendę obróciło się za przelatującym samochodem.

Motor wysilał się, warczał, pracując na stromem zboczu, w prawe okno zaglądały pędy berberysu, gałęzie jesionów, obciążone pęczkami nasion, przesuwały się deski z napisami, sterczące na tykach... Po lewej stronie świat obniżał się gwałtownie i malał, malał w oczach, aż znikł.

Stoją...

Major krzyczy w okno, popędza furgony, które wyjeżdżają z bramy fortu, olbrzymie perszerony, napierając zadami, ostrożnie spuszczają z pochyłości dwukolne wozy, załadowane zwojami rdzawego kolczastego drutu... Gruchocą pod ciężarem ogromne koła, obracając się opornie, leniwie, aby dać czas, aby darować bodaj chwilę... Jeszcze jeden wóz... Jeszcze jeden... Pośpieszże się, ocknij się... Nuże, Evo Evard!. Rzuć ostatnie spojrzenie na ten świat boży..

Evę zmęczyło czekanie, bezwiednie odwróciła głowę i jej skamieniałe oczy, które niczego już nie chciały widzieć, spojrzały w okno...

Z okna jak osadzony w ramie drżał i mienił się potężny daleki obraz Paryża, uderzył i wdarł się przemocą w zamierającą duszę, jego ogrom, jego przestwór-bezmiar zaskoczył ją, objawił się niespodzianie, gdy już zapomniała o wszystkiem, co zostawało na ziemi, targnął za serce, odurzył, pogrążył ją w zamęcie.

Zalany słońcem, drgający od blasków, powleczony smugami cieniów od obłoków, sunących po błękicie nieba, Paryż falował, unosił się i opadał jak w rytmie żywego oddechu. Przez morze miasta snuły się ruchome plamy cieniów, gasząc po drodze światła i barwy i oddając je z powrotem słońcu.

Zdręczone oczy Evy przez łzy ostatniego wzruszenia zagubiły się w przestworzu i błąkały się jak w obcym świecie. Dostrzegły jarzącą się w blaskach białą zjawę Sacré Coeur, złotą kopułę Inwalidów, szarą masę Panteonu, ale był to już Paryż przeobrażony, nieznany i niczaznany przez nią nigdy. W jego nieogarnionem mrowisku roją się około swoich spraw ludzie-widma, istoty z poza wymiaru czasu i dnia, ci, których już niema, bo wymarli przed stu laty, ci, których pokolenie jeszcze nie przyszło na ten świat, gdyż urodzą się dopiero za sto lat... Odsłoniło się przed nią tajemne oblicze tego, co w rzeczach ludzkich jest wieczne w swojem nieśmiertelnem trwaniu...

Białe, krągłe obłoki stoją na niebie, ich cienie idą przez miasto, tłumią, niweczą światła, blaski i zarysy kształtów, a

gdy przeminą, rodzą świetliste zjawy, wskazują.

Oto wychodzą z cienia, już stanęły w okręgu słońca oba szczyty katedry Notre Dame. Patrzą na miasto kamiennemi oczami szatany, wiedźmy, poczwary, prastare rzeźbione dziwadła. Wszystko już widziały i wszystko wiedzą, od wieków szydzą z przemijających pokoleń, z ich walk, z ich tryumfów i klęsk, z ich cierpień i radości. Eva czuje na sobie ich zimne wejrzenie...

Motor zawył, samochód targnął się i ruszył, Evę ogarnął mrok i chłód sklepionej warownej bramy. Gdzieś daleko jak u wylotu podziemnego tunelu witało ją półkole dziennego światła. Tam czeka śmierć.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

XXII

Spokój, martwa cisza rozpostarły się nad szerokim pasem ziemi, gdzie przez cztery lata oba fronty, obie linje okopów wytrwały niewzruszenie, wrośnięte w swoje miejsca. Po obu stronach, jak okiem sięgnął od widnokręgu do widnokręgu, nie dopatrzeć zielonego drzewa, ani kępy trawy, ani żywego stworzenia, ani żywego człowieka. Całą krainę opanowała pustynia zupełna, już ostateczna, gdyż nic więcej nie zostało tu do zniszczenia.

Oddawiendawna pociski orały ziemię już po stokroć wysadzoną w powietrze i zamienioną w pył, przewróconą i zrytą na każdym kroku. Dziura przy dziurze, lej z lejem, stykając się krawędziami, okryły pas między pozycjami, całą przestrzeń na tyłach obu stanowisk aż po zasięg najcięższych bateryj. Przeorane pola zasiane były gęsto i hojnie żelazem, czerepami, drzazgami granatów, garnkami po szrapnelach, obręczami miedzi, były znawożone, zlane, przeżarte nawskroś przez zjadliwe trucizny. Nie zostało śladu po domach, fermach, osiedlach, kościołach, cmentarzach, znikły pola uprawne, łąki, lasy, zarośla, drogi, mosty, aby żaden z ludzi, którzy tu siedzieli z dziada pradziada, wróciwszy po wojnie w rodzinne strony, nie poznał krainy, kędy się był urodził i wychował, aby nie mógł odnaleźć miejsca, gdzie leżała jego własna ziemia, gdzie stał dom, który rzucił był przed laty, uchodząc od nieprzyjaciela.

Połamane, kręte pasma opuszczonych okopów szły jak

okiem zajrzał, dochodząc niemal do siebie lub odbiegając daleko. Potężne umocnienia, całe twierdze, głęboko wbudowane w ziemię, niespożyte schrony-granatniki, blokhauzy, opancerzone gniazda, kryte przejścia-tunele, osłony ziemne, palisady z tarcz stalowych, wielokrotnie kunsztownie splątane zasieki z drutu kolczastego, chytre, zabójcze zasadzki i sidła, dalekie podkopy, miny i kontrminy — po obu stronach walczących równoważyły siłę natarcia i siłę obrony i w ciągu czterech lat trzymały wojnę w miejscu, przykutą do osłon, odgrodzoną od przestrzeni, zamurowaną w żelazo-betonie.

Huragany pocisków, hekatomby ofiar, zimny wyrachowany kunszt wojenny i płomienne bohaterstwo i z jednej, i z drugiej strony porównu rozbijały się o martwy, nieustępliwy opór materji, jednakowo wiernie służącej tym i tamtym. Zawodziły wyrachowania, doktryny taktyczne, sposoby i wszystkie krwawe próby, zużywała się w ludziach siła wytrwania, odporność, czekali jedni i czekali drudzy, aż przeciwnik zubożeje na ciele, na duchu, ugnie się, załamie się w przerzedzonych szeregach, aż mu zabraknie chleba i pocisków i wiary w zwycięstwo. Bezradni poddali się w niewolę losu i czasu, zgadując dzień i godzinę, z rozpaczą wyglądając dnia i godziny, kiedy wróg wyczerpie się do kresu sił i już nie podoła natarciu, a ogień i żelazo, które zawodziły zawsze, wreszcie nie zawiodą, wyważą gć w koń cu z niezdobytych twierdz, wyżeną go w szczere pole.

Czekano, mordując się nawzajem, przez cztery lata ciągnął się potworny błąd wojny, opłacony miljonem

trupów, miljonami rannych, miljardami w złocie. Udręczeniem narodów, zdziczeniem dusz, na co w ludzkiem pojęciu niema już liczby ani miary....

...Od okopów do okopów, od pierwszej do drugiej linji, od drugiej do trzeciej i daleko, daleko na tyły ciągną się gęstą siecią splątane i mylne, głębokie, wąskie chodniki, rowy dobiegowe, podchody, approsze, zamaskowane galerje, podziemne drogi, któremi krążyło mrowie żołnierskie, od czterech lat z ludzi zamienione w krety, żyjące w ziemi i pod ziemią, w wiecznej trwodze przed wolną szeroką przestrzenią i przed pełnem światłem dnia. Po tysiąc razy zawalone, zrujnowane przez pociski, po tysiąc razy odkopane, stoją teraz pustką, hordy, szczurów snują się w nich tylko, spasione na trupach, porzuconych na przedpolu, gdzie który padł. Nastał spokój dla rozwleczonych szczątków i kości, potarganych przez ogień działowy, codzień grzebanych i codzień wyrzucanych z grobu przez wybuchy granatów, przez torpile powietrzne i miotacze min.

Cisza — wyczerpały się, minęły i poszły stąd dalej w świat burze, huragany ognia i żelaza, ustał ich huk, trzask, zmilkło ponure wycie pocisków... Cisza grobowa, milczenie pustyni posiadło zamordowaną ziemię, wojna wyszła z okopów, a za ludźmi w szerokie pole ruszyła znudzona śmierć.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Gałecki](#).*

XXIII

Ochotnik Ossian Helm poznał niebawem, że za późno zgłosił się do szeregu i że jego udział w walce już nie odwróci klęski. Jej znamiona widział w oczach żołnierzy, choć walczyli podawnemu mężnie, i w oczach oficerów, którzy zawsze byli naprzodzie. Czytał je wyraźnie w zatajonych jeszcze ostrożnych spojrzeniach ludności, zgnębionej i zdeptanej przez cztery lata okupacji, a teraz patrzącej dzień po dniu na odwrót ogromnych mas niezwyciężonych Niemców. Po kilku przemarszach od starego frontu dywizja weszła w kraj oszczędzony przez ogień i żelazo, gdzie tlało jakoweś podobieństwo zwyczajnego życia. Po wsiach, na polach, na drogach kręcili się ludzie, ukazały się kobiety, dzieci. Pod pogodnem niebem, wyjącem od pocisków, odbywały się żniwa, chłop francuski, oddawiendawna pozbawiony sprzężaju, na własnych plecach dźwigał snopy lub wprzęgał się z żoną i z dziećmi do wozu, gromadził plon, aby nie dziś to jutro granat francuski, granat niemiecki spalił mu to, co zebrał był w pocie czoła.

Nieprzyjaciel napierał, nie dawał wytchnienia, walki były uporczywe, mordercze ale niezmiennie kończyły się dalszym odwrotem — tracono armaty, materjal bojowy, zostawiano w ręku nieprzyjaciela rannych, a z każdym dniem przy apelu rosły liczby w rubryce zaginionych bez wieści. Dowództwo dywizji zaznaczyło ten objaw w surowym rozkazie, gdzie po podniosłych zwrotach o

niezawodnem męstwie niemieckiego żołnierza wyszczególniono drakońskie sankcje przeciw małodusznym. Każdy podoficer, poczynając od kaprala, miał prawo wedle swego uznania za najlżejszem podejrzeniem... Ale ginęli bez wieści i podoficerowie.

Poza niespodziankami boju w szerokim szyku wśród wolnego terenu, gdzie zdarzały się skrzydłowe obejścia i osaczenia, małodusznego żołnierza, nędznego wyrodka z plemienia niemieckiego, człeka zdręczonego wojną, podupadłego na duchu w obliczu przegranej sprawy kusił zielony gęsty las, kusił zaułek wioski, na biwaku, w marszu wabiła ciemna noc... Patrole wywiadowcze, boczne osłony kolumny w marszu, tylne straże nastręczały na każdym kroku sposobność do zbrodniczego złamania przysięgi, nieprzyjaciel następował na pięty i zapewniał dezerterowi bezkarność i wszelkie słodycze niewoli.

Kapitan Déspaix wciąż zwlekał, czekając niewiadomo na co. Już dawno mógł być wolny, niemal co dnia, co nocy nadarzały się niezawodne okazje, a w nim uparło się coś, odbierając mu wolę, pogrążając go w bezmyślnem trwaniu. Powtarzał sobie — jutro, nazajutrz znowu — jutro — tymczasem leżał w linji tyraljerskiej w naprędce wygrzebanym dole pod ogniem artylerji, wystrzelał już tysiące nabojów, robił wypady, w morderczych kontratakach zdarzało mu się widywać straszliwie zbliska braci Francuzów.

Absurd jego położenia ustalał się i graniczył z obłędem. Jakgdyby nie dopuszczał lub zgoła zapomniał, że każdego dnia może paść zabity lub co gorzej ranny, bo wówczas

zabiorą go do Niemiec i obłąkany krąg jego losu zamknie się z powrotem... Z niezmiernym wysiłkiem znosił żołnierski trud, forsowne marsze, głód, noclegi bez ognia pod gołem niebem, deszcz, spiekotę. Znużenie zabijało w nim zdolność myślenia, odbierało możność decyzji, wlókł się za innymi, robił co kazano i nawet w najgorętszym ogniu żył jak przez sen. Coraz częściej zdarzały się godziny, gdy zapominał o sobie. Wówczas ochotnik Ossian Helm brał go w posiadanie i, choć sam śmiertelnie wyczerpany i podupadły na duchu w obliczu klęski, wyzwalał ga z dręczących powikłań, dawał mu wytchnienie i spokój, które trwały w nim godzinę, parę godzin, a czasami z bałamutnemi przerwami, gdy już nic o sobie nie wiedział — i przez cały dzień.

W ostatnich dniach nieprzyjaciel jakoś nie napierał, nie słychać było strzałów, zapowiadano, że planowy odwrót strategiczny był ukończony a nazajutrz dywizja osiągnie wyznaczony zgóry punkt oporu i zajmie odcinek na nowej stałej pozycji, potężnie obwarowanej, zaopatrzonej i niezdobytej. Żołnierze w kompanji pozwalali sobie drwić z owego pięknego jutra, odczytanego w wieczornym rozkazie, ale Claude uwierzył w niezdobytą pozycję i przeraził się tem, co był uczynił. Zmarnował dwa tygodnie ruchomej wojny i mnóstwo sposobności, a jutro wpakują go w okopy, skąd już się nie wydobędzie... Ostatnia noc! Nieodwołalnie tej nocy!

Przywlókł się na nocleg i zakwaterowany został wraz z kompanją w stodole. Z przemęczenia nie mógł nawet jeść i odrazu zagrzebał się w słomie, żeby usnąć choć na godzinę

i nabrać sił. Pułk szedł w tylnej straży, nic łatwiejszego jak nocą przekraść się przez linje ubezpieczeń i placówek i zapaść w zarośniętych parowach, które zapamiętał był o jakie dwa kilometry nic dochodząc do wsi. Jego postanowienie było nieodwołalne, sprawa uczyniła się dziwnie łatwa i prosta, trzeba było odpocząć i zaczekać aż we wsi uspokoi się zwykły rejwach, aż Niemcy się najedzą i posną.

Gdy znalazł sobie spokojny kąt i wyciągnął się, zaledwie zamknął oczy, usłyszał najcichszy ale wyraźny szept. Czuł na twarzy oddech człowieka, który mu szeptał w samo ucho. Na sekundę roztworzył oczy, ale nie śmiał odwrócić głowy i spojrzeć, kto mówi. W ciemnościach przez dziury w dachu migotały gwiazdy, wokoło, tuż obok, bliżej i dalej rozlegało się bezładne niemilknące chrapanie, kompanja już spała. Z wielkiej odległości postukiwały zgłuszone wystrzały, to wedety i placówki dla dodania sobie otuchy od czasu do czasu bity naoślep w ciemną noc. Claude zapamiętale patrzał w gwiazdy i całą siłą trzymał się rzeczywistości tej nocy, chciał wiedzieć i nie zapomnieć ani na chwilę, że dokoła śpi stukilkudziesięciu ludzi, że to wojna i on jest na wojnie, bo przecie słychać strzały...

Tajemnicze szeptanie odrywało go przemocą od tego co było, co wiedział i czuł, mieszało i przewracało mu się w głowie. Bronił się jeszcze przed zamętem, ale raz po razu gubił się, zdawało mu się, że tonie, wynurzał się i zatracał się, opadał na dno. Natarczywy głos wydzierał mu z mózgu ostatnie włókna, które jeszcze w nim czuwały, metalicznie świszczący szept szybko, szybko przekrawał mu głowę

niczem cienka jak włos stalowa piłka. Ręce miał spętane, nie mógł ścisnąć czaszki, rozpadającej się na połowy, nie mógł zasłonić sobie uszu przed przenikliwym, świdrującym szeptem. Szybko mknące słowa zlewały się ze sobą w jeden nieprzerwany świst o zmiennych tonach, o rozmaiłem natężeniu. Claude nie rozumiał nic, ale zmartwiał w przerażeniu, gdyż rychło odgadł kto przy nim leży, kto szepce.

Fikcja, falsyfikat biura wywiadowczego, Niemiec amerykański, który nigdy nie istniał, zjawia się oto we własnej osobie! Było to niepojęte i niemożliwe jak zjawa, wywołana z nicości przez czary, przez magiczne słowa zaklęcia...

Wciąż świdruje mu w uchu jego natarczywy szept, zgrzytliwy, niespokojny jak głos aparatu radjowego na pomylonej fali — tak może mówić jakiś twór sztuczny, mechaniczny homunculus, fantastyczny wynalazek niedoprowadzony do końca. Potwór nie zdoła jeszcze wymawiać słów, ale o dziwo, on myśli i usiłuje przekazać mu sprawy, które si? roją w jego niepojętej głowie, pełnej kółek zębatych, sprężyn na podobieństwo mechanizmu zegaru. Claude zaciskał powieki, żeby w ciemnościach nie ujrzeć jego martwych oczu, w których niezawodnie świecą lampki elektryczne, bat się dotknięcia jego ręki — protezy. Strach przed poczwarą obezwładniał, zdjęła go odraza przed ohydą... Strach, wstrząs, dreszcz, od jakiego chwyta obłęd, od którego się umiera, gorszy niż gdyby go w ciemnościach oblazły i oplotły najwstrętniejsze jadowite gady... Nie!... To nie może być prawdą...

Obudził się i natychmiast porwał się na nogi. Przez rozebraną połowę dachu pałała na niebie Wielka Niedźwiedzica. Wymacał swój worek i płaszcz, ale wnet porzucił i jedno i drugie — poco mu to? Ostrożnie z trudem brnął przez ciemności i przez żołnierzy, leżących pokotem, każdy jego krok budził wpółsenne złorzeczenia i klątwy. Pod ścianą stała broń, odruchem żołnierskim wziął czyjś karabin i czyjąś ładownicę, wrota stodoły zaskrzypiały przeraźliwie. Noc zaszeptała ku niemu przyjaźnie, doradczo w liściach sadu. Nagły, ostry niedaleki strzał rozbudził go ostatecznie. Chyląc się pod drzewami sadu i tu co krok natrafiał na śpiących, z paru miejsc z głębokiego mroku doszły go grube rechotania żołnierskiego śmiechu, jęk zduszony kobiecego głosu.

— No, no... Jeszcze ciebie tu brakowało...

— Wynoś się do starego djabła — tu i tak ciasno!

W polu było o wiele jaśniej. Z uprzątniętego ścierniska wkrótce wszedł w pas koniczyny mokrej od rosy, przejął go dreszcz chłodu — dreszcz przerażenia, który wyrwał go z resztek ospałości. Kierował się prosto w stronę czarnej ściany lasu — stamtąd przyszli. Za wąskim pasem lasu zaraz zaczynają się owe parowy... Z pewnością są już opuszczone, w parowach o świtaniu powinny być patrole francuskiej przedniej straży...

Nogi chwiały się pod nim i plątały się w bujnej koniczynie, głowa co chwila opadała mu na piersi, z powrotem ogarniała go ciężka senność. Urwał garść koniczyny, trzepnął się nią po twarzy — oprzytomniał i ujrzał o kilkanaście kroków z prawej strony cień ludzki,

posuwający się w tym samym kierunku, co on, odrazu zboczył w lewo, ale i tam szedł zarys człowieka, zmierzający w stronę lasu. Przypadł do ziemi — oni również. Oczywiście to dezerterzy jak i on, nic mu od nich nie grozi. Uspokojony nie może się przezwyciężyć i usypia na parę sekund, von Senden szarpie go i kopie, znęca się nad nim... Zaraz... Zaraz... I śpi dalej.

Spada nań chmura żółtych lekkich płatków, wystrzygniętych w kształcie krzyża, pędzą z wiatrem, przelatują, nadlatują, pełno ich wszędzie...

...Paryż... Ulica Denfert Rochereau, wchodzi do domu, z jego mieszkania wynoszą rzeczy, tłomoki, puste szafy rozwarte naoścież, drogocenne książki całemi naręczami wyrzucają przez okna, to go oburza, chce krzyknąć ale nie może dobyć głosu...

Oprzytomniał, ostrożnie podnosi głowę — tamtych już niema. Wstaje, rusza — w ciągu paru sekund snu las dziwnie się przybliżył... Są, są! Dezerter z prawej strony zbliża się do niego, już jest o parę kroków, ten z lewej — tak samo. Zeszli się tuż, o dwa — kroki przed nim, nie zwracają nań żadnej uwagi, jakby go nie było, idą razem, rozmawiają półgłosem. Jeden to chyba... Niemożliwe! Niemożliwe! A drugi...

Mgła ściele się po ziemi, wznosi się — tamci mają jej po kolana... Po pas... Po ramiona... Znikają.

Claude stoi w osłupieniu, sam jeden w gęstej mgle, trzęsie nim okropny poczwarny strach, z mgły dochodzą jeszcze stłumione, coraz cichsze głosy tamtych.

Maca po sobie, przesuwa dłonią po twarzy.

Rozpacz. Obłęd...

— A gdzież jestem ja?! Co się stało ze mną?!

...On — kapitan Claude Déspaix w błękitno szarym uniformie francuskim i drugi on — Niemiec z Ameryki, ochotnik Ossian Helm poszli razem ku linjom francuskim, pogadując ze sobą po drodze. Cóż jest, jak nazwać to, co zostało po nich na tem miejscu? Kto zacz, co za stwór stoi pośrodku pola we mgle i myśli, myśli...

Bezładne, latające myśli przewracają się w głowie.

Alarm!!

Szary przedświt, feldfebel Machhaus brnie przez stodołę, rozdając kopniaki na prawo, na lewo.

— Kto za minutę stąd nie wyjdzie... Kto za pięć minut nie dopadnie lasu...

Claude zrywa się od ciosu między żebra.

— Teraz! Teraz! Odpełznie w ciemniejszy kąt, zagrzebie się w słomie. Więc nareszcie! O, Boże...

Żołnierze zaroili się. Ozwały się klątwy, odrazu w dwudziestu miejscach wybuchły spory i kłótnie, brzęczały manjerki, z ciężkim metalicznym stukotem trącały o siebie karabiny, bagnety, ludzie miotali się, rozpaczliwie poszukując zagubionych rzeczy, na wpół odziani rozmamłani żołnierze wypadali ze stodoły i biegli w pole.

— Atak lotniczy... Atak lotniczy...

Feldfebel Machhaus zgromadził pod ścianą kupę słomy i podpalił ją zapałką. Od czasu, gdy pułk szedł w tylnej straży, czynił to zwykle przed opuszczeniem kwatery. Gdy słoma zajęła się ogniem obszedł i przepatrzył wszystkie

kąty. Zdaleka doszedł dźwięczący pogrzmot motorów i wzmagał się z sekundy na sekundę. Ochotnik Ossian Helm z cudzym workiem na plecach, z cudzym karabinem, bez hełmu biegł za innymi z butami w rękach. Owładło nim ciężkie zamroczenie. Był to jakby dalszy ciąg snu.

Po dwóch przemarszach dziennych pułk nienaciskany przez nieprzyjaciela przeprawił się bez przeszkody przez jakąś nikłą, wyschniętą rzekę i na drugim brzegu dołączył do wielkich mas, okopanych w trzech linjach wśród młodych zagajników dębowych i na polach okrytych niezżętą, poczerniałą pszenicą. Nowa pozycja była pośmiewiskiem dla żołnierzy, którzy niedawno opuścili potężne stałe umocnienia. Rowy, obficie wyścielone słomą, wydały im się wyborne do spania, a osłony z darni na słupkach, naciętych z młodych dębczaków, mogły w pewnej mierze chronić od szrapnelów, ale zato dawały cień przed spiekotą słońca i były dobre od deszczu. Claude, rozłożony z pułkiem w drugiej linji, wysypiał się za wszystkie czasy jak i większość jego kolegów z kompanji. Przespał resztę dnia, noc i cały dzień następny, dopiero wieczorem dowiedział się, co się działo w pułku i w całej dywizji.

Nie był to oczywiście bunt, rzecz niedopomyślenia w armji niemieckiej, ale w każdym razie karygodne zgłaszania się do raportu, które miały charakter masowy, albowiem w całej dywizji nie było kompanji, z której nie stanęłoby do raportu przynajmniej po trzech ludzi. Jawna zmowa, nosząca jakby znamiona paniki, gdyż żaden ze stu

kilkudziesięciu szeregowych niczego nie żądał, ale śmiał „pytać posłusznie“, co będzie, jak Francuzi otworzą ogień artyleryjski pociskami z gazem „żółtokrzyżowym“... Bo wszyscy gadają, że właśnie w tych dniach Francuzi i zarówno Anglicy dostali na front pierwsze transporty. Straszliwy gaz, który do końca wojny miał być postrachem i klęską nieprzyjaciela, obracał się przeciw Niemcom. Teraz brała odwet uporczywa propaganda, wynosząca pod niebo okropne skutki Żółtego Krzyża, kłamiąca w dziesięciokroć straty nieprzyjaciela, lubująca się w opisach nieuleczalnych zatruć, oślepnięć, ran oraz oparzeń, przenikających prez płaszcze i kożuchy, nawet przez podeszwy butów. Gdzież są izolacyjne ubrania, gumowe rękawice, trepy o drewnianych podeszwach? Nieprzyjaciel był bezsilny wobec klęski, gdyż pomimo swych nieograniczonych środków w ciągu całego roku nie mógł się zdobyć na zaopatrzenie żołnierzy w te niezbędne rzeczy, ale Niemcy nie posiadali ich również...

Komendanci kompanij po ojcowsku wyśmiali strwożonych żołnierzy, dobrodusznie, jowialnie i rubasznie zapewnili ich, że odkrycie tajemnicy i naśladowanie „naszego wiernego i poczciwego“ Żółtego Krzyża jest niepodobieństwem. Gdyby to było w ludzkiej mocy, nieprzyjaciel miał chyba dość czasu, rok z górą, na zbadanie wielkiego wynalazku niemieckiego i zaopatrzenie się w znienawidzony „yperit“. No, nie?

Niepodobna było wykryć, skąd w pułku, w dywizji i w obu sąsiadujących dywizjach utrwaliło się przeświadczenie o groźnych zamiarach nieprzyjaciela? Dowództwo korpusu

było zaniepokojone, sztab armji nakazał surowe dochodzenia i wydał kategoryczny zakaz szerzenia głupich pogłosek, godnych bab plotkarek w małem miasteczku, a nie żołnierzy wielkiej wojny światowej. Dowództwo odwołało się jednak natychmiast do Wielkiej Kwatery Głównej z prośbą o informacje rzeczowe. Wnet otrzymano telefonogram, zapewniający, że substancja, markowana na pociskach żółtym krzyżem, przed trzema miesiącami rzeczywiście została we Francji zidentyfikowana, ale produkcja masowa natrafia na nieprzełamane trudności i wątpliwem jest, aby przed wiosną roku przyszłego nieprzyjaciel mógł zgromadzić poważniejsze zapasy nowych pocisków, które zaważyłyby na froncie.

Claude, słuchając uporczywej gadaniny o nadchodzącym ataku gazowym, gdy wciąż obijała mu się o uszy nazwa Żółtego Krzyża, popadł w znajomy zamęt, zaczynał znowu powątpiewać o własnej tożsamości. Niepodobna było dźwignąć rzekomej prawdy o upiornej wyprawie po mistyczną tajemnicę Renu. Jak sen z zamierzchłej, zamarłej przeszłości majaczył przed nim własny cień, emanacja jego uśpionej i bezwolnej istoty, wywołana przez niepojęte czary... Zmagał się ze sobą, zdręczony marzeniem o odzyskaniu godności człowieczej, tęsknotą do siebie, spragniony pewności gdzie jest, co się z nim dzieje. Samowiedza była chwiejna, wymykała się ze skołatanej głowy, wracała, zwodziła, usypiała, budziła się, obracała się w dowolność bez granic, zamieniała się w baśń, w sen na jawie, w niewiadomo co... Spał i spał, we śnie nie zaznał spoczynku ani wytchnienia, gnębiły go zjawy, spotworniałe

odbicia jego niedoli, koszmarne sploty wydarzeń, widma ludzi, obłędne zmory... Skulił się na słomie, nakrył się z głową płaszczem. Niech się dzieje co chce...

Przed świtem gęsta chłodna mgła, idąca od północy, spowiła w nieprzeniknioną zasłonę stanowiska niemieckie, zatopiła w tajemnicy przedpole i uczyniła wszystko nieodgadnioncm — zamiary nieprzyjaciela, jego siły, jego pozycje, jego bliskość czy dalekość. Patrole, kierowane głęboko przed front, błąkały się we mgle bez wiedzy i słychu o nieprzyjacielu. Wysunięte posterunki — czujki, oddziały karabinów maszynowych, siedzące w zamaskowanych i odrutowanych gniazdach daleko przed pierwszą linją, zdradzały zdenerwowanie wśród tego spokoju i mgły. Gońcy dolatywali gęsto do pozycji z meldunkami — coś się dzieje. Co się dzieje? Zdaleka, zdaleka jakieś dziwne odgłosy — coś uporczywie szczęka, coś tam jakby zgrzyta. Tłucze się jakoweś żelastwo. Podciągają ciężką artylerję? Nie — żadna artylerja tak nie idzie. Lądują mosty na rzece? Dowożą pontony? Nie, patrole podchodziły nad samą njekę i wbród na tamtą stronę — wody tyle, że do kostek — nie, to nic pontony, na taką wodę nie trzeba pontonów...

Słońce snadź wyjrzało zza widnokręgu, bo mgła przesiąkła czerwienią, w pierwszej linji zaroiło się, żołnierze budzili jedni drugich, od strony nieprzyjaciela odgłosy dochodziły coraz wyraźniej. Tarły o siebie dźwięcząc i zgrzytając łańcuchy, łomotało głucho jakby

przetaczano z trudem i oporem niezmierne ciężary — w pierwszej linji zauważył ktoś jakby drganie ziemi pod nogami i wnet odczuli je wszyscy. Czasami chrobotnęło jękliwie, zgrzytliwie, jakby się ozwały bufory zestawianych wagonów, to znowu zwaliło się coś ciężko, głucho, jak zrzucane na ziemię szyny... Zaskrzypiało przeraźliwie, metalicznie.

Nieprzenikniony tuman oparów wzmagał grozę tej tajemnicy, zgadywał ją każdy po swojemu, w okopach wszczęły się fantastyczne domysły, gorączkowe narady, spory...

Wreszcie od żołnierza do żołnierza, od kompanji do kompanji, od bataljonu do bataljonu przez cały front trzech dywizyj przebiegło jedno słowo. Przeleciał strach przed niezwalczonem, strach przed niezaznanem...

Wszystkie trzy linje bojowe stały w pogotowiu u marnych darniowych strzelnic, wysuwając ku nadchodzącym pancernym potworom bezsilną ręczną broń... W gorączkowym pośpiechu wiązano drutem paczki granatów... Telefoniści dzwonili na alarm, rozpaczliwie błagali o pomoc... Artylerja! Artyleria!

W sztabach miotano się w popłochu. Nagwałt obudzone baterje polowe, dalekie baterje ciężkie, przeklinając mgłę, napróżno i na ślepo wyliczały dystanse. Posterunki obserwacyjne wisiały bezczynnie na drzewach, obserwatorzy z przed frontu nie dawali znaku życia...

Krótki, bezładny ogień, pojedyńcze rozproszone strzały, nerwowe potrzaskiwanie karabinów maszynowych. kilkanaście granatów... Strzał, jeszcze jeden, jeszcze dwa...

Cisza. W niespodzianej ciszy zahurkotało jak ód pogrzmotu dalekiej burzy. Nadchodziły głuche stękania, zgrzyty, zadrgała ziemia... Wionął ciężki czad spalenizny... I nareszcie wśród martwych żelaznych odgłosów-podźwięków ozwały się żywe ludzkie głosy. Nawoływania. Krzyki — gromadny wrzask.

Z mgły wypadali oszalali żołnierze, z mgły gnało wszystko, co było na przedpolu — w pierwszej linji okopów zawrzało, zahuczało, zakotłowało się i masa ludzka ruszyła wtył w niepowstrzymanej panice. Wnet zalała drugą linję i porwała ją za sobą. Nic padł strzał, nie odezwało się jedno słowo komendy. Porzuceni oficerowie nagwałt doganiali żołnierzy.

Bezładne kupy z bronią, bez broni, porzuciwszy worki, bagaże, karabiny maszynowe, gnały przed siebie, brnąc w zbożu, przedzierając się przez zagajniki. Prysła w rozsypce trzecia, ostatnia linja okopów...

Dalej! Dalej przed siebie! Gdzie oczy poniosą! Byle dalej od grozy przed niepojętem, przed niezwalczonem, przed niezaznanem! Oszalała masa ludzka w bezprzytomnym popłochu porywa za sobą rezerwy i ginie, przepada we mgle.

Na całej linji ataku, na szerokim, rozległym froncie trzech dywizyj potężne kolumny szturmowych czołgów angielskich, rwąc jak pajęczynę wielokrotne zagrodzenia z drutów, kładąc pokotem młody tęgi las dębowy, ścierając wszystko po drodze, gniotąc na miazgę przedpiersia, strzelnice, osłony — weszły bez strzału w opuszczone okopy. Zawył, zajęczał w powietrzu huraganowy ogień

mnóstwa bateryj, zagrzmiały nieprzerwanym hukiem, trzaskami granatów, we mgle wyrastały jak widma słupy dymu i ognia.

Czołgi parły naprzód w głęboką przerwę frontu, ogień artylerji wzmagał się, rozchodziła się mgła. Zaczynał się przełomowy dzień olbrzymich zmagań. W księdze wojny rozwarła się zapisana naprzód przez Fatum „czarna karta armji niemieckiej“ — ów dzień sierpniowy ostatniego roku Wielkiej Wojny.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

XXIV

Suchy, krótki trzask salwy dwunastu strzałów jeszcze dzwonił w uszach, jeszcze nie rozszedł się w powietrzu czad prochowy, gdy z poza dwurzędu plutonu egzekucyjnego wystąpił sierżant — szef i sztywnemi krokami mierzył dziesięć metrów, dzielących obmurowanie fosy od pierwszego szeregu. Wśród ciszy, w którą z wyżyny wkradało się tylko dalekie miękkie granie motoru samolotu, szybującego nad Paryżem, stali wszyscy jak skamieniali, bez ruchu, bez jednego drgnienia — żołnierze kompanji asystującej, dowództwo fortu, przewodniczący sądu, komisarz rządowy, lekarz, oficerowie i dopuszczeni dziennikarze... Siostra Melanja z St. Lazare, klęcząca na trawie i szepcąca pacierze za grzesznicę, która umierała bez księdza i Boga... Wszystkie oczy wlepione były w twarz zmarłej.

Skuci oczarowaniem, patrzeli wszyscy w cud piękności tego oblicza. Eva leżała z rozpostarłemi ramionami, z głową, opartą o mur, złociste pasmo włosów opadało naskos przez czoło. Oczy były przymknięte. Ciemne rzęsy, wzniesione ciemne brwi kładły się stygmatem tragizmu na tych rysach już śmiertelnie pobladłych. W kątach ust ledwie dostrzegalny uśmiech krył odmęt zastygłego bólu. Linja ciała skręcona w bezwładnym, martwym upadku... Szary kostjum na piersiach, na ramionach już przesiąkał krwią...

Zdawało się, że pod łukami brwi natychmiast podniosą się posiniałe powieki i zamordowana spojrzy jeszcze raz na

ludzi, wówczas wszyscy odgadną jej krzywdę i poznają popełnioną zbrodnię. Z wrzaskiem przerażenia rozbiegną się lub padną na miejscu od ciosu tego spojrzenia mordercy niewinnej, zakamieniali w służbie nieludzkiego bezprawia wojny... Natychmiast rozprzęgnie się asystująca kompanja, która na komendę — „Prezentuj broń!“ — oddaje należne honory przed majestatem tryumfującej sprawiedliwości. Żołnierze nawykli do krwi, żołnierze wielkiej wojny rozsypią się w popłochu, gdy te oczy powiedzą im — co uczyniono...

Koniec filmu — zdawało się, że lada chwila zgaśnie w oczach kobierzec murawy, szary, kamienny mur, zielone gałązki berberysu, zwieszające się z nasypu, i trup Evy Evard. Na sekundę wszystko pochłonie ciemność i za sekundę znów błyśnie światło, umknie z oczu i ujdzie z serc czar i omamienie sztuki...

Ale tak piękną nie była w żadnej swojej kreacji.

Dwanaście kul przeszyło i podarło jej ciało, ani jedna nie ważyła się drasnąć tej radości i chluby świata, rysów oblicza, umiłowanego po wszystkich lądach kuli ziemskiej przez narody ziemi. Ocalała i zastygła teraz w ukojeniu śmierci twarz jedyna, uwieczniona w pamięci miljonów, miljonów ludzi. W niej, jak w żywej księdze, czytali najtajemniejsze dzieje dusz, z niej chłonęli wszystkie wzruszenia serca. Przez nią to — przez Evę Evard kochali, nienawidzili, w nią zapatrzeni dręczyli się jej krzywdą, promienieli od uciechy, gdy zwyciężone było zło. Z nią oddychali pełnią szerokiego, górnego, niezaznanego życia, odmęt rozkoszy i radości czerpały z niej serca, rzeki łez

wylano z miljonów oczu, gdy ona zapłakała na ekranie...

Sierżant doszedł. Pochylił się nad leżącą i zasłonił ją od oczu patrzących. Szybko przypadł na jedno kolano. Był on ostatnim człowiekiem na ziemi, który oglądał urodę Evy Evard... Zbliska, straszliwie blisko, twarzą w twarz...

Patrzał i nie wierzył oczom, albowiem widział cud. Patrzał i zawahał się — jakże się porwać na boskość?... Ale regulamin jest wyraźny — prosto w skroń.

Odsunął bezpiecznik, odciągnął, wprowadził nabój w lufę.

Drgnęło wszystko na strzał.

Sierżant powstał, uczynił sztywny zwrot i wracał szybko. Szpada oficera, komenderującego egzekucją, spuszczona ku ziemi, drgała mu w ręku, łyskała ostrzem i mieniła się w słońcu.

Na miejscu Evy Evard z dawnej Evy Evard pozostała zniekształcona, potworna maska, krwawa miazga strzaskanej, rozsadzonej twarzy. Ujrzano obnażoną ohydę śmierci i wojny, ich prawdziwe oblicze — to, z którem polegli zostają na pobojowisku, na polu chwały.

Na polu wielkiej zbrodni.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

XXV

Claude, przewrócony i zdeptany w tumulcie masowej ucieczki z drugiej linji okopów, porwał się na nogi i pobiegł krętym, głębokim rowem. Zawadzało mu na każdym kroku mnóstwo porzuconej broni, worków, płaszczów, hełmów, skrzynek z nabojami. Nigdzie żywej duszy.

Na jednym z trawersów okopu wpadł na porucznika o nieprzytomnych oczach z fanatycznym skurczem w twarzy, który ze spokojną, metodyczną zawziętością zbierał granaty i wiązał je drutem w pęki, nie zatrzymał go, nic odezwał się słowem, ledwie rzucił nań spojrzenie, z którego ziała śmierć. Zaledwie odbiegł na sto kroków od samotnika, zaklekotało i zgrzytnęło mu nad samą głową żelaziwo, zabrzękły jakby łańcuchy. Skulił się do ziemi i dodał pędu, wnet utknął wśród chaosu pokrzyżowanych karabinów, szpul z drutem, drewnianych pali. Odwrócił się w trwodze i w rzednącej mgle ujrzał, jak kolosalna, pomalowana w ochronne pasy i pręgi machina przechyliła się żelaznem cielskiem wtył i we mgnieniu oka opadła, zmiażdżyła, wyrównała wał, osłony, dwumetrowe rowy i przepełzła przez okop, wlokąc za sobą pasmo drutów, zerwanych wraz z kołkami. Z dwóch bocznych wież wyglądały wyloty armat, wgórze, zprzodu i od tyłu sterczały żądła karabinów maszynowych. Claude nigdy jeszcze nie widział ciężkiego czołgu. Był to myślący, rozumny potwór, obojętny na ogień i żelazo, niezwalczony. Niósł w sobie zimne okrucieństwo i jakąś nową, niezaznaną jeszcze w tej wojnie,

najokropniejszą, absolutnie pewną śmierć.

Claude zapomniał, że nim kierowali ukryci żywi ludzie, zwyczajni żołnierze, na sekundę zapomniał o tem i, porażony niepojętem zjawiskiem, zadrżał. Jedyna myśl — uciekać! Chciał uciekać, jak uciekały przed chwilą trzy dywizje tęgich niemieckich żołnierzy, wypróbowanych we wszystkich okropnościach wojny.

Nagle otrząsnął się z koszmaru, z niepewności, ze strachu. Ze snu o czołgach przenikliwie jasno wyjrzała rzeczywistość. Jak wypchnięty z ciemnicy, jak urwany z łańcucha nie wierzył odzyskanej wolności. O, szczęście...

Był dawnym sobą, zbłąkana dusza wróciła z pomylonych dróg, wydarła się z pod władzy przekleństwa.

Smugi mgły odrywały się od ziemi i szły pochyło ku górze, przebił się pierwszy promień słońca i reszta pomroki spadła z nieszczęsnej głowy. Ocknął się i we mgnieniu oka jak w pokrętnej, splątanej wstędze błyskawicy przemknęła w rozbudzonej myśli cała jego dola i niedola, niczego nie zapomniał, niczemu się nie zdziwił, niczego nie pożałował i oto zatrzasły się za nim jakby drzwi. Odcięty od majaków, od chorych przywidzeń stanął w obliczu prawdy dnia i tej godziny, odnalazł siebie, wrócił do siebie. Ogarnęła go radość istnienia, wabiła ku sobie niewiadoma przyszłość, bezgraniczna jak w złudzeniu pierwszej młodości lat. Zapragnął żyć.

Wiedział, jak strasznie niepewna jest każda jego chwila, że nigdy śmierć nie była tak blisko.

Ach, żyć!... Życie trzeba obronić, to życie trzeba zdobyć...

Obudził się w nim bojowy oficer, dawny człowiek wojny. Rozumował i działał jednocześnie, śmierć czyhająca zewsząd nie obezwładniała myśli, nie płoszył jej rzekomą pogardą ani lekkomyślną brawurą. Znał jej potęgę. Nie liczył na traf, na szczęście, ani na jedną chwilę nie poddał się zwątpieniu. Myślał zimno, uporczywie. Zrobi się, co się da, a reszta...

Wiedział, że lada sekunda zacznie artylerja niemiecka. Dziwiło go, że jeszcze milczy — czyżby aż tam dosięgła panika i rozprzężenie?...

Nie czekał długo.

Zawyło, powietrze wypełniło się gwizdem i pędem, ale wybuchy odzywały się przed pierwszą pozycją, ogień kierował się wgłąb atakującej kolumny. Claude pośpieszał, aby czemprędzej dobiec rowem do lasu, który był tuż i dawał lepsze szanse od granatów. Nagle przycupnął przy ziemi, przywarował — drugi czołg zawisł nad okopem, ważył się przez długą chwilę, aż z chrzęstem i szczękiem zwalił się, zatrzęsła się ziemia. Przeszedł. Nie mijając kępy młodych drzew, naparł na nie, powalił wszystkie, wydarł z korzeniami i klekocąc, dzwoniąc i stękając motorem, rwąc i krusząc gałęzie, wbijając je w ziemię, przeczołgał się dalej.

Pierwsza linja ataku... Jak głęboko sięga kolumna? Claude, zarówno jak dowództwo niemieckie, nie znał taktyki czołgów, była to rzecz nowa, wiedział tylko, że za czołgami pod ich osłoną posuwa się piechota, a dalej cała linja bojowa. Przeć w stronę nieprzyjaciela, lawirować między straszliwemi machinami? Iść w rozpaczliwy ogień zaporowy artylerji niemieckiej, który zapewne niewiele

zaszkodzi czołgom, ale...

Postanowił trzymać się okopu. Przeczeka pod dobrą osłoną, da przejść całemu atakowi czołgów, będzie manewrować w razie, gdy na niego który natrafi zbyt blisko — byłoby szaleństwem kusić się o porozumienie z osadą — jak go tylko spostrzegą, ustrzelą natychmiast... Tak doczeka czołowych patroli francuskiej piechoty... A może to będą Anglicy? Amerykanie?

Ogień artylerji wzmagał się, nisko, tuż nad głową dopadając ziemi, wyły, hurkotały, prując powietrze, ciężkie pociski. Padały niedaleko, wybuchy coraz częściej zlewały się w jeden niemilknący grzmot. Jeżeli skrócą dystans strzału... Muszą to zrobić nie za pięć — to za dziesięć minut, nie dłużej.... Jeżeli przeniosą ogień o sto metrów i znowu o sto... I jeszcze o sto — nie ujdzie żywa dusza z tego nędznego okopu polowego... Co począć?

I jak dawniej na froncie w ciężkich przeprawach, zapomniał o wszystkiem na świecie, pracował całą myślą, całą wolą dla jednej chwili, dla jedynego celu. Okop skręcił w prawo, potem w lewo i zaczął wznosić się pod górę, wnet pod kątem szeroko rozwartym poszedł ukośnie w stronę nieprzyjaciela. Od tej strony dał się słyszeć trzeci zkolei czołg, szedł tuż, pracował ciężko, przedzierając się przez młody las, łamał i druzgotał drzewa, za chwilę wyjdzie z gęstwiny... Claude biegł pod górę, okop wchodził na polankę na łysym kamienistym grzbiecie płaskowzgórza. Tu na wyżynie już nic było mgły.

Jak okiem sięgnął wdole na prawo i na lewo, wysoko ponad mgły wytryskały rojami czarne strzeliste dymy,

szybko gasnące łyskania wybuchów biegały wszędzie, szerokie wyrzuty ziemi, kamieni pryskały wciąż, obcięte gałęzie, płonące garście zboża fruwały w powietrzu, aż pod niebo szalały wirujące chmury liści.

Pociski sprawnie rozpraszały mgłę, jej smugi, poskręcane fantastycznie, w popłochu odrywały się od ziemi. Zmieszane z dymem, czarno-bure wciąż uporczywie pisały na niebie dziwne rozwichrzone znaki, natychmiast niszczone i ścierane przez coraz nowe wybuchy. Wczesne słońce wyjrzało przez szczelinę w chmurach i rzuciło na ten obraz skośnym, niemal poziomym pękiem promieni. Przenikło, prześwietliło mgłę, wydobyło z mętnego chaosu całe mnóstwo rzeczy ukrytych — pożary bliższych osiedli, palących się ciemno-czerwonym bezdymnym płomieniem, dziwnym w słońcu i dziwnym przy ustawicznych jasnych łyskaniach granatów, strzeliste wieże dwóch kościołów, aleje starodrzewia, kreślące okolicę w różnych kierunkach, płaskie pagórki, sterty ze zbożem rozsiane po polach a daleko na widnokręgu miasteczko niewiadome z nazwy, przez które przed dwoma dniami przechodził z pułkiem, gdzie o tej porze szaleje radość wyzwolenia po czterech latach oddarcia od ojczyzny... Gdzieniegdzie odsłaniały się, ukazując się i co chwila ginąc w ostatnich płatach mgły, grupy pełznących czołgów. Jak stada poczwar objawiały się to tu, to tam, jak okiem zajrzał. Szły na prawo, szły na lewo od wzgórza, ciągnęły olbrzymią ławą i tuż w pobliżu i hen daleko, daleko wgłąb, okryły zda się całą krainę.

Ileż ich było?!

Naprzekór oczywistości, która żądała, by właśnie ukrył

się, zagrzebał się w okopie jaknajgłębiej od grożących każdej chwili pocisków niemieckich, wylazł z rowu i wzrokiem zatoczył szeroko. Zapomniał o sobie, zapamiętał się, ogarnęła go zgroza, porwał go zachwyt.
Oto wojna, oto jest śmierć w jeszcze jednej nowej, jeszcze raz odmienionej postaci.

Trzeba było krwawej nauki całych czterech lat i wyniszczenia, wytracenia na marne miljonów ludzi... Trzeba było doszczętu znużyć i zużyć żołnierza i jego zdumiewającą siłę odporną na niezliczone absurdy i zaślepienia wojny... I trzeba było załamania się całej wiedzy wojennej i bankructwa wszystkich wodzów — aby system natarcia, próba przełamania nieprzyjaciela przeistoczyła się w ów obraz potężny i nowy, który kapitan Claude Déspaix ujrzał teraz ze wzgórza.

Straszliwe hekatomby rzucono z obu stron na pastwę beznadziejnemu złudzeniu, jakoby najszczytniejsze męstwo i ślepe posłuszeństwo żołnierza mogły się mierzyć z huraganem ognia i żelaza, aby żywe, kruche ludzkie ciało przezwyciężyło opór i napór martwej materji. Wreszcie jednej ze stron udało się ubiec drugą i za klęskę gazów koalicja odpłaciła Niemcom czołgiem.

Szły w masie, w głębokim, szeroko rozwiniętym szyku, nieprzeliczone, nieodparte. Nie znały przeszkód w ciężkim, falistym terenie, szły naprzełaj, nie zważały na szalejący ogień. Parły naprzód miarowym, nieustępliwym, zawziętym ruchem, nie łamiąc szyku, zwarte ze sobą jak prowadzone jedną ręką. Ich szeregi zapadały w zaklęśnięcia ziemi, tonęły w zaroślach, znikały i wynurzały się z powrotem na

wyniosłościach, wydzierały się z gęstwiny. Ich martwy spokój, ich niewzruszony w huraganowym ogniu ciągły ruch naprzód, sama jego powolność wzbudzały lęk przeraźliwy, obezwładniający nic przed grozą ziejącej z nich śmierci, ale przed samą ich koszmarną zjawą, przed ich jawnem niepodobieństwem, na które jednak patrzały oczy na jawie, w biały dzień...

Już zawiodła druzgocąca moc granatów przeciw pancerzom, zawiodła przenikająca wszędzie zjadliwa, dusząca trucizna pocisków gazowych, jakgdyby zaprawdę w ich wnętrzu nie było żywych ludzi. Kto im poradzi w boju? Co ich zatrzyma, jeżeli w pierwszem spotkaniu pierzcha kto żyw, zanim dadzą pierwszy strzał? Przejdą wszędzie, przez wszystkie umocnienia i przeszkody, przez masy nieprzyjaciela, przez całą Francję, wyżeną najeźdźcę, zakończą wojnę — one zwyciężą...

Nagle coś mu się zmieniło w zapatrzonych oczach... Zanim odgadł, uderzył go spokój, który spadł znienacka na pole walki — wiatr znosił i rozwiewał ostatnie dymy, nie było więcej łyskania ani grzmotu wybuchów — cisza. Wspaniała w swej dyscyplinie artylerja niemiecka jak uciął urwała ogień. Odsuwają na zapas stanowiska bateryj? Wyrzekają się walki? Zaczynają odwrót?

W ciszy ozwał się zgłuszony, jakby podziemny hurkot i ciężki zgrzytliwy szczęk mnóstwa machin w nieprzerwanym marszu, huczały, wyły wysilone w pracy potężne motory. Tuż przed nim wdolw w drobnym lesie, zanikającym ku szczytowi wśród zwałów kamieni, rozległ się bliski trzask łamanych drzew — i tu na wzgórze, jakby

wprost na niego piął się czołg... Wdół ku pierwszej linji schodził rów łącznikowy, połamany w; szerokie zakosy, i ginął w lesie.

Claude wyrwał się z zapatrzenia i znowu spokojnie, trzeźwo szukał dla siebie wyjścia z ciężkiego położenia. Czołgi szły rozwiniętym frontem w schody, coprawda w sporej odległości jeden od drugiego, ale jakże je wyminąć wszystkie? Nanic się nie zdało biec dalej ku ich lewemu skrzydłu, by się wycofać z linji ataku — lewe skrzydło gubiło się gdzieś woddali, niepodobna będzie zdążyć, zresztą od tej strony na skrzydle już się oznajmiły głuchym grzmotem miotacze min, snać tam kończyła się przerwa we froncie i Niemcy dawali opór... Dla uratowania skóry dostać się z powrotem między nich?

Zsunął się do okopu i patrzał przez darniową strzelnicę. Czołg zdawał się utknąć w lesie, nie słychać było trzasku łamanych drzew, tylko motor huczał, wył w jednem miejscu i co chwila zarywał. Wtem nadleciał niespodziewanie i przeleciał mu tuż nad głową potężny pęd jakby najcięższego pocisku.

Drugi... Trzeci...

Jeszcze raz... Jeszcze...

Nisko nad ziemią przemknęła eskadra olbrzymich płatowców, znaczonych niemieckiemi czarnemi krzyżami, wzbiła się wgórę w gwałtownym wirażu nad lasem. Rozległy się ostre świdrujące w uszach pogwizdy ciężkich bomb lotniczych — sekunda ciszy — i jeden za drugim zaczęły walić wybuchy. Nad lasem wyrosły słupy burego dymu.

Claude czekał na swój czołg, ale ten zmilkł, nie dawał znaku życia, zato w pobliżu od strony trzeciej linji usłyszał głosy ludzkie...

To nie mogli być Francuzi... Nie mogli być Anglicy... Przenigdy! Żadną miarą! Piechota nie może iść przed czołgami ani między niemi — absurd! Absurd!...

Ale serce zamierało w oczekiwaniu. Targało nim przeczucie radości, to go obezwładniało, utracił prosty sąd o rzeczach. Poniosły go radosne urojenia, i hipotezy i zgadywania...

Ludzie z uszkodzonego czołgu powyłazili z komór i schronili się w okopie... Kiedy nie mają lepszego schronu jak właśnie czołg!... To wywiadowcy lub oficerowie, prowadzący atak... Nonsens! Jeżeli nawet byli tacy, już im dogodziła artylerja... To piechota zachodzi od przerwanego skrzydła... Czyż można wiedzieć, co się dzieje za wzgórzem?

Głosy umilkły, zato usłyszał, że ktoś biegnie rowem tuż na prawo. Jedno jedyne nie przyszło mu do głowy, choć w istocie, w jakiejś równorzędnej, innej świadomości wiedział o tem od początku, gdy tylko posłyszał głosy. Niemcy uciekli, tak, ale przecie nie rozwiali się wszyscy w nicość, zaczarowani przez samo pojawienie się czołgów...

— Oho — jest jeden! Servus, bracie! Żelazny Krzyż za uratowanie honoru dywizji — co tu robisz?

— Nic. Patrzę sobie...

— Ha — ha — ha!...

— Ha — ha — ha!... On sobie patrzy!

— Wygląda przez okno na ulicę, wybrał sobie czas!

Czemużeś, głupi, nie zwiał za innymi?

Obstąpili go — byli to dziwni żołnierze w skonanych kurtach, w skórzanych spodniach, ciężko obładowani. Dźwigali na plecach płaskie baryłki blaszane, niektórzy opleceni byli zwojami metalowych giętkich węży, każdy miał na obu bokach przewieszone na krzyż torby z granatami.

— Zmykaj, pókiś cały, bo jak cię taki nadepce, będziesz kulał ze trzy tygodnie!

— Ha — ha — ha!...

— Chodź z nami, panie piechota, dopiero zobaczysz co to wojna...

— Chłopcy, gdzie porucznik?

— Przyzostał, żeby się...

— Ostatni raz przed śmiercią. Smutny obowiązek...

— Idziem na pewną śmierć, lej mi sznapsa pełną ćwierć!

— Panie plutonowy, kropniem przed robotą?

— Wróć! Mam niecały litr — żelazna rezerwa!

— Po cholerę nam rezerwa? Sam pan wróć! Kto ją za nas wychleje?

— Francuzów myślisz poić naszym sznapsem? Ich niedoczekanie! Widzę draniów, jak obmacują nasze szczątki — a tu nic.

Wszyscy pijani, cuchnęli wódką, cuchnęli potem w swych czarnych zapuszczonych skórach i ostrym wyziewem nafty. Chłopy tęgie, gęby jak na dobór zbójeckie, bezczelne, okrutne, nieustraszone. Claude odgadł, choć jeszcze nie widział na swoje oczy ludzi z tej formacji specjalnej, znał ich ze sławy. To mistrze sztuki

ogniowej z tak zwanej „piekielnej drużyny“, gdzie olbrzymia większość żołnierzy przydzielana była z orzeczeń sądu polowego. Były to oddziały, w których służba zwalniała od kary śmierci, a w istocie odraczała ją tylko, zużywając na potrzebę walki żywioły niesforne lub zbrodnicze. Oficjalnie, regulaminowo panowała w nich wyjątkowo okrutna dyscyplina, a w rzeczywistości jakieś piekielne braterstwo broni łączyło wszystkich bez względu na szarżę, gdyż oficer lub podoficer, któryby spróbował stosować literę nieludzkiego regulaminu, zazwyczaj przy najbliższej sposobności nie wracał z wyprawy. Szli zawsze w pierwszej linji zdobywać gniazda karabinów maszynowych, wypalać ogniem zbyt zawzięty opór w nieprzyjacielskich blokhauzach i schronach.

Czołg odezwał się, zawarczał w lesie, zadygotał gazem.

— Oho — jest!

— Już go mamy!

— Zaczekajmy w rowie, a jak będzie przechodził — odrazu go z obu stron!

— W okopie za ciasno...

Zjawił się porucznik, mały, nikły, z twarzą neurasteniczną, z oczami obłąkanego. Popatrzał przez strzelnicę, kiwnął głową na ukłon Claude’a, skinął brwiami w kierunku czołgu i porozumiewawczo skroił komiczną minę do żołnierzy. Dziie twarze rozjaśniły się jakiemś zbójeckiem rozradowaniem.

— No, chłopcy — tegośmy jeszcze nie zakosztowali, co? Rzecz najpierwsza, żebyście rozumieli, że to nie żaden cud, bo i tam we środku siedzą ludzie... Nic innego, jak

zwyczajny głupi blokhaus, tyle że się trochę rusza — oto wszystko. Pietra masz jeden z drugim?

— Owszem, ale idzie, panie poruczniku.

— Który ma pietra, niech go tu zostawi...

— Idzie na całego, żywi stąd nie wyjdziem, ale to nic...

— Żywi nie wyjdziem? Załóż się ze mną — stawiam dziesięć marek! Idzie?

— Dobra nasza — więc gdyby tak łyknąć, panie poruczniku?

— Jeszcze nie masz dosyć?

— Nigdy nie dosyć, to moje hasło, panie poruczniku.

— Grandel, masz tam co w butli?

— Żelazna porcja!

— Dobrze, zakropimy się potem!

— Potem...

— To znaczy po najdłuższem życiu. Zrozumiane!

— To znaczy — uważasz jeden z drugim — po naszym czwartym czołgu. Słowo!

— Jezu, aż po czwartym?!

— Po drugim! Po drugim, panie poruczniku!

— Żeby przecie było komu to wypić...

— Do djabła z taką robotą...

— Zostanie trzech, to się nieźle opiją, zostanie jeden — urżnie się za nas wszystkich.

Tak gadając, porucznik nie odrywał oczu od strzelnicy, nasłuchiwał — czołg charczał, dudnił wciąż nie ruszał z miejsca.

— Zatknęło go, czuje, że z nami sprawa.

— Czeka, czy się nasz porucznik nie rozmyśli...

— Ach, żeby tak teraz...

— Cicho tam! Wyloty dokręcić! Rękawice! Maski na pysk!! Uwaga! Dziś będzie morowo pryskać, bo blisko! Jak było mówione — od razu dopaść tuż! Tak, żeby go wesprzeć ramieniem! Iść z nim razem! Popuszczać spokojnie potroszku! Naprzód w wizjery na przodzie, aż się dobrze odezwie... Dalej góra — karabiny maszynowe! Wkońcu lać na boki — do dział, dokoła lufy — a jak będzie słychać, że mają dosyć — puścić go, drania, niech idzie na złamany łeb! I już! Pierwsza sekcja zaczyna, druga w rezerwie... Za mną, marsz!

Za chwilę pierwsza grupa czarnych ludzi zbiegała sznurem wdół zakosami rowu łącznikowego ku czołgowi. Snać ruszył, bo w lasku zaczynało potrzaskiwać i chrzęścić. Dopiero teraz Claude ujrzał jasno swoje położenie i wiedział co ma robić, wszystko wydało mu się łatwe i niezawodne. Zdjęła go żołnierska ochota, ciekawość co będzie, bez cienia myśli o złej przygodzie ani o śmierci. Tak bywało w pierwszych latach wojny, zanim przyszły znużenie, czas i nadludzka krwawa nuda służby w okopach. Za pół godziny, gdy przejdą czołgi, będzie wolny!

Najprostsza rzecz! Odsunie się trochę naprawo, ukryje się dobrze od czarnych ludzi i, nie opuszczając rowu, będzie wypatrywał, którędy pójdą machiny — oczywiście wszystkie go wyminą, żadna go nie spostrzeże. Nie potrzebuje wysilać głowy nad sposobami ratunku od chwili, gdy umilkła artylerja niemiecka. Staje się widzem, świadkiem bardzo osobliwej walki, jedynym człowiekiem, któremu tu nic nie grozi.

Odprężenie nerwów zdradzało się przez bezcelowy niepokój w ruchach rąk, przez ciągłe zmiany miejsca bez żadnej potrzeby. Pobiegł rowem, po kilkunastu krokach przyczaił się za — pierwszym trawersem i tam napadł go śmiech. Zachichotał, zasłaniając sobie usta nie dlatego, żeby się bał, że go ktoś usłyszy, ale poprostu w takich okolicznościach nie wypadało się śmiać. Jednak wszystko naraz wydało mu się farsą — była ona zanadto komiczną jak na przygodę wojenną i w dodatku bynajmniej jeszcze nie skończoną... Komizm wydobywa się na jaw dopiero w opowiadaniu między kolegami, gdy epizod zakończy się szczęśliwie, a i wówczas nie jest to bynajmniej komizm jeno pewna zamaskowana postać radości człowieka, któremu udało się wyjść cało ze śmiertelnego niebezpieczeństwa. Naśmiawszy się, po minucie zerwał się i czemprędzej wracał na dawne miejsce, rzekomo z ciekawości, żeby popatrzeć zbliska jak się też rozegra osobliwa walka między czarnymi ludźmi a czołgiem — przecież po raz drugi w życiu nie nastręczy się podobne widowisko... Narazie niema nic lepszego do roboty, a bezczynne czekanie w jakiejś dziurze dziwnie nęka.

W narożniku, skąd odchodził wdół chodnik łącznikowy, przystanął i ostrożnie wychylił głowę — stamtąd mógł wypaść nań von Senden z nożem... Nie było go.

Skąd von Senden? Jaki von Senden? Przecie ten Niemiec jest jego fikcją, manją, przywidzeniem, które już nieraz w okresie ostatnich niedomagań nerwowych plątało mu się w myślach, wyłażąc od czasu do czasu z dziedziny snów.

Cudem ocalały, zwisający nad rowem krzak liljowych

bladych dzwonków leśnych przypomniał mu dziwne imię — Rita... znowu zjawa ze snów... I jej ojciec, stary profesor Wager... Sto — kominów, dymiących dniem i nocą... Obce miasto po obu brzegach wielkiej rzeki... Środkiem nurtu płynie mała żółta paczuszka... Patrzy na nią z wyżyny... Rzeka Ren... Rzeka Ren... Usypiał.

Zaledwie się zapomniał, obudził go łoskot, nadlatujący z przerażającą szybkością — rósł, wzmagał się, ogłuszał, rozsadzał głowę... Otworzył oczy — pasiasty zielonkawo-szary czołg wychodził z gęstwiny zagajnika, ani śladu czarnych ludzi... Po ziemi przemknął ogromny cień płatowca...

Ktoś go gwałtem budził z ciężkiego snu, nieprzeliczone obrazy, nagromadzone w pamięci, rozpływały się, ich ucisk, ich czad zanikał, rozwiewał się, dawał ulgę. Ostatni zwlekał jeszcze i trwał, pomimo już zupełnego obudzenia w oślepiającym blasku słońca, które biło prosto w oczy.

...Po niebie kołują olbrzymie ptaki, unoszą się stadami, opadają i rosną w oczach, wzbijają się wgórę i maleją, ścigają się, prześcigają się, igrają — coraz ich więcej. Wciąż odzywają się i przekrzykują się nawzajem, prują powietrze ich ostre, drapieżne krakania.

...Dziwna kraina, znajoma jakby ze wspomnień dzieciństwa, rozpościera się i drga w oczach w słońcu. Claude z trudem dźwignął głowę. Tuż przed nim wdole rozwichrzona, kędzierzawa gęstwina drzew stoi w ciemnej zieleni na tle głębokiego lazuru. Zapatrzył się z błogością w niewysłowioną granicę, gdzie stykały się obie barwy, prześwietlone liście, wątłe gałązki wierzchołków drgały,

mieniąc się szmaragdowem omgleniem. Tuż przy samej twarzy jaśniała w słońcu kępa złotych nieśmiertelników, obok wśród drobnego żwiru zbiegał wdół płat macierzanki, natychmiast poczuł jej jędrny, cierpki zapach...

Przeraźliwy zgrzyt żelaza... Ludzki krzyk... Z szybko mknącym, ostrym trzaskiem ktoś niewiadomy szarpał i pruł mu nad samą głową sztywną, twardą tkaninę, było to bolesne, nieznośne — wnet ucichło i natychmiast po jednej sekundzie ciszy wybuchły jęki, wrzaski... Stłumił je ponowny trzask, zatrajkotał jednym ciągiem i urwał — znów wszczął się krzyk, jęk i głuchy nieludzki ryk... Skłębiło się, przemaga się w okropnym zgiełku mnóstwo głosów — jakaś gromada drze się wniebogłosy — co się stało?

Chciał się podnieść z ziemi, zobaczyć i sam zawrzasnął — przeszył go ból okropny. W boku, w obu nogach, w krzyżu.. Oblał się potem, znieruchomiał i jęczał. Ból gnębił go dalej, był i teraz mocny ale spokojny, już do zniesienia. Ból odkrył mu to, o czem zapomniał zeszczętem — już dawno, czy dopiero przed chwilą, o tem nie wiedział — porwał go wraz z darmowem nakryciem okopu nagły, potworny pęd, wyrzucił go z rowu i cisnął nim na przedpiersie. Do pół ciała był przysypany ziemią i przez oba kolana wpoprzek przywalony klocem drzewa.

Z trudem zbierał myśli.

Nadewszystko lękał się, że prędzej czy później zaczną go odkopywać... Drżał na myśl o sanitarjuszach, brutalnych chłopach, o tych ludziach bez litości z czerwonemi krzyżami na opaskach... Każde ich dotknięcie sprawiało

ból. Narażali życie, aby go dręczyć po nocy — aby go uratować. Poco? Bo niesyta jego krwi wojna żądała dalej, wojna, żądała więcej... I zabrała mu duszę, wyżarła w nim mózg, zhańbiła jego cześć...

Znowu powleką go po ziemi. Będą mu w usta pchać szmaty, żeby nie krzyczał... Niechże go zostawią w spokoju, nie zniesie tego po raz drugi... Woli tu zginąć w słońcu, w zapatrzeniu na te plamy błękitu przez gałęzie drzew. Czemuż wówczas nie dali mu umrzeć?...

— Pocóż, na Boga, było tamto wszystko?

. . . . . .

Ostatnia skarga. Nie wiedział, czy tu zostanie i już nareszcie — nareszcie umrze. Czy jeszcze raz wskrzesi go fatum wojny i zamęczy, sponiewiera do końca...

Na tem usnął.

Sztywna, napoły bezwładna, nieczująca ręka, w której już zanikało życie, szukała, grzebiąc nieudolnie w ziemi. Czy napotka rękę niewiadomego człowieka, uczestnika jego walki i śmierci, jedynego na ziemi, ostatniego w tem życiu przyjaciela?...

...Czołg przeraźliwie zgrzytał po kamieniach i tłumił ludzkie jęki. Pracowicie dźwigał wgórę swój ogromny i potworny ciężar. Wlokły się za nim smug“ gęstego, kopcącego dymu, uchodzące ze szczelin, z wizjerów i strzelnic od przodu, w górze i na bokach. Zmiażdżył usypane i odarniowane przedpiersie, przewalił się przez

drugi zkolei napotkany zakos rowu dobiegowego i odsłonił za sobą dwie grupy ludzi, rozpostartych na ziemi. Czarni ludzie poczwarnie i obco raziły oczy w pełnym blasku słońca. Leżeli twarzą do ziemi, leżeli rozpostarci nawznak, patrząc w słońce czarną skórzaną maszkarą, poniektóry drgał jeszcze, targnął ramieniem, grzebnął nogą. Pośrodku trupów i konających dopalały się dwa znicze ciemno-czerwonego pełgającego przy ziemi ognia i słały się ciężkie dymy.

Czołg piął się wgórę, pozgrzytywał żelazem i jęczał ludzkiemi głosami. Ktoś, zmożony niewypowiedzianą męką, ostatni żyjących, ostatnim żywym tchem zionął swoją przez nikogo, niesłuchaną skargą. Konał bohaterską śmiercią na polu chwały, miotał się palony ogniem w ciasnocie zatrzaśniętej komory, tłukąc oszalałą głową o pancerne płyty.

Rozumna machina, stworzona przez geniusz wojny, sama zgadywała swoja drogę, zasypując ludzi, których kruche są ciała i znikomy żywot. Claude patrzał szklanemi, nieruchomemi, obojętnemi oczami, jak żelazny stwór ominął go i szczędził, zboczył i odszedł naskos wżerać się w drugą linję pozycji. Ale po drodze potrącił o wielki głaz, sterczący z ziemi. Zazgrzytał, trysnął iskrami, wdrapał się na głaz, przechylił się groźnie nabok, oko się i nawrócił ku miejscu, gdzie na rozwalonem przedpiersiu głównego okopu leżał żołnierz niemiecki, żywy czy umarły, do pół ciała przysypany ziemią. Jego szkliste źrenice drgnęły życiem. Usta rozwarły się do krzyku, ale nie wydały nawet jęku. Cudem ostatniego odruchu ręka dźwignęła się jeszcze

i stem bezbronnego dziecka osłoniła głowę. Na czoło zlane potem, na zdręczone oczy padł chłodny cień od żelaznego ogromu, który zakrył sobą jasne słońce dnia i cały świat.
Pracując całą potęgę jednostajnie mierzonego tchu, dygocącego w żelaznych tajemnych czeluściach, czołg przekroczył drugą linię okopów. Osiągnął stromy szczyt wzgórza i, nie zatrzymując się ani na jedno mgnienie oka, przewalił się na drugą stronę, przechylił na spadzistości i zwolna sunął wdół ku niezmierzonej równinie w martwej, niezłomnej wierności z tysiącem sobie podobnych. Szedł zdobywać zwycięstwo, kończyć wojnę, szedł karać i mścić się za wszystko — brać na wrogu sprawiedliwy odwet za Żółty Krzyż.

K o n i e c .

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Gałecki.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Ostatni film Evy Evard

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Cafemoloko
- Mudbringer
- Wieralee
- Piotr433
- Seboloidus
- Anagram16
- Salicyna
- Bonvol
- Igor123121
- Kejt
- PMG
- NiktWażny
- Tommy Jantarek
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235

- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium